

Egz. archiwalny
CZEGO CHCĄ ROBOTNICY

ISSN: 1425-3917 NR INDEKS

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

ŚLĄSK

Nr 5 (79) • ROK VIII • MAJ 2002

CENA 4 ZŁ

MAREK S. SZCZEPAŃSKI:

Hegemon bez przyszłości

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI:

Dziedzictwo i regres

TADEUSZ KIJONKA: Głuche interpelacje

STULECIE JANA KIEPURY

MAREK BASTER: Żory koło Katowic

Humaniści na Śląsku: Prof. WŁODZIMIERZ WÓJCIK

MARIA LIPOK-BIERWIAZONEK: Zmierzch pewnej kultury

Z warsztatu tłumacza: PIOTR FAST

ISSN 1425-3917



9 771425 391028





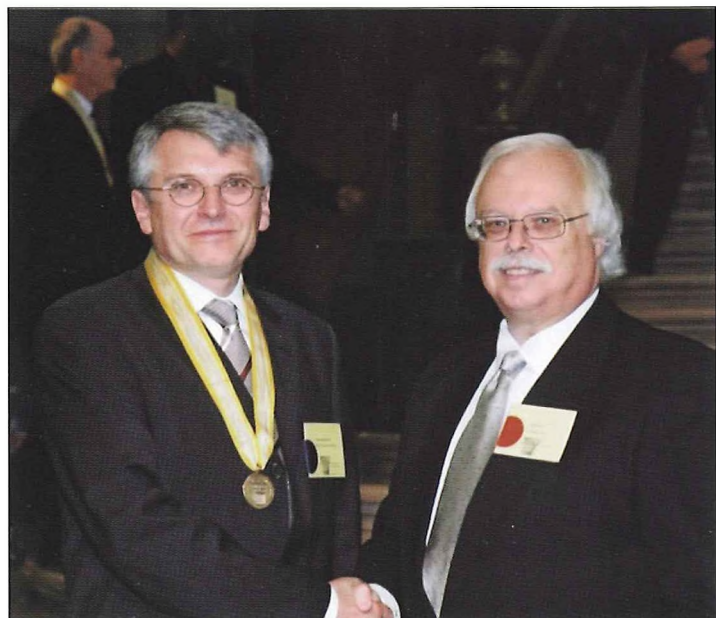
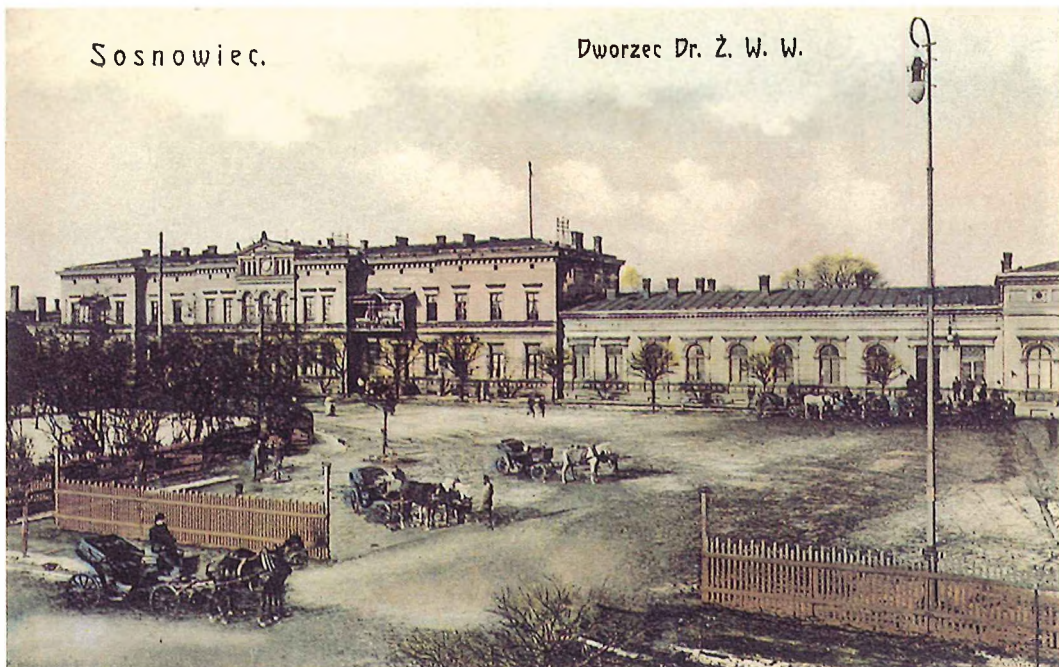
Tytuł spektaklu roku
przyznano
„Operetce”
Witolda Gombrowicza
w reżyserii
Jacka Bunscha
zrealizowanej
w Teatrze Zagłębia.
Adam Kopciuszewski
otrzymał
Złotą Maskę
za rolę
Księcia Himalaja
(Więcej na str. 82)

100 lat Sosnowca

Dworzec
Drogi
Żelaznej
Warszawsko-
-Wiedeńskiej.
Dzisiaj to miejsce
trudno rozpoznać,
choć gmach dworca znów jest
okazały,
jak dawniej.

Sosnowiec.

Dworzec Dr. Ż. W. W.



Dla udokumentowania rewolucji w dziedzinie światowej technologii informacyjnej, począwszy od 1980 roku, amerykański program Computerworld Honors nagradza instytucje w 10 kategoriach, między innymi w edukacji, rolnictwie, ochronie środowiska, transporcie i medycynie. W tym roku w dziedzinie medycyny, kapituła programu m.innymi postanowiła wyróżnić Śląską Akademię Medyczną za opracowanie przez I Klinikę Kardiologii metody pomostowania naczyń wieńcowych z wykorzystaniem endoskopii i robota sterowanego głosem. W dziedzinie medycyny z Europy wyróżniono też francuski projekt teleoperacji chirurgicznej wykonywanej na odległość przez Atlantyck. Dokumentacje wszystkich wyróżnionych projektów, zostaną przekazane do bibliotek i instytutów naukowych na całym świecie. Uroczystość wręczenia medali odbyła się 07.04.2002 r. w City Hall w San Francisco.

W imieniu Śląskiej Akademii Medycznej medal Computerworld Honors odebrał Prof. Andrzej Bochenek, pomysłodawca i autor polskiego projektu.

Z satysfakcją informujemy też, że I Klinika Kardiologii w Katowicach została uznana za najlepszą Klinikę Kardiologiczną w Polsce, w rankingu klinik kardiologicznych, opublikowanym w tygodniku Newsweek. Ranking ten przeprowadzony był przez tygodnik Newsweek i Towarzystwo Promocji Jakości Opieki Zdrowotnej w Polsce oraz dzięki pomocy Harvard University. Na zdjęciu Profesor Andrzej Bochenek (z lewej).

ŁASK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 5 (79). Rok VIII. MAJ 2002 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚŁĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21

e-mail: slask@alfa.com.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

e-mail: kijonka@alfa.com.pl

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

e-mail: felix@alfa.com.pl

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

e-mail: wk@alfa.com.pl

KRZYSZTOF KARWAT

dział kulturalny

e-mail: k.karwat@dz.com.pl

MARIAN KISIEL

dział krytyki i eseju

e-mail: marian@alfa.com.pl

ANDRZEJ KUŚNIERCZYK

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROSLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA

PAWEŁ GARDAWICKI

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 2597-271 w. 107

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1

Materiałów nie zamówionych nie zwracam.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bezpłatnie - w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL - redakcja miesięcznika „Łask”, PKO II Oddz. Katowice 1020326-746272-270-1-111. Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza - 4 zł

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Rozmowa z Markiem Koplem, prezydentem Chorzowa	KTO KUPI	6
„ZIEMIĘ STRACONĄ”		6
Genowefa Jakubowska	WIERSZE	9
Marek S. Szczepański	HEGEMON BEZ PRZYSZŁOŚCI	10
Katarzyna Sadura	CZY JA WIEM, GDZIE ZNAJDE PRACĘ?	16
Łukasz Sojka	TRAMWAJ (opowiadanie)	20
Antoni Wolak	WIERSZE	23
Tomasz Nawrocki	ŚŁĄSKI ETOS PRACY	24
Marek Baster	ŻORY KOŁO KATOWIC	28
Bronisław Gołębiowski	DZIEDZICTWO I REGRES	34
HUMANIŚCI NA ŚŁĄSKU		
Marian Kisiel	PROFESOR WŁODZIMIERZ WÓJCİK	38
Tadeusz Kijonka	GŁUCHE INTERPELACJE	42
Maria Lipok-Bierwiazek	ZMIERZCH PEWNEJ KULTURY	48
Marek Wawrzkiwicz	WIERSZE	52
Magdalena Dziadek	MÓZG I KRTAŃ. W stulecie Jana Kiepury	54
Z WARSZTATU TŁUMACZA		
Rozmowa z Piotrem Fastem	PRZEKŁAD NA DRUGIM PLANIE	59
Ilja Erenburg	GDZIE ROZEJM NIE SIĘGA (przekład: Piotr Fast)	62
Danuta Lubina-Cipińska	RYBNIK I OKOLICE	64
Piotr Zaczekowski	MALARSKIE BIURO RZECZY ZNALEZIONYCH	65
Rozmowa z prof. Ewą Zawadzką	TO TKWI WE MNIE	80
LISTY		2
ŚŁĄSKI MIESIĄC		4
POZA KADREM		
Feliks Netz	MĘSKA SPRAWA	37
PEJZAŻ MITOLOGICZNY		
Antoni Halor	NAPOLEOŃSKIE WIDMA	
I MOGIŁY		47
EKOLOGIA		
Jan Rzymelka	DLACZEGO KŁUSUJEMY?	57
POWROTY		
Marian Kisiel	FRYDRYŚ NOWACZYŃSKIEGO	58
EDUKACJA REGIONALNA		
PREZENTACJE. LEKSYKON		
WIEDZY O REGIONIE. Z WYDAWNICTW		66
Arkadiusz Kuzio-Podrucki	Z RÓŻNYCH STRON	
EUROPY		67
PLASTYKA		
Andrzej Urbanowicz	KASZTANY	68
SESJA		
Krzysztof Karwat	ROK BELLMERA	69
TEATR		
Krzysztof Karwat	WYPADEK KLARY	70
Magdalena Dziadek	MIEDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI		
Ks. Tomasz Jaklewicz	CHRYSTOLOGIA	
WIERSZEM		72
Ryszard Jasnorzewski	SPISZ TREŚCI	73
Krystyna Kralkowska-Gątkowska	PRUS	
MISTYCZNY		74
Wiesława Konopelska	ODKRYWANIE	
PROWINCJI		75
Magdalena Bąk	SŁÓWKO O ROMANTYZMIE	76
Magdalena Bilińska	RADOŚĆ DROBNYCH	
ODKRYĆ		77
Ks. Jerzy Szymik	HEIMWEH. BOLEŚĆ UTRATY	78
Marcin Hataś	POETYCKIE WYZWANIE	78
Marek Baster	BLOC-NOTES	79
Wojciech Janota	GLOSSY GÓRNOŚŁĄSKIE	81
NOTATNIKI KULTURALNE		
Wiesława Konopelska	KATOWICE	82
Jan Picheta	BIELSKO	84
Elżbieta Kot	CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz	OPOLE	86
Jacek Sikora	ZAOLZIE	87

Pismo
wspierane finansowo
przez
ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚŁĄSKIEGO



oraz dotowane przez
URZĄD
MIASTA
KATOWICE



i MINISTERSTWO
KULTURY

W kolorze:

● Rybnik i okolice (str. A) ● Karol Wiczorek - wystawa malarstwa w Muzeum Śląskim (str. B) ● Ewa Zawadzka - wystawa w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach (str. C) ● Znaki i Tworze Miasta (str. D).

Na okładce:

Ruiny hali przemysłowej Zakładów Cynkowych w Katowicach-Welnowcu.

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
e-mail: zagran@pol.pl

JESZCZE O „ŻYWYCH FOTOGRAFIACH”

Jestem niezmiernie wdzięczna Panu Piotrowi Hnatyszynowi za zamieszczone w marcowym numerze „Śląska” sprostowanie, dotyczące mojego artykułu o „żywych fotografiach” w Gliwicach. Jak się okazuje, błędna była moja sugestia, iż pierwszy pokaz filmowy w tym mieście (we wrześniu 1897 roku) był prawdopodobnie także pierwszym na Górnym Śląsku.

Przyznaję, że penetrując pod tym kątem dawną i współczesną prasę (a nie sposób dotrzeć do wszystkich tytułów) i analizując zebrane informacje, zasugerowałam się między innymi nieco wcześniejszą publikacją Piotra Hnatyszyna (*Od kinematografii do multikina*, „Gazeta Wyborcza” z 2 października 2000 roku), w której stwierdził, że kinematograf dotarł do Zabrze w 1900 roku.

Najstarsze dzieje kina na Śląsku są w znacznej mierze terenem dziewiczym. Na odkrycie czeka jeszcze wiele spraw z naszej filmowej archeologii, ale poszukiwania dają czasem zaskakująco dobre rezultaty.

Podana przez Piotra Hnatyszyna informacja, że pierwsze pokazy filmowe w Zabrzu odbyły się już w styczniu 1897 roku, nabiera dodatkowego znaczenia, gdy zestawimy ją z faktami, odnotowanymi w opracowaniach, poświęconych historii filmu polskiego. W publikacjach tych, również w najnowszej — niewątpliwie cennej i interesującej — „Kronice kinematografii polskiej” Małgorzaty Hendrykowskiej (wyd. 1999 r.) nie znajdziemy, niestety, żadnej wzmianki o początkach kina na Śląsku. Muszę wyznać, że całkiem miła jest mi świadomość, iż pierwsze projekcje filmowe w górnośląskiej wsi Zabrze odbyły się w niespełna dwa miesiące po pokazach w Krakowie i Poznaniu, a wcześniej niż w Rzeszowie, Tarnowie, Królewcu i innych miastach, wymienionych w monografii Hendrykowskiej. Na marginesie dodam, że również stale kina pojawiały się na Górnym Śląsku bardzo wcześnie; bytomski „Grand-Kinematograf” powstał w grudniu 1906 roku (czyli w zbliżonym czasie co sławny krakowski „Cyrk Edison”), a w 1907 roku w centralnej części regionu funkcjonowało już co najmniej dziewięć kinoteatrów (choć i o tym nie dowiem się z wyżej wspomnianych opracowań).

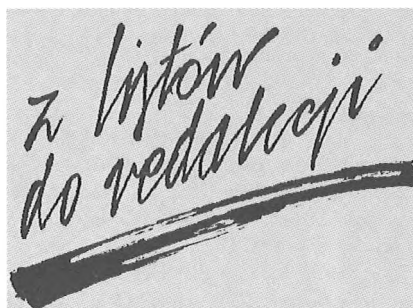
Śląsk potrzebuje własnej filmowej monografii i niewątpliwie kiedyś ona powstanie. Jednak nim zamierzenie to przyjmie, bardziej realne kształty, gromadzimy fakty, stawiamy hipotezy, staramy się wypełniać „białe plamy”. Dlatego dla śląskich filmoznawców i wszystkich, zainteresowanych dziejami X Muzy na Śląsku, tak bardzo cenne są wszelkie nowe informacje, sprostowania i uzupełnienia.

**WERONIKA
RZEPKA-JAGLARZ**

JACKI JABŁONKOWSKIE

W artykule p. Marii Lipok-Bierwiaczonek: „Górale śląscy” („Śląsk”, nr 2(76), s. 67) znalazł się fragment: „Pośrodku obszaru zasiedlonego przez Górali śląskich znalazła się enklawa kulturowa, zachowująca odrębność od początku XX wieku — mieszczące jabłonkowskie, zwani Jackami, noszący właściwy sobie strój ludowy...”

Dość zaskakująca nazwa grupy ludności, urobiona, jak mogłoby się wydawać, od pospolitego imienia oraz odrębność stroju ludowego, przyciągały uwagę, skoro



w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN (t.5, 1965) czytamy:

„Jacki Jabłonkowski, mała grupa polskiej ludności góralskiej, zamieszkująca m. Jabłonków, dawne centrum handl. w Beskidach Zach. (Czechosłowacja); J.J. różnił się od mieszkańców sąsiednich wsi charakterystycznym ubiorem, podobnym do stroju huzarów węgierskich”.

I nazwa grupy, i charakterystyczny dla niej strój ludowy, wiążą się z pochodzeniem Jacków.

Nazwa Jacków nie pochodzi od imienia Jacek, lecz od nazwy plemienia Jasów (Jazygów). Wspomina o tym „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” (t. III, s. 345, Warszawa 1882) w haśle „Jablonkowanie”: „... Właściwi Jablonkowianie osiedli dalej na wschód w dorzeczu rzeki Olszy (Olsa) aż po miasteczko Jabłonków, które zajmuje ród góralski Jackami zwany (Jazygowie)...”

Jazygowie stanowili związek koczowniczych plemion scyto-sarmackich pierwotnie zamieszkałych nad Morzem Azowskim; w I w. p.n.e. przenieśli się na obszar między Dunajem a Cisą, rozbici przez wojska rzymskie (IV–Vw.) zostali wchłonięci przez ludy miejscowe.

Tyle mówi Wielka Encyklopedia Powszechna. Należy dodać, że wchłonięcie to było bardzo powolne. Jazygowie cieszyli się w Królestwie Węgier znaczną autonomią. W położonym między Cisą a górami Matra regionie o historycznej nazwie Jászág wiele miejscowości ma w nazwie przedrostek Jász-. Najbardziej znana z tych miejscowości — Jászberény — jest siedzibą Muzeum Jazygów, jedynej pamiątki po ludzie, którego odrębność zatarła się na Węgrzech dopiero pod koniec XIX w.

Strój ludowy, zbliżony do węgierskiego oraz tradycja, żywa jeszcze pod koniec XIX w. (gdą powstawał „Słownik Geograficzny...”) są dodatkowymi dowodami na pochodzenie Jacków od wywodzących się z Niziny Węgierskiej Jazygów.

Kiedy grupa Jazygów zawędrowała nad Olsę? Kiedy uległa polonizacji? Czy istnieje odpowiedź na te pytania? Chyba nie. Wydaje się, że byłoby to ciekawy temat dla naukowców z Uniwersytetu Śląskiego. Mimo, że Jabłonków leży obecnie w Czechach, jest nadal silnym ośrodkiem polskości. A zresztą, już niedługo wszyscy — Węgrzy, Czeši, Polacy — będziemy w jednej Europie, którą Historia ułożyła w barwną mozaikę.

HUBERT SYLWESTRZAK

„O ERWINIE SÓWCE”

W lutowym numerze miesięcznika „Śląsk” ukazała się recenzja z wystawy malarstwa Erwina Sówki w Muzeum Śląskim. W interesującym napisanym przez Annę Woś tekście są dwie nieścisłości, które chcę sprostować. Pierwsza z nich dotyczy informacji o odnośnie ekspozycji poprzedzającej tę ostatnią. Otóż w Katowicach poprzednia wystawa E. Sówki była

w Galerii „Semafor” na przełomie 1986–1987 r., natomiast w Warszawie, w Państwowym Muzeum Etnograficznym malarstwo Sówki prezentowałem w 1992 r. i była to ekspozycja przewyższająca — niestety — rozmachem i bogactwem etalazu ostatnią, katowicką.

Wystawa ta była również mojego autorstwa, co nie zostało zaznaczone w stopce wystawy pod recenzją. Co prawda jej autorka wymienia w tekście tytuły poszczególnych cykli, w jakich obrazy zostały zaprezentowane publiczności, ale ani w tamtym miejscu, ani, jak rzekłem, w stopce nie podaje autora koncepcji merytorycznej wystawy. Proszę uprzejmie o zamieszczenie tegoż istotnego sprostowania.

**Z poważaniem
SEWERYN A. WISŁOCKI**

Ps. W sympatycznym tekście, utrzymanym w groteskowej stylistyce, pt. „Mieć swój czołg!” — SKORPION nieco przeszarżował w czasie. Otóż w największej bitwie pancerniej II wojny światowej pod Kurskiem — najśluszniej nazwanej masakrą — zwyciężkami okazały się sowieckie czołgi T-34, a nie T-54. Tylko tyle, gwoli ścisłości informacji.

S.A.W.

„ZABRZE – MOJE MIASTO”

**Z okazji 80-lecia uzyskania przez Zabrze
praw miejskich Miejska Biblioteka
Publiczna w Zabrzu oraz
Muzeum Miejskie w Zabrzu
ogłaszają konkurs wspomnień
dotyczących naszego grodu.**

Konkurs ma charakter otwarty i jest adresowany do wszystkich, a więc zarówno aktualnych, jak i byłych mieszkańców Zabrze, przebywających obecnie w innych regionach kraju, bądź poza granicami Polski.

Celem tego przedsięwzięcia jest uzyskanie wspomnień dot. wszelkich zdarzeń, zarówno „wielkich” — przełomowych, jak i „małych” — związanych ze sferą życia miasta i jego mieszkańców, sferą gospodarki, życiem zawodowym, polityką, kulturą, wypoczynkiem, sportem, życiem społecznym, rodzinnym, sferą ducha i religii, stosunkami międzyludzkimi, relacjami między większością a mniejszościami narodowymi i etnicznymi, wreszcie też tworzeniem współczesnego, nowego oblicza miasta.

Oczekujemy prac o objętości do 5. stron maszynopisu, wyjątkowo rękopisów. Najbardziej interesujące wspomnienia będą opublikowane w specjalnym jubileuszowym wydawnictwie, ukazującym w ten sposób losy mieszkańców Zabrze i nasze relacje z tą najbliższą sercu „małą ojczyzną”.

**Prace prosimy nadsyłać do dnia
20 maja 2002 r. na adres:**

**Miejska Biblioteka Publiczna
ul. ks. J. Londzina 3, 41-800 Zabrze
tel./fax: (032) 271-42-24 lub 271-73-57**

Jury pod przewodnictwem dr. Józefa Musioli — prawnika, publicysty, literata, w składzie: ● dr Marian Grzegorz Gerlich — etnolog, dyr. Muzeum Miejskiego w Zabrzu, ● mgr Andrzej Góra — historyk, dyr. Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zabrzu, ● red. Krzysztof Karwat — publicysta, literat, red. Dziennika Zachodniego i miesięcznika „Śląsk”, ● mgr Maciej Śliwa — historyk, zastępca prezydenta miasta Zabrze, ● mgr Krystyna Kiryk-Kuncy — historyk, Miejska Biblioteka Publiczna w Zabrzu ogłosi wyniki konkursu w dniu 31 maja 2002 r.

Górnośląski Bank Gospodarczy z powodzeniem rywalizuje z największymi bankami, od lat zajmując 3 miejsce na rynku usług detalicznych woj. śląskiego. Zawdzięcza to swojej elastyczności, szybkiemu reagowaniu na potrzeby Klientów oraz misji, jaką od chwili powstania pełni w regionie, wspierając konsekwentnie najważniejsze obszary życia gospodarczego i społecznego. Jest wśród nich również ochrona środowiska.

Pomoc banku w tej dziedzinie, szczególnie w okresie, gdy zarówno przedsiębiorstwa jak i mieszkańcy regionu, dotknięci wysokim bezrobociem szukają rozwiązań, by móc jak najtańszym kosztem oszczędzać drogą energię jest bardzo pożądana. Z drugiej strony prawo ochrony środowiska taką oszczędność jak i przestrzeganie norm ekologicznych we wszystkich innych sferach życia, wymusza. W tym miejscu zbiegają się potrzeby i interesy gmin, przedsiębiorstw i mieszkańców z jednej strony, z drugiej Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, współfinansującego ochronę środowiska oraz GBG Banku, który pomaga godzić ekologię z ekonomią.

EKOKREDYT GBG

Był to powód wystarczający, by na mocy porozumienia pomiędzy Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach oraz Górnośląskim Bankiem Gospodarczym zapropono-

Górnośląski Bank Gospodarczy SA

Godzi ekologię z ekonomią

WYRÓŻNIENIE

dla firmy:

Górnośląski Bank Gospodarczy SA

za najlepszy produkt finansowy

II Eko-wystawy
w Pietrowicach Wielkich

Komitet Organizacyjny Targów



wać zainteresowanym korzystanie z tańszego finansowania przedsięwzięć związanych z oszczędnym zużywaniem energii oraz ekologią.

Taką propozycją jest EKO-KREDYT GBG dla osób fizycznych, przedsiębiorców i instytucji ze środków WFOŚiGW w Katowicach, obsługiwany przez Górnośląski Bank Gospodarczy. Obejmuje on trzy linie kredytowe:

Linia Kredytowa LK - 1 związana jest z ograniczaniem emisji zanieczyszczeń do powietrza atmosferycznego (dotyczy syste-

mów grzewczych i obiektów o zapotrzebowaniu mocy cieplnej do 200 kW).

Linia Kredytowa LK - 2 obejmuje budowę systemów oczyszczających lub odprowadzających ścieki.

Linia Kredytowa LK - 3 dotyczy zagospodarowania odpadów (przeznaczona jest wyłącznie do finansowania selektywnej, systemowej gospodarki odpadami w gminie).

Środki uzyskane w ramach kredytu mogą być przeznaczone wyłącznie na pokrycie bieżących wydatków, związanych z wykonaniem inwestycji na terenie województwa śląskiego. Inwestycję stanowi koszt zakupu i instalowania urządzeń produkowanych i montowanych w Polsce lub urządzeń zagranicznych.

Oprocentowanie kredytu wynosi 6% w skali roku od kwoty wykorzystanego kredytu w przypadku urządzeń polskich, w przypadku urządzeń zagranicznych oprocentowanie stałe sięga 10% w skali roku.

Warto dodać, iż GBG Bank otrzymał za swoją ofertę ekologiczną wyróżnienie na odbywającej się 27 i 28 kwietnia 2002 roku II Ekowystawie pn. „Ciepło przyjazne środowisku” W Pietrowicach Wielkich k. Raciborza.

Szczegółowe informacje na temat ekologicznych kredytów preferencyjnych czyli EKOKREDYTU GBG można uzyskać w placówkach GBG Banku, pod numerem infolinii 0 800 163 049 oraz na stronach internetowych: www.gbg.com.pl.

Praktyczne informacje na temat realizacji inwestycji ekologicznych dostępne są w specjalistycznym portalu budowlanym pod adresem: www.monter.pl.

■ **JEDEN** z najbliższych współpracowników metropolity górnośląskiego, abp. Damiana Zimonia, ks. prałat Roman Kempny, zmarł nagle 2 bm. Papież Jan Paweł II przesłał na ręce abp. Damiana Zimonia kondolencje po śmierci ks. prał. Kempnego.

■ **CZŁOWIEKIEM** Ziemi Gliwickiej 2001 został Jan Sznajder, współzałożyciel i wiceprezes gliwickiego Koła Towarzystwa Pomocy im. Brata Alberta. 1 bm. otrzymał w ratuszu statuetkę „Gliwiczus 2001”.

■ **PONAD** czterystu Polaków z całego świata przyjechało do Szczyrku na Polonijne Igrzyska Zimowe, odbywające się w Beskidach po raz drugi. Olimpijski znicz zapłonął 2 bm.

■ **BUDOWA** nowych struktur ratownictwa obejmujących wszystkie typy katastrof oraz konsekwencje tragedii w kopalni „Jas-Mos” to dwa główne motywy wizyty na Śląsku ministra spraw wewnętrznych i administracji Krzysztofa Janika (6 bm.).

■ **PRZEZ** sześć dni (do 6 bm.) jeździło w Beskidach na nartach, łyżwach i sankach blisko 500 Polaków z Rosji, Litwy, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Turcji i Niemiec. Gościem honorowym igrzysk polonistów była Maria Kwaśniewska-Maleszewska, brązowa medalistka w rzucie oszczepem na olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. 89-letnia olimpijka nieustannie zajmuje się propagowaniem idei olimpijskiej. Najmłodszą uczestniczką Igrzysk Polonijnych była 6-letnia Dominika Wolska z Niemiec.

■ **OFICJALNIE** górnictwo w ub. roku zarobiło ponad 176 mln zł. W rzeczywistości kopalnie poniosły stratę w wysokości ponad 2,3 miliarda zł! — wynika z wewnętrznych wyliczeń wykonanych dla Państwowej Agencji Restrukturyzacji Górnictwa Węgla Kamiennego. I ta druga liczba jest prawdziwa.

■ 7 bm. w kopalni „Halemba” w Rudzie Śląskiej zginął górnik na poziomie 525 m; jest czternastą ofiarą śląskich kopalni w ciągu ostatniego miesiąca. 39-letni Waldemar G. osierocił żonę i dwoje dzieci.

■ **OBRADUJĄCA** na Jasnej Górze kapituła Generalna Zakonu Św. Pawła Pierwszego Pustelnika wybrała 9 bm. 85 w swej historii generała zakonu — został nim o. Izidor Matuszewski (rocznik 1942).

■ **NOWE** studio telewizji kablowej Elsat otwarto w Miejskim Ośrodku Kultury w Rudzie Śląskiej.

■ **EKOLOGIA** to przyszłość dla nas — twierdzi p. Maria Gawlas. Dlatego wraz z innymi założyła 13 bm. Beskidzkie Stowarzyszenie Produkcji Ekologicznej i Turystyki. Sama od kilku lat prowadzi w Sopotni Wielkiej gospodarstwo agroturystyczne „Piotr”.

■ **PIERWSI** absolwenci kończą w tym roku Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne na Uniwersytecie Śląskim.

■ **KONKURS** na katowicki hejnał wygrał 19-letni samouk muzyczny z Bytomia Adam Biernacki. Za zwycięstwo dostał 3 tys. zł. Katowiczanin usłyszał hejnał po raz pierwszy w czerwcu br.

■ **DYREKTOR** kopalni „Halemba” w Rudzie Śląskiej Wojciech Zasadni podał się do dymisji. Nie wytrzymał presji wokół wypadków górników w kopalni.

■ **NOWĄ** pracownię angiografii otwarto 15 bm. w Centralnym Szpitalu Klinicznym w Katowicach. Wyposażona jest w najnowszą generację cyfrowy aparat do badań naczyniowych.

■ **PO** raz pierwszy 15 bm. wszystkie wydziały Uniwersytetu Śląskiego wspólnie zorganizowały Dni Otwarte uczelni. Duże zainteresowanie licealistów budził nowy kierunek studiów na UŚI. — teologia. Jednak najpopularniejszą była anglistyka.

■ **NA** skoczni w Trondheim Adam Małysz przypieczętował bardzo trudny miniony sezon: po raz drugi z rzędu zdobył Puchar Świata w skokach narciarskich.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

■ **ZASTĘPCĄ** komendanta wojewódzkiego policji w Katowicach został 52-letni Tadeusz Kotuła, wiceszef centralnego Biura Śledczego i twórca wydziału ds. walki z terroryzmem. w policji pracuje od 30 lat.

■ **REKTORZY** trzech śląskich uczelni: Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Ekonomicznej i Politechniki Śląskiej, podpisali 19 bm. deklarację współpracy, uruchamiając oficjalnie Zespół Szkół Wyższych w Rybniku.

■ **TECHNIK** budowy maszyn, 59-letni Wiktor P. z Zabrze, przez 10 lat podawał się za profesora nauk medycznych o kilku specjalizacjach i prowadził prywatną praktykę... Musiał budzić zaufanie, gdyż miał 500 pacjentów. Policja zatrzymała „profesora”, ale czeka ją bardzo żmudne dochodzenie.

■ **CZŁONEK** brytyjskiego korpusu służby cywilnej Marek Golding 20 bm. był gościem Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Uczy polskich urzędników, że muszą ciągle podnosić swoje kwalifikacje i przede wszystkim dbać o przychodzących do urzędu interesantów.

■ **ODLEWANY** w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych pomnik Jana Kiepury jest już gotowy w 80 procentach; do Sosnowca wyjedzie na początku maja.

■ **ROBOT** medyczny „Zeus”, który potrafi operować serce bez rozcinania klatki piersiowej, został 21 bm. oficjalnie zaprezentowany w I Klinice Kardiologii w Katowicach Ochocju. Zostanie tu przez trzy miesiące. Przy prezentacji obecny był szef firmy Computer Mation z Kalifornii, która skonstruowała „Zeusa” — Robert Duggan.

■ **ŻYWIECCY** licealiści w niecodzienny sposób postanowili uczcić pierwszy dzień wiosny — zamiast pójść na węgry, przez całą dobę czytali ulubione książki. To jest wyczyn intelektualny godny rozpowszechnienia.

■ **EKSPOZYCJĘ** pt. „Bulle biskupów śląskich” przygotowało Archiwum Archidiecezjalne z okazji 10-lecia podniesienia diecezji katowickiej do rangi archidiecezji i utworzenia kościelnej metropolii górnośląskiej. Większość eksponatów pokazanych jest po raz pierwszy.

■ **PREMIER** Malezji Marathira bin Mohamad przebywający w Polsce, potwierdził decyzję o zakupie polskiego czołgu PT-91 TWARDY, produkowanego przez Bumar-Łabędy. Wartość przypuszczalna kontraktu ok. 200 do 300 mln dolarów.

■ **ZNOWU** wypadek górniczy. 23 bm. w kopalni „Rydułtowy” na poziomie 1000 m wybuchł pożar. Plonący metan ciężko poparzył dziesięciu górników.

■ **LIST** intencyjny w sprawie budowy i uruchomienia w Ślawnie Międzynarodowego Centrum Logistycznego podpisali w Warszawie: Agencja Rozwoju Przemysłu, Centrala Zaopatrzenia Hutnictwa i PKP Cargo SA.

■ **PANI** Mirosława Knapik z Katowic stworzyła program terapeutyczny dla dzieci upośledzonych, który ruszył 22 bm. w Szkole Specjalnej nr 2 w Katowicach. Ma on pomagać dzieciom poprzez sztukę, głównie muzykę.

■ **ZNOWU** afera, i to — zważywszy na osobę jej „bohatera” — prof. Stanisława Paszka, wybitnego kardiologa Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze, o wyjątkowo przykrym rezonansie. Co dnia gazety przynoszą nowe sensacyjne doniesienia. Słowem — kompromitacja. Czekamy na finał kompromitującej afery.

■ **PONAD** 38,5 mln zł wydała Śląska Kasa Chorych w pierwszym połowie marca (do 15 bm.) na refundację leków. To o 13,5 mln więcej niż w dwóch ostatnich tygodniach lutego. Według ministra zdrowia nowa lista refundacyjna ma przynieść kasom 1,3 miliarda zł oszczędności. Minister swoje, a życiem doświadczeni swoje...

■ **KOKSOWNIA** „Makoszowy”, jeden z czterech zakładów Kombinatu Koksowniczego Zabrze, zakończyła 27 bm. produkcję. W zakładzie pracowało 240 osób.

■ **HIMALAISTA** z Katowic, Ryszard Pawłowski, ma szansę zdobycia swego dziesiątego osmiotysięcznika. Uczestniczy w międzynarodowej wyprawie, której celem jest wejście na piątą górę świata — Makalu (8481 m n.p.m.).

■ **W WIELKI** Czwartek arcybiskup Damian Zimón poświęcił olej święte a także nowy piękny element wystroju archikatedry, płaskorzeźbę przedstawiającą błogosławionych Emila Szramka i Józefa Czempieła nad kaplicą Najświętszego Sakramentu. Po mszy metropolita poświęcił plac pod budowę Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego.

■ **JESZCZE** przed świętami, po raz czwarty, wyruszył z Sosnowca konwój z darami dla Polaków mieszkających na Ukrainie. Tym razem do Kamienia Podolskiego. Pomoc kierowana jest do miejscowości, gdzie ludzie żyją w skrajnym ubóstwie.

■ **CUDOWNY** Obraz Matki Bożej Jasno-górskiej wzmocniony zastrzykami z kleju powrócił w Wielki Czwartek do jasnogórskiej kaplicy. Wizerunek poddaje się zabiegom konserwacyjnym co roku na kilka dni przed Wielkanocą.

■ **PÓŁTOREJ** godziny czekała 29 bm. na przyjęcie do szpitala św. Barbary w Sosnowcu z rozległym zawałem serca 83-letnia Anna K. Badała ją czterech lekarzy i klóciła się, kto ma ją wziąć na oddział. Cudem przeżyła, ale jej stan jest bardzo ciężki. Dyrektor szpitala zażądał od lekarzy i ich ordynatorów wyjaśnień.

■ **DWAJ** katowicki sędziowie „w rażący sposób dopuścili się naruszenia i obrazy przepisów prawa w sprawie aresztowania szefów Colloseum” — uznało 29 bm. Ministerstwo Sprawiedliwości. Przeciwno nim wszczęte zostaną postępowania wyjaśniające, które mogą skutkować postępowaniami dyscyplinarnymi. Dwaj główni podejrzani „biznesmeni” zdążyli w porę zbiec. Czy bez pomocy osób związanych z sądownictwem?

■ **31 MARCA** kilka minut po godz. 3 nad ranem w budynku przy ul. Karłowicza w Katowicach doszło do eksplozji gazu. Siła wybuchu zerwała dach, zburzyła front, strych oraz wszystkie ściany działowe w dwóch mieszkaniach na piętrze, fruwające cegły powybiły szyby w pobliskim szpitalu oraz okolicznych domach. Zginęła jedna osoba, trzy zostały ranne.



Jan Szmatoch, „Okno IVB”, akwaforta, collage, 1979 r., 21,5x15,5

W tym mieście nie ma już kopalń, a gigantyczne niegdyś huty i zakłady chemiczne zatrudniają niewielu robotników

Kto kupi „ziemię straconą”?



Foto: Biuro Prasowe Urzędu Miejskiego w Chorzowie

Marek Kopel

**Z prezydentem Chorzowa MARKIEM KOPLEM
rozmawia KRZYSZTOF KARWAT**

- Na przełomie wieków XIX i XX Chorzów, który jako miasto nie ma długiej historii, niebawem się rozwinął i był to proces zdumiewający. Zdecydował węgiel i hutnictwo, ale nie tylko, bo niebawem rozkwit przeżyły także inne dziedziny przemysłowe. Brakowało rąk do pracy, stąd

zrodziła się potrzeba importu ludzi z głębi Niemiec. Kolejne dekady tylko umocniły pozycję tego jednoznacznie robotniczego miasta. Dzisiaj to, co kiedyś stanowiło o jego bogactwie, stało się ciężarem. Chyba nie ma już na terenie tego miasta żadnej kopalni, żadnego szybu?

- W ramach restrukturyzacji górnictwa pierwszą likwidowaną kopalnią była chorzowska „Barbara-Chorzów”. Wtedy jednak koszty społeczne tamtej decyzji nie były aż tak wysokie, bo chorzowscy górnicy znaleźli zatrudnienie w okolicznych kopalniach. W kolejnych latach zamknięto rejon „Prezydent” świętochłowskiej kopalni „Polska”. Odtąd rzeczywiście z terenu miasta nie ma żadnego wejścia do kopalnianych podziemi, choć na rubieżach miasta są jeszcze czynne tereny górnicze.

- I nie ma już górników?

- Tak nie można powiedzieć, bo wielu chorzowian dojeżdża do pracy do istniejących śląskich kopalń. Inny rzecz, że część z nich traci tę pracę. Niektórzy biorą owe słynne odprawy górnicze a potem nie mogą znaleźć zatrudnienia.

- A co z hutnikami? „Batory” zwolnił tysiące ludzi, a na obszarze dawnej huty „Kościeszko” działają dwie spółki, zatrudniające stosunkowo niewielu pracowników.

- Chorzów jest miastem nierozległym. Ma tylko 34 kilometry kwadratowe. Obie huty zajmują prawie tysiąc hektarów. Nowy podmiot gospodarczy, „Huta Królewska”, nawiązująca do dawnej nazwy miasta, zajmuje się już tylko przetwarzaniem stali. Macierzysta huta „Kościeszko” pracuje na zlecenia i zajmuje się spłaceniem zaległych długów oraz sprzedażą pohutniczych nieruchomości.

- Wiem, że miasto podjęło wysiłki, by pomóc w zagospodarowaniu terenów poprzemysłowych.

- Właśnie - poprzemysłowych, bo nie chodzi tylko o huty, ale również „Azoty”, kopalnię „Polska-Prezydent”, choć ten akurat teren został sprzedany, ale jest nie zagospodarowany, podobnie jak w przypadku dawnych zakładów mięsnych. Takich obszarów, które gospodarczo nie funkcjonują, jest w mieście sporo. Przyszłość Chorzowa w dużej mierze zależy od tego, czy te tereny będą zagospodarowane, czy nie. Na razie jest to „ziemia stracona”. Nie przynosi pracy, więc nie przynosi także podatków dla miasta. Dlatego w tym roku miasto podjęło uchwałę o utworzeniu trzech stref gospodarczych. Zakłada ona, że ten, kto przejmie owe gospodarczo nieaktywne tereny i podejmie nowe inwestycje, będzie przez 10 lat zwolniony z podatku od nieruchomości. Stawiamy oczywiście różne warunki, ale one są do spełnienia.

Tym samym chcemy uatrakcyjnić te tereny.

- To stało się niedawno. Jest jakiś ruch w interesie?

- Padają zapytania. Zainteresowanych odsyłamy do właścicieli, czyli hut i osób prywatnych. Mam świadomość, że tego typu tereny najtrudniej się sprzedaje, stąd wysiłki, by plany zagospodarowania przestrzennego przystosować do nowych funkcji owych terenów poprzemysłowych, które chcemy lepiej skomunikować z miastem. W okolicach huty „Kościeszko” budujemy drogę, wcinającą się w te obszary, o których mówimy. Inwestycję tę, dzięki wygraniu grantu, prowadzimy za pieniądze własne, budżetu państwa i Unii Europejskiej. Ta droga zdecydowanie uatrakcyjni tereny pohutnicze.

- A co z przemysłem chemicznym, z „Azotami”, z „Hajdukami”?

- „Azoty” były przed wojną bardzo nowoczesnym zakładem, także w latach 60. i 70. były największym w kraju producentem nawozów sztucznych. Ale technologie się zestarzały i to przedsiębiorstwo ma poważne kłopoty. Dzisiaj jest siecią kilkunastu spółek, które walczą o byt. Myślę, że sprywatyzowane „Hajduki” poradzą sobie na rynku. Te ich farby z „motylkiem” mają swoją markę.

- Sam Chorzów, zwłaszcza jego infrastruktura śródmiejska, wygląda dobrze, lepiej od swoich sąsiadów. Zastanawiam się, czy pod tym lukrem, pod tymi odnowionymi elewacjami kamienic nie kryje się jednak smutna prawda. W mieście bezrobocie osiągnęło 20 proc., więc jest wyższe od średniej wojewódzkiej.

- To już prawie 21 proc. To nasza największa bolączka, bo ludziom żyje się gorzej, a gmina ma mniejsze wpływy z podatków, a jednocześnie musi przyjąć na siebie większe obciążenia socjalne. Możemy się pocieszać, że w Siemianowicach, Świętochłowicach, Zabrze czy Bytomiu bezrobocie jest jeszcze wyższe, ale zdaję sobie sprawę, że marna to pociecha.

- Jestem zaskoczony. Skąd zatem w województwie śląskim bierze się średnia niższa niż w kraju?

- To wpływ Katowic, w mniejszym stopniu Gliwic. To one obniżają ową średnią. Zresztą z sąsiedztwa z Katowicami czerpiemy największe korzyści, no i nadzieje na przyszłość. Autostrada A-4 i Drogowa Trasa Średnicowa sprawiły, że z chorzowskiego rynku do centrum Katowic jest łatwiej

i szybciej się dostać niż z większości katowickich dzielnic. Kilka firm już przeniosło się do nas. Przenoszą się również ludzie, wykupując nowe mieszkania, które w Chorzowie są tańsze niż w Katowicach. W naszym mieście jest dziesięć takich punktów, w których w ostatnich latach powstały nowoczesne domy i mieszkania. One ściągają ludzi nieco zamożniejszych. Dla miasta to cenne.

- Zastanawiam się, czy Chorzów nadal jest jeszcze miastem robotniczym...

- Jest na etapie zmian. W przyszłość mimo wszystko patrzę z optymizmem, choć dla naszych mieszkańców brakuje ofert pracy. Pojawiają się wprawdzie nowe - na przykład w dawnej willi prezydenta Mościckiego lokuje się prywatna klinika - ale jest ich ciągle zbyt mało. To jednak właśnie średniej wielkości przedsiębiorstwa i instytucje wyznaczają przyszłość.

- Przyszłość, która jakby się zawężyła, skoro Chorzów liczy dziś mniej mieszkańców niż kilka czy kilkanaście lat temu. Ba, jest chyba dzisiaj mniej ludny niż przed wybuchem II wojny światowej.

- Rzeczywiście miasto się zestarzało i od 10 lat notujemy ujemny przyrost naturalny. Sporo osób, i to także Ślązaków polskiego pochodzenia, wyemigrowało do Niemiec, choć ten proces jako zjawisko masowe już się zakończył.

- Czy to nie niepokojące, skoro miasto się wyludnia?

- Takiego określenia bym nie użył. Ujemny przyrost naturalny jest już dzisiaj wyraźnie mniejszy. Tracimy 200-300 osób rocznie.

- A może wyjechali także ci, którzy przybyli tu „gdzieś z Polski” w latach 70., z małych miasteczek i wsi?

- Ci, którzy mieli wyjechać, to wyjechali, ale to nie był jakiś masowy proces. Tzw. hoteli robotniczych już u nas nie ma.

- Tak czy owak walka z bezrobociem nie przynosi rezultatów. A może gmina mogłaby obejmować udziały w tych przedsiębiorstwach, które mają kłopoty, ale dają pracę dużej ilości ludzi. Słyszałem, że w którymś z monokulturowych miasteczek odważono się na taki eksperyment.

- Gmina nie jest od tego. Prawo wyklucza prowadzenie działalności gospodarczej przez gminę. Być może, można by przeprowadzić jakiś karkołomny wywód, mający dowiedzieć tego, że dane przedsiębiorstwo jest jedynym „żywicie-

lem” miasta, ale byłby to nawrót do realnego socjalizmu.

- Jako prezydent o kilkunastoletnim stażu pracy na tym stanowisku może pokusi się pan o ocenę tego, jak zmiany gospodarcze wpłynęły na stosunki społeczne w mieście, jak układają się relacje między poszczególnymi grupami zawodowymi?

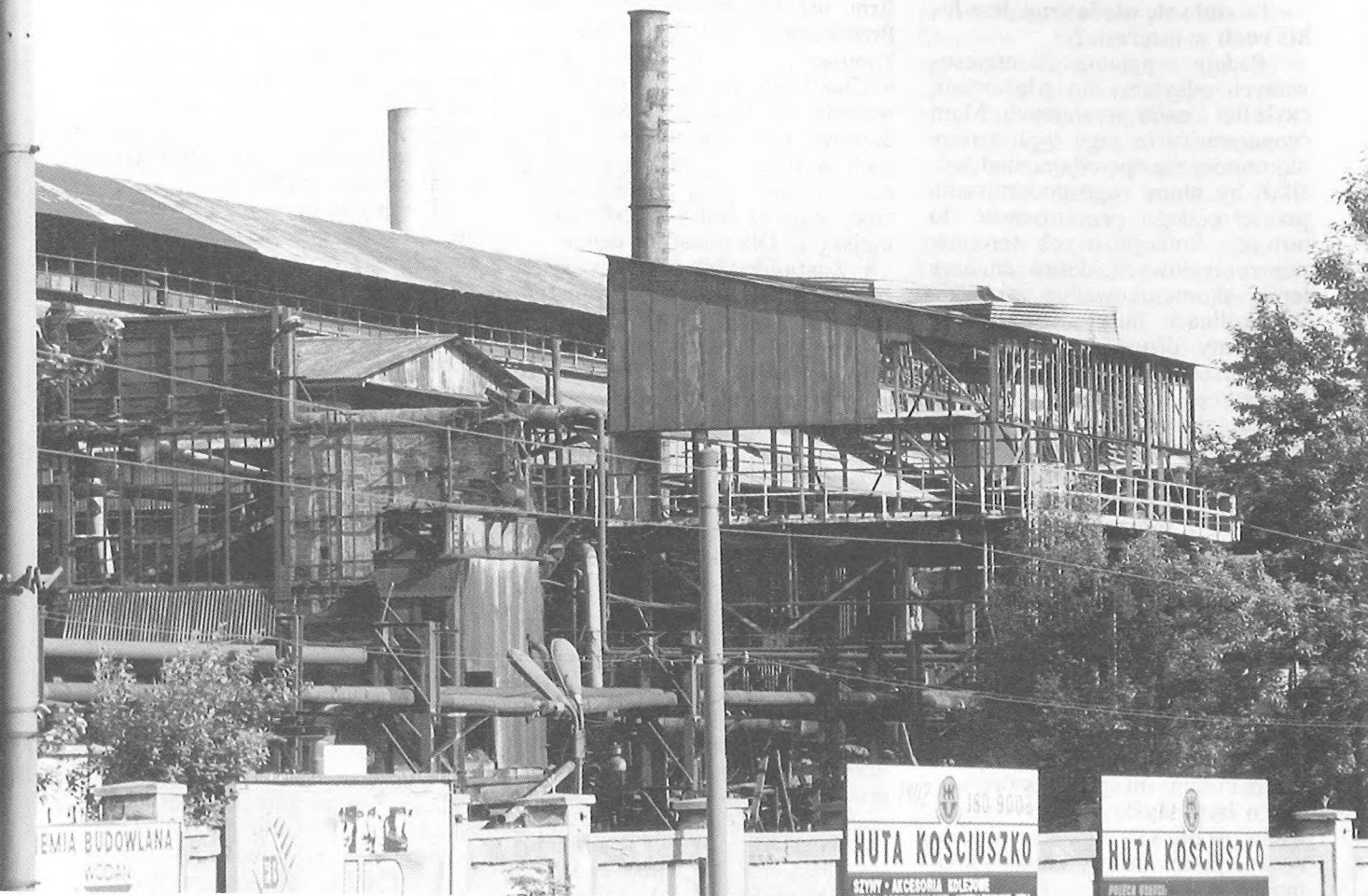
- Zmiany są ogromne i gwałtowne. Zawody górnika czy hutnika straciły na prestiżu, co można obserwować z leżką w oku, ale tak po prostu się stało. Być górnikiem - to coś znaczyło, nie mówiąc już o tym, że była to praca godziwie opłacana. Wynagrodzenia relatywnie obniżyły się, zwłaszcza w hutnictwie. Rodziny, które to odczuły, procesy te przyjmują bez entuzjazmu. Są jednak również innego typu zmiany. Zjawisko bezrobocia wszystkim uzmysłowiło, że ludzie wykształceni łatwiej znajdują zatrudnienie. Kiedyś wystarczyło wykształcenie średnie, na ogół zawodowe. Teraz również w robotniczych domach myśli się inaczej: niech przynajmniej dzieci mają lepiej od nas, niech się kształcą. W Chorzowie w ostatnich latach powstały trzy wyższe uczelnie: Szkoła Zarządzania Uniwersytetu Śląskiego, która ulokowała się na terenie dawnej jednostki wojskowej oraz dwie szkoły niepubliczne - Wyższa Szkoła Bankowa z Poznania i Górnośląska Szkoła Przedsiębiorczości, która zajęła budynek niegdyś służący do kształcenia kadr górniczych, co jest wręcz symbolem owych zmian, o których mówimy. Myśli się również o powołaniu kolejnej wyższej szkoły, tym razem informatycznej.

- Czy kształci się w nich młodzież z domów robotniczych? Oto jest pytanie.

- Statystyk nie znam, lecz z licznych obserwacji wnosię, że ona przeważa. Te szkoły są „pod ręką”, więc i koszty kształcenia są niższe.

- Chorzów zawsze kojarzył się z wielkim sportem, wyczynowym oraz tym masowym, który porywał tysiące dzieci i młodzieży, właśnie zwłaszcza z robotniczych domów, będąc dla nich formą rozrywki, ale także edukacji społecznej. Dlaczego i na tym polu doszło do załamania?

- Nie zgadzam się. Akurat w tej dziedzinie życia mamy się czym pochwalić. Sport to nasza silna strona. W naszym mieście działa kilkanaście klubów. Nie mówię już nawet o tym, że jako miasto obecnie dysponujemy najlepszym stadionem lekkoatletycznym na



Jednym z największych problemów miasta jest brak chętnych na tereny poprzemysłowe.

Foto: Janusz Pilszak

obszarze dawnego województwa katowickiego i że niedawno w Chorzowie-Batorym oddaliśmy do użytku nowoczesny kompleks sportowy z basenem, wybudowany głównie z myślą o tzw. zwykłych mieszkańcach miasta, czynny od rana do późnych godzin nocnych. Wszystkie szkolne boiska i inne areny sportowe, a mamy ich dużo, w tym sale gimnastyczne, które można prywatnie wynajmować, są dostępne dla wszystkich przez cały dzień. Z takiej czy innej formy aktywności sportowej korzystają tysiące mieszkańców miasta. I muszę powiedzieć, że nie ma „pustych przebiegów”. Ludzie organizują się w grupy wiekowe, zawodowe, towarzyskie. Powtarzam: sport pozostaje naszą domeną, bo - zgadzam się z panem - jest również ważnym czynnikiem wychowawczym. Stworzyliśmy więc dla klubów pracujących z dziećmi system dotacji i zachęt finansowych. W niejednym miejscu wybudowano węzły sanitarne tak, by można było z nich korzystać także po zamknięciu na przykład danej szkoły. Dzieci i młodzież znajdują tu

warunki lepsze niż - w niejednym przypadku - w domu. W wielu miejscach osiągnęliśmy doprawdy poziom europejski.

- Ale upada piłka ręczna kobiet. Był moment, że w I lidze grały trzy chorzowskie zespoły.

- Bo ma mało kibiców i w związku z tym - kłopoty ze sponsorami. Mamy jednak przecież kilkukrotnego mistrza Polski w piłce nożnej halowej, mamy - a był czas, że nie mieliśmy w ogóle - bardzo dobrych koszykarzy, są coraz lepsze siatkarki „Azotów”. No i jest Ruch Chorzów, który prowadzi bardzo szeroką działalność z dziećmi i młodzieżą...

- ... który gra na od lat nie remontowanym stadionie.

- To się zmieni. Wizytówką jest i będzie Stadion Śląski...

- ... na którym nic się nie dzieje.

- To się też zmieni. Inwestycja weszła w etap końcowy. Wiem, że już są przymiarki do organizacji cyklu wielkich zawodów żużlowych „Grand Prix”. Tutaj będzie można zebrać największą widownię w Polsce. Myślę, że przez 10-15 lat nie powstanie stadion więk-

szy i lepszy. Nikogo w naszym kraju po prostu na to nie stać. Reprezentacja Polski w piłce nożnej też ma rozgrywać swoje mecze właśnie w Chorzowie.

- Oby się pan nie mylił. Ale Parku Kultury, który też jest „wizytówką”, to pan nie chce.

- Już mi się o tym nawet mówić nie chce, bo dostrzegam w tym problem jedynie natury politycznej. To jest, jak sama nazwa wskazuje, park wojewódzki. Jego utrzymanie kosztuje 10 milionów złotych rocznie. Właściciel, czyli państwo, nie może o tym zapominać. I nikt radykalnie nie zmniejszy tych kosztów. Kolejni dyrektorzy próbowali i to się nie udawało, bo się udać nie mogło. Tę wielką infrastrukturę trzeba po prostu utrzymywać, tak jak utrzymuje się - nie przymierzając - warszawskie Łazienki. My mamy kilkadziesiąt miejskich parków i skwerów, o które dbamy. Miasto nie może płacić za coś, co nie jest jego. Prawo na to nie zezwala.

- Dziękuję.

GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA

★★★

dnia
siódmego

Bóg
odpoczywa

dnia
ósmego

wszystko
od nowa

poniedziałek

★★★

jedna
zimna noc
Zofii

umierają
kwitnące ogrody

★★★

przesilenie nocy

miasto
bieleje jak stoniowa
kość

patrzysz jak pies
w niebo

on już rozdał
wszystko

twoją
i moją śmierć

★★★

był poetą
i pił

boleśnie
z rozpaczą

jak pustynia
deszcz

rozcinał żyty
głęboko

za cicho
spadała krew

rozcinał
więcej żył

★★★

naprzeciw siedzą
mężczyźni
placzą

mężczyzna
jest człowiek
kochanka
dziecko

śnił im się lalki

nad łóżkiem
pochylają się Jokasty
składają pocałunki

jestem siostrą Kaina
na imię mam Abel

★★★

skowronek nad pszenicą
w słońcu

koniec noża

odcinam sobie
ucho

jeszcze jeden
autoportret

★★★

lato nabrzmiało
deszczem

gołębie
tracą mokre pióra
w przelocie

kwitną kartofle
w ciepłej wilgoci

ciężkie żyta
kładą się na polach
jak kobieta

w mieście
śmierdzi piwem
i moczem

★★★

gdy mężczyźni umiera
kobieta
zostaje mu pies

wychodzą na skwer z różami
pies podnosi nogę on myśli
o niej

że teraz ma w ustach ziemię
że nic nie wie o róży
że w pokoju przedmioty
ocierają się o zimne ściany



Rys. Wojtek Łuka



Foto: Stanisław Jakubowski

Hegemon bez przyszłości?

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Platon i Marks: od klasy wytwórczej do robotniczej

Problematyka klasy wytwórczej, historycznej poprzedniczki klasy robotniczej, pojawiła się już w filozofii helleńskiej, w dziełach Platona i jego ucznia Arystotelesa, a zatem w czwartym i trzecim stuleciu przed Chrystusem. Pierwszy z nich, szlachetnie urodzony, spokrewniony z władcami greckich państw-miast, opisał jej rolę w idealnie urządzonym społeczeństwie. Na jego czele stać mieli filozofowie, a do władzy predestynowała ich wrodzona i wyczona mądrość. Nieco niżej w hierarchii ulokował, mistrz antycznej refleksji, wojowników, strzegących ładu ustanowionego w państwie i bezpieczeństwa obywateli. Dopiero po nich, w układzie społecznym, znaleźli się wytwórcy czyli rzemieślnicy tworzący dobra codziennego i odświętnego użytku. Ich dzieło dopełniali chłopci, uprawiający rolę i dostarczający na lokalne rynki wina, oliwki, oliwę i owoce. Poza hierarchią państwa idealnego ulokował Platon niewolników, określanych przezeń jako 'gadające narzędzia'.

Inaczej oceniał rolę wytwórców Arystoteles ze Stagiry, urodzony w rodzinie lekarskiej, lokowanej nisko w społecznym porządku. Do rangi najistotniejszej grupy w państwie wyniósł on bowiem, zgodnie z własną koncepcją złotego środka, klasę średnią. Tworzyć ją mieli ludzie przeciętnej zamożności, ani nie najbogatsi, ani tym bardziej najubożsi, refleksyjni, publicznie odważni, szczodrzy, ale nie rozrzutni. Klasę średnią wspierać mieli wytwórcy, wzmocnieni niewolnikami, których rolę Stagiryta potrafił lepiej od swojego nauczyciela dostrzec.

Zupełnie inaczej postrzegani są wytwórcy w zapisach biblijnych i relacjonowanych wypowiedziach Jezusa. Był on jednym z pierwszych twórców etyki uniwersalnej, traktując wszystkich ludzi jako bliźnich, bez względu na przynależność etniczną, zamożność lub, przeciwnie, ubóstwo. Nie kwestionował hierarchii społecznej, dominacji i podległości, ale deformacje w sprawowaniu urzędów, chciwość czy niegodziwość. Do rangi symbolu urasta postać Józefa-robotnika, opiekuna Maryi, cieśli, dzisiaj patrona tej grupy rzemieślników i stolarzy. W wiekach średnich klasa wytwórcza pojawia się głównie w pismach świętego Tomasza, zakładającego powszechną równość

ludzi wobec Boga i naturalne ich różnicowanie majątkowe, zawodowe i polityczne. Wszyscy, bogaci i biedni, władcy i wytwórcy, osiągnąć mogli łaskę bożą pod warunkiem respektowania zasad i prawideł dekalogowych.

Zasadniczą zmianę w refleksji nad klasą robotniczą przyniosły jednak dzieła Karola Marksa i jego współpracownika Fryderyka Engelsa, ogłaszane sukcesywnie w dziewiętnastym stuleciu. Nigdy przedtem, ani nigdy później, nikt z taką pasją i przekonaniem nie dowartościował tej klasy społecznej. Przyznano jej bowiem w tych pracach rolę grupy niosącej postęp społeczny, przypisano funkcję głównego aktora w przyszłej rewolucji proletariackiej. Miała ona ogarnąć cały świat, znieść nierówności i niesprawiedliwości kapitalizmu, i gdyby użyć metafory, jego okropności. Nowy wspaniały świat, zbudowany na gruzach starego, oparty miał być na powszechnej równości ludzi, ich wspólnocie gospodarowania oraz sprawiedliwym podziale wytworzonych dóbr. W komunizmie cnotą stawała się wspólnota pracownicza, zastępująca z powodzeniem, jak sądził Marks, rodzinę i jej funkcje. Nawiasem mówiąc w całkiem licznych przypadkach literalne odczytanie Manifestu Komunistycznego, sprawiło, że w wielu miejscach rewolucyjnej Rosji próbowano ustanawiać wspólnoty żon, mężów i dzieci. Zakładano przy tym, iż te ostatnie z powodzeniem wychowa i wykształci kolektyw pracowniczy. Paradoks i dyskomfort odczytywania dzieł klasyków marksizmu polega na tym, że sam F. Engels był właścicielem fabryki włókienniczej w Manchesterze. Panujące w niej stosunki nie odbiegały zasadniczo od drapieżnych form ówczesnego kapitalizmu, a wyzysk był równie trudny do zniesienia, jak w każdej innej części uprzemysławianej Anglii. Nie można jednak zlekceważyć znakomitego, w warstwie socjologicznej, dzieła Engelsa zatytułowanego: Położenie klasy robotniczej w Anglii. Ukazuje ono przerażające warunki życia proletariatu, jego nędzę, sytuację zdrowotną i społeczną degrengoladę. Trudno też zbagatelizować przemyslenia obu filozofów dotyczące nieuchronnego formowania, jak to zgodnie określali, arystokracji robotniczej. Tworzyć ją mieli najlepiej wykształceni i przygotowani profesjonalnie robotnicy, stosunkowo dobrze wynagradzani i zdradzający idee rewolucji proletariackiej z egoistycznych powodów i pobudek.

Goethe i Stalin: zróznicowane pasje

Poziom refleksji w pismach klasyków marksizmu nad rolą klasy robotniczej był niedościgny dla wodza rewolucji rosyjskiej - Włodzimierza Ilicza Lenina. Co gorsza, niektóre jego dzieła dotyczące rodzącej się w Imperium tej grupy stanowiły w znacznym stopniu plagiaty opracowań innych autorów. Nie można ponadto oprzeć się wrażeniu, że werbalnie dowartościowana pod każdym względem klasa robotnicza, hegemon socjalizmu, stanowiła w istocie armatnie mięso rewolucji i społeczne tło dla zawodowych polityków, skupionych przez genseków w kolejnych Komitetach Centralnych Partii Bolszewickiej i ich egzekutywach. Podobnie traktował ten najistotniejszy, jak wynika z dzieł Marksa i Engelsa, odłam społeczny Józef Stalin. Z pobudek ideologicznych, dążąc do ziszczenia snu o potęgze rozpoczął on obłąkańczy proces przyspieszonej industrializacji Rosji Radzieckiej, a później Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ogromne grupy robotników wręcznięto w realizację kolejnych symboli uprzemysłowienia, a w katorżniczej pracy wspomagali ich więźniowie GUŁAGU, opisani później przez Aleksandra Solżenicyna. Stalina nie zadowalała już formuła jego poprzednika wyrażana krótko: Socjalizm to Kraj Rad plus Elektryfikacja. Bliższe mu było znane stwierdzenie agitujące do wysiłku na rzecz industrializacji: Dymy z kominów fabryk radzieckich to zdrowy oddech Kraju Rad.

Pierwsze zastępy klasy robotniczej, na ziemiach należących później do Polski, pojawiły się w granicach Górnego Śląska. Dwie daty w tej kreacji uznać można za najważniejsze. Po pierwsze, w 1790 roku w Tarnowskich Górach uruchomiono pierwszą na kontynencie maszynę parową, wykorzystywaną dla celów przemysłowych. Było to wówczas zdarzenie nie zwyczajne, które wizytował sam Johann Wolfgang Goethe. Po wtóre, za symboliczny fakt uznać należy ekspedycję do Berlina pierwszych tysięcy ton węgla wydobytych przez śląskich górników w połowie dziewiętnastego stulecia.

Kwiatkowski i Wałęsa: Gdynia i stoczniowy płot

Gwałtowny rozwój rodzimej klasy robotniczej przypadł na dwudziestolecie międzywojenne.

Na Górnym Śląsku był on o przynajmniej trzy dekady wcześniejszy, a przyspieszenie wynikało z ogromnego zapotrzebowania na regionalny węgiel, produkty pochodne oraz stal ekspediowane do przeżywających szybki rozwój potęg europejskich. Później takie same oczekiwania zgłaszała wobec Górnego Śląska odrodzona II Rzeczpospolita. Odważne projekty inżyniera Eugeniusza Kwiatkowskiego, dotyczące Centralnego Okręgu Przemysłowego i Gdyni, wykreowały nowe skupiska klasy robotniczej w miejscach, w której ona dotychczas nie istniała. Już w okresie międzywojennym dostrzec można wyraźne procesy różnicowania w obrębie samej klasy i powstawanie, zachowując wszelkie proporcje, rodzimej arystokracji robotniczej. Należeli do niej z całą pewnością kolejjarze uprzywilejowani płacowo i prestiżowo. Praca na kolei, codzienny i odświętny uniform, obcowanie z nowoczesną jak na tamte czasy techniką, etos solidności i punktualności budziły społeczny respekt i stanowiły źródło upośledzenia w innych grupach pracowniczych. Całą zaś klasę robotniczą traktowano jako naturalny element struktury społecznej, fundament wytwórczości, oparty jednak na solidnej wiedzy inżynierów, techników oraz ówczesnej kadry zarządzającej.

Radykalna zmiana nastąpiła w okresie upadłej już formacji określanej mianem realnego socjalizmu. Umownie można przyjąć, że przypada ona na lata 1944-1990. Otwiera ją symbolicznie manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a zamyka elekcją Lecha Wałęsy na prezydenta III Rzeczypospolitej. Od samego początku nowego ustroju, w sposób nie pozostawiający wątpliwości, eksponowano kreatywną rolę klasy robotniczej i jej ustrojowy związek z ludem pracującym na polskiej wsi. Był to znacznym stopniu ideologiczny sztafaż, ale w wielu przypadkach za tymi deklaracjami kryły się poważne działania polityczne i gospodarcze. Z definicji uznano bowiem inteligencję, przedwojennej jeszcze daty, za reakcyjną i nie sprzyjającą nowemu ustrojowi. Za symptomatyczny uznać należy akt lokalizacji ogromnego zakładu metalurgicznego, noszącego notabene imię wodza radzieckiej rewolucji, w bezpośredniej bliskości inteligenckiego Krakowa. W ten makiaweliczny sposób usiłowano zrównoważyć, a następnie zniwelować oddziaływanie elementów obcych klasowo nowemu ustrojowi.

Stalin i Gomułka: siermiężność i sny o potędze

Szczególna rola w odbudowie i rozbudowie Polski przypadła Górnemu Śląskowi i jego robotnikom. W kolejne plany rozwoju kraju wpisano założenia o nieodzowności zintensyfikowania wydobycia węgla, produkcji stali, artykułów pochodnych i maszyn. Zwielokrotnionym zadaniom nie mogła jednak podolać liczebnie nie wystarczająca regionalna klasa robotnicza. Z myślą o radykalnej jej rozbudowie przygotowano w początkach lat pięćdziesiątych plan deglomeracji Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Skomplikowany ten termin kryje prostą, jak zwykle w takich przypadkach, treść. Okazało się bowiem, że pod centralną, częściowo już zabudowaną, częścią regionu znajdują się pokaźne zasoby węgla, trudne z uwagi na obecność budynków do eksploatacji. Założono zatem, że problem rozwiąże budowa czterech miast satelitarnych odcinających rdzeń Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego: Tychów, Pyskowic, Gołonoga i nowych kwartałów usytuowanych w pobliżu Radzionkowa. W nowych ośrodkach miejskich znaleźć mieli swoje miejsce na ziemi robotnicy Górnego Śląska oraz pracownicy sprowadzani spoza jego granic i zasilający kadry rozbudowywanych kopalni, zakładów hutniczych, chemicznych czy koksowniczych. Zapowiedzią procesów deglomeracyjnych była budowa pierwszego osiedla robotniczego w powstających Nowych Tychach. Oznaczono je symbolem "A", od imienia Anna, a zadania projektowe powierzono w 1950 roku profesorowi Politechniki Śląskiej - Tadeuszowi Teodorowiczowi-Teodorowskiemu, zmarłemu w 2001 roku. Nić sympatyczna jaka łączyła mnie z profesorem sprawiła, że wielokrotnie w rozmowach wracał mi do wznieścionego przezeń osiedla górniczego, ciekawego urbanistycznie i architektonicznie, choć nie wolnego od trybutów składanych nowemu ustrojowi. Pamiętam z jakim przejęciem profesor mówił o nowych mieszkaniach, najczęściej niewykwalifikowanych robotnikach kopalni, którzy w socjalistycznych Tychach znajdowali warunki o jakich mogli tylko pomarzyć w starym miejscu pracy. Powstawanie miast i osiedli skomplikowało strukturę etniczną regionu; dotychczas dwudzielny, stawał się on coraz bardziej wielowymiarowy, a oprócz hantysów i goroli, pojawiali się kresowiaci, medalikorze z nieodległej Częstochowy, krojczaki,

przyżenieni, bastardi, a później werbusy i wulchausoki z hoteli robotniczych.

Nowe Tychy i inne miasta satelitarne nie były jedynymi ośrodkami wznoszonymi na potrzeby górnośląskiego przemysłu i rosnących zastępów regionalnej klasy robotniczej. Powstanie stutysięcznego Jastrzębia, w pobliżu złóż węgla kamiennego zalegającego w Rybnickim Okręgu Węglowym, wzniesienie dziesiątek osiedli w bezpośredniej bliskości budowanych zakładów pracy to dowody forsownej industrializacji, wzmacniającej kadry wieloprzemysłowej klasy robotniczej. Już w latach sześćdziesiątych ugruntowała się szczególna postawa funkcjonariuszy aparatu partyjnego, zarówno szczebla regionalnego, jak i lokalnego. O sile przetargowej socjalistycznego aparatu, miejscu w układzie władzy i jej konfiguracji, decydowała w znacznym stopniu, obecność na jego terenie dużych, socjalistycznych zakładów pracy i licznych zastępów robotniczych. Rozpoczynał się, doprowadzony do absurdalnych rozmiarów w latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych, partyjny wyścig do inwestycji. Często ich lokalizacja w eksploatowanym ponad miarę regionie była błędem gospodarczym, ale nie politycznym. Rachunek rzeczywistych kosztów gospodarczych i społecznych nie istniał, a ekonomia opierała się w znacznym stopniu na regulach księgowych.

Krytyczna ocena polityki industrializacji i rozbudowy klasy robotniczej nie upoważnia jednak do całkowitego dezawuowania wysiłków gospodarczych z okresu realnego socjalizmu. Nie można bowiem zapominać, że śląski węgiel, stal, koks, wyroby chemiczne, metale kolorowe pozwalały na rozwój gospodarczy kraju i mozolne dźwiganie go z powojennych ruin. Wprawdzie cały kraj odbudowywał po wojnie Warszawę, ale Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie miały w tej sanacji zasługi szczególne, tak jak i w całej gospodarce rodzimej.

Pstrowski i Bugdołowie: powrót do przeszłości

Od samego początku wymagania kwalifikacyjne w stosunku do śląskich i zagłębiowskich robotników były symboliczne i charakterystyczne zarazem dla nowego ustroju. Dysponować oni winni w pierwszej kolejności zdolnościami i talentami manualnymi, siłą rąk i pracowitością. A zatem cenione

były rozwinięte bicepsy, a nie cenzury szkolne i certyfikaty zawodowe. Był to bowiem czas ustrojowych awansów społecznych, w wyniku których przodujący rębacz pełnił mógł wysokie stanowisko dyrektorskie, pod warunkiem, że posiadał rekomendację partyjną. Nawiasem mówiąc, w tym samym czasie powstało słynne i zapamiętane do dzisiaj zdanie: nie matura lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera, Ludowego Wojska Polskiego, oczywiście. Wtedy też propagandowe triumfy święcili przodownicy pracy socjalistycznej, bijący wszelkie rekordy w przekraczaniu ustanowionych norm zawodowych, zwłaszcza w wydobywaniu węgla czy w liczbie ułożonych cegieł. Na karty historii trafili wówczas Wincenty Pstrowski i bracia Bugdołowie, trwałe ikony socjalistycznej industrializacji i współzawodnictwa pracy.

Bez względu na ocenę pierwszych lat i dekad powojennego uprzemysłowienia, nie można pomijać zjawisk społecznych towarzyszących temu procesowi. Wyrażnemu ugruntowywaniu, w pewnych przynajmniej grupach społecznych, ulegały bowiem związki emocjonalne pracowników z kopalnią, hutą czy fabryką. Dawały one nie tylko pewne, choć początkowo słabo opłacane, zatrudnienie kolejnym generacjom, ale także organizowały życie kulturalne pracowników. Zakłady pracy stawały się centrami ustalonych wartości przemysłowych, dopełniając w wielu przypadkach lokalne kościoły, parafie, tam gdzie władze pozwoliły na ich wzniesienie. Przez długie lata utrudniano na przykład budowę obiektów sakralnych w Tychach, albowiem nie było

to zgodne z etykietą wzorcowego miasta socjalistycznego.

Zjawiska utrwalania indywidualnych i zbiorowych związków z kopalnią czy hutą nie były oczywiście rezultatem socjalistycznej polityki industrializacyjnej. Notowano je w bardzo wielu osadach i miastach przemysłowych w okresie międzywojennym. W czasie socjalizmu rodzinne i środowiskowe związki ulegały ugruntowaniu, głównie w grupach pnioków, osiadłych na Śląsku od pokoleń oraz krzaków, zapuszczających powoli korzenie w nowej ojczyźnie prywatnej. Gorzej było z ptokami, wiecznymi nomadami, przemieszczającymi się z jednej budowy socjalistycznej do innej. Zamieszkiwali oni zazwyczaj słynne osiedla barakowe, zamieniane później na hotele robotnicze, tworzące często wyraźnie wyodrębnione kwartały w przestrzeni śląskich i zagłębiowskich miast.

Gierek i Jaruzelski: Fiat i inspekcje robotniczo-chłopskie

Całkowicie nowy etap w rozwoju wielkoprzemysłowej klasy robotniczej zrodził okres Edwarda Gierka, czas wielkiego snu o potęgę, politycznej katharsis po sierpniowym socjalizmie Władysława Gomułki. Symbolicznym zdarzeniem z tego okresu była umowa licencyjna z włoskim Fiatem, w wyniku której na przedpolach Bielska-Białej i Tychów ulokowały się hale fabryczne i budynki biurowe. Na ulicach pojawiły się małe fiaty, samochody dla każdej rodziny, jak głosiło to wówczas propagandowe hasła. Polska stać się miała dziesiątą potęgą gospodarczą świata, a świadectwami jej awansu miały

być tony wydobytego węgla, wytopionej stali, wyprodukowanego cementu czy wyprofilowanych szyn kolejowych. Na nic zdawały się nieśmiałe głosy, pochodzące z głównie z małych środowisk opozycyjnych, że nowoczesność przestała być mierzona tonażem takich towarów, że największe zagłębia górnicze w Niemczech, Anglii czy Francji podlegały szybkim, choć bolesnym, procesom restrukturyzacji. Lekceważono również doniesienia o fundamentalnej roli sektora usług wypierającego w tych krajach skutecznie tradycyjne przemysły, o dowartościowaniu pracy umysłowej, a nie fizycznej, o cywilizacyjnej misji intelektualistów, inżynierów i managerów, a nie - robotników. Wręcz przeciwnie - uznawano to za przejawy naturalnych różnicowań dwóch systemów: kapitalistycznego i real-socjalistycznego.

Polityka forsownej industrializacji, ogłoszona w latach siedemdziesiątych, oparta na próbie zrodzenia nowych form solidaryzmu społecznego, ze słynnym zawołaniem: pomożecie, wpływała bezpośrednio na kształt, charakter i liczebność regionalnej klasy robotniczej. Wznoszeniu i rozbudowie nowych kopalń, lokalizacji nowych hut, zakładów chemicznych czy koksowniczych towarzyszyła natrętna propaganda sławiąca trud fizyczny i cywilizacyjną misję socjalistycznych robotników. Ponieważ mieszkańcy Górnego Śląska i Zagłębia nie byli w stanie obsadzić nowych stanowisk pracowników, w odległe zakątki Polski z misją werbowniczą ruszyli wysłańcy kopalni. Docierali do wiosek i miasteczek Kielecczyzny czy osad podlaskich, zachęcając młodych ludzi do wyprawy na Śląsk, kusząc

Foto: Jarosław A. Krawczyk



wysokimi zarobkami, nowymi mieszkaniami czy pokojami w hotelach robotniczych. Wymagania kwalifikacyjne formułowane pod adresem przyszłych górników przez apostołów socjalistycznego uprzedmiotowienia były skromne. Wystarczyło w przyszłości ukończenie przykopalnianej szkoły zawodowej lub dołączenie na specjalnych kursach szkoły podstawowej. Śląskie Eldorado zaczynało funkcjonować również w głowach rodziców, mających nie tylko nadzieję na dobre zarobki ich synów, ale również rzeczywiste wsparcie finansowe z ich strony.

Tym razem bez nazwisk: werbusy i umowy społeczne

Na werbusów, jak ich nazywano, czekały rzeczywiście miejsca pracy w kopalniach i zakładach przemysłowych, dobre, wręcz nieprzystojnie wysokie, zarobki oraz mieszkania we wznoszonych naprędce blokowiskach. Uczeń zasadniczej szkoły górniczej otrzymywał stypendium wyższe niż płaca uniwersyteckiego asystenta, a świeżo przybyły na Śląsk młodszy górnik zarabiał lepiej od adiunkta, z naukowym stopniem doktora. Powoli tworzone podstawy pod nieznaną w regionie i kraju uprzywilejowaną tej grupy zawodowej. Powstawały specjalne ośrodki wczasowe dla górników, hutników, metalowców i chemików, wygospodarowano specjalną pulę talonów na samochody, głównie małe i duże Fiaty, stanowiące nieosiągalny przedmiot pożądania dla innych kategorii zawodowych, przygotowywano tanie wycieczki do NRD i innych krajów obozu socjalistycznego, jak go słusznie niegdyś nazywano. W katowickim spodku organizowano spotkania afirmatywne dla partii i jej przodującej siły - klasy robotniczej, a młodzianków z Uniwersytetu wożono do kopalni i hut, aby nabrali pokory i szacunku wobec pracy fizycznej i wiodącej roli robotników. W Teatrze Wyspiańskiego, w stolicy województwa katowickiego, dekorowano specjalnym medalem mamy, które wychowały trzech synów górników, choć nigdy na takie uhonorowanie liczyć nie mogły rodzicielki trzech wynalazców, inżynierów czy pracowników naukowych. Zatracono wszelkie proporcje w gloryfikacji ciężkiej, często niepotrzebnej, pracy fizycznej, wyniszczającej organicznie i psychicznie, choć ideologicznie słusznej.

Mimo klasowego uprzywilejowania, niezłego jak na polskie standardy, poziomu życia, polscy i śląscy robotnicy, a nie intelektualści, organizowali ruchy solidarnościowe

w kraju i regionie. I choć w województwie katowickim były one spóźnione w stosunku do robotniczych rebelii z Wybrzeża, to przyczyniły się niewątpliwie do powodzenia obywatelskiego buntu, kolejnego wielkiego zrywu w powojennej historii państwa, zamkniętego porozumieniami gdańskimi, szczecińskimi i jastrzębskimi. Sami opozycyjni intelektualiści i polityczni kontestatorzy realnego socjalizmu mieli świadomość, że bez współpracy z robotnikami poważna zmiana oblicza ustrojowego państwa nie będzie możliwa. Ten typ myślenia wpisany był wyraźnie w funkcjonowanie utworzonego po wypadkach radomskich z 1976 roku Komitetu Obrony Robotników. Opozycję pociągała nie tylko potęga społeczna klasy robotniczej, ale także bezkompromisowość i dobra intuicja polityczna wielu jej przywódców.

Realizację przyjętych wówczas i sygnowanych przez stronę solidarnościową oraz rządową umów, przerwał stan wojenny, poprzedzony ponownym i symbolicznym dowartościowaniem robotników i chłopów tworzących słynne irchy, inspekcje robotniczo-chłopskie, śledzące malwersacje w sklepach mięsnych, obuwniczych i spożywczych, z pasją tropiące przejawy niegospodarności w zakładach przemysłowych. W ten oto instrumentalny sposób ujawniano wrogą działalność ustrojują i demaskowano głównych jej autorów. Powtarzano zatem zgrane już szablony, ćwiczone we wspomnianym Spodku, podczas specjalnych konwentykli, piętnujących wrogów socjalizmu i warchołów radomskich z 1976 roku. Pamiętam, taki meeting, ogniskujący gniew robotniczy, wspierany przez starannie wyselekcjonowanych studentów i pracowników naukowych śląskich uczelni.

Socjalistyczny Hermes

Stan wojenny przywołał ponownie na pierwsze strony gazet klasę robotniczą, potraktowaną tym razem jako społecznego gwaranta procesów w społecznej stabilizacji - gdyby użyć ówczesnej terminologii. W każdym wydaniu prasy informowano o wielkości fedrowanego węgla i głosach robotniczego sprzeciwu wobec burzycieli ustalonego porządku socjalistycznego. W regionalnej telewizji pokazywano patrole wojskowe zasilane przez inspekcje robotnicze i wzmacniane czasem głosem poparcia płynącego z kręgów regionalnych intelektualistów. A mimo to śląskie środowisko

akademickie, zwłaszcza uniwersyteckie, poddane zostało nieznany w innych częściach kraju restrykcjom i retorsjom. Niektórzy z naszych kolegów opuścili uczelnie i przez lata pracowali, jak na ironię, w zawodach robotniczych, pełniąc funkcję spawaczy, palaczy i robotników sezonowych. Uprzywilejowanie klasy robotniczej w stanie wojennym przejawiało się także w przydziałach reglamentacyjnych, a górnicze kartki gwarantowały rozszerzony zakup artykułów mięsnych i innych artykułów pierwszej potrzeby. Już wkrótce pojawiły się 'górnice złotówki' i specjalne sklepy, zapamiętane do dzisiaj i osławione 'gewexy', w których można było je wydawać. Patrzyłem ze zdumieniem na półki pełne towarów w takim magazynie, ulokowanym przy tyskiej alei Bielskiej, w którym pyszniły się rzędy równo ułożonych pieluch, nieobecnych w żadnym innym przybytku Hermesa. Placiłmsy wtedy cztery złote za jedną złotówkę górnica i przekraczaliśmy zażenowani progi świata towarowej obfitości.

Etosowi i koniunkturalni

Nieusprawiedliwione uprzywilejowanie robotników, wytłumaczalne ustrojowo i sytuacyjnie, nie może przesłonić kilku prawd oczywistych. Po pierwsze, wielu z nich z przekonaniem i oddaniem, lekceważąc prywatne korzyści finansowe, pracowało na rzecz własnej firmy, kopalni, huty czy elektrowni. Wciąż przed oczyma mam sztygara jednej ze śląskich kopalni, który przez trzydzieści prawie lat, przekonany, że kraj i region potrzebują węgla, fedrował go z pasją niemal codziennie, pozostając przez lata w stanie bezżennym. Dzisiaj, po ślubie z wdową po górniczym koledze, wspomina z nostalgią czasy, gdy był potrzebny grubie dobrodziejce i zatrudnionym w niej pracownikom. Ma też głęboki żal, że w czasach upadłej już formacji starych sztygarów zapraszano na spotkania barbórkowe, a dzisiaj świat o nich zapomni. Po drugie, węgiel, stal, koks, szyny i produkty chemiczne były rzeczywiście potrzebne, gwarantując socjalistyczne uprzemysłowienie regionu i kraju. Po trzecie wreszcie, węgiel był jednym z nielicznych towarów, o ustalonej na poziomie rządowym cenie, umożliwiający prowadzenie pierwszych reform Leszka Balcercowicza.

Reformy te, to jednocześnie początek końca mitologii klasy robotniczej i powolne przywracanie naturalnego jej położenia w strukturze społecz-

nej. Grupa, która była głównym aktorem zmian ustrojowych stała się ofiarą tego procesu. Niemal zawsze rewolucje ustrojowe pożerają własne dzieci, i tak stało się zapewne w przypadku rodzimej i regionalnej klasy robotniczej. W dekadzie lat dziewięćdziesiątych przywracano bowiem powoli, choć konsekwentnie, pozycję i rolę wykształcenia, zwłaszcza na poziomie wyższym. Pracowników z certyfikatami uniwersyteckimi i politechnicznymi coraz lepiej nagradzano, a widowiskowy przełom nastąpił w 1997 roku. Z doniesień Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie wynikało bowiem niezbicie, że przeciętny magister zarabiał wówczas 144% średniej krajowej, a absolwent zasadniczej szkoły górniczej już tylko 90%. Wprawdzie średnie zarobki pracowników z wyższym wykształceniem windowali znakomicie uposażani prezesi, dyrektorzy spółek, menedżerowie w bankach czy reprezentanci wolnych zawodów, ale wszystko wskazywało na mozolny powrót do społecznej normalności. Tę bowiem cechuje ścisły związek płacy i wykształcenia czy szerzej: kwalifikacji.

Bohaterowie są zmęczeni: zmiany na piedestale

Coraz częściej okazywało się, że produkty rąk, towary tworzone przez wielkoprzemysłową klasę robotniczą są tanie na światowych rynkach, podczas gdy towary głów, wymagające skomplikowanych technologii, myśli ludzkiej i wiedzy są dużo droższe. Coraz częściej na przykopalnianych zwalach zalegał niesprzedany węgiel, określany jeszcze do niedawna jako czarne złoto. Wydobywających go górników, traktowanych w nieodległej przeszłości jako tragarzy misji cywilizacyjnej, obwiniano teraz o rabunkową eksploatację złóż, niosącą poważne szkody na powierzchni. Kopalnie, huty i inne zakłady przemysłowe, przez całe lata pełniące rolę ciepłych przystani dla klubów sportowych, orkiestr dętych, kół zainteresowań, przestawały łożyć na działalność pozaprodukcyjną. Wcześniej zamknięto sklepy górnicze, zlikwidowano talony na samochody, a branżowe domy wczasowe rozpoczęły trudną działalność komercyjną. Niedysiejsi bohaterowie socjalistycznego współzawodnictwa pracy, górnicy, hutnicy, metalowcy, chemicy, przestali być postrzegani w takiej roli. Nikt już nie nagradzał matek, które wychowały trzech synów robotników, nawet najbardziej wydajnych. W krótkim czasie, zgodnie ze znaną regułą wahadła, ich rola uległa bowiem całkowitej zmianie, a oni sami stawali się coraz częściej ludźmi zbędnymi w tradycyjnych sektorach gospodarki. Jednocześnie nikt

nie tłumaczył tym wielkim, i zdeorientowanym, grupom społecznym dlaczego tak się dzieje, jakie czekają ich losy, jak groźne będzie w bezrobocie i jego następstwach. Nic zatem dziwnego, że w wielu miejscach i głowach pojawiały się podejrzenia o organizację spisków międzynarodowych, zmierzających do eliminacji polskich towarów z rynków światowych. Wiodącą rolę w przygotowaniu tych skądemnatych przypisywano Bankowi Światowemu i Międzynarodowemu Funduszowi Monetarnemu. Nie podejmując dyskusji z takimi domniemaniami, należy podkreślić, że tego typu spiski, jeśli istnieją, mają charakter głęboko konfidenjonalny i niezwykle trudno ujawnić głównych ich aktorów i kierujące nimi motywacje.

Z każdym rokiem transformacyjnym stawało się jasne, że proces restrukturyzacji polskiej i regionalnej gospodarki dokonuje się, w znacznym stopniu, poprzez upadek kolejnych zakładów pracy. Warto na marginesie może podkreślić, że upadek kopalni, hut i zakładów wpisanych w życie lokalnej społeczności, to nie tylko likwidacja miejsc pracy, zagrożenia egzystencjalne dla rodzin pracowników, ale także ruina pewnego stylu życia, niepowtarzalnej kultury przemysłowej czy społecznej wspólnotowości. Lekceważenie kulturowych kontekstów funkcjonowania zakładu przemysłowego, to jeden z ważniejszych błędów rodzimych reformatorów. Pustki po grubie, hucie czy koksowni nic nie zapełnia, a - jak wiadomo - świat społeczny nie znosi tego rodzaju próżni. Wcześniej czy później pojawiają się symptomy głębokiej frustracji, agresji i poczucia beznadziei. Nuda - mawiał mistrz francuskiej poezji, Charles Baudelaire, to smętny owoc braku ciekawości. Tę ważną prawdę warto przypominać, zwłaszcza w warunkach śląskich. W wyniku reformy górnictwa i wielkiego powodzenia jednorazowych odpraw bezwarunkowych i urlopów górniczych, pojawiła się całkiem pokaźna grupa czterdziestolatków oczekujących na nabycie pełnych praw emerytalnych. Bezczynność i brak społecznego przydziału są frustrujące i sprzyjają degradacji psychicznej, ugruntowują poczucie małej wartości i - per saldo - przyspieszają degrengoladę.

Radykalne zmianie oblicza regionalnej gospodarki, likwidacji zakładów przemysłowych i całych branż, towarzyszy szczególna postawa społeczna notowana w kolejnych badaniach przygotowanych przez renomowane pracownie socjologiczne, takie jak OBOP czy CBOS. Otóż, jeszcze w 1997 roku, ponad połowa

Polaków sądziła, że Śląsk wciąż pozostaje sercem przemysłowym kraju, węgiel głównym jego bogactwem, a górnicy to ludzie ciężkiej, wymagającej szacunku, pracy. Ten typ deklaracji i przekonań formułowany był w charakterystycznych okolicznościach. Publicznie wyrażanej estymie dla zawodu górnika towarzyszyła względna jego degradacja ekonomiczna, dotkliwie odczuwana w tej grupie profesjonalnej. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych średnia płaca w branży wynosiła ponad dwukrotnie więcej aniżeli średnia krajowa. W 2002 roku relacja ta uległa zasadniczej zmianie; statystyczny górnik zarabia około 50% więcej od średniej. Zmiana w uposażeniach zrodziła liczne i poważne konsekwencje społeczne. Już ponad połowa górniczych żon pracuje zawodowo, a zatem jest ich dwukrotnie więcej aniżeli na samym początku pierwszej dekady transformacyjnej. Jest to rezultat nie tylko wzrastających ambicji zawodowych, pragnienia samorealizacji, ale również wynik ubożenia górniczych, i szerszej: robotniczych, rodzin.

Epitafium dla umarłej klasy

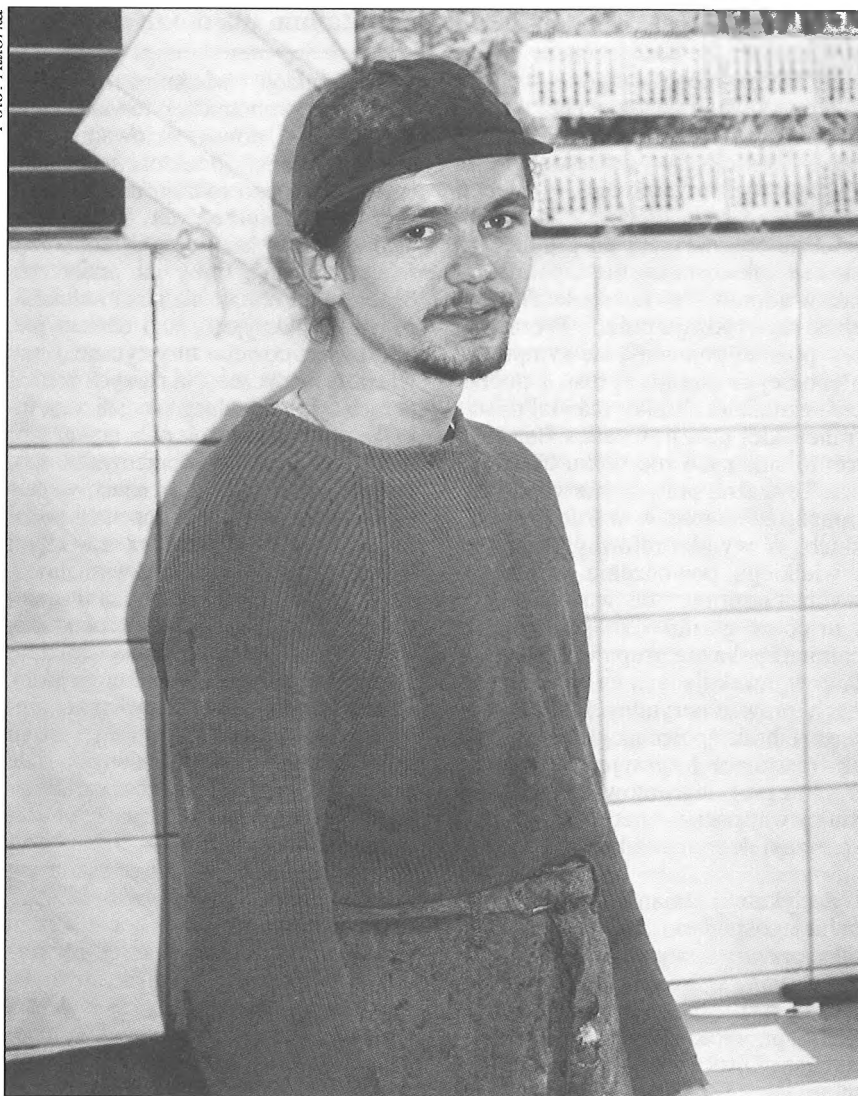
Degradacji wielkoprzemysłowej klasy robotniczej towarzyszyło jednocześnie dowartościowanie pracowników trzeciego sektora gospodarki czyli dwojakiego rodzaju usług: tradycyjnych i nowoczesnych. Tych ostatnich, dobrze wykształconych, coraz częściej zatrudniają firmy informatyczne, banki, biura obrotu nieruchomościami, instytucje oferujące usługi edukacyjne, ubezpieczeniowe, turystyczne czy wreszcie medyczne. Na naszych niemal oczach symbol realnego socjalizmu, fabryka, ustępuje powoli pola nowej ikonie społeczeństwa poprzemysłowego. Jest nią szkoła wyższa, jej naukowy personel i studenteria. W kooperacji pozostają instytucje związane z nowszymi technologiami i światem wirtualnym. Minie jednak sporo jeszcze czasu zanim rodzima i regionalna klasa robotnicza stanowić będzie marginalną strukturę społeczną. W krajach Unii Europejskiej, Stanach Zjednoczonych czy Japonii grupa ta stanowi około 15-20% i jej udział wśród wszystkich zatrudnionych stale maleje. Rośnie za to liczba zatrudnionych w usługach i w krajach unijnej piętnastki stanowią oni już 75% wszystkich pracujących. W Polsce natomiast robotnicy nadal tworzą blisko 40% rodzimych pracowników, choć i w tym przypadku spadek liczebności jest nieuchronny. Ważne jest jednak, aby należycie, bez uprzedzeń, ale i ideologicznej egzaltacji, ocenić historyczną rolę umierającej powoli klasy i jej rzeczywisty wkład w rozwój kraju czy regionu.

Czy ja wiem gdzie znajdę pracę?

KATARZYNA
SADURA

Tylko starzy mieszkańcy pamiętają tę nazwę szopienickich rogatek: Utymana (spolszczone, od starej, niemieckiej nazwy huty). Po rozwalającym się torowisku z jazgotem jedzie tramwaj 14. Mija pojedyncze familoki. Stare chałupki nad brzegiem Hubertusa, niecki pokopalnianej zalanej wodą, w której wprawdzie nie wolno się kąpać, ale...wolno łowić ryby. Kiedyś w tych okolicach stawały cygańskie tabory. Za domami chlewiki. Składowiska wszelkiego „dobra”, zwłaszcza węgla.

Foto: Autorka



Jeszcze kilkanaście lat temu mieszkańcy tych domów nie mieli łazienek, a za potrzebą biegali do „wygódki” na podwórku. Gdyby nie biegnące tu i ówdzie anteny satelitarne miałoby się wrażenie, że czas zatrzymał się tu sto lat temu. Tramwaj telepie się dalej, mija gomulkowskie, czteropiętrowe bloki, centrum, kościół, stare jeszcze przedwojenne budynki mieszkalne, supermarket spożywczy, kilka małych sklepików, szkoła, dom kultury. Szpital - jak na ironię - geriatryczny. Kiedyś w centrum było kino. Splajtowało. Była knajpa-mordownia, w której zbierał się „kwiat” męskiego społeczeństwa, ale spłonęła. Standard nowej jest dla nich zbyt wysoki. Piwo za 5 złotych to wedle prostego rachunku półtorej „jabłoka”. Komu by się opłacało, a poza tym, za wysokie progi...

- Kiedyś w Szopienicach żyło się biednie ale godnie - wspomina były proboszcz J. Klemens. - Życie domowe toczyło się w kuchni, nad starymi kafłokami suszyły się pieluchy. Dzieci rosły, a matki czekały, żeby tylko jak najszybciej znalazły pracę. Na kopalni, albo w hucie. Co tam wykształcenie, to, nie liczyło się zbytnio. Trzeba było zarabiać. Liczył się każdy grosz. Ważne było przywiązanie do dzielnicy. Starzy mieszkańcy kochają Szopienice. To dla nich pępek świata. Nikt tu nigdy nie mówił do dzieci: ucz się i uciekaj stąd, bo tu nie ma dla ciebie szans, bo tu ołowica, brud i żadnych perspektyw... Nie mieściło się w głowach, że można wyjechać mieszkać gdzie indziej. Potem przyszła nowa władza i przydzielała mieszkania - w Sosnowcu, Jaworznie, Dąbrowie Górniczej, czasem w Katowicach. Huta prosperowała, rozwijała się, stawiano tzw. bloki rotacyjne czyli hotele robotnicze, w których mieszkali rodziny. To był śmieszny widok - hotelowy korytarz, a przy każdych drzwiach drzewek. Teraz to już wspomnienie. Dziś Szopienice to dzielnica

Wiem, jak trudno znaleźć pracę - mówi Andrzej Filipowski.



Foto: Autorka

To nie Huta Metali Nieżelaznych znajduje się w Szopienicach - tylko Szopienice „leżą” w hucie.

ca emerytów, biednych, a ostatnio bezrobotnych. To stare budynki o niewysokim standardzie i w zasadzie żadnych atrakcji.

Jedni jeszcze walczą, inni odchodzą

Wilhelmina. Tu, gdzie kiedyś były zakładowe, hutnicze, ogródki działkowe, na których - ze względu na stężenie ołowiu w ziemi - nie wolno było sadzić nic prócz kwiatów (i z którego to nakazu niewiele sobie robiono) stoi hipermarket. Po przeciwnej stronie ulicy kilkupiętrowy biurowiec, przed wejściem maszty z burożółtymi flagami i firmowym logo: Huta Metali Nieżelaznych „Szopienice” S.A. Obok pomarańczowo-czarne flagi hutnicze i białe, dobrze znane, z napisem „Solidarność” - zdają się z góry informować, że coś jest nie tak. Trwa akcja protestacyjna. „Wypełniając obowiązek o bieżącym informowaniu załóg pracowniczych informujemy, że zgodnie z poleceniem służbowym 2/2002 prezesa zarządu dyrektora naczelnego HMN Szopienice SA rozpoczęto opracowywanie planu zatrzymania produkcji Wydziału Cynku.” Informator związkowy na tablicy ogłoszeń. Obok wyniki referendum; pytanie: czy jesteś za straj-

kiem w obronie miejsc pracy? Głosowała ponad połowa pracowników, wśród nich więcej niż 70 proc. odpowiedziało: tak, jestem za...

Emocje już opadły. Protest trwa od stycznia. Podobno związkowcy zrozumieli, że decyzja jest nieodwołalna i teraz tylko walczą o jak najkorzystniejsze warunki odpraw. Pracę straci ok. 500 osób. Tak naprawdę to cios w 500 rodzin.

W latach świetności, czyli prawie 25 lat temu, w hucie pracowało 5 tys. osób. W ubiegłym roku - nieco ponad 2 tys., teraz 1270, w przyszłym roku - zgodnie z planami restrukturyzacji firmy - 700.

Gdyby tak dobrze przyjrzeć się mapie, to łatwo można dojść do wniosku, że to nie Huta Metali Nieżelaznych znajduje się w Szopienicach, tylko Szopienice „leżą” w hucie. Bowiem zakłady wchodzące w jej skład niemal ze wszystkich stron - od Dąbrówki po Janów - otaczają enklawę zwaną coraz częściej dzielnicą emerytów i bezrobotnych. Trudno też sobie wyobrazić Szopienice bez huty.

A jednak. Jedni jeszcze walczą, inni odchodzą sami jak Tomasz N., zastępca kierownika likwidowanego Wydziału Cynku. Z żalem, bo w hucie pracował wcześniej jego ojciec i dziadek. Teraz będzie pracował w Częstochowie.

Stare zabudowania Wydziału Cynku pamiętają lata 20 ubiegłego stulecia. Beton, żelazne schodki, żrący smród, żółtawe kałuże. Tu i ówdzie - jak na zwolnionych obrotach - pracownicy. Likwidacja już się zaczęła. - *Ja tu już właściwie nie pracuję, to znaczy robię to co kiedyś na wydziale, ale teraz w ramach spółki* - mówi 49-letni Henryk A. - *Po 33 latach pracy kazano mi przejść, było mi przykro, ale pogodziłem się z tym. Teraz wiem, że pracuję do 15 maja. Mam rodzinę, żona na rencie, syn bezrobotny, a ja nie widzę dla siebie przyszłości. Na emeryturę pomostową miałbym szansę w 2008. Nie myślę o tym, co będzie. Uważam, że zarząd powinien wziąć pod uwagę głosy strajkujących pracowników. Jeśli „cynk” padnie, to walcownia za jakiś czas też może...*

- *Czy ja wiem, gdzie znajdę pracę* - zastanawia się głośno jego kolega Stanisław Motyl - *ma 40 lat, żonę i dziecko. - Żona pracuje ale i tak jest ciężko. Porobiłem tu różne kursy, ale nie wiem czy mi się do czegokolwiek przydadzą.*

Obaj mieszkają w Szopienicach. Nie chcą myśleć o przyszłości: tu to chyba będzie taki nasz „dziki zachód”. Huta była żywicielką dzielnicy. Ludzie w Szopienicach są coraz biedniejsi, jak tak dalej pójdzie to będzie dzielnica socjalna...

Andrzej Filipowicz pracuje na Wydziale Cynku półtora roku. W referendum głosował za strajkiem w obronie miejsc pracy. Ma 25 lat, studiuje metalurgię. - *Uważam, że powinniśmy walczyć o nasze miejsce pracy, zanim zacząłem tu pracować przez 9 miesięcy byłem na zasiłku, wiem jak trudno jest znaleźć jakąś pracę. Studiuję kierunek związany z tym co robię, wydało mi się, że to ma sens, dlatego denerwują mnie ci, którzy mówią, że jestem młody i mogę się przekwalifikować...*

Andrzej G., lat 40, pracuje 12 lat w hucie, wprowadzie nie na likwidowanym wydziale a w administracji. Na razie wie, że ma szansę pracować do końca roku. Co potem? Nie ma pojęcia.

Kiedyś wiejska osada, notowana już za Kazimierza Wielkiego, w pierwszej połowie XIX wieku zmieniła się w ośrodek przemysłowy. Oczywiście za sprawą hutnictwa, z którym związała się tak mocno, że dziś restrukturyzacja huty i zwolnienia z tym związane, oceniane są przez mieszkańców Szopienic jako powolna agonia dzielnicy. Niedługo samodzielne miasteczko.

Wszystko się tu kręciło wokół huty

Szopienice zawsze żyły z huty i tym co się na hucie działo. Już końcem XIX wieku, równoległe z budową nowych hut i kopalń dominująca na tym terenie Spółka Giesche budowała osiedla dla pracowników (m.in. przy hucie „Wilhelmina“, w Burowcu). Kilka lat później powstały „osiedla“ Giszowiec i Nikiszowiec. W 1939 roku nadano Szopienicom prawa miejskie. Miały obowiązywać od 1940 roku. Jednak miastem Szopienice zostały dopiero grubo po wojnie bo w 1951 roku, potem stały się powiatem, a 9 lat później... dzielnicą Katowic...

- *Pamiętam Szopienice jako miasto - wspomina Franciszek Kurdziej, przedstawiciel trzeciego pokolenia pracowników huty, mieszkaniec Szopienic - Wszystko się tu „kręciło“ wokół huty - z oświetleniem ulicznym i odsnieżaniem ulic włącznie. W latach 1960-70 wybudowano walcownię bruzdową i walcownię taśm czyli zakład przetwórstwa miedzi. Od tego momentu rozpoczął się okres rozwoju huty. Chciałbym wrócić do tamtych czasów, choćby już... Pracowali tu wspaniali ludzie tworzący jedną, dużą rodzinę, pracownik przychodził do pracy, w niedługim czasie dostawał mieszkanie... Zarobki były może niższe niż w górnictwie, ale nie było źle, spokojnie można było utrzymać rodzinę,*

dało się samochód kupić. Ten kto chciał uczciwie pracować i pracował to miał się dobrze. Zawsze z przyjemnością będę te lata wspominać. Dzieci jeździły na kolonie, zimowiska, były wczasy w zakładowych ośrodkach... Były sekcje sportowe - bokserska, siatkówki, podnoszenia ciężarów, piłki nożnej. Powstał dom kultury na Hallera, teraz przekazany miastu. Życie Szopienic zawsze obracało się wokół huty, tu pracują trzecie, czwarte pokolenia... Tu się przychodziło z zasady, syn po ojcu, jak w rzemiośle, technikum kształciło dla potrzeb Huty. Likwidacja zakładu to dla mnie tragedia - nie wiem, czy dotrwałbym do emerytury - taki rocznik - bez przywilejów mam jeszcze 6 lat pracy, albo zasiłek pomostowy, który nie wystarczy na czynsz. Likwidacja to dramat.

Nigdy jeszcze w historii Szopienic sytuacja gospodarcza nie miała takiego wpływu na to co dzieje się w dzielnicy. Mieszkańcy, w dużej mierze ludzie już nie najmłodszy, obawiają się przede wszystkim wzrostu fali przestępstw i chuligaństwa. Dla młodych zaś, dzielnica staje się smutną noclegownią, bardziej przynębiającą niż kiedykolwiek. W świadomości społeczeństwa Szopienic, zwłaszcza załogi huty, ugruntowało się przez lata przeświadczenie, że żadne zawirowania polityczne czy gospodarcze nie są w stanie zachwiać „kompleksem metalurgicznym“. Nawet wtedy, kiedy w całej Polsce zawrzało, że dzieci z Szopienic cierpią na ołowicę.

Najlepiej było w latach 70. Huta dobrze prosperowała i korzystała na tym dzielnica, bo huta doinwestowywała szkoły, służbę zdrowia itp.,

To z kolei dawało mieszkańcom Szopienic przede wszystkim komfort psychiczny stabilności ekonomicznej. W hucie widziano bardzo możnego protektora, który w sytuacjach trudnych potrafił pomóc, miał środki na rozwój, na działalność i pomoc.

Huta zapewniała ludziom mieszkającym w dzielnicy pracę i normalną egzystencję, restrukturyzacja trwa przecież tak naprawdę od wielu lat, ale nie było grupowych zwolnień. Huta była żywicielem dzielnicy, trudno przewidzieć co się stanie jak padnie...

Szopienice zasypiają

Sobotnie popołudnie w Szopienicach. Buro, pusto. Wokół spożywczego supermarketu ruch. Zakupy na cały tydzień. Co ludzie kupują? To co niezbędne i najtańsze. Wędrują między regałami posiłkując się kolorowymi ulotkami - super cena,

u nas najtaniej, cena dnia. Wieczór. Życie na ulicach zamiera. Właściwie nie ma imprez kulturalnych, nie ma koncertów, dobrych filmów w kinie. Żeby się rozerwać, trzeba jechać do Katowic, do centrum. - Tu się nic nie dzieje - mówili mi młodzi chłopcy, którzy kilka miesięcy temu pomagali przy organizacji wyborów do Rady Dzielnicy. Jesteśmy na peryferiach. Ani tu miło, ani ładnie.

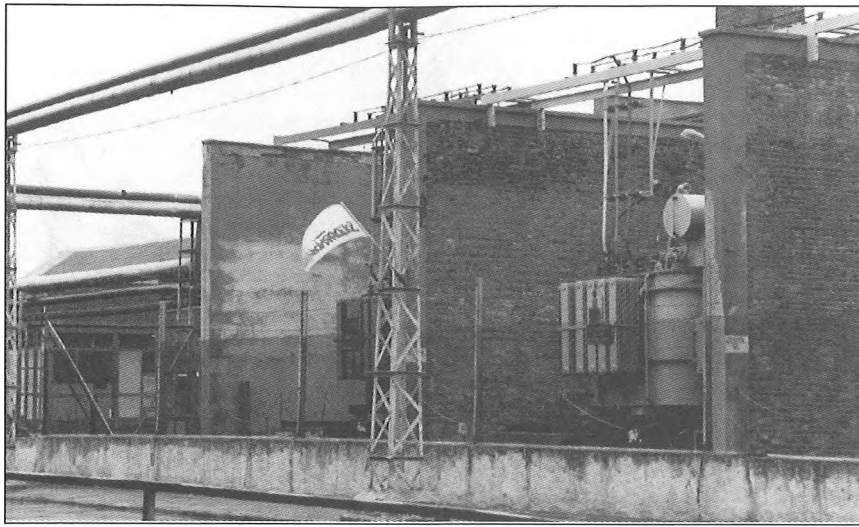
Co z tego, że jest Dom Kultury, kiedy w nim nie ma nic oprócz kółka teatralnego i zajęć plastycznych. A jedyną atrakcją jest - raz na ruski rok - wystawa kanarków?! My wiemy, że oni się starają, ale to na nic. Podobno mają wyremontować boisko. Chcieli je przerobić na kolejny supermarket, ale na szczęście nic z tego nie wyszło.

Czy to dzielnica bezpieczna? - zastanawia się podinspektor Kazimierz Gruca, komendant V Komisariatu Policji w Szopienicach - *Mnie się wydaje, że tak. Kiedy idzie się sennymi uliczkami, to ma się wrażenie, że życie toczy się tu na pół gwizdka. Co innego mówią statystyki, ale to dlatego, że pod nasz komisariat podlegają okoliczne centra handlowe na Dąbrowce, a tam jak powszechnie wiadomo, kwitnie zbrodziejstwo. Także to drobne złodziejstwo. Najczęściej artykułów spożywczych i codziennego użytku. W sercu dzielnicy bójkę, rozróbę zdarzają się rzadko, właściwie tylko wtedy kiedy Ruch Chorzów gra z GKS Katowice. Bo młodzi kibicują tym drużynom. Na co dzień mogą chodzić do tej samej klasy, nawet się przyjaźnić. Jak jest mecz - walczą.*

Podobno wizytówką miasta jest dworzec. Mała stacja w Szopienicach świadczy o nastrojach dzielnicy - głównie dzięki napisom na murach. Nie do końca cenzuralnych. Dworzec to stałe miejsce starć kibiców. Jakaś starsza kobieta szybko mija dworcowe przejście. Lepiej nie kusić licha.

To co niepokoi policję coraz bardziej, to drobne rozboje. - *W Szopienicach jest sporo szkół - mówi podinspektor Tomasz Zubel, zastępca komendanta V komisariatu. - Młodzi nie mają pieniędzy, więc napadają. Czasem ludzie starszych, częściej kolegów - słabszych, bogatszych. Kradną kurtki, komórki, rowery, drobne pieniądze. Mają po 13 - 17 lat, nie liczą na duży zysk. Najgorsze jest jednak to, że nie mają świadomości tego, że popełniają przestępstwo. Wydaje im się, że to co robią jest mało istotnym wykroczeniem, którym policja nie będzie sobie zawracała głowy.*

Brak środków do życia bywa silniejszy niż strach przed „wpadką“.



Co będzie gdy Huta upadnie ...

Drobni złodzieje nie myślą o konsekwencjach. Kradną to co użyteczne, co można sprzedać. Na przykład ciężkie pokrywy studzienek kanalizacyjnych, złom znaleziony na terenach należących do huty, czasem kable telefoniczne. Zysk niewielki, ale zawsze. Czasem kradną jedzenie w supermarketach - puszki, jakiś dżem, nawet paczkę kisielu. Są zdesperowani i zupełnie nie wierzą w możliwość uczciwego zarobku.

Od sześciu lat co roku organizowane są Dni Szopienic. Nie wiadomo, czy w tym roku też się odbędą. Potrzeba sponsorów, a tym nie opłaca

się tu niczego reklamować, bo nie ma potencjalnych nabywców.

Po wybrukowanej ulicy toczy się tramwaj linii 14, z charakterystycznym zgrzytem pokonuje kolejne zakręty. Prawie pusty. Może niedługo w ogóle przestanie kursować. Kiedy byłam małą dziewczynką brał mnie ze sobą na „wycieczkę” do Szopienic, a tak naprawdę na zakupy. Jechaliśmy oczywiście „czternastką”. Kursowały jeszcze stare wagony z drewnianymi ławkami, a przy drzwiach siedział konduktor. Centrum Szopienic tętniło życiem, a sklepy, pewnie ze względu na bliskość huty, były trochę lepiej zaopatrzone niż gdzie

indziej. Dziś nikt tu już na zakupy nie przyjeżdża. No chyba, że do tzw. centrum handlowego, ale to przecież nie są Szopienice, tylko Dąbrówka.

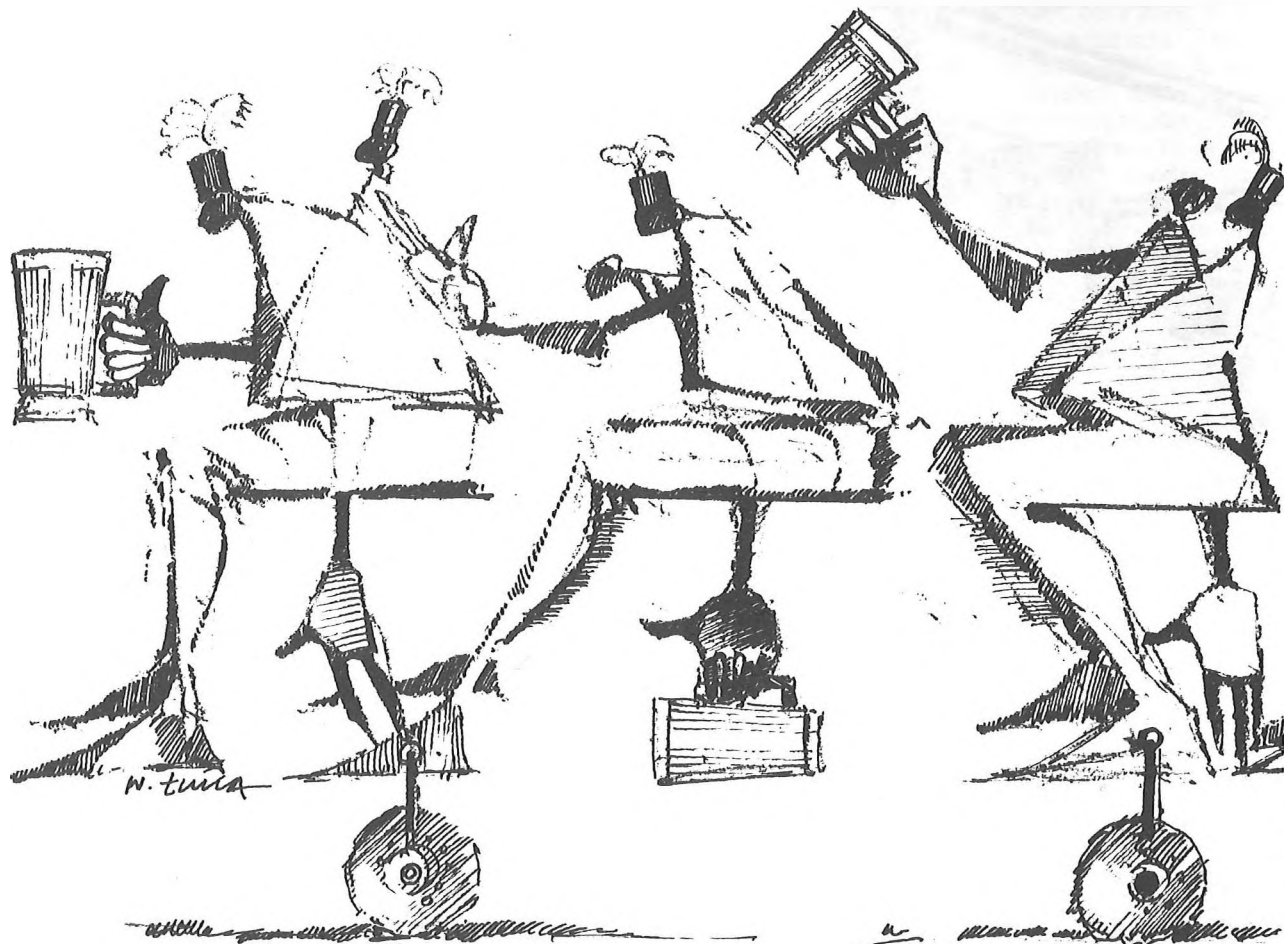
Tu i ówdzie walęsają się grupki nastolatków. A to kopną w śmietnik, a to rzucą w kąt pustą puszkę po piwie. A to zamanifestują swoją miłość do klubowych barw którejs z okolicznych drużyn piłki nożnej. Staną gdzieś pod klatką, zrzucą się na tanie wino...

Jakie nastroje panują wśród mieszkańców - coraz bardziej minorowe, choć jeszcze w styczniu, kiedy okoliczni księża chodzili po kołędzie mieszkańcy Szopienic, pracownicy huty, mieli nadzieję, że wszystko się ułoży. Teraz już jej nie mają. Nie wierzą w obietnice pomocy. Choć ciągle nadrabiają miną, nie myślą, nie chcą myśleć o najbliższej przyszłości.

Szopienice zasypiają. Z miasteczka stają się smutnymi peryferiami Katowic. I to nie tymi, które mogą być wizytówką miasta. Starsi dokonczą tu życie, młodzi na pewno wyjadą - już teraz ze statystyk wynika, że liczba mieszkańców w ciągu ostatnich kilku lat stale się zmniejsza. Już nie ma atrakcyjnych ofert pracy, przede wszystkim nie ma kombinatu hutniczego, który dawał świadomość stabilizacji, względnego dobrobytu i złudne przeświadczenie, że tak będzie zawsze.



Upadek huty to cios w 500 rodzin.



TRAMWAJ

ŁUKASZ SOJKA

Jest noc. Czyli pora kiedy słońce przebywa w Ameryce.

W zasłony wsiąka światło ulicznej latarni, podbarwione trochę na czerwono neonem reklamującym piwo.

Na parterze jest knajpa - jedna z tych nielicznych, które nie nazywają się jeszcze „pub”.

Prawie wszyscy, którzy w niej siedzą mieszkają w okolicznych familokach. Hajery, czyli górnicy. Właściwie byli górnicy.

Kopalni już nie ma - nad osiedlem domków z czerwonej cegły góruje jeszcze ażurowa kratownica wieży wyciągowej i dwa kominy. Zostały chyba tylko po to, żeby usprawiedliwiać istnienie tej małej dzielnicy wielkiego miasta - jakby potrzebowała usprawiedliwienia.

W knajpie trzeci raz leci ta sama płyta Krawczyka.

„Wróć do mnie” brzmi jak skrzyżowanie Pavarottiego dla ubogich z Elvisem Presleyem, ale tym późnym Elvisem, który roztył się, rozpił, przestał śpiewać naładowane seksem rock’n’rollowe kawałki, a publiczności serwował hawajsko-countrową papkę. Trudno powiedzieć - bardziej rzewną czy patetyczną.

Tak właśnie - niby patetycznie, niby rzewnie - brzmi Krawczyk, który upiera się przy tym, żeby ona jednak wróciła, tak jak po nocy wraca słońce, po zimie lato.

Przy czwartym odtworzeniu, piosence będzie już towarzyszył chóralny śpiew.

Leżę na łóżku wpatrując się w sufit.

Czekam na moment, kiedy plamy światła zaczynają wibrować, zapowiadając nadjeżdżający tramwaj.

Jest dziewięta - albo, jak kto woli - dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem. Powinien już tu być. Plamy jednak po-

zostają nieruchome. Tylko Krawczyk, odwołujący się do odwiecznego cyklu natury, przypomina o upływie czasu.

Zegarek, który stoi na szafie jest elektroniczny. Odmierza trwanie bezszelестnie. Od ciemności odcinają się wyraźne czerwone, kanciaste cyfry. Wyglądają jakby były ułożone z fluoryzujących zapalek. Co minutę ktoś, zupełnie bezgłośnie, przenosi, dodaje lub zabiera kilka z nich.

Jako narzędzie do odmierzania czasu (zakładając, że czas w ogóle da się zmierzyć), ten mój radiobudzik firmy SONYX, sprawdza się całkiem nieźle. Poza tym z daleka napis SONYX wygląda prawie jak SONY więc można się cieszyć złudzeniem posiadania dobrego sprzętu.

Szkoda tylko, że brak mu wszystkich atrybutów prawdziwego zegara. Tej zegarowości, którą dziedzictwo kulturowe umieściło w naszych mózgach.

Nie mówię o wahadle - to zbytek łaski - ale przynajmniej wskazówka. Może być i maleńka, choćby tylko sekundo-wa wskazówka.

No i ta totalna bezdźwięczność - prawdziwy zegar powinien przecież tykać.

Odgłos, który dodawał posmaku bezsennym nocom, pogłębiał rozpacz i samotność, przypominał o bezlitosnym przemijaniu, który wreszcie potęgował ciszę, lub rozbrzmiewał w niej jak wystrzał armatni. Ten odgłos, nabijający metrum ludzkiego życia w całym cywilizowanym świecie, został pokonany dzięki umiejętnemu wykorzystaniu krzemu.

Kiedyś próbowałem nawet wysłyszeć jakiś, choćby najdrobniejszy, dźwięk wydawany przez radiobudzik, ale jedynie co do mnie dotarło - choć mogła to być równie dobrze kwestia mojej wyobraźni - to ciche bzyczenie płynącego przez jego wnętrza prądu.

Teraz więc, o upływie czasu świadczy puszczone po raz czwarty płyta Krawczyka.

Na zegarze dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt trzy.

Tramwaju ciągle nie ma.

Nie ma się co czarować.

Nie ma i nie będzie.

Z przyczyn ekonomicznych linie, która biegła przez naszą ulicę zlikwidowano.

Teraz pod oknami przejeżdżają tylko czasami maluchy z odkręconym na full stereo. Słyszeć wtedy dźwięki zarzynanego silnika i elektronicznej perkusji - zniekształcone przez efekt Dopplera. Potem maluch skręca z piskiem za róg i wszystko cichnie. Czasami - też z piskiem - zatrzymuje się przed którąś z bram.

Bramy w tej dzielnicy to ośrodki życia towarzyskiego.

Stoją w nich grupkami młodzi ludzie, tak młodzi jak ja, zawsze w dresie, zawsze z ustami pełnymi śliny i inwektyw. Ich twarze w słońcu wyglądają jak maski, a w oczach palą się niepokojące ogniki. Złe ogniki.

Stoją tak ze sobą, rozmawiając o futbolu, dymach i dupach. Ich dziewczyny noszą sukienki krótsze niż powinny i ukrywają pod kolejnymi warstwami makijażu zupełną pustkę.

Patrzę na nich zza zastoniętych firanek, jakby byli zapowiedzią apokalipsy.

Są trochę jak przybysze z innego świata, albo jak cyborgi. Czasami wydaje mi się, że naprawdę nie myślą i nie czują. Działają instynktownie - na poziomie owadów. Jedzą, walczą i pieprzą się nie do końca świadomi swojego własnego istnienia. Mnożą się w swoich mieszkaniach przygotowując się do przejścia władzy nad światem.

Nienawidzę ich, chociaż zdaję sobie sprawę, że są przecież niewinni jak drapieżne zwierzęta.

Nadzieję pokładałam w tym, że sterydy anaboliczne mają jakiś druzgocący wpływ na organizm i z czasem dresy wyginą, jak kiedyś dinozaury.

Nie. To złe porównanie. Ja zawsze żałowałem dinozaurów - były na swój monumentalny sposób piękne. A w wypadku dresów trudno mówić o pięknie. Tutaj chodzi o siłę.

Krzysztof Krawczyk skończył na dłuższą chwilę, co nieomylnie oznaczało zmianę płyty. W powstałą lukę wlały się głosy starzejących się eksgórników czyli byłych haje-

rów z martwej kopalni. Akcent twardy jak dłoń. Prawdziwi ludzie pracy, którzy przez całe życie wypruwali sobie flaki pod ziemią w przekonaniu, że są najważniejszymi ludźmi w Polsce. Siedzą teraz całymi dniami w knajpie nad kuflem piwa wspominając dni chwały, a ich dzieci o twarzach hien stoją w bramach, spoglądając na ludzi jak na kawałki mięsa.

Mój ojciec też był górnikiem.

Osiemnaście lat pod ziemią, karierę zakończył jako strzałowy. Był jednym z tych, którzy mają kopalnianą „licencję na wysadzanie“. Mógł pobierać z magazynu ładunki wybuchowe, zapalniki i słynny „drut strzałowy“. Słynny dlatego, że chyba we wszystkich rodzinach związanych z kopalnią, drut strzałowy był nieodłącznym elementem codziennego życia. Miał setki zastosowań - od napraw sprzętu elektrycznego wszelkiej maści, po wieszanie prania.

Na kopalni podłączało się za jego pomocą detonator do spłonek, które z kolei odpalały umieszczone w ścianie węgla ładunki wybuchowe. Po takiej eksplozji drut nie nadawał się już do powtórnego strzelania, więc można go było zabrać ze sobą na powierzchnię, a tam zawsze znalazło się dla niego takie czy inne zastosowanie...

W domu walało się mnóstwo drutu - cieniutkiej, miedzianej nitki w zielonej, albo niebieskiej izolacji. Można go było znaleźć wszędzie - w radiu, w magnetofonie, w telewizorze, podłączałem nim zasilacz do torów mojej kolejki elektrycznej i wyginałem z niego dziwaczne kształty.

Naprawdę poczułem, że ojciec jest bezrobotny, kiedy skończył się drut. Chciałem pójść do ojca i poprosić go o parę metrów, kiedy uświadomiłem sobie, że już mi go nie przyniesie.

Ojciec nie mógł już strzelać. Nie mógł już zjeżdżać na dół. Nie mógł już nawet przejść przez bramę kopalni.

Od tego czasu spędza codziennie kilka godzin w knajpie na dole razem z kamratami, którzy też zostali zredukowani. Przepijają zasiłki, grają w szkata. Wspominają jak to dobrze było za Gierka, wspominają książeczki G, wczasy w Bułgarii albo przynajmniej w Międzyzdrojach.

Kiedy tak siedzą przy stolikach, można odnieść wrażenie, że na moment przenoszą się do swojej na pół mitycznej krainy, rządzonej przez dobrotliwego Edwarda. Na twarzach mają uśmiechy ludzi, którzy widzą coś, co jest niewidzialne dla innych - barbórki jeszcze wystawniejsze, gołonki tłustsze i soczystsze, ogródki działkowe większe i bardziej zadbane, ośrodki wczasowe bardziej komfortowe, a jeziora przylegające do nich pełne ryb.

Może nawet ich żony mają wtedy znowu dwadzieścia parę lat, jędrne piersi i chętne uda, noszą letnie sukienki i mrużą zalotnie oczy.

Kiedyś do knajpy przyszedł Prawdziwy Polak. Stał przy barze i słuchał przez moment rozmarzonych głosów.

A potem nagle odwrócił się i ryknął:

- Do komuny wam, kurwa, tęskno! Zapytajcie o komunę waszych kumpli z Wujka!

Potem wyszedł trzaskając drzwiami, a górnicy przestali się uśmiechać.

Nasza dzielnica jest coraz bardziej z boku. Coraz bardziej na peryferiach. Z daleka od centrum, gdzie są sklepy kolorowe jak japońskie kreskówki.

Tutaj jest bardziej obskurnie, niż było, napisów na murach nikt nie zamalowuje i obcy nie są mile widziani. A ja jestem coraz bardziej obcy.

Tylko dwie osoby, z mojego - pożałuj Boże - pokolenia, nie traktują dresu jako stroju wyjściowego. Tyle, że my jesteśmy dla siebie tak samo obcy jak dla mięśniaków z bram. My - to zbyt mylące słowo. Nie ma żadnych nas, tylko ja i Prawdziwy Polak.

Prawdziwy Polak był na początku punkiem. Nosił irokeza, spódnie w paski i wachał klej. Po osiedlu obnosił się ze swoją zdezelowaną gitarą, na której umiał zagrać dwa kawałki KSU. Pierwszy prawdziwy kontestator, jakiego poznałem.

Trwało to może z rok - kończył wtedy w bólach podstawówkę - w przerwach pomiędzy wyjazdami na koncerty i antyfaszystowskie wiece.

Potem nastąpił przełom. Jak każdy przyzwoity przełom radykalny i niespodziewany.

Od tego czasu został Prawdziwym Polakiem. Spalił spodnie w paski, kupił naszywkę z celtyckim krzyżem i orłem w koronie. Ogolił się na lyso.

Skąd wzięła się ta nagła przemiana nikt nie wiedział - może wracając z jakiejś butaprenowej imprezy spotkał ducha Romana Dmowskiego, albo jego kilku wyrośniętych miłośników.

Dość, że od czasu gdy „umarł Gustaw a narodził się Konrad”, na murach familoków zaczęły się pojawiać swastyki i gwiazdy Dawida dyndające na szubienicach.

Prawdziwy Polak dalej jeździł na punkowe koncerty i antyfaszystowskie wiece, ale już w zupełnie innej roli. Teraz jest pogromcą pancurów i uwielbia Adolfa. Niby to drobna niekonsekwencja jak na Prawdziwego Polaka, ale wytłumaczył mi to kiedyś. Jechałem wtedy tramwajem, a on wsiadł na jednym z przystanków. Zacząłem oczywiście udawać, że mnie nie ma, bo należę do tych osób, które w postaciach pokroju Prawdziwego Polaka budzą wolę czynu.

Tym razem - na moje szczęście - wola naszego Winkelrida była mocno ograniczona przez niedyspozycję cielesną. Wracał najwyraźniej z jakiejś wyjątkowo hucznej uroczystości, bo ledwo trzymał się na nogach i toczył wokół wonie właściwe chemii organicznej. Był jednak na tyle trzeźwy, aby mnie rozpoznać. Dosiadł się więc do mnie i waląc z całej siły po ramieniu wybełkotał:

- Cze ziomal, mosz fajke?

Nie miałem fajki. Normalnie wróciłbym pewnie do domu bez kilku zębów, albo bez portfela (albo bez zębów i portfela), tym razem dane mi było tylko wysłuchać opowieści o Hitlerze, który tak na prawdę szanował Polaków, tylko chciał ich uwolnić od „żydowskiej zarazy”.

Być może nie oberwałem wtedy, bo mieszkaliśmy w końcu w tej samej dzielnicy, może dla tego że był zbyt pijany, albo po prostu miał taki kaprys. A może dla tego że spotkaliśmy się w tramwaju i powstrzymała go magia tego miejsca?

Tak, tramwaj był magiczny. Przynajmniej dla mnie. Był magiczny bo pozwalał uciec. Kilkaście minut w kołyszącym się sennie wagonie - i otwierały się automatyczne drzwi, wprost na ulicę, gdzie pełno było pięknych dziewczyn w ciasno opinających ciała sukienkach, facetów w garniturach z laptopami pod pachą i studentów, którzy wszystkim mieli gdzieś, bo właśnie lecieli na zajęcia, albo na piwo.

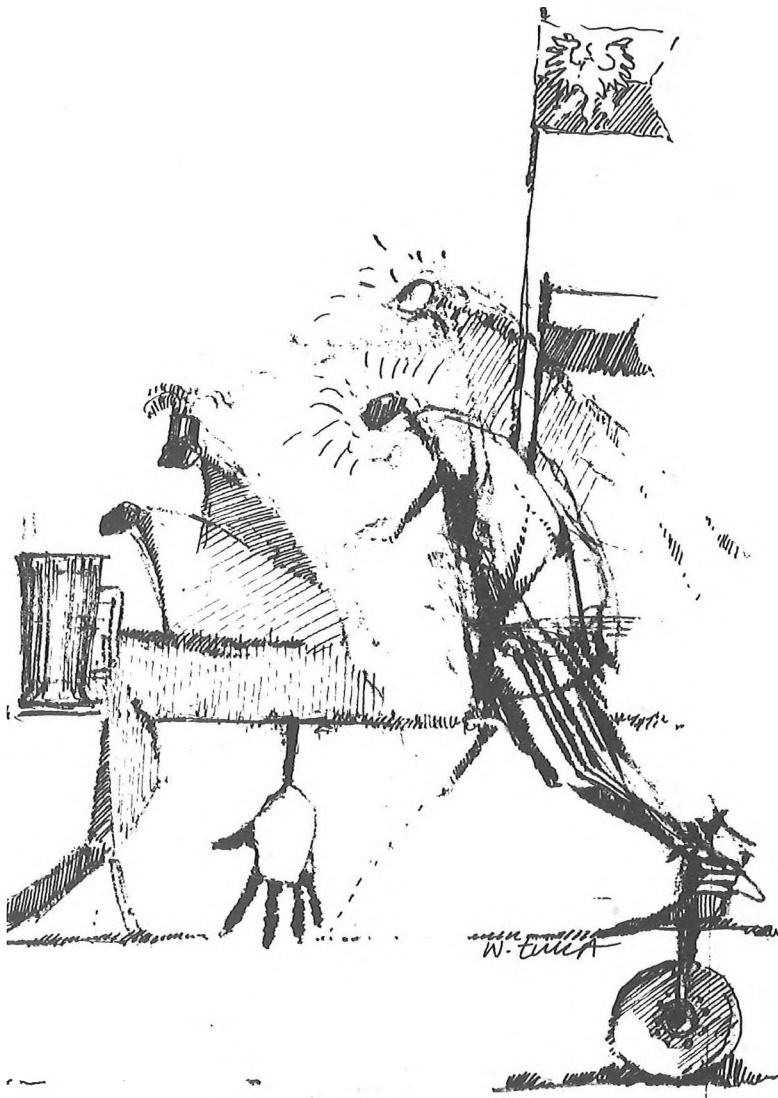
Najważniejsze jednak było to, że wysiadając z tramwaju stawało się oko w oko z budynkiem dworca - a dworzec to już prawdziwa brama do innych światów. Może i dość obskurna brama, ale mimo to...

Miasto pozostanie miastem, a dworzec oferował za jedyne siedem złotych i sześćdziesiąt trzy grosze możliwość znalezienia się w pociągu, którego ostatnia stacja leżała w górskiej dolinie. Tam były świerki i zapach wilgotnych kamieni. A nad głową niebo i nieskończoność.

Teraz nie ma nawet tramwaju.

Pozostały po nim tory zatopione w dziurawym asfalcie i wiatr, który czasami przynosi ze sobą dudnienie metalowych kół i skrzypienie zrownic.

Leżę na łóżku wpatrzony w nieruchome plamy na suficie. Z knajpy słysząc tym razem piosenkę o staniku w kropki w wykonaniu dwóch facetów, których najwyraźniej ominęła mutacja.



Rys. Wojtek Łuka

Powoli zamykam oczy. Muzyka cofa się za puszystą zasłonę z waty, która okazuje się poranną mgłą.

A potem, widzę w niej połyskujące światełko, które rośnie powoli, aż rozlega się ostrzegawczy dzwonek.

I widzę go.

Wynurza się z mgły, majestatyczny jak Titanic.

Tyle że czerwony i pachnący farbą.

Drzwi otwierają się zapraszająco.

Dwa kroki i jestem w środku.

Wyciągam z kieszeni wymięty bilet i z nabożeństwem wsuwam w szczelinę kasownika.

Podłoga pod stopami lekko wibruje.

Dzwonek.

Drzwi zamykają się z niezbyt głośnym trzaskiem.

Przymykam oczy i niewyraźnie dostrzegam zarysy nieprzyjemnego snu:

Jest noc.

Czyli pora kiedy słońce przebywa w Ameryce.

W zasłony wsiąka światło ulicznej latarni, podbarwione trochę na czerwono neonem reklamującym piwo.

Na parterze jest knajpa - jedna z tych nielicznych, które nie nazywają się jeszcze „pub”.

Prawie wszyscy, którzy w niej siedzą mieszkają w okolicznych familokach. Hajery, czyli górnicy. Właściwie to: byli górnicy.

Leżę na łóżku wpatrując się w sufit.

Czekam na moment, kiedy plamy światła zaczynają wibrować, zapowiadając nadjeżdżający tramwaj.

Jest dziewiąta - albo, jak kto woli - dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem.

Teraz już nieważne jest

Teraz już nieważne jest w jakim momencie
przyszło mu do głowy że pobrudzona błotem
kartka którą ktoś wyrzucił na chodnik (nie
podejrzewając nawet że może się
do czegośkolwiek
przydać) pasuje jak ulał do otaczającego go
krajobrazu i mocno zachmurzonego nieba

Zanim zdążył zbliżyć się do niej
gwałtowny podmuch powietrza wywołany
przez podjeżdżający na przystanek pociąg z
napisem Sanok-Kraków uniosł ją wysoko
w górę
zamieniając w płatek śniegu

Jeżeli

Andrzejowi Żurkowi

Jeśli rzeczywiście
- jak mówią -
świat jest wielką tajemnicą
która czeka na rozwiązanie
kto miałby się tego podjąć

nawet dla
gremium filozofów
zajęcie katorżnicze...
... przecież nie poeci
których o ból głowy
przyprawia każde słowo

To niehumanitarne
widzieć
siebie
świat
w pyłku kurzu
pod powalą
starego domu

Z rozmowy

Świat to nie tylko
Ameryka
Nowy Jork
świat to również
twoje Biadoliny
tam też człowiek
może zabić...
co najwyżej
zadrży mu ręka

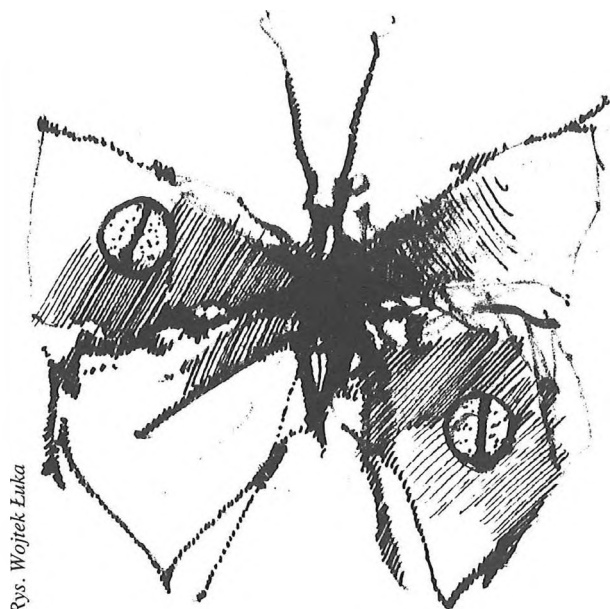
... tyle że w Ameryce
zabijają tak
jakby naciskali
myszkę komputera

Czy motyl wie o tym

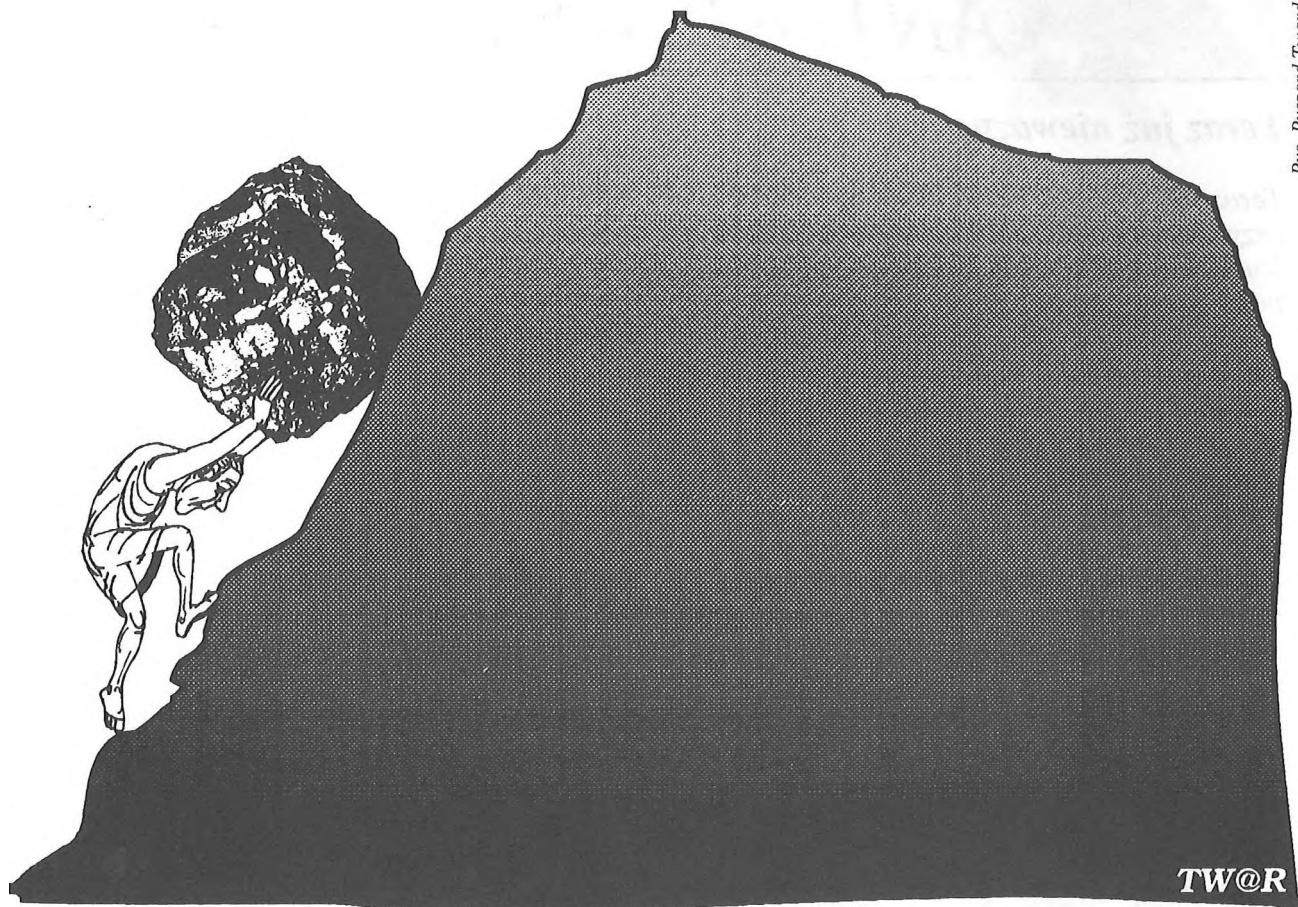
Czy motyl który usiadł
Przed chwilą na kwiatku maku
Wie o tym że obudził w nim
Nowe życie...
I że z tego to właśnie powodu
Powstał uboczny produkt
Ten oto wiersz?

Z całą pewnością

Gdyby wszyscy poeci umówili się
I zaprzestali pisania wierszy
Co by się stało? Nic
Z całą pewnością
Nie zapadłaby się (z tego powodu)
Pod nami ziemia
Nie zginąłby świat
Co najwyżej w redakcjach pism
O profilu literackim mieliby zgryz:
Czym zapłacić miejsce zarezerwowane
Dotychczas dla nich



Rys. Wojtek Łuka



Refleksje socjologa

*Godność własna wiąże
się u Ślązaka
z użytecznością,
a praca jest honorem.
Na życie się tu zarabia
pracą, a jeśli jej
nie dają, to kradnie się
pracę, aby ją
potem sprzedawać
uczciwie, z dumą,
z manifestacją,
że się nie jest innym
niż wszyscy*

F. Goetel

TOMASZ
NAWROCKI

Śląski etos pracy

Jeżeli zapytać kogoś na Górnym Śląsku o to co najsilniej określa tożsamość Ślązaków z pewnością obok specyficznego stosunku do rodziny i kościoła wskaże na śląski etos pracy. Przekonanie to obecne jest w świadomości potocznej Ślązaków, deklaracjach politycznych ruchów regionalnych oraz w opracowaniach badaczy regionu. Pojawia się w dziełach literackich autorów podejmujących górnośląską problematykę (np. Pola Gojawiczyńska, Nina Krahelska, Gustaw Morcinek, Wilhelm Szewczyk), artykułach publicystycznych (od Zofii Kossak-Szczuckiej po Michała Smolorza) oraz w opracowaniach naukowych historyków, etnologów i socjologów.

Przez lata problem śląskiego etosu pracy doczekał się wcale bogatej bibliografii. Jednak dynamika zmian zachodzących w naszym regionie, które nie mogły ominąć śląskiego etosu pracy uzasadnia ponowne spojrzenie na to zagadnienie.

Etimologia słowa etos sięga starożytnej Grecji. Pojęcie to odgrywało ważną rolę w systemie etyki tworzonym przez ówczesnych mieszkańców Hellady i oznaczać mogło - jak pisał Tadeusz Szawiel - *albo nabyte przez ćwiczenie przyzwyczajenie, zwyczaj, obyczaj albo ukształtowanie, charakter (zwłaszcza moralny), zachowanie się, sposób bycia*. My, współcześni spadkobiercy Greków mówimy o etosie jako o *stylu życia jakiejś społeczności, ogólnej /.../ orientacji jakiejś kultury, przyjętej przez nią hierarchii wartości bądź formułowanej explicite, bądź dającej się wyczytać z ludzkich zachowań* (to słowa Marii Ossowskiej autorki pięknej i mądrej książki o etosie rycerskim). Zwracamy przy tym uwagę, że to właśnie etos świadczący o naszej odrębności kulturowej konstituuje naszą społeczność. Wtedy o etosie mówimy w szerszym rozumieniu odnoszącym się do kultury i całego społeczeństwa (interesuje nas np. śląski etos jako pewna całość, na którą składają się między innymi stosunek do religii, tradycji, pracy i przedsiębiorczości, rodziny, wykształcenia, do swoich i do obcych). Socjologowie mówią wówczas, że *etos stanowi zasadę ładu społeczno kulturowego społeczności*. Możemy jednak odnieść pojęcie etosu do mniejszych społeczności lub nawet pewnych sfer ich życia. Od lat spieramy się o kształt etosu polskiego inteligenta, prasa przynosi alarmujące informacje o upadku etosu pracowników służby zdrowia i wymiaru sprawiedliwości, stawiamy pytania o dzisiejszą użyteczność śląskiego etosu pracy. Wtedy zawężamy stosowność tego pojęcia.

Praca - wartość najwyższa

Jo lubią pracować [...]. Bez pracy człowiek nie może żyć. Te słowa starszego Ślązaka odnotowane podczas badań socjologicznych zespołu Kazimierzy Wódcz w osadzie huty „Pokój“, dotyczą istoty śląskiego etosu pracy. Dla mieszkańców tej ziemi praca stała się wartością samą w sobie. Ciężka i monotonna praca fizyczna śląskiego górnika i hutnika stawała się dla nich wartością naczelną. Nadawała sens ich życiu, tak jak bohaterowi mło-

dzieńczego poematu Wilhelma Szewczyka „Hanys“. Bezrobotny Hanys pracując w biedaszybie *odnalazł - znowu - węgiel, odnalazł znowu życie, błogosławiona praca i robotniczy chleb*. Dla takich jak on praca była *najistotniejszą treścią życia, ona wypełniała myśli i serce, od niej zależało wszystko dobre i złe*. Praca dawała *człowiekowi miejsce na ziemi, czyniła jego życie elementem składowym wielkiej powszechnej całości, czyniła go potrzebnym*. (Zdzisław Hierowski) Praca stawała się czymś świętym. Człowiek żył, realizował się poprzez trud codziennej pracy.

Takie traktowanie pracy jako wartości najwyższej, jej bez mała sakralizacja określała rygorystyczne zasady etyczne, którymi Ślązak powinien kierować się w pracy. Rzetelność, pracowitość, uczciwość, sumienność i solidność, szacunek dla kwalifikacji zawodowych, solidarność, przywiązanie do zakładu pracy i poczucie odpowiedzialności za towarzyszy pracy to wartości, którymi kierował się Ślązak w kopalni lub hucie. Ich respektowanie lub nie stało się zasadniczym kryterium oceny człowieka. Nieważne kto jaką pracę wykonuje, nieważne czy jest urzędnikiem czy też górnikiem, ważne by rzetelnie i uczciwie pracował. Nieroby, chachary, którzy nie pracowali z własnej woli byli odrzucani przez społeczność. Nie podejmowanie pracy naznaczało Ślązaka zdecydowanie bardziej niż np. nadużywanie alkoholu. Jak pokazały prowadzone w starych śląskich społecznościach badania Jacka Wodza, jeżeli ktoś pił, ale pracował i dbał o rodzinę był uważany za *porządne ale zaglądnące do kieliszka człowieka*. Zdecydowanie negatywnie oceniano go dopiero wtedy, kiedy picie wpływało na zaniedbywanie pracy. Najważniejsza bowiem była praca.

Plębejski charakter społeczności śląskiej, ograniczone możliwości awansu społecznego sprawiały, że tak wysoko oceniana praca była najczęściej pracą fizyczną. W ten sposób Ślązacy znacząco różnili się od gardzących często pracą własnych rąk i traktujących ją jako karę za grzechy spadkobierców szlacheckiego etosu zza Brynicy. W odróżnieniu od Polaków z Galicji i Kongresówki nie traktowali pracy referenta w podrzędnym urzędzie lub urzędnika pocztowego jako coś lepszego od pracy górnika. Dumni byli z dobrze wykonywanej pracy i z wyższością patrzyli na tych, którzy od znoju pracy własnych rąk uciekali w świat biurokratycznej fikcji. Dostąpił to znamienity polski socjolog Józef Chałasiński, który w połowie lat

trzydziestych pisał *Górnoślązak czuje się robotnikiem, ale robotnikiem nie byle jakim: pierwszej klasy*. Takiego samopoczucia nie zmienił najczęściej nawet awans społeczny.

Śląski etos pracy wyrastał zresztą z zupełnie odmiennej gleby niż etos polskiego inteligenta. Decydującego znaczenia nie miała tu może religia protestancka (jak chcieliby niektórzy publicyści), choć jej wpływu nie można niewątpliwie lekceważyć. W tym przypadku po prostu znacznie ważniejsze było uczestniczenie Górnego Śląska w przemianach gospodarczych i społecznych obejmujących całą Zachodnią Europę. Postępujące gdzieś od końca osiemnastego wieku procesy industrializacji i urbanizacji sprawiły, że pod względem przemysłowym i cywilizacyjnym Górny Śląsk przypominał bardziej uprzemysłowione regiony w Europie Zachodniej niż inne części Polski. Dlatego też stosunek do pracy śląskiego górnika był bardziej podobny do etosu robotnika z Zagłębia Ruhry niż łódzkiego włókniarza. Ponadto Górnoślązak w odróżnieniu od Polaka z innych części kraju (z wyłączeniem rzecz jasna Wielkopolski) nie musiał zmagać się z kłopotliwym dziedzictwem szlacheckich antenatów, którzy z wyższością patrzyli na utrzymujących się z pracy własnych rąk.

Duma i głód pracy

Z pewnością swój wpływ na ukształtowanie się śląskiego etosu pracy wywarła dominacja w tym regionie górnictwa węgla kamiennego. Już sam charakter ciężkiej i niebezpiecznej pracy, zależnej od nieprzewidywalnych warunków, zmuszającej do ścisłego współdziałania z innymi górnikami określał ich zaangażowanie w pracę. Pracy pod ziemią nie można wykonywać byle jak, bez poświęcenia się jej, nie dbając o innych górników. Wymagane jest specjalne zaangażowanie, inaczej kopalnia bezwzględnie upomina się o poważne potraktowanie pracy w niej. Wykonywanie takiej brudnej, niebezpiecznej i ciężkiej roboty głęboko pod ziemią sprzyjało identyfikowaniu się z nią i wytworzeniu się swoistej dumy ze swojej pracy. W dodatku praca przenikała całe życie górnika na powierzchnię. Zarówno w jego domu rodzinnym, co tak wspaniale pokazał Kazimierz Kutz w *Perle w koronie*, jak i w środowisku zamieszkania, które najczęściej było przykopalnią osadą. W takiej małej społeczności górniczej nakładały się na siebie stosunki

pracy, relacje sąsiedzkie i rodzinne. Razem pracowano, razem zamieszkiwano, modlono się, krzyżowały się relacje rodzinne. Takie wzajemne przenikanie się podstawowych dla człowieka sfer życia wzmacniało specyficzny stosunek Ślązaków do pracy.

Czy jednak rzeczywiście uprawnione jest przekonanie o specyfice śląskiego etosu pracy? Czy może przypadkiem to co powszechne i uniwersalne sprowadzane jest wyłącznie do własnej (czytaj śląskiej) skali? Czy rzeczywiście Ślązaków wyróżnia stosunek do pracy? Czy może podobnym etosem pracy charakteryzują się też inni? Badania socjologów pokazują Ślązaków dumnych ze swej pracowitości i przekonanych, że ich stosunek do pracy świadczyć może o ich wyższości cywilizacyjno-przemysłowej. Podobnie zresztą jak dumni ze swej wyższości cywilizacyjnej i zaangażowania w pracę są Wielkopolanie, którzy skutecznie konkurowali gospodarczo z Prusakami (przypomina nam o tym często Stefan Bratkowski). Także Kaszubi odróżniają się od ludności napływowej wskazując na własną pracowitość. Przykłady te świadczą o tym, że Ślązacy, tak jak i dwie pozostałe grupy regionalne, stali się po prostu beneficjentami przemian społeczno-gospodarczych towarzyszących rozwojowi gospodarki kapitalistycznej i przyswoili sobie towarzyszący rozwojowi stosunków gospodarczych etos pracy. Oczywiście specyfika struktury poszczególnych społeczności, odrębności kulturowe, charakter pogranicza społeczno-kulturowego, postępy urbanizacji i uprzemysłowienia nadawały odrębny koloryt stosunkowi do pracy w rolniczej Wielkopolsce i w przemysłowej części Górnego Śląska. Wielkopolanie np. nie tylko wykazywali się zaangażowaniem w pracę, ale też przedsiębiorczością, gdy na Śląsku królował etos pracy fizycznej. Pomimo tego stosunek do pracy na Górnym Śląsku lub w Wielkopolsce był bliższy wzorcom dynamicznie rozwijających się Niemiec niż zacofanych gospodarczo i obarczonych dziedzictwem przeszłości ziem polskich.

Jednak wytworzony w przeszłości i przekazywany z pokolenia na pokolenie etos pracy nie jest czymś niezmiennym. Wartości, na których się opiera poddawane są próbie czasu i zderzają się ze zmieniającymi się realiami. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat można było obserwować jak dokonywała się jego stopniowa erozja.

Pierwszą próbą, której został poddany była integracja części ziem śląskich z resztą Polski w okresie

międzywojennym. Śląsk miał wówczas stać się *Piemontem* pracy polskiej, pisano i mówiono o dziejowej misji Śląska. Wierzano, że Ślązacy od braci z innych dzielnic nauczą się ładnie mówić a Polacy nauczą się od Ślązaków ładnie pracować. Zamiast tego śląski etos pracy zderzył się z zupełnie odmiennym spojrzeniem na pracę przyniesionym przez ludność napływową. Jej *pański styl* i poczucie kulturowej wyższości, które przejawiało się niekiedy w pogardzie dla pracy fizycznej jaskrawo kontrastowały z postawami Ślązaków. Podobnie jak to miało miejsce w Poznaniu bliżsi pod względem etosu pracy stawiali się dla nich Niemcy. Ludność Śląska broniła się przed tym rozwijając poczucie własnej godności i wartości. Czuła się też coraz silniej zawiedziona Polską.

Równocześnie skomplikowana sytuacja gospodarcza polskiej części Górnego Śląska sprawiała, że coraz trudniejszy stawał się dostęp do pracy. Ślązacy walczyli w powstaniach o Polskę a ona nie pozwalała na zaspokojenie najważniejszej dla nich potrzeby - potrzeby pracy. Wielu było takich jak bohater wspomnianego już poematu W. Szewczyka, którym *dłonie tęskniły za pracą, dłonie wypalał głód*. Kominy dymiły po niemieckiej stronie, tam była praca, tam też udaje się spragniony pracy tłum, jak w symbolicznym zakończeniu *Ziemi Elżbiety* Poli Gojawiczyńskiej. Jednak rozgoryczeni bohaterowie *Pęty w koronie* trwają przy polskości.

Degradacja etosu

Znacznie poważniejszą próbę śląski etos pracy przechodził po wojnie. Nowy system choć w deklaracjach bardzo wysoko cenił pracę, to w rzeczywistości opłacało się bardziej kiwać system niż uczciwie pracować. Często ciężka i rzetelna praca stawała się mniej opłacalna niż kombinowanie, a wykonujący ją doznawał poczucia bezsensu tego co robi. Nie zawsze też praca była właściwie wynagradzana a dla Ślązaka godziwe wynagrodzenie za pracę było ważnym wskaźnikiem jej użyteczności.

Okres powojenny to także napływ na Śląsk mas ludzkich o niekiedy krańcowo odmiennym od ludności rodzimej spojrzeniu na pracę. Pracujący w trzecim lub czwartym pokoleniu pod ziemią górnik stykał się z często nie posiadającymi żadnych kwalifikacji *werbusami*, wśród których nie były wyjątkiem osoby *nie zdyscyplinowane, nie zdające sobie*

sprawy ze specyficznych wymogów pracy pod ziemią, lekceważące wymogi bezpieczeństwa nie umiejące współżyć z towarzyszami pracy. (G. Szpor) Choć po latach wielu z nich przejęło śląski etos pracy, stając się nawet bardziej radykalnymi jego wyznawcami niż sami Ślązacy, to początki były trudne. Z jednej strony kontakt z ludnością napływową umacniał przekonanie Ślązaków o własnej wartości (*my robotni*) i deprecjonował *mających piasek w rękawach goroli* (W. Świątkiewicz), z drugiej zaś *werbusi* z wyższością patrzyli na ciężko pracujących *Hannysów*. Sytuację komplikowało poczucie względnego upośledzenia ludności rodzimej, która uważała, że za lepszą lub co najmniej taką samą pracę otrzymywała mniej przywilejów (mieszkania, urlopy, lepsze stanowiska pracy) niż przyjezdni. Starszy górnik z Murcek wspominał: *na tej kopalni, na pierwszym miejscu mieszkania dostali ci przyjezdni. Roboty lepsze. Na dole robić, to też jest różnica. Na ścianie żech robił, to kapota, kidało ze stropu. I Pan nie zarobił, bo Pan planu nie miał. A gdzie była sucha, elegancka, to tam obsadzili samych chłopców z internatu*.

Dla socjologów już sam kontakt tak odmiennych pod względem stosunku do pracy i innych sfer życia grup społecznych oraz uświadomienie sobie różniących ich systemów wartości staje się wstępem do zmiany społecznej. I zmiana taka rzeczywiście nastąpiła. Już badania nestorki śląskiej socjologii Wandy Mrozek pokazywały, że praca coraz częściej przestaje być wartością samą w sobie i staje się (szczególnie dla młodszych pokoleń) jedynie dostarczycielem środków do życia. Kolejne badania np. Wojciecha Świątkiewicza i Kazimierzy Wódcy potwierdzały dokonywanie się tej zmiany. Praca przestawała być sposobem na życie i środkiem do samorealizacji. Coraz częściej odchodzono od tradycyjnej śląskiej rzetelności, fachowości, solidarności, oddaniu pracy, na rzecz dużych pieniędzy za mały wysiłek. Jeżeli tych pieniędzy nie było tyle, ile oczekiwano pojawiała się dezintegracja społeczna i patologia pracy, której formą jest np. pozorowanie czynności pracy.

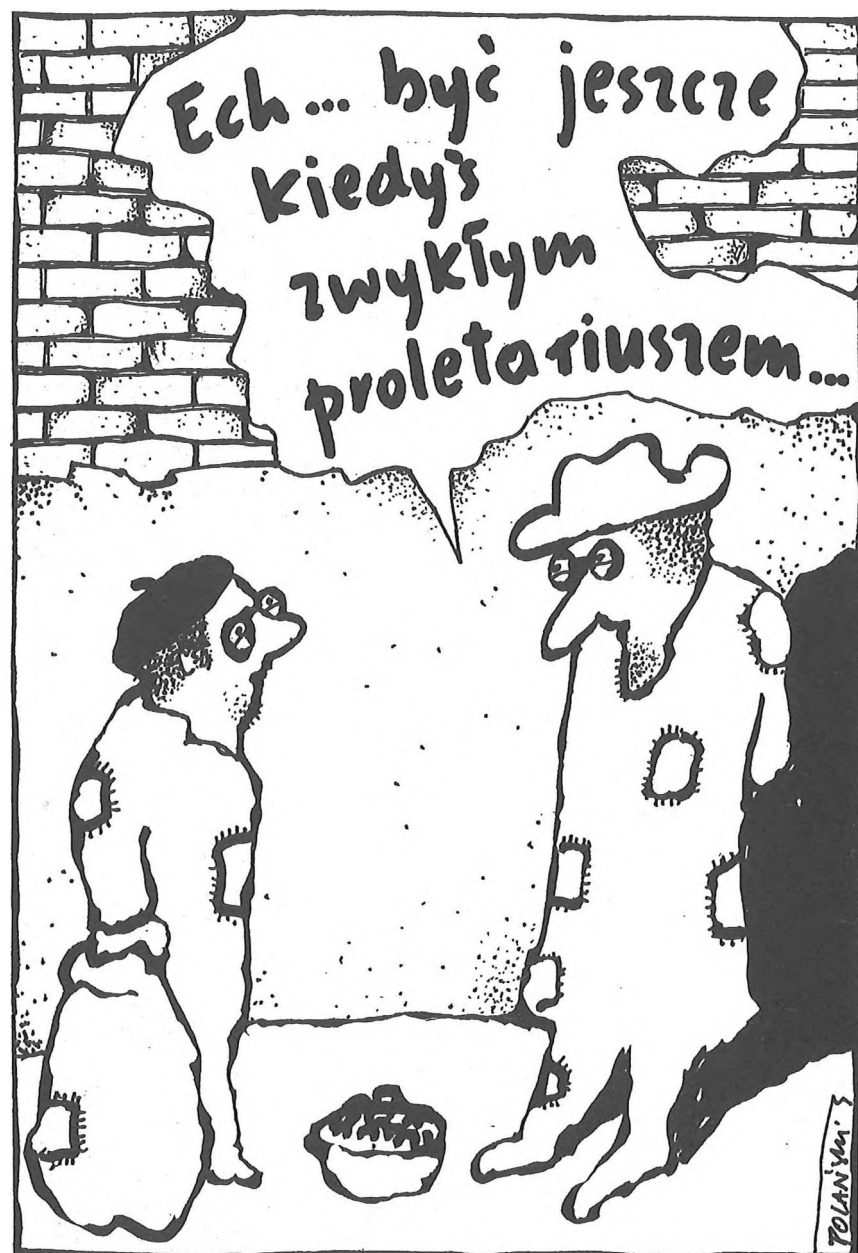
Z tak nadwężonym przez lata etosem Ślązacy znaleźli się w realiach nowej gospodarki. Po latach praca znów przestała być czymś pewnym. Przypomniano sobie smak bezrobocia. Transformacja śląskiego przemysłu doprowadziła do zamykania kopalń i hut, w których wykubał się rodzimy etos pracy. Wraz z nimi umierają górnicze i hutnicze

społeczności, które stały na straży kultywowania tradycyjnego stosunku do pracy.

Rewizja mitów

Jednak przede wszystkim Śląsk, tak jak cały świat wkracza w erę globalnego społeczeństwa informatycznego (dla niektórych postpostnowoczesnego lub popoprzemysłowego). Nowe czasy rodzą nowe wymagania. To co było atutem w świecie tradycyjnego przemysłu, staje się coraz częściej *kłopotliwym dziedzictwem* (pojęcie K. Wódz) w dzisiejszym świecie. Przestaje wystarczać ciężka, solidnie wykonywana i pełna poświęcenia praca. Liczy się wiedza, którą daje wykształcenie, otwartość na nowe doświadczenia, przedsiębiorczość, potrzeba osiągania, umiejętność dostosowania się do stale zmieniającego się świata społecznego (zewnątrzstrowność), nastawienie na przyszłość a nie na przeszłość, nonkonformizm czyli zespół cech, które składają się na syndrom osobowości nowoczesnej. Brutalnie przekonał się o tym Andrzej Bies, były górnik, bohater przejmującego serialu dokumentalnego *Serce z węgla*, który będąc rzetelnym i solidnym pracownikiem nie mógł znaleźć swojej szansy na rynku pracy. I pewnie nie znalazłby jej do dzisiaj gdyby nie popularność filmu. Sceny, w których wraz z przyjacielem sprzedają pluszowe zabawki mogą symbolizować obecną sytuację nosicieli tradycyjnego etosu pracy.

Równie dramatyczną wymowę mają wyniki badań zespołu socjologów kierowanych przez Kazimierza Wódz. Badacze przyjrzeni się zbiorowości górników byłego województwa katowickiego. Doprowadziło ich to do stwierdzenia, że *przekształcenia rynku pracy - wynikające z ogólniejszych procesów zmian społecznych, na Śląsku związane przede wszystkim z restrukturyzacją ekonomiczną - stawiają coraz wyższe wymagania dotyczące kwalifikacji, elastyczności, kreatywności i prowadzące do jego deregulacji, coraz większej zmienności oraz nieprzewidywalności, będą wyzwaniem przekraczającym możliwości adaptacyjne górników. Jakkolwiek kwestia prostego dziedziczenia zawodu i tradycji zawodowych [...] odeszła już w przeszłość, to nie zostały (i raczej długo jeszcze nie zostaną) przezwyciężone prawidłowości wynikające z wpływu pracy zawodowej na osobowość, prowadzące tak czy inaczej do dziedziczenia*



Rys. Marek Polanski

czenia przez dzieci pozycji społecznej ich rodziców, a więc w efekcie do powielania wzorów kariery zawodowej i drogi życiowej.

Świadomi tego coraz częściej są sami Ślązacy. W wywiadach zebranych podczas badań autora w społecznościach górniczych Murcek i Łędzin przejawiał się żal, że tak niewielu z nich się kształciło, że liczyło się szybkie pójście do pracy a nie dalsza edukacja. Dla rodowej Ślązaczki, mojej rówieśniczki z Hołdunowa Ślązak jest jak ten koń, którego zwozili na dół, klapki na oczy, do roboty i koniec. Ludność napływowa była bardziej myśląca - oni tam szybciej zaskoczyli, że trzeba zrobić kurs, pójść do szkoły. Jeszcze większa gorycz przewija się w wypowiedzi o kilka lat od niej starszego górnika od kilku pokoleń z Murcek, dla którego górnośląski etos pracy zgubił Ślązaków,

każdy szedł do pracy a nie do szkoły!.../ głupi etos pracy górniczej. Dumę zastępuje gorycz.

Wypowiedzi takie pokazują konieczność powrotu do dyskusji nad śląskim etosem pracy. Spojrzenia nań z dzisiejszej perspektywy. Zrewidowania powszechnie panujących mitów, do czego już kilka lat temu nawoływał Michał Smolorz. Ocenienia, które z jego elementów mają jeszcze rację bytu (np. zaangażowanie w pracę), a które odchodzą wraz z zamykanymi kopalniami. Rewizja taka powinna sprzyjać temu by społeczność górnośląska znalazła swe miejsce w globalnym społeczeństwie informatycznym, zachowując swą kulturową tożsamość, ale wyzbywając się kłopotliwego dziedzictwa. Wtedy może znów będzie więcej uzasadnionej dumy, a mniej goryczy.

Kilka lat temu w Żorach zrozumieli, że jedyny atut, jaki pozostał miastu po latach niekontrolowanego rozwoju, to jego dogodne położenie.



Zdjęcia: Zenon Keller

Żory koło Katowic

MAREK
BASTER

Rok 1979. Liceum im. Karola Miarki w Żorach. W auli trwa sesja rady miejskiej, z udziałem klas trzecich i maturalnych. Żeby pokazać młodym ludziom, zapowiedział w przeddzień dyrektor, na czym polega socjalistyczna demokracja. Przemowy, liczby, plany. Podsumowujący głos do młodzieży daje pierwszy sekretarz Kuczek: „Patrzycie codziennie, jak zmienia się wasze miasto. Jako rosną nowe osiedla, rozwija się przemysł. Przyjeżdżają do Żor z całego kraju ludzie, którzy w naszym mieście zobaczyli swoją szansę na nowe, lepsze życie. Musicie się, młodzi, w to włączyć. Uczcie się. Wyjeżdżajcie na studia. I wracajcie do swojego miasta. Budujcie je, bo tu jest wasza przyszłość”.

Jedno miasto. A naprawdę dwa miasta. Każde żyjące swoim rytmem, choć już nie jak kilkanaście lat temu - każde swoim życiem. Najbliżej mają do siebie od maja do września, kiedy na rynku odbywają się liczne imprezy, a pod parasolami otwierają się piwne ogródki. Wtedy ulice Szeptyckiego i Moniuszki, łączące stare Żory z Osiedlami Księcia Władysława i dalej, Osiedlem Po-

wstańców Śląskich, zmieniają się w zakupowy deptak.

Pierwsze miasto zaczyna się od drogi z Katowic do Wisły, rozległą dzielnicą Kleszczówka. Wpada do centrum ulica Dworcowa, gdzie wyżej, setki lat temu, stała Brama Krakowska, przez którą wyjeżdżali traktem ku stolicy kupcy z Moraw, Węgier i południa Europy. Od owalu ulic zamykających średniowieczny układ miasta rozchodzą się językami stare Żory w Rybnicką, Folwarczką, Osfińską, Pszczynską. Tu ludzie pozdrawiają się na ulicy i wiedzą prawie wszystko o sąsiadach. Od lat siedemdziesiątych uczyli się nowych słów: „wielka płyta”. Rzeczywiście, wielka; kiedy za parkiem miejskim stanęły dwa jedenastopiętrowce przyszłego Osiedla 700-lecia, okazały się za wysokie, by obcy się bez pierwszych w mieście wind. Co to była za atrakcja dla miejscowych szczeniaków! A potem z otaczających miasto pagórków błyskawicznie znikły pola i łąki, i drzewa. Rosły bloki, bloki; żorzanom nigdy nie przyszłoby do głowy nazwać ich „domami”.

Drugie miasto siedzi okrzakiem nad starymi Żorami. W nocy, jadąc w kierunku Wisły, wygląda malowniczo jak jakiś Manhattan. Enerdowskim betonem, z gwarancją budowlaną na 99 lat, opasało miasto od wchodu i od południa. Osiedla A”, „B”, „C” niebawem przechrzczono na „XXX-lecia PRL”, „Powstańców Śląskich” i „Pstrowskiego”, a potem, kiedy ostatnie, największe osiedle wolno już było nazwać imieniem Sikorskiego, Pstrowskiego zastąpił Korfanty, a XXX-lecia PRL zmieniono na Księcia Władysława. To w nowych Żorach dwadzieścia lat temu dostawało się kluczyki do własnego M-ileś-tam w ciągu miesiąca, góra trzech. To była „baza” przemysłu węglowego; „nadbudowa”, czyli sklepy i szkoły, musiały czekać w kolejce. Ale ciągnęli do Żor, zwabieni przez kopalnianych werbowników, ludzie z Pomorza, Dolnego Śląska, Zamojszczyzny, Kieleckiego. Z całej Polski. Najwięcej młodych. Mieszkanie i dobra, przeważnie dla głowy rodziny, praca. To pozwalało zapomnieć o braku komunikacji (od czego były takśówki) i braku nowych sklepów (były gewexy i autobus do Katowic). A na święta i tak się jechało „do domu” - na Pomorze, Dolny Śląsk, Zamojszczyznę, w Kieleckie. W całą Polskę.

Jest i trzecie miasto w mieście. Okoliczne sołectwa należące do powiatu żorskiego, zawieszane między miejskością a wiejskim charakterem. Życie płynie w nich wolniej, więcej są silniejsze, a problemy - nowa droga, szkoła czy chodnik - dadzą się przegadać w wiejskim szynku. Domy w większości otoczone siatką pól, ale dwuzawodowość jest tutaj starsza niż jedno pokolenie. Pracę zawsze dawały okoliczne zakłady i kopalnie - te same, do których zjechali ludzie z Polski.

Te dwa, a może nawet trzy organizmy powoli zrastają się. Jeszcze kilkanaście lat temu, mimo wszelkich zakłębów władz, były odwrócone do siebie plecami. Do zbliżenia przyczynił się, może paradoksalnie, upadek żorskich przedsiębiorstw i osłabienie pozycji górnictwa, bo okazało się naraż, że wszyscy, bez względu na korzenie i akcent, mają te same problemy ze znalezieniem pracy. Już dzieci „starych” żorzan wprowadziły się do osiedlowych mieszkań. Już co majętniejsi „nowi” żorzanie budują się w sielskim krajobrazie za miastem. Mieszkańcy osiedli na Boże Narodzenie nie wyjeżdżają tak gremialnie, jak kiedyś, tak głośno - „do domu”. Dom, dla ludzi urodzonych w Żorach, nawet jeśli w bloku z wielkiej płyty, jest tutaj.

Migracja nie załatwi problemu

Grzegorz Utrata. Od roku 1977 do 1982 roku naczelnik, a potem aż do 1989 roku prezydent miasta.

- Jest pan dumny z tego, co w Żorach zbudowano?

- Nie mam się czego wstydzić. Wiele spraw przegraliśmy, ale co było w tamtych warunkach do zrobienia, zrobiliśmy. Usiłując, co było szalenie trudne, godzić interes miasta z interesem ponadmiejskim.

- A interes ponadmiejski to były plany węglowych baronów, żeby zbudować nowe miasto dla potrzeb okolicznych kopalń.

- Liczył się węgiel i nie więcej. Dopóki się dało, osiedla lokowano wokół nowych kopalń w Wodzisławiu i przede wszystkim w Jastrzębiu. Aż w końcu brakło wolnych terenów pod budownictwo, które by nie były narażone na szkody górnicze. Kiedy przyszedłem do Żor, stało już osiedle 700-lecia, budowało się XXX-lecia PRL. Presja górnictwa na miejskie władze była silna, decyzje często przesądzające. Mieszkania i mieszkania, sklepy i szkoły później. Mówiliśmy: skoro infrastruktura nie nadąża, to róbmy sklepy i usługi chociaż na parterze nowych bloków; okazało się, że Fabryka Domów nie produkuje odpowiednich prefabrykatów, żeby elementy parteru były wyższe od elementów następnych pięter... Aż na początku lat 80. postawiliśmy ostro sprawę, że to nie może być tylko „sypialnia”, zaludniona - jak to określali pogardliwie nawet socjologowie - „lumpenproletariat”. To miało być prawdziwe miasto ze szkołami, sklepami, urzędami. W 1982 roku wprowadzono komunikację miejską, a w latach 1984-85 pojawiła się możliwość, za poparciem władz wojewódzkich, żeby nadrobić braki w inwestycjach towarzyszących, w drogownictwie, służbie zdrowia. Realizowano także inwestycje mające dać pracę kobietom - zakłady Krywałd ERG-2. Piekarnię Mechanicz-

ną i spółdzielcze zakłady wytwórcze. Powstał samodzielny Cech Rzemiosł Różnych.

- Kiedy stanął ostatni żorski blok?

W 1989. Gdyby to się nie zatrzymało, tam gdzie dziś stoi Auchan, byłoby Osiedle „J”, a na zapleczu dzielnicy Zachód stałyby kolejne bloki dla kopalni „Krupiński”.

- W ciągu jednego pokolenia z miasta kilkunastotysięcznego zrobiło się 64-tysięczne, w którym bezrobocie przekroczyło jedną czwartą aktywnych zawodowo.

- A było jeszcze więcej - w 1989 roku Żory liczyło blisko 67 tysięcy. Teraz miasto musi popierać rozwój małej i średniej przedsiębiorczości, dbać o specjalną strefę ekonomiczną. Ale te działania ani migracja nie załatwią problemu. Szumnie zapowiadana strefa nie jest wcale takim wielkim sukcesem. Najwięcej zależy od poprawy sytuacji gospodarczej w całym kraju.

- Czy osiedla już się z miastem zintegrowały?

- To wymaga czasu. Ale postępuje. Są już „mieszane” małżeństwa, choć rodzice tych młodych ludzi wciąż patrzą w swoje rodzinne strony. Mieszkańcy osiedli chętnie uczestniczą w imprezach i lokalnych świętach, także w zupełnie wyjątkowym, obchodzonym tylko u nas, Święcie Ogniwym. A takim zasadniczym pomysłem było wprowadzenie do szkół przedmiotu „Dzieje Żor”, mojego zresztą współautorstwa. I proszę wierzyć, że lepszą wiedzę o historii miasta i regionu mają uczniowie szkół osiedlowych.

300 samochodów na tysiąc mieszkańców

Blok nie różni się niczym od pozostałych na tym osiedlu.

Pod jedynką mieszkają X-owie. On jest szychą w spółce węglowej, ona pracuje w przedszkolu. Dwoje dzieci. Choć od dwudziestu lat w Żorach, nigdy nie zapuścili w tym mieście korzeni. Na rynku w Żorach może byli wszystkiego parę razy: w Wadowicach i tak wszystko najlepsze na świecie. To w Wadowicach urodził się młodszy syn, w Wadowicach jest najlepszy fryzjer, w Wadowicach staje ich 300-metrowy dom. Tam nawet powietrze jest lepsze, więc tam się przeniosą, jak tylko X. przejdzie na emeryturę.

Pod dwójką pięcioosobowa rodzina Z. Pochodzą z Olsztyna. Tak mówią, ale sąsiedzi podejrzewają, że to tylko olsztyńskie. 45-letni Z. jest na urlopie górniczym. Żona nigdy nie pracowała, tylko dorywczo w firmie przetwórstwa owoców. Starszy syn pracuje w kopalni, młodszy jest w wojsku.

Numer trzy. Nauczyciel i urzędniczka. Miejscowi. „Hanysy”, mówią o nich ci spod dwójki, ale z sympatią. Dziecko w drodze.

Para 30-latków z dzieckiem wprowadziła się pod czwórkę dwa lata temu. On pracuje w hurtowni papierosów, ona przy dziecku. Pochodzą spod Rybnika, tam na gruncie po ojcu stawiają nowy dom. Jak dobrze pójdzie, na jesieni będą się wyprowadzać.

Numer piąty to dziadki. Tak ich tu nazywają. Para 70-latków przeprowadziła się w ubiegłym roku. Gospodarstwo na Lubelszczyźnie oddali za renty i przyszedli do Żor rok temu, za dziećmi. Jeden syn mieszka w Jastrzębiu, drugi w Żorach. Tu już zostaną.

Szóstka to mieszkanie własnościowe gościa z Osiedla Powstańców. Mieszkanie jest do wynajęcia. Co roku wprowadzają się nowi lokatorzy. Wszyscy podobni do siebie. Może dlatego, że zawsze to jest kierowca z niepracującą żoną.

Pod siódmką Y. Żorzanin, po rozwodzie. Razem z przejściem na urlop górniczy kupił działkę. Tam spędza całe dni od kwietnia do października. W tym roku nawet szybciej, bo zima była krótka. W życiu, powiada, się stąd nie wyprowadzi, chyba że na komunalny cmentarz.

Numer osiem to 5-osobowa rodzina 45-letniego emerytowanego górnika. Najstarszy syn wyprowadził się po ślubie, córka studiuje zaocznie marketing w Katowicach i pracuje dorywczo. Najmłodszy Julian chodzi do piątej klasy. To pewnie dla niego matka jeździ co kilka miesięcy sprzątać u bogatych Włochów. Teraz w bloku mówią na nią „Signora” albo „Mokra Włoszka”.

O tych spod dziewiątki nic się nie da powiedzieć. Choć mieszkają tu już piąty rok, sąsiedzi nie usłyszeli od nich nigdy więcej od rzucanego na klatce „dzień dobry”.

A pod dziesiątką Z-owie. Ona pracuje w barze szybkiej obsługi w Żorach, on jest na wczesnej rencie i łapie się drobnych zajęć. Syn jest w wojsku. Za Limanową, w ich rodzinnych stronach, rośnie nowy dom. Tam się przeniosą - jak pójdzie dobrze, już za dwa lata.

Blok nie różni się niczym od pozostałych na tym osiedlu. Parking zatłoczony, auta zajęły nawet chodniki. W Żorach na 1000 mieszkańców zarejestrowanych jest 300 samochodów.

Cegła w murze bezrobocia

„**M** iasto w pow. Rybnik, nad rz. Rudą, przy kolei Orzesze-Jastrzęb, z 5.959 mieszk., przemysłem metalowym, młynami, tartakami i fabryką wódek”. Tyle o Żorach w przedwojennej „Encyklopedii Gutenberga”. „Przemysł metalowy” to pewnie dawna fabryczka rowerów Barteckiego, po której zostały dziś tylko zabudowania. Spośród licznych tartaków, jeden należał zapewne do państwa Sternów, rodziców późniejszego noblisty. Odlewnia żeliwa, zwana Hutą Pawła, z przylegającym doń młynem stoją i pracują do dziś. By-

ła jeszcze „Minerva”, z której powstały państwowe Zakłady Wytwórcze Urządzeń Sygnalizacyjnych. I to chyba cały przemysł, bo aż do końca lat sześćdziesiątych sześćoipółtysięczne wówczas Żory rzemiosłem i okolicznym rolnictwem stały. Za pracą się jeździło, przeważnie do kopalń ROW-u i powiatowego Rybnika. Co nawet miało swój wymiar na pieczętkach pocztowych: „Żory koło Rybnika”.

Aż kiedyś genialny kartograf w komitecie albo w ministerstwie górnictwa wskazał palcem na mapie: Tu będzie nowe miasto!, i wystawił Żorom fabrykę domów. Mieszkańców przybywało w tempie kilku tysięcy rocznie - okoliczne kopalnie wchłaniały wszystko. W 1979 roku otwarto z wielką pompą KWK „ZMP”, prezydent dziennika telewizyjnego połączył się na żywo z kopalnią, z której sztygar donosił, że właśnie wyjechał na powierzchnię pierwszy wózek z węglem. Ludzie i tak wiedzieli, że wagonik z węglem przyjechał podziemnym chodnikiem z kopalni „Borynia”, bo za miastem fedrowano więcej kamienia niż węgla. Co było do okazania w roku 1996, kiedy kopalnię, wtedy już KWK „Żory”, definitywnie zamknięto. A potem Zakłady Tworzyw Sztucznych „Krywałd-Erg”. Ludzie zostali.

Jakoś w tym samym czasie wszyscy zaczęli odmieniać jak zakłęcie nowe słowa: Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Objęła ona tereny na granicy Żor i Pawłowic, na terenie niedosłej kopalni „Warszowice”. Ale rychno okazało się, jak lubi powtarzać prezes Andrzej Zabieglński, że strefa to tylko „cegła w murze bezrobocia”. Tylko lub aż - w końcu w firmach, które skorzystały z dobrodziejstw strefy (Lakma, Libet, Mokate i in.), pracuje pół tysiąca ludzi. Ale dawni entuzjaści strefy stali się malkontentami. Dziś chętnie pokazują palcem, że w strefowych przedsiębiorstwach jest praca nie tylko dla żorzan.

- *Nieprawda, najwięcej jest mieszkańców Żor - macha ręką Zabieglński. - Niektórych nie da się przekonać, że jak firma rozkręca inwestycję, to najpierw ciągnie kadrę ze sobą, a dopiero potem idzie nabór i szkolenia. Tam jeszcze niedawno stały budynki, co ja mówię - ruiny po niedosłej kopalni „Warszowice”. Teraz jest to teren zagospodarowany, z pełną infrastrukturą, na wykonaniu której gmina na pewno nie straciła.*

To spowolnienie rozwoju gospodarczego sprawiło, że w strefie nie pracuje 972 pracowników, jak deklarowano jeszcze parę lat temu. Jedne firmy uciekają przed sezonowością produkcji (producent kostki brukowej Libet zatrudnia 69, zamiast 100 pracowników), inne (Mężyk i Synowie) wyprowadzają się. Ale Zabieglński twierdzi, że za drzwiami czekają kolejni inwestorzy, którzy mają ochotę na nowe tereny.

w strefie. Dwie firmy, z którymi negocjuje, mają zatrudnić jeszcze 500 osób.

Jakie to firmy i skąd są, Zabieglński nie powie. Powie tylko, że na ścianie w jego gabinecie wisi kalendarz z wido-

kami Japonii.

Jak się kochają

Na początku lat osiemdziesiątych ludzie w Żorach kochali się na potęgę, a przyrost naturalny dorównywał przyrostowi naturalnemu w Mexico City. Jeszcze pod koniec tamtej dekady liczba mieszkańców, którzy nie przekroczyli 18 lat, sięgała 40 proc. Wdzięczny motyw do czarujących rzeczywistości haseł w rodzaju „Republika młodych”, albo „Żory miastem tradycji i młodości” Miasto liczyło 67 tysięcy mieszkańców i miało dojść do 100 tysięcy. Nową szkołę podstawową numer 14 na Osiedlu Sikorskiego zaplanowano wówczas na blisko 2000 uczniów. W roku 1988 naukę rozpoczęło 16 klas pierwszych!

Kilkanaście lat później wyż demograficzny przeniósł się do szkół zawodowych i średnich. Teraz w byłej szkole podstawowej nr 14 mieści się gimnazjum i liceum im. Zbigniewa Herberta. Młodzież chyba nie chce popełnić błęd rodziców: dziś tylko co trzeci absolwent szkoły podstawowej wybiera naukę w zawodowce, większość (67 proc.) idzie do liceum. A potem, często, na studia. Dla tych, którym za daleko do Katowic, Gliwic czy Krakowa, miasto zafundowało filię Politechniki Śląskiej, a rozmowy mające na celu otwarcie filii Górnośląskiej Wyższej Szkoły Handlowej, są na dobrej drodze.

Ale i tak dla wszystkich nie starczy miejsca. Z Żor będzie się wyjeżdzać - już się wyjeżdża. Liczba wymeldowań była w ub. roku trzykrotnie wyższa niż liczba zameldowań. Miastu, które nie otrząsnęło się jeszcze z szoku po chaotycznej rozbudowie i nie zdążyło ustabilizować się demograficznie, ubywa mieszkańców. W 1997 roku liczyło 65.664 żorzan, w roku 2001 - 63.850. Ten proces trwać będzie jeszcze kilka lat, aż zatrzyma się na sześćdziesięciu czy sześćdziesięciu i paru tysiącach. W końcu to wciąż małe miasto, a małe miasta, jak mawiał Fellini, są po to, żeby z nich wyjeżdżać.

Tymczasem dawni uczniowie szkoły numer 14 sami zakładają dziś rodziny. Miasto notuje najwyższą w województwie śląskim liczbę zawieranych małżeństw. W Żorach znowu się kochają: przyrost naturalny przewyższył średnią wojewódzką, sięgając 5,3 promille.

Przekłeta statystyka

Są trzy stopnie kłamstwa: kłamstwo, wielkie kłamstwo i statystyka. *Bon mot* Disraeliego nigdzie tak się nie sprawdza, jak w Żorach. W grudniu 2001 roku liczba bezrobot-



Foto: Zenon Keller

nych wynosiła 5046 osób, w styczniu 2002 r. wzrosła do 5329 osób. A więc 28 procent. Ponad połowa to kobiety. W tej przygnębiającej statystyce Żory nie ścigają się już z Zawierciem: mają bezapelacyjnie pierwsze miejsce w całym województwie śląskim.

28 procent. A więc tyle osób, biorąc pod uwagę wszystkich zameldowanych w gminie ludzi aktywnych zawodowo, pozostaje bez pracy. A co z tymi, którzy pracują w innych miastach?

- Kto dojeżdża do pracy w Katowicach, „zaniża” statystykę bezrobocia w Katowicach - mówi Urszula Kirmel, kierownik Powiatowego Urzędu Pracy w Żorach. - Ja mieszkam w Rybniku i, pracując w Żorach, „zawyżam” poziom bezrobocia w Rybniku.

Może być coś na rzeczy. Katowice mają jakieś siedem procent bezrobocia, a sąsiadujące o miedzę Siemianowice Śląskie, skąd zawsze się jeździło do pracy w Katowicach, aż 24 procent.

Więc jeśli aktywnych zawodowo w Żorach jest mniej więcej 18 000 osób, bezrobotnych ponad 5000, to ilu jest tych, którzy tu mieszkają i dojeżdżają do pracy, składając się na ten statystyczny paradoks? Władze miasta szacują, że to około pięciu, sześciu tysięcy osób. W przypadku miasta-sypialni ta liczba waży więcej niż w przypadku innych miast, dotkniętych strukturalnym bezrobociem. I będzie zapewne rosnąć, gdyż przedsiębiorstwa w mieście nie są w stanie wchłonąć w najbliższych

latach pokolenia wyżu demograficznego. Na szczęście z Żor jest wszędzie blisko - do Rybnika, Wodzisławia, Mikołowa, Gliwic czy do Katowic. A młodzi są dzisiaj bardziej mobilni od swoich rodziców.

Pierwsze dane o wysokości bezrobocia pochodzą z grudnia 1993 roku. Bez pracy były wtedy w mieście 3243 osoby, to jest 17,7 proc. Dużo, już dramatycznie dużo w czasach, kiedy stopa ogólnopolska nie przekraczała wskaźnika jednocyfrowego, nie mówiąc o stolicy czy wojewódzkich Katowicach. Przez parę lat powoli lecz systematycznie spadała, do 15 procent w czerwcu 1998. A potem, jesienią tego samego roku przyszedł kryzys i wskaźnik poszybował w górę, aż do 26,7 proc. w grudniu ub. roku. I nie chce spaść.

Bezrobotnych nie przybywa, jak mogłoby się wydawać, po zakończeniu roku szkolnego, kiedy absolwenci szkół średnich zaczynają się rozglądać na rynku pracy. Oni chcą mieć spokojne wakacje, nie myślą meldować się co miesiąc w pośredniaku. Dopiero we wrześniu co trzeci absolwent rejestruje się jako bezrobotny. Wśród nich (dane z grudnia 2001 r.) na 452 osoby, najwięcej było absolwentów zasadniczych szkół zawodowych (129). I tylko (lub aż - niepotrzebne skreślić) 49 osób z wykształceniem wyższym.

I znów - ta przeklęta statystyka. Szacuje się, że przynajmniej 40 proc. bezrobotnych mężczyzn pracuje na czarno,

sezonowo bądź na stałe, w firmach budowlanych, transportowych i w warsztatach, w Żorach i gdzie indziej. To raz. Dwa, że statystyki bezrobocia w ogóle słabo penetrują firmy małe, zatrudniające do 8 osób, a tych jest w mieście najwięcej. Wreszcie po trzecie: kto spośród zgłaszających się jako bezrobotni tak naprawdę szuka pracy, bo musi, bo nie starcza na czynsz, a kto potrzebuje rejestracji w urzędzie pracy po to, aby dostać legitymację ubezpieczeniową, zasiłek rodzinny albo żeby otrzymać pomoc z MOPS-u? Spośród ponad 5000 zarejestrowanych bezrobotnych najwyżej jakieś 3000 rzeczywiście potrzebuje i szuka pracy.

- W każdym razie jest faktem, że więcej osób od nas się wyrejestrowuje z powodu braku potwierdzenia gotowości do podjęcia pracy niż z tytułu podjęcia zatrudnienia - mówi Urszula Kirmel. - Niestety, bardzo dużo jest w naszym rejestrze osób z wykształceniem podstawowym i niepełnym podstawowym. W grudniu było ich aż 1370. W tej liczbie są również żony górników, które nigdy nie pracowały. Mąż pracuje, albo nie, dzieci już odchowane. Teraz się rozglądają za pracą. Ale ofert na proste prace, także na sprzątanie, jest bardzo niewiele. Aż 1325 osób nie ma w ogóle żadnego stażu pracy. Większość to ludzie w wieku najbardziej niebezpiecznym, jeśli chodzi o znalezienie pracy, to znaczy po czterdziestce.

Będzie im trudno. To wciąż efekt węglowej monokultury tego miasta, który, choć z opóźnieniem, musiał przyjść. Ludzie DOSTAWALI mieszkania, DOSTAWALI pracę, DOSTAWALI wczasy i książeczki „G”. Teraz z trudem przychodzi do nich, że to nie praca szuka człowieka, ale człowiek chodzi za pracą. Żeby tę pracę dostać, trzeba się wpierw umiejętnie zaprezentować, a jeszcze wcześniej odczarować magiczne słowo „CV”. Kiedy jesienią ub.r. powstający w Żorach hipermarket Auchan ogłosił nabór pracowników, przysłało 3000 podań. Wiele było pisanych jak spod sztancy. Menedżer ds. zatrudnienia odkładał na bok jedno po drugim. Co kilkanaście podań podnosił brwi: „O, ten napisał coś od siebie!”. I ten dostawał pracę. Co piąty spośród chętnych.

A teraz wielkie larum w mieście, że Auchan, który miał stworzyć tyle nowych miejsc pracy, zwalnia. Hipermarket otwierał się przed Bożym Narodzeniem i waliło doń całe miasto z przyległościami. Zatrudniono 600 osób. Połowa to żoranie. Około setki podpisało umowy na czas określony, właśnie przed gorączką świątecznych zakupów. W styczniu im podziękowano.

Ale przed Wielkanocą Auchan znowu przyjął nowych ludzi.

Skawki pamięci

Starożytni Grecy utrzymywali, że żadne miasto nie ma prawa nazywać się miastem, jeśli na jego centralnym placu nie stoi okazała fontanna. Szanujący się podróżnik w XVIII wieku omijał miasto pozbawione rynku. Żory mają jedno i drugie. Wprawdzie fontanna ma ledwie parę lat, a cukierkowy rynek, oczko w głowie władz miejskich, jest odrestaurowaną makietą zniszczonego w 1945 roku przez Rosjan śródmieścia, to Żory szczycą się nieprzerwaną miejskością od roku 1272. I w odróżnieniu od takiego Rybnika, który musi dodawać sobie niepewnych lat, mają na to papier: odpis dokumentu lokacyjnego księcia opolskiego Władysława. Na 725-lecie miasto wydało liczne książki i albumy, w tym *cymelium* - tłumaczenie z niemieckiego XIX-wiecznych „Dziejów Żor” ks. Augustyna Weltzla.

Burzliwa historia poskąpiła miastu autentycznych pamiątek. Resztki średniowiecznych murów obronnych, parę starych kamieniczek..., nawet gotycka fara pachnie świeżymi tynkami. Może właśnie dlatego historia jest w tym mieście żywa już w szkole. W żorskich gimnazjach prowadzony jest przedmiot „Dzieje Żor”, poświęcony historii miasta i regionu. Magistrat, razem z Towarzystwem Miłośników Miasta Żory, opracowały specjalny podręcznik i zeszyt do ćwiczeń. W programie: gwara śląska i regionalne obyczaje, historia Żor i regionu, współczesne życie mia-

sta. To sposób na integrację młodych ludzi - tych ze „starych” i „nowych” Żor. Pewnie rodzice tych ostatnich już nigdy nie zbudują swojej ojczyzny ze skrawków pamięci po rodzinnych stronach, zostawionych gdzieś w Polsce, i ze śląskiego pejzażu z blokami w tle. Ale młodzież nie musi mieć poczucia wykorzenienia; oni urodzili się tutaj. Program szedł na żywo. Dziennikarz, zgodnie z tytułem audycji, podkreślał napięcie. Nastolatek zabił rówieśnika.

Publiczność z osiedla, gdzie wydarzyła się zbrodnia, głośno pomstowała do kamery. Na policję, na sądy, na szkołę i na władzę. Poszło w świat, że Żory to soczewka polskiej przestępczości, której przyczynami są bezrobocie i nędza. Akurat na Osiedlu Gwarków bezrobotnych najwięcej; dla tych, którzy nie mają na czynsz, miasto przygotowało tu mieszkania zastępcze.

Tamto zabójstwo wydarzyło się naprawdę. Podobnie jak dwa inne. Razem były trzy w ubiegłym roku - o trzy za dużo. Za dużo było też o dziewięć gwałtów, 462 kradzieże, 527 kradzieży z włamaniem, 16 rozbojów z bronią. Tyle zanotowała policyjna statystyka w 2001 roku. Razem 2151 przestępstw. Była wśród nich głośna na Śląsku „afera receptowa” oraz, także opisywana przez media, drukarnia fałszywych banknotów (podłej jakości zresztą).

Ale Żory to nie Chicago. Kronika policyjna w lokalnej „Gazecie Żorskiej” przedstawia się nad wyraz banalnie. Na przykład tak: „Nieuwaga personelu hurtowni przy ul. Wodzisławskiej spowodowała, że nieznany sprawca skradł damską torebkę, w której wprawdzie było niewiele pieniędzy (20 zł), ale za to były tam dokumenty, słubna obrączka i męski zegarek”. Albo tak: „16 marca ok. pierwszej w nocy skradziono samochód marki renault zaparkowany przy ul. Kościuszki, będący własnością firmy z Katowic”. Albo tak: „21-letni kierowca fiata 126p, jadący pod wpływem alkoholu ul. Wodzisławską, uderzył w wysepkę i spowodował, że samochód się wywrócił”.

Większość przestępstw w mieście to włamania do piwnic i domków na działkach, kradzieże samochodów i torebek w sklepach, pobicia na dyskotekach. Najczęściej popełniane pod wpływem alkoholu przez niepracującą młodzież i osoby w wieku poprodukcyjnym, co w mieście takim jak Żory oznacza wczesnych emerytów górniczych przed pięćdziesiątką. Ot, polska norma w niezwykłym polskim mieście, które jako pierwsze, bo już w 1998 roku, zlikwidowało straż miejską, fundując w zamian dziewięć policyjnych etatów.

Również ci policjanci dziwią się, czemu w gazetkach wciąż piszą, że Żory przodują w statystykach przestępczości. Przecież na 31 miast w województwie, Żory są dopiero na dziesiątym miejscu, za Tychami, Wodzisławiem, Bytomiem, Piekarami, Sosnowcem.

Może być tylko lepiej...

- Przy drogach dojazdowych do miasta stoją billboardy z napisem: „W Żorach warto mieszkać”. Naprawdę warto?

- Oczywiście, że warto. Ja tu mieszkam od dziecka i tu chcę dalej mieszkać - mówi Waldemar Socha, prezydent Żor od 1998 roku.

- Ale kryzys, bezrobocie...

- Twierdzę, że problemy Żor wyprzedziły o kilka lat problemy innych miast śląskich. Restrukturyzacja, przed którą stają wielkie miasta GOP-u, tu się już dokonała. Nie ma już kopalni w mieście, okoliczne ograniczyły zatrudnienie. Największy kryzys Żory mają za sobą - teraz może być tylko lepiej.

- Malkontenci powiedzą: gorzej już być nie może.

- No, dobrze: są wciąż tacy, którzy uważają, że jak nie ma kopalni, to niech miasto wybuduje jakąś fabrykę. Ale to już było. W dzisiejszej rzeczywistości miasto jest od tego, aby stwarzać warunki rozwoju. Postawiliśmy na dogodnie położenie Żor, potencjał ludności w mieście i w najbliższej okolicy oraz na dogodną komunikację. W przyszłości ta ostatnia będzie jeszcze lepsza, kiedy przez Żory przejdzie autostrada A1 i druga, może jeszcze ważniejsza, nowa trasa Racibórz-Rybnik-Pszczyna. Dzięki temu nasze miasto może stać się prawdziwym centrum handlowo-usługowym dla całego subregionu. Jest już u nas Minimal, Hagebau, Auchan, niebawem otwiera się Lidl. Jeszcze w tym roku ruszy Centrum Logistyki.

- Tymczasem śródmiejscy kupcy narzekają, że spadły im obroty.

- A ja pytam, ile było sklepów w Żorach dziesięć lat temu, a ile jest teraz? Sądzę, że teraz jest trzy razy więcej. Inna sprawa, że ogólną tendencją jest dzisiaj spadek obrotów w handlu. On się będzie zmieniał, tak jak w Europie, gdzie wielki handel detaliczny zajmuje tereny podmiejskie, a w centrach miast są restauracje, usługi i sklepy o wysokim poziomie specjalizacji.

- Kiedy miasto tak naprawdę stanie się jednym organizmem?

- Kiedy urząd miasta kilka lat temu rozpoczął remont śródmieścia, mieszkańcy osiedli narzekali. To są przecież osiedla spółdzielcze. Ale się o nich nie zapomina: w tym roku, dzieląc koszty po połowie, wyremontujemy dróg, chodników i parkingów spółdzielczych za 1,2 miliona.

- A w znaczeniu ludzkim - kiedy wszyscy będą żyć w jednym mieście?

- Chyba już tak jest. Przypieczętuje to miejskie Centrum Usługowe, które powstaje między osiedlami Korfante i Księcia Władysława. Antagonizmy są już przeszłością. Może pięćdziesięciolatkiem tęsknią jeszcze za rodzinnymi stronami, ale ich dzieci, które urodziły się tutaj, są już u siebie. Są żorzanami.



Foto: Zenon Keller

Dogodne położenie

Sekretarz, który na początku lat 70. zaplanował budowę górniczej szypialni, wiedział, co robi. Jak spojrzeć na mapę, z Żor jest wszędzie blisko. Rybnik właściwie pod nosem, Wodzisław, Jastrzębie, Pszczyna - tylko parę kilometrów dalej. 36 kilometrów do Katowic, tyle samo do granicy w Cieszynie. A będzie jeszcze bliżej, bo minister Pol obiecał, że odcinek autostrady A1 z Gliwic do Gorzyczek ma być gotowy w 2006 roku. Planowana autostrada będzie mieć swój węzeł w Żorach, w podmiejskim Rowaniu, tam też przetnie się ona z całkiem nową drogą z Raciborza do Pszczyny.

Nie ma kopalni, nie ma „Ergu”, związał żagle ABB. A zatem dogodne położenie pozostaje największym atutem, jaki pozostał miastu po czasach niekontrolowanego rozwoju. Radni poszli tym tokiem myślenia i uchwalili „Strategię rozwoju miasta Żory”; skoro do Żor ma blisko jakiś milion ludzi, powinny się one stać ośrodkiem usługowym dla regionu. Ze wielkimi sklepami, centrami usługowymi i handlowymi. Wszystkie dadzą pracę miejscowym, a mieszkańcy okolicznych miast ściągają będą gromadnie do Żor na zakupy.

Przeglądając się rejestracją samochodów pod żorskim Auchanem, wydaje się, że ten pomysł ma sens. Są auta oznakowane „SZO”, ale najwięcej tych z gmin ościennych - „SJZ”, „SRB”, „SPS”. Auchan to największa inwestycja tego typu w mieście, ulokowana przy ulicy, a jakże!, Francuskiej. Gmina

poprosiła ok. 30 właścicieli o notarialne poświadczenia, że sprzedadzą swoje grunty, ona zaś, gmina, weźmie na siebie pozyskanie poważnego inwestora. Na 37 hektarach zmieści się teraz Auchan i osiem kolejnych firm usługowo-handlowych, które w przyszłości mają zatrudnić 2000 pracowników. Miasto ma z tego tytułu kompletnie uzbrojony teren, przebudowane skrzyżowanie z drogą na Wisłę i, last but not least, milion dochodu z podatku rocznie. To aż dwie trzecie wydatków gminy na policję i straż pożarną w 2002 r.

- Na świecie 20 procent społeczeństw pracuje bezpośrednio w produkcji, a 60 procent w usługach - mówi prezydent Socha. - W Żorach już mamy takie proporcje! Najważniejsze, że sami inwestorzy tak nas zaczynają postrzegać, a my dzięki temu wybieramy w ofertach. Był na przykład inwestor, który chciał postawić pod miastem spalarnię, jak najbardziej ekologiczną. Powiedzieliśmy, że dziękujemy, bo i tak ludzie będą mówić, że to jest szkodliwe dla środowiska. A środowisko to drugi najważniejszy atut miasta. Ktoś inny chciał postawić za sądem kolejny supermarket, odmówiliśmy, bo w tym miejscu planujemy coś innego.

Za budynkiem sądu, między dwoma osiedlami, powstanie centrum usług miejskich, do którego będzie równie blisko mieszkańcom starych i nowych Żor. A na terenie osieroconym po „Ergu” już w sierpniu mają ruszyć pierwsze hale Centrum Logistyki, w których znajdzie zatrudnienie 200

osób. W najbliższych latach zlokalizowane na 40 ha magazyny, hale produkcyjne i hale usług spedycyjnych dadzą pracę dla tysiąca ludzi. Pod warunkiem oczywiście, że minister Pol dotrzyma słowa i za cztery lata autostrada przejdzie kilka kilometrów od Centrum.



Rok 2002. Klub „Ambasada” w Żorach. Iza pracuje w centrum handlowym i studiuje marketing w Katowicach. Ojciec dołożył na 8-letniego malucha, do Katowic da się dojechać w czterdzieści minut. „Nie wiem czy tu zostanę”, mówi. Rodzice są na emeryturze, kilka miesięcy w roku spędzają na wsi pod Radomiem. „Luz jest, właściwie siedzę sama w M-4, ale pracę najlepiej byłoby znaleźć gdzieś w Katowicach”. Rafał po studiach rok nie pracował. Nie licząc składania komputerów na czarno, jeszcze na politechnice. Jest elektronikiem, teraz pracuje w hurtowni komputerów w Rybniku. Ma dziewczynę w Pszczynie, jej ojciec prowadzi warsztat samochodowy. „Noo, Rafał! Ty już masz fuchę u teścia!”, uśmiecha się Agata. Rafał: „Mieszkać mam gdzie, a wyjeżdżać? Chyba nie. No, bo gdzie teraz w Polsce jest lepiej?” Agata: „A ja stąd spadam. Zaraz po maturze. Kuzynka siedzi w Warszawie, jest kelnerką. Ma kaskę i studiuje”. „Ty zamiast na studia, trafisz do agencji modelek!”, śmieje się Iza. „Czemu nie? Brzydka nie jestem”.

Faktycznie, bardzo ładna dziewczyna.



Gdzie zaczyna się „cywilizacja analfabetów”?

Foto: Jarosław A. Krawczyk

Dziedzictwo i regres

BRONISŁAW
GOŁĘBIOWSKI

Po dziesięciu latach polskich transformacji ukazało się sporo książek próbujących oszacować ich wyniki i zarysować jakoweś perspektywy. Przykładowo: „Pierwsza dekada niepodległości. Próba socjologicznej syntezy”. Instytut Studiów Politycznych PAN Warszawa 2001; „Jak żyją Polacy?”. Instytut Filozofii i Socjologii PAN, Warszawa 2000; „Imponderabilia wielkiej zmiany. Mentalność, wartości i więzi społeczne czasów transformacji”. Wyd. Naukowe PWN. Warszawa-Kraków 1999.

Charakterystyczne, że w tych, składających się z wielu pozytywnych tomach, do których jeszcze wróć, nie uświadczysz rzeczownika „robotnik”, czy określenia „środowiska robotnicze”, nie wspominając już o „klasie”. Ogromna ilościowo

formacja społeczna — znikła, choć jeszcze niedawno przy jej czynnym udziale, i dzięki niej, rozlatywały się całe „obozy”, „pakty” a wreszcie „mocarstwo zła”. To prawda, że w dużym procencie przemieniono się w „bezrobotną masę”, chyba w większości zatrudnia się u przedsiębiorców, nierzadko dawnych przywódców związkowych, i boi się panicznie tylko jednego: zwolnienia z pracy. A o kulturze w tym środowisku nawet nie ma co wspominać: trochę telewizji, może też radio, niekiedy odwiedziny kościoła. I na tym się zwykle kończy...

Od Brzozowskiego do Czarnowskiego

Aprzecież tradycje swoistej podkultury robotniczej w Polsce, szeroko, antropologicznie rozumianej są długie i piękne. Również te z czasów tzw. „pierwszej Solidarności” (1980–1981 i z dekady lat 80.), a może szczególnie te tradycje? Najprzedniejsi tworzyli je intelektualisci i pisarze polscy. Na początku ubiegłego wieku — przypomnę — Stanisław Brzozowski w studiu „Myśl i praca” pisał: „Zagadnienie kulturalne naszej epoki polega wszędzie na tym: wytworzyć kulturę, to jest system wartości, myśli, pojęć tego rodzaju, aby za jego pomocą mogło kierować samym sobą, całym swym życiem, społeczeństwo świadomych robotników, nie ulegając żadnej reglamentacji ani w procesie twórczości materialnej, ani w swym życiu rodzinno-plciowym. Wytworzenie takiej kultury jest jedyną ideą centralną, pozwalającą znaleźć sens, kierunek w obecnym życiu umysłowym. Wartość inteligencji danego społeczeństwa zasadza się tym, w jakiej mierze zdolna jest ona podjąć się tego wielkiego dzieła”.

Problematyką kultury robotniczej w swych pracach naukowych czy publicystycznych a nierzadko także w praktyce działalności społeczno-kulturalnej w PPS, OM TUR, w związkach zawodowych, zajmowali się tacy koryfeusze polskiej nauki, kultury, piśarstwa, jak: Stefan Rudniański, Jan Hempel, Stefan Czarnowski, Stanisław Baczynski, Ignacy Fik, Kazimierz Kelles-Krauze, Kazimierz Czapliński, Feliks Cross, Zygmunt Mysłakowski, Józef Chałasiński, Stanisław Ossowski i wielu in-

nych. Celowo przypominam niektóre nazwiska, bo dziś nikt, w żadnej pracy, w żadnym wykładzie czy odczycie — o tym nie wspomni.

Trzeba też przypomnieć z dzieła Stefana Czarnowskiego jego zdefiniowanie kultury robotniczej, przede wszystkim jako kultury socjalnej (termin zaproponowany przez Antoninę Kłoskowską, która przecież także zajmowała się tą problematyką) i kultury bytu. Mam tu na myśli Czarnowskiego „Kulturę”, a w niej rozdział „Narodziny nowej kultury”, gdzie czytamy:

„Żaden Bóg nie pomazał proletariatu żadnym krzyżem, nie zesłał go na ziemię, by świat odnowił i zbawił, by ofiarą samego siebie oczyścił go. Powstał wprawdzie mit świata nowego i nowego człowieka. Ale ten mit ma swoje uzasadnienie — nie tylko swe źródła — w poczuciu, że jedynie praca jest twórcza”.

Czarnowski upatrywał szczególnie nowe wartości i wyróżniki kultury środowisk robotniczych w ich dynamizmie i optymizmie solidarności i „woli klasy”, zdolnej do przekształcania rzeczywistości i tworzenia imponującego etosu wspólnotowego, zbiorowego, o bardzo silnych więziach, odwadze i organizacji. Dostrzegał i doceniał dojrzewanie tych cech w historycznym procesie: „Proletariat dawniejszy, wczesnokapitalistycznych okresów, wytwarzał nowe religie. Proletariat okresu chałupnictwa wytwarzał utopie. Proletariat nowoczesny, przemysłowy, wytwarza filozofię praktyczną, pogląd na świat i moralność”.

Miedzy bogactwem a nędzą

Tyle przypomnień historycznych, bo trzeba zająć się początkami już XXI wieku, dniem dzisiejszym. Robotyzacja, mikroprocesory, niesłychany skok cywilizacyjno-technologiczny jakby „uhistorycznia” klasę robotniczą, czyni ją coraz bardziej pracownikami najemnymi i zmusza do zdobywania wysokich kwalifikacji techniczno-organizacyjnych. Czy jednak jest to przekreślenie tej formacji, czy tylko jej mutacja? Wprawdzie hiperglobalisci wieszczą nic tylko robotnikom, iż zbliżamy się do „świata bez pracy”, w którym tylko około 20% wyso-

kokwalifikowanych specjalistów, menedżerów będzie faktycznie pracowało, reszta będzie wegetować i zabijać czas czym się da...

Kultura i jej „uprawa” mogłaby być tym dobrem, które podtrzymałoby etos pracy. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż wynalazczość technologiczna, informatyczna, bioinżynieryjna człowieka zdystansowała już w II połowie XX wieku, po II wojnie światowej, jego przygotowanie społeczno-moralne, kulturowe do humanistycznego, mądrego, solidarnego użytkowania stworzonych i ciągle powiększanych możliwości. Akurat brakuje wartości etosu robotniczego. W wyniku tych narastających dysproporcji — wędnie etos społeczeństwa, liczba zagrożeń rośnie. A przede wszystkim narasta przekonanie — przeświadczenie głównie robotników a szczególnie bezrobotnych — o powiększającym się rozwarciu między biegunami bogactwa i nędzy. Ukazują to wyniki wszystkich badań najnowszych, które zawierają wspomniane przeze mnie na początku książki badania.

Wiele innych negatywnych zjawisk świadomości dotyczy w zasadniczym stopniu środowisk robotniczych. E. Wnuk-Lipiński i M. Ziolkowski piszą w zakończeniu „Pierwszej dekady...”, że modernizacja świadomościowo-kulturowa, w sensie nabywania przez społeczeństwo polskie „kompetencji cywilizacyjnej”, jest bardzo ważna w ogólnych procesach modernizacji: „Szkolą owej „kompetencji cywilizacyjnej” jest obecnie w znacznej mierze kultura popularna. W tej sytuacji podstawowym problemem staje się obecnie to, czy i w jakim stopniu serwowane w Polsce treści kultury popularnej sprzyjają modernizacji świadomościowo-kulturowej, w jakim zaś podtrzymują stare bądź wytwarzają takie nowe nawyki i sposoby postrzegania świata, które tej modernizacji bynajmniej nie pomagają”.

Wymowa liczb

W warunkach polskich mamy do czynienia z podwójnym zapóźnieniem rozwojowym, które może okazać się dość korzystne w zderzeniach kulturowych XXI wieku w skali globalnej. Jest to zapóźnienie cywilizacyjne oraz zapóźnienie etosowe. Trudno uznać,

które z nich jest rozleglejsze czy bardziej dolegliwe z punktu widzenia konkurencyjności nacji w „globalnej wsi”.

„Cywilizacja analfabetów” — to określenie kondycji społeczeństwa polskiego pod względem przygotowania do uczestnictwa w XXI-wiecznej cywilizacji wg badań UNESCO: 80% nie rozumie prostych informacji i pojęć, 81% nie potrafi sformułować krótkich komunikatów, 93% nie potrafi korzystać z nowych technik bankowości, 95% ma kłopoty z komputerem i internetem, 68% nie rozumie wewnętrznych zarządzeń i poleceń służbowych. (WPROST, 17.12.2000) To dolegliwe zapóźnienie ma różne przyczyny, ale skutki wobec wyzwań globalnych cywilizacji niedwuznacznie negatywne...

Etosem bierności i rentierstwa można nazwać stan rzeczy, ukazany w badaniach CBOS w początkach 2001 r.: 3% sądzi, że Polska odegra znaczącą rolę w Europie, 97% widzi rolę małą lub znikomą; tylko 28% badanych uważa, iż kraj rozwija się w dobrym kierunku, 57% — w złym; przy tym 87% uważa, iż nie ma żadnego wpływu na sprawę kraju (10%, że ma). 94% osób o najniższych dochodach oczekuje pomocy od państwa, 82% za swą sytuację wini rząd. Co szósty Polak uważa się za pechowca (16% w 1998, 17% w 1999). A „klasa polityczna działa raczej „usypiająco”, że wszystko jest w porządku...” (WPROST)

Bezpośrednim skutkiem wyżej wymienionych czynników jest szybko powiększający się stan ilościowy i jakościowy osadzonych w zakładach karnych i aresztach śledczych w latach 1989–2001 — od 40 do 80 tys. Przy czym jako społeczeństwo mamy tendencję do usprawiedliwiania przestępczości uwarunkowaniami społecznymi: biedą (63%), anonimowością właściciela państwa (52%), a nawet zawiścią wywołaną ostentacyjnym zachowaniem właścicieli (18%). To wg badań CBOS.

Z raportu Rady Europy z 1997 r. wynika, iż 69% obywateli III RP nie potępia złodziejstwa intelektualnego (plagiaty, piractwo płytowe, komputerowe, łamanie praw autorskich itp.), 67% uważa, iż drobne kradzieże powinny pozostawać niekaralne. W rezultacie w katolickim społeczeństwie złodziejstwo jest nie tylko dość powszechne, ale w dodatku tolerowane. (WPROST, 6.05.2001)

Polska lokuje się dość nisko w ocenach poziomu korupcji — 4,2 — gdy 10 oznacza nie występowanie w danym kraju korupcji (Dania — 10, Finlandia — 9,8, Szwecja — 9,4, Kanada — 9,2). Korupcja jest wielkim problemem w systemie politycznym III RP.

Lobbing w polskim parlamencie ma charakter korupcyjny, wg obliczeń ekspertów zablokowanie zakazu całkowitej reklamy papierosów musiałoby kosztować co najmniej 8–10 mln zł. (WPROST, 3.12.2000) Seria korupcyjnych afer w rządzie i wokół rządu III RP dopełnia kwestię, tym bardziej jeśli odnosi się to do resortów sprawiedliwości, obrony narodowej, bezpieczeństwa, łączności, nie mówiąc o powiązaniach z zorganizowaną przestępczością (minister sportu i jego śmierć). Komentarze zbyt częste.

Całość dopełnia narastające ilościowo i bezzasiłkowo bezrobocie, przy rozwierających się nożycach biegunów biedy i bogactwa. Ostentacyjna konsumpcja bezskrupułowych „nuworyszy” powoduje reakcję odrzucającą w skali zagrażającej idei społeczeństwa wolnokonkurencyjnego. Na pytanie, czy zróżnicowanie dochodów jest niezbędne, aby w Polsce zapanał dobrobyt, w badaniach CBOS „tak” odpowiadało w latach: 1997 — 38%, 1998 — 22%, w 1999 — 19%. Odpowiednio „nie”: 29, 43, 57%.

Znany polityk liberalny ocenia, iż: „Sami nuworysze przyczynili się do stworzenia negatywnej opinii o sobie, zwłaszcza poprzez epatowanie bogactwem, nachalne okazywanie swej wyższości”. (J. Lewandowski, WPROST, 3.12.2000)

Mamy do czynienia niewątpliwie z wielkim zderzeniem etosowym jako aspektem szerszych zjawisk globalnych i lokalnych, światowych i polskich. Specyfika polskich procesów jest dla zrozumienia procesu globalnego bardzo istotna. Trudny to problem do rozwiązania.

Robotnik sprywatyzowany

Wyliczyłem te dolegliwości i anomalia świadomościowo-kulturowe, bowiem dotyczą one środowisk robotniczych, świadczą o stanie „ducha” w tym środowisku. Stwierdza to J. Gardawski

w „Jak żyją Polacy?”, pisząc o robotnikach przemysłowych po pierwszej dekadzie transformacji. Na podstawie wyników badań konstatuje wyraźny podział na grupę robotników upośledzonych, niewykwalifikowanych oraz grupę robotników przemysłowych, posiadających już inne poglądy, plany itp. Gardawski pisze o tej grupie:

„Składają się nań robotnicy wyżej wykształceni, pracujący w większych przedsiębiorstwach, które mają względnie dobrą sytuację rynkową i wstąpiły już na ścieżkę prywatyzacji lub stały się spółkami o przewadze kapitału prywatnego. Robotnicy ci dają się opisać za pomocą brytyjskiego typu »robotnika sprywatyzowanego«. Są oni względnie dobrze zaadaptowani do sytuacji »inkorporowani«, akceptują gospodarkę rynkową w wersji przyjaznej, zdają sobie jednak sprawę, że pociąga ona pewne poważne koszty społeczne (nie zgadzają się jednak na bezrobocie). Wielu z nich jest przywiązanych do idei egalitarnych, zwłaszcza o charakterze umiarkowanym: postulują znaczne ograniczenia wysokości pensji. Nastawieni są instrumentalnie do pracy, chociaż cenią sobie stałe zatrudnienie i niechętnie krytykują własne przedsiębiorstwa. Różnią się pod tym względem od swoich kolegów sprzed kilkunastu lat. Solidarność kolektywistyczna z sierpnia 1980 wspominają z nostalgią, lecz sami nie byłiby obecnie skłonni do podejmowania akcji tego typu. W ich mentalności tkwi wątek, który można określić mianem drobnomieszczańskiego. Chętnie deklarują gotowość podjęcia ryzyka samodzielnej prywatnej działalności handlowej lub rzemieślniczej, popierają propozycje przekazywania pracownikom udziałów własnościowych.

Dziesięć lat gospodarki rynkowej doprowadziło do erozji wiary w możliwości samorządu pracowniczego i do zaniku utopijnego optymizmu, że sukces gospodarczy kraju leży w zasięgu ręki, wystarczy tylko pozbyć się tych, którzy stoją na przeszkodzie — klasy ówczesnej władzy. Obniżyło się także robotnicze poczucie wysokiej indywidualnej i kolektywnej wartości oraz kolektywnej solidarności”.

Warto się dobrze wczytać w tę charakterystykę, można bowiem dostrzec w niej załączki zmodyfikowanego etosu robotniczego XXI wieku w Polsce. Oby tak było. ■

Po obejrzeniu 25-minutowej „Męskiej sprawy” Sławomira Fabickiego (scenariusz i reżyseria) i Bogumiła Godfrejowa (zdjęcia) czułem, że - w sensie fizycznym - dziwnie krótko przebywałem w sali projekcyjnej, jak nigdy dotąd, z drugiej strony czułem się „nasycony”; wybierając się do kina miałem w sobie - jak zawsze - pewną wolną przestrzeń do zajęcia, i została ona szczególnie wypełniona.

Dwóch chłopców, Bartek z braciszkiem, podsuwa nieruchliwemu psu, czarnemu kundlowi o smutnych, udęczonych oczach, kanapkę ze szpinakiem(!). Pies jest zamknięty w klatce w schronisku dla bezdomnych psów. Wejście do klatki umożliwia im zabiedzony opiekun nędznego schroniska. Widzimy go, gdy ze swojej budki wychodzi z psiakiem przytulonym do piersi, w ręce trzyma butelkę ze smoczką, do połowy pełną. W ciągu kilkunastu sekund otrzymujemy pełny, zewnętrzny i wewnętrzny portret tego człowieka, w którym, mimo wszystko... kołacz się dobro. Pies opada z siłą, opiekun schroniska będzie musiał go uspić. Rozumiemy tego człowieka. Ale od pierwszych chwil jesteśmy po stronie Bartka i jego braciszka, czyli po stronie życia, mimo wszystko...

Świat, w jakim przebywamy przez dwadzieścia pięć minut, wyznacza kilka miejsc: mieszkanie Bartka i jego rodziny, prócz braciszka, mama i tata. Podwórko z trzepakiem. Chłopak wyznaczony do kary, zawisa rękami na poprzeczce trzepaka, aby przyjąć od kolegów solidne kopniaki w siedzenie... Prosta edukacja elementarnych reguł gry, jakie zaoferuje mu dorosłe życie. Boisko szkolne, koledzy ze szkolnej drużyny futbolowej, trener, dyrektor, katechetka... Dookoła, dzielnica biedy, świat łódzkiego przedmieścia ciemny, brudny, odrażający i zły.

Dom, ciasne mieszkanie, w garnku w najlepszym razie czeka na zgłodniałych chłopców zupa. W ręce taty (Marek Bielecki) wpada dzienniczek Bartka, a w nim uwagi nauczycieli: rozmawia na lekcjach, targa dziewczyny za włosy, nie odrabia lekcji, nie umiał podać wzoru na objętość czworoboku. Mama (Katarzyna Bargielowska) już wie, co się święci. Próbuje zapobiec karze: przypomina mężowi, żeby odłożył to na później i co rzychlej wybrał się do „pośredniaka”. Tata jest zatem bezrobotny. Mama montuje lalki, przymocowuje plastikowe główki do wątych korpusików. Tata bierze pas. Braciszek odruchowo ucieka pod stół. Tak to pewnie zawsze wygląda: zwyczajna, domowa egzekucja. Matka przytula twarz do szafy.

Szkoła, czyli drużyna piłki nożnej i trener (świetny Mariusz Jakus, niezwykle podobny do Harveya Keitela!), czyli pan od wufu, od pierwszej chwili widać, że to sadysta. Chłopcy to dla niego „plafusy”. On ma zdobyć, jak w poprzednim roku, puchar, dlatego wolno mu w szkole więcej, niż innym nauczycielom. Bartek chce wrócić na lekcje, bo pani - jak mówi - uwzięła się na niego. „Zwolnię cię” - uspokaja go trener.



Męska sprawa

Innym gwarantuje promocję, na najniższym poziomie, ale dobre i to. Ten człowiek ma pełnię władzy. Najwyraźniej ten cham, który obrzydliwie smarka „przed szeregiem”, patrzy na chłopców z pogardą opanował szkołę, rządzi dyrektorem, który pewnie przy braku innych sukcesów dydaktycznych chce mieć przynajmniej puchar. Bartek ma talent. Jest najlepszym napastnikiem. Ale Bartek mówi nie. Nie chce grać.

A więc bunt. Przeciwno przemocy, przeciwko gwałtowi, przeciwko światu. Ale nie wraca do klasy, lecz w szatni szuka kanapki z szynką, popalając sobie papierosa. Schwytyany na gorącym uczynku („nikotynizowania się”) staje przed obliczem dyrektora szkoły. Jesteśmy świadkami transakcji: daruj chłopakowi, a ja gwarantuję ci puchar. Bartek skłamał, mówiąc dyrektorowi, że trener go zwolnił. Trener potwierdza. Ma więc w garści Bartka. W tym małym świecie wszystkie tryby ząbują się o siebie, mechanizm podłości i kłamstwa działa całkiem sprawnie. Dyrektor konfiskuje Bartkowi paczkę tanich papierosów. Za chwilę sięgnie po papierosa z tej brudnej paczki. Daje to pojęcie o jego obyczajach, ale także o mizerności jego zarobków.

Ani na moment nie rozstajemy się z Bartkiem. W niedostrzegalny sposób przyjeżdżamy jego punkt widzenia, patrzymy na świat jego oczami. Wypełnia nas jego lęk. Boli nas jego ból istnienia. Katechetka odmawia z klasą Bartka piękną modlitwę: „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...” Bartek mechanicznie powtarza słowa tej modlitwy. On wie, że nie i nigdy nie będzie Anioła Stróża. Jest zdany na siebie. Jest sam we wrogim świecie.

Schroniska dla psów, szkoła, przyszkolone boisko i dom Bartka - te miejsca zachodzą na siebie, granice między nimi

POZA KADREM

zacierają się. Nie ma do kąd uciec, nie ma gdzie się schronić. Bartek wraca do domu: mama i tata podejmują wódkę trenera! Wtargnął i tutaj. Wywiązuje się nieporozumienie między dwoma „oprawcami” tatą i trenerem. Mama ożywiła się. To zasługa paru kielisków wódki. Nic innego nie potrafi jej ożywić. Trwa w rutynowej martwocie. Tata też kiedyś grał w piłkę. Słyszając, jak trener wychwala Bartka, już po wyjściu gościa, klepie syna w ramię: moja krew, mówi. Szansa na

porozumienie ojca z synem? Bartek zachowuje kamienną twarz. Nie ma w nim wiary, ni nadziei.

Czekają nas jeszcze tylko trzy sekwencje: trener, zły na Bartka, zrywa z niego koszulkę kapitana drużyny. Bartek rozpaczliwie się broni. Furia trenera-sadysty. Wstyd chłopca, który ma na plecach niezagojone ślady po biciu. Trener zniechęcony. Jeden z chłopców, na pytanie trenera: co to jest?, odpowiada cicho: ojciec go tłucze.

Bartek został obnażony nie tylko cielesnie. Odebrano mu godność. Ręce trenera-chama z nieoczekiwaną delikatnością dotykają ran na ciele Bartka. Scenarzysta i reżyser Sławomir Fabicki powoli zwalnia ukrytą i ściśniętą do tej pory sprężynę: trener, niczym niewierny Tomasz, dotknął palcem rany. Najwyraźniej przenika go na wskroś cierpienie, upodłone człowieczeństwo. W tym miejscu film jakby się na moment zatrzymał. Jakby wyczerpał swoją energię. Zawstydzony i upokorzony Bartek ucieka.

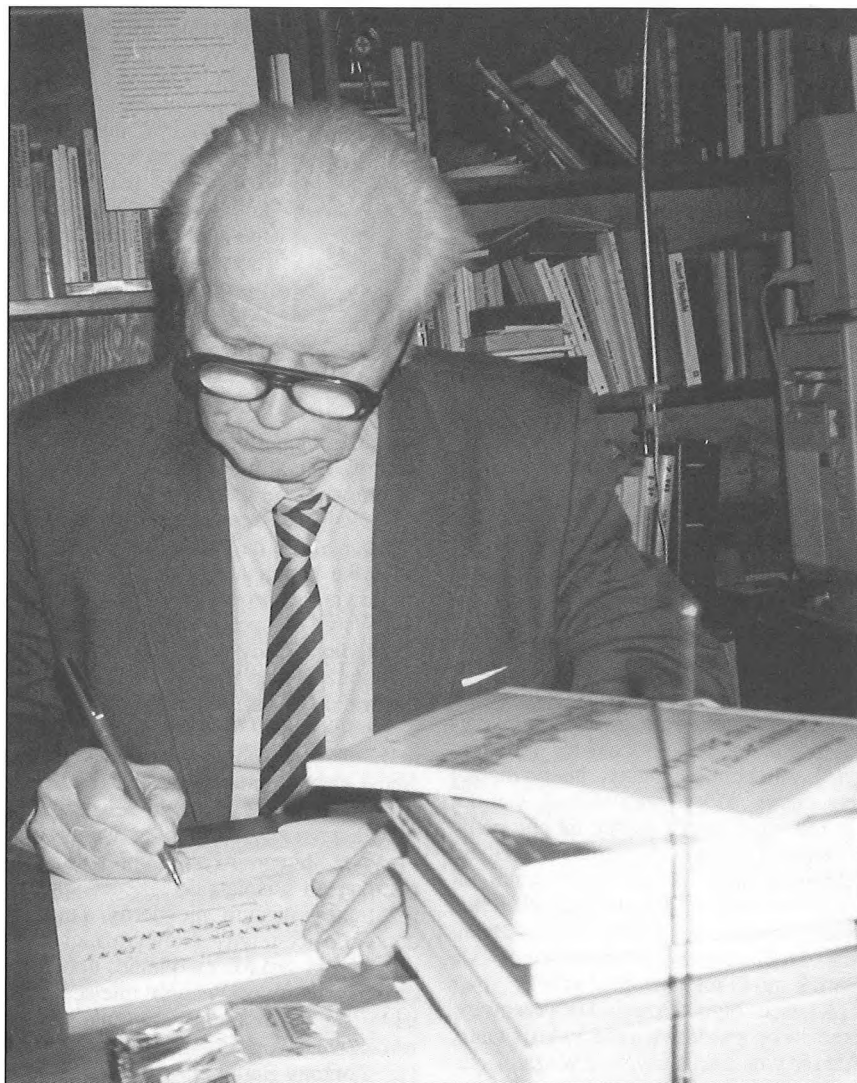
Ale jest jeszcze scena w domu Bartka. Trener rzuca się na tatę Bartka: jest to kara za bicie chłopca. Mama, naturalnie, rzuca się na trenera, w obronie męża. Braciszek zdradza, gdzie Bartek mógł się ukryć.

Schronisko dla bezdomnych psów. Bartek w klatce z psem. Przytulone do siebie, zaszczute istoty, które nie chcą mieć nic wspólnego z otaczającym je światem. Czyli z całym światem, bo innego, niż ten, nie znają. Trener szarpie drucianą siatkę, przeprasza Bartka, prosi, by wyszedł. Oczy Bartka i oczy psa. Film osiąga wielką intensywność emocjonalną. Każda sekunda sprawia ból.

I bezlitosna puenta: braciszek porusza wargami i bezgłośnie powtarza dwa słowa: nie wychodź.

Nie wiem, jaki był film bośniackiego reżysera, który otrzymał Oscara. Może doskonały, może lepszy, może gorszy od „Męskiej sprawy”. Nieważne. Ważne jest, aby Sławomir Fabicki i Bogumił Godfrejow zrobili, jak najszybciej, następny film. Jeżeli to się okaże nierealne, to znaczy, że Polsce niepotrzebne jest ministerstwo kultury, bo nie ma w nim kultury.

FELIKS NETZ



Profesor Włodzimierz Wójcik

MARIAN KISIEL

Najtrudniej pisać o człowieku, którego się zna od tak dawna, że myśli się o nim przede wszystkim w kategoriach własnej biografii. Profesor Włodzimierz Wójcik jest Mistrzem mojej uniwersyteckiej młodości i dojrzałości. Pod jego okiem zdobywałem wszystkie stopnie swojej naukowej kariery. Pamiętam go jeszcze z czasów szkoły średniej jako dziarskiego czterdziestoparolatka. A teraz Profesor osiągnął wiek Mędrców: 29 maja kończy siedemdziesiąt lat.

Urodził się w Łagiszy (obecnie dzielnica Będzina) w 1932 roku. Ukończył Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe, później filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Najpierw był nauczycielem języka polskiego, a po doktoracie u prof. Jana Nowakowskiego - w 1969 roku podjął pracę na polonistyce UJ. W 1973 wrócił do Zagłębia, współtworząc Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego. Pełnił rozmaite funkcje: prodziekana i dziekana Wydziału, wicedyrektora i dyrektora Instytutu Literatury i Kultury Polskiej. W 1981 założył Zakład Literatury Współczesnej i od tego czasu jest nieprzerwanie jego kierownikiem. Wypromował kilkuset magistrów polonistyki i kilkunastu doktorów, spośród których jeden przywdział tożę profesora Uniwersytetu Śląskiego...

Jakże to wszystko brzmi sucho i nie oddaje charakteru Profesora. Biografia bez polotu nie jest biografią, lecz statystyką. Dlatego zaczniemy jeszcze raz, lecz inaczej...

Delikatność i powściągliwość Profesora. O książce, która nie wzbudziła jego zainteresowania, mówi: „pożyteczna”. O koncepcji nie najwyższych lotów, lecz mającej w sobie iskrę oryginalności: „zasadna”. O badaczu, błagającym się po opłotkach myśli, że „bezustannie poszukuje”. O kimś, kto nie ulega modnym teoriom, że „rozsądny”. Lektura książki? Nie ma tu miejsca na słówko „przeczytana”. Książka powinna być „gruntownie przejrzana”, przy czym akcent nie jest położony na „przejrzanie”, lecz „gruntowność”. Polemika? W nią Włodzimierz Wójcik wchodzi rzadko. Szanując cudzą odmienność, mówi o „innym stanowisku”, „wielości interpretacji”, „rozmaitości odczytań”. Jest w tym jakieś personalistyczne skażenie, którego nabył przed laty i przed którym nie może się po dziś dzień uchronić. Gdzie tak skażono Profesora? Chyba w szkole Kazimierza Wyki i Henryka Markiewicza. Szkole porządności i polotu.

Profesor lubi takie przymiotniki, jak: „logiczny”, „trafny”, „zasadny”, „spójny”, „wartościowy”, „rozsądny”, „bezustanny”... Jest w tych słowach zawarta i nuta konserwatyzmu, i przyzwoity dystans. Brak górnolotnych formuł nie oznacza, że ten, kto je głosi, alienuje się z jakiegoś aksjologicznego uniwersum. Profesor o książkach i teoriach naukowych mówi z lekką rezygnacją, jakby świadom faktu, że każda generacja wykreśla własne lektury i nie dba o poprzedników. Dlatego podkreśla w tym procesie rolę ludzi, którzy owe teorie stworzyli, „wywianowali” (to ulubione słowo Profesora) dziesiątki i setki uczniów. Uczniowie zwykle chadzają własnymi drogami o swoich Mistrzów rzadko dbają, lecz są przecież wyposażeni

przez Mistrzów właśnie w konieczne instrumentarium analityczne.

O Kazimierzu Wyce, Henryku Markiewicz, Zenonie Klemensiewicz, Janie Nowakowskim, Mistrzach swojej naukowej młodości, mówi nie inaczej, jak „hetmani polonistyki”. Kto słyszał, ten wie. Owo: „hetman”, z retorycznie podniesionym głosem, podniesionym do góry palcem, konieczną pauzą między następnym słowem: „polonistyki”, zawsze zatrzymuje uwagę słuchacza, przykuwa jego uwagę, a przy tym nie dopuszcza do jakiegokolwiek dyskusji. To największe superlativum, jakim Profesor może obdarzyć. Nie zdarzyło się, by ktoś usłyszał je w odniesieniu do badacza mniejszej rangi. Jest ono zarezerwowane wyłącznie dla Mistrzów i wzorów młodości Profesora.

Ale trzeba widzieć także, z jaką czułością mówi o swoich przyjaciółach i nauczycielach w rozmowie prywatnej. Nie ma tutaj „hetmanów”, są najbliżsi. Profesor Wójcik każdorazowo zdrabnia imiona. W owych zdrobnieniach jest zamknięta wielka czułość do człowieka, świat zewnętrzny okazuje się łaskawszy niż w rzeczywistości. Polonistyczne sławy stają się osobami bliskimi. Tu nawet nie jest ważne, czy się z kimś rzeczywiście było (jest) po imieniu. Ważne, że wszyscy tworzą ten sam krąg bliskich osób. Współuczestniczą w misterium ducha. Stanowią ogniwo tego samego łańcucha narodowej kultury.

Włodzimierz Wójcik sam jest, by powiedzieć po prostu, człowiekiem dobrym i niezawistnym. Cecha rzadka, lecz spotykana w przyrodzie. Choć ma swoje humory i nieraz potrafi być dotkliwy, przecież umie to wszystko obrócić w żart. I zainscenizować krotocwilną scenkę, z której wynika, że, jakby powiedział Dmochowski, chodziło mu o to, by „szydzić z wad, karcieć błędy”. W ten sposób „oszczędza osoby”, przecież mu miłe i z którymi wiąże go nie tylko uniwersytecka więź.

NAŁKOWSKA I BOROWSKI

Swoją przygodę naukową zaczął Włodzimierz Wójcik od studiów nad pisarstwem Zofii Nałkowskiej. Najpierw była niewielka książeczka *O „Granicy” Zofii Nałkowskiej* (1971) i popularnokrytyczna edycja *Granicy* w Bibliotece Narodowej (1971). Później przyszła - wysoko oceniona m.in. przez Jarosława Iwaszkiewicza - monografia *Zofia Nałkowska* (1973), do dziś aktualna. A nadto liczne szkice, z których część została zebrana w zbiorze *Estetyzm - realizm - polityka* (1981).

Zofia Nałkowska - jak pisał Iwaszkiewicz - „najlepsza córka swojej epo-

ki”, zainteresowała badacza różnorodnością swojego dzieła. Ale głównie stosunkiem do człowieka jako takiego. Profesor napisał: „W tej wieloletniej, bogatej i różnorodnej twórczości zawsze w centrum uwagi Nałkowskiej stał człowiek poddawany ciśnieniu dyktamentów wewnętrznych i zewnętrznych, człowiek uwikłany zarówno w sprawy ponadczasowe, jak też i w historię, zarówno w sprawy osobiste, jak i społeczne. Jego rozterki i niepokoje analizowała z wielką docieklivością, nad jego dramatami i radościami pochylała się ze zrozumieniem i z próbami w miarę obiektywnego sądu”. A w innym miejscu: „Żyła [...] problemami swojej współczesności, była świadkiem tej współczesności, stworzyła nieprzemijające literackie wizje człowieka dwudziestego wieku. Człowieka znękanego historią i wewnętrznymi powikłaniami, a mimo to szukającego nadziei, sensu i szczęścia”.

Włodzimierz Wójcik daje wielowymiarowy portret pisarki. Interesuje go jej życie prywatne, zawarte w *Dziennikach*, i jej stosunek do literatury. Jej odczucia i jej lektury. Wszystko po to, by dotrzeć jak najbliżej człowieka, który doświadczył zmienności czasu, lecz nie chciał pogodzić się ze zmiennością ludzi. Człowieka wielowymiarowego, dotkniętego przez los, lecz uparcie walczącego o zachowanie godności.

Z tego samego przekonania zrodziła się książka *Opowiadania Tadeusza Borowskiego* (1972), którą Włodzimierz Wójcik wydał w popularnej Bibliotece Analiz Literackich. Ta, przeznaczona dla uczniów i nauczycieli, publikacja kończy się następującym stwierdzeniem: „W opowiadaniach Tadeusz Borowski okazał się wysokiej klasy artystą. Do doskonałości doprowadził praktykę starannej selekcji i celowego grupowania faktów, umiejętnie stosował ekspresywną siłę skrótu sytuacyjnego, przemilczeń i niedopowiedzeń. Jego surowa, pozornie łatwa, zwarta wewnętrznie proza jest zjawiskiem nowym w powojennej literaturze [...]. Pełna jest bólu i wiary, zwątpienia i nadziei, a nade wszystko wielkiej troski o los świata i ludzi uwikłanych w sytuacje ostateczne”.

W książce tej, podobnie jak w studiach o Nałkowskiej, mowa jest głównie o tekstach literackich. Ale każdorazowo nad tekstami unosi się refleksja o człowieku. Jego miejscu w świecie. Jego walce o prawdziwe przeżycie swojego życia. Do końca i bez taryfy ulgowej. Tej idei Profesor będzie konsekwentnie wierny w badaniach literaturoznawczych.

PIŁSUDSKI

W roku 1978 ukazało się studium Włodzimierza Wójcika *Nadzieje i złudzenia. Legenda Piłsudskiego*

w polskiej literaturze międzywojennej. Książka ta była pierwszą tego typu rozprawą w polskiej historiografii. O Komendancie powstawały wprawdzie wcześniej prace historyków, ale nikt nie pokusił się o to, aby zbadać, jak tworzyła się i jak funkcjonowała jego legenda w świadomości ogółu.

Profesor zajął się Piłsudskim kanonizowanym przez literaturę. Utrwalając wizerunek Brygadiera, stała się ona świadectwem nastawień społecznych zhierarchizowanego i wewnętrznie podzielonego narodu. Z badań Włodzimierza Wójcika wynika, że osobowość Ziuka emanowała na całe społeczeństwo. Niezależnie od orientacji politycznej - komunistki, socjalistycznej, chadecy, endecy, itd. - wszyscy otaczali Piłsudskiego, jak napisał Profesor, „czadem” legendy. To nastawienie zmieni się po roku 1926, kiedy rozpoznana zostanie rola Naczelnika w przewrocie majowym, choć szacunek wobec politycznego oponenta wciąż będzie wielki, również wśród społecznej lewicy.

Skąd wzięła się legenda Piłsudskiego? Wpływały na to różne czynniki, głównie takie były nastawienia społeczne: Piłsudski był tym, dzięki któremu przyszło wyzwolenie spod okupacji zaborców. W wyobrażeniu ogółu, wychowanemu na tekstach romantycznych, stał się wnet oczekiwanym Królem-Duchem, niejasnym „czterdzieści i cztery”, kimś podobnym do królów i hetmanów. Był utożsamiany z wódzem, choć sam utożsamiał się o wiele „skromniej”, z Kościuszką. Piłsudski spełniał więc społeczne oczekiwania, a literatura ten typ oczekiwań szybko podchwyciła. Nie tylko zresztą - literatura. Również ikonografia, choć ta - inaczej. Ikonografia dwudziestolecia ukazywała bowiem Naczelnika jako dobrego gospodarza, „oracza i siewcę”, który w „gospodarstwie” zaprowadza porządek, reguluje jego sprawy.

„Jednym z literatów współtworzących legendę Piłsudskiego był... sam Piłsudski” - napisał Włodzimierz Wójcik. W znakomitej mierze przyczyniły się do tego *Moje pierwsze boje*, „wspomnienia, spisane w twierdzy magdeburgskiej” (1925). W książce tej „dość często podkreślał szczególnie rolę jakiejś specyficznej, bliżej nie określonej opieki sił nadprzyrodzonych. To, co nie mieściło się w kategoriach racjonalnych, rozumowych, było jednak - jego zdaniem - rzeczywistością”. Odwoływał się często do ikonografii romantycznej, sztychów Grottgera, obrazów Michałowskiego czy Kosaków. Konstruował swoją legendę - napisze Profesor - nie tylko ze swej kasztanki, ale także ze swej brody, „którą w grudniu 1914 roku zgolił w odzyskanym Nowym Sączu”.

„Czy sama legenda rozpadła się po 1939 roku? Odpowiedź twierdzącą można potraktować za właściwie nieprawdziwą. Trafniejsza będzie teza,

że uległa ona osłabieniu, a zarazem pewnemu skomplikowaniu. Niewątpliwie w kręgach emigracyjnych żywo dała o sobie znać. Także w kraju jej echa w wielu środowiskach, zwłaszcza w tych, w których niepodległościowe tradycje były komponentem żywych mitów rodzinnych, bez wątpienia istniała i funkcjonowała. Dla części społeczeństwa legenda Piłsudskiego w czasie okupacji stanowiła swoisty lek na psychiczne skutki klęski wrześniowej. Znaczna część narodu zaczęła szukać wyjścia z dramatycznej sytuacji poza kręgami, które w dwudziestolecie międzywojennym dzierżyły ster rządów i którym w ostateczności - w jakiejś mierze - legenda Piłsudskiego ułatwiała sprawowanie władzy”.

Po wojnie, zrazu nieobecny, Piłsudski był przywoływany głównie przez prozę Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Kijowskiego, Safjana, Bartelskiego, Mrożka... Profesor dowodzi, że we wszystkich tych realizacjach - i przedwojennych, i powojennych - „legenda Piłsudskiego [...] nie tylko mówiła o samym Marszałku, ale i o społeczeństwie, które ją w określonych momentach historii stwarzało, o pisarzach, którzy ją ugruntowali w wyobraźni narodu. Swoją wielobarwnością i sugestywnością wyrażała nadzieje Polaków na ułożenie stosunków w niepodległej Ojczyźnie na zasadach społecznej sprawiedliwości. Niosła z sobą nadzieje, ale i złudzenia”.

Zainteresowanie Profesora Józefem Piłsudskim nie zakończyło się w roku

1978. Kilka lat później wznowił on swoją książkę, poszerzoną o nowe obszary (*Legenda Piłsudskiego w polskiej literaturze międzywojennej*, 1987), wielokrotnie powracał też do tego tematu w licznych szkicach. W sposób popularny rzecz wyłożył jeszcze dwukrotnie w niewielkich książeczkach: *Pisarz i Komendant. Literacka legenda Piłsudskiego* (1996) oraz *Józef Piłsudski w legendzie literackiej* (1999). W pierwszej z nich wyznał: „Moje, idące przez lata, pisanie o Józefie Piłsudskim zrodziło się z buntu przeciwko niecnym praktykom minionych czasów deptania jego dobrego imienia i realnej, bardzo wymiernej zasługi dla Ojczyzny, z poszukiwania prawdy o naszej narodowej przeszłości. Istotną rolę odegrał też klimat życia rodzinnego oraz domowa legenda przejawiająca się w szczerym kulcie osoby Marszałka”.

SKAMANDRYCI I EMIGRANCI

Kilkanaście lat zajęło Profesorowi kompletowanie materiałów do książki *Skamandryci i inni nad Sekwaną* (1995). Poświęcił ją twórczości m.in. Kazimierza Wierzyńskiego, Jana Lechonia, Stanisława Balińskiego i Józefa Wittlina. Skamandrytom i satelicie Skamandra, dla których słodka Francja i Paryż były nie tylko krótką przystanią w czasie wrześniowej tułaczki 1939 roku, ale także miejscem, do którego się wraca i realnie, i w poezji.

Jest to książka o podróży i podróżowaniu jako figurze egzystencjalnej. *Navigare necesse est, vivere non est necesse* - pisał Plutarch. Włodzimierz Wójcik tak to komentuje: „Stwierdzenie całkiem banalne. Każdy podróżuje. W czasie i przestrzeni. Egzystencja człowieka jest w istocie rodzajem kręgu, którego początek wyznacza data i miejsce urodzenia, koniec zaś - dzień, miesiąc i rok śmierci. I miejsce ostatniego tchnienia. Sprawą najważniejszą w tej dość schematycznej konstrukcji ludzkiego losu staje się jakość oraz intensywność śladu, jaki pozostawia się na wspomnianym kręgu [...]”. I o tym śladzie, w specyficznym paryskim wydaniu, pisze uczony w swoim zbiorze esejów historyczno-literackich.

Ostatnie szkice w *Skamandrytach...* traktowały o pisarstwie Zofii Romanowiczowej. Po kilku latach Profesor właśnie nimi rozpoczął swoją książkę *W Polsce i na obczyźnie. O twórczości Zofii Romanowiczowej* (2000). Zbiór ten, poświęcony utworom wybitnej prozaiczki emigracyjnej, pojawił się w chwili odpowiedniej. Minęła moda na literaturę powstającą poza krajem; minęła również fala pobieżnych syntez i rekonesansów, poświęconych tej twórczości; minęła wreszcie - nadmiernie chyba eksponowana - solidarność z tekstami, które niekoniecznie muszą zajmować miejsce wysokie w hierarchii powojennej literatury. W tej przestrzeni zyskiwało niewiele, traciło wielu. Kiedy więc pojawiła się pierwsza praca, przywra-



cająca honor autorce rzeczywiście wybitnej, trzeba ją nie tylko docenić ale i popierać.

Zofia Romanowiczowa swym życiorysem mogłaby obdzielić i biografią pisarską dowartościować znaczne grono literatów. Nikt jakoś jednak nie napisał o niej książki. Pojawiały się niekiedy jakieś szkice problemowe, poświęcone dorobkowi autorki *Baśki i Barbary*, lecz nigdy nie sumowały się one w większą całość. Dopiero książka Profesora, która ukazała się w 55 rocznicę właściwego debiutu Romanowiczowej, wypełniła tę lukę.

Pamiętam (jeżeli wolno mi się odwołać do swojej pamięci), że Włodzimierz Wójcik taką książkę zamierzał wydać już przed kilkunastoma laty. Pierwsze szkice o prozie twórczyni *Skrytek* zaczął pisać w stanie wojennym, później zaś do niej powracał przy różnych okazjach. Wielu swoich magistrantów zachęcał do lektury tej prozy, nierzadko podsuwając pomysły warte i dzisiaj podjęcia (np. relacja Kuncewiczowa - Romanowiczowa). Ale sam drażył powoli tematy inne, te zwłaszcza, które mocno komponują się z jego prywatnymi zainteresowaniami. Chodzi zwłaszcza o spojrzenie na pejzaż psychiczny prozy Romanowiczowej, o stosunek do II wojny światowej, o „filozofię oglądu”, a także stosunek do języka, który - jak mówi Ludwig Wittgenstein - określa nasz światopogląd.

Cztery szkice zgromadzone w omawianej książce przynoszą na pozór skromny, lecz w istocie niebywale ważny wizerunek Zofii Romanowiczowej. Włodzimierz Wójcik pisze o dramacie wojennym pisarki, a także o uwikłaniach, w jakie bohaterowie jej prozy zostali naturalnie włączeni. Pisze o pejzażu psychicznym, który określa rozdwojoną konstytucję bohaterów, a także zajmuje się niebywale istotnym z punktu widzenia świadomości kogoś, kto przebywa na Obczyźnie, funkcjonowaniem w dwóch krajobrazach prywatnych. Właśnie - w Polsce i na obczyźnie.

STAFF I RÓŻEWICZ

Książka esejów *Staff i Różewicz* (1999) zbiegła się z nadaniem Tadeuszowi Różewiczowi doktoratu honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. Promotorem w przewodzie był Włodzimierz Wójcik. Przy tej okazji powstało kilka prac zbiorowych i zbiorów autorskich, jednak ten, o którym tutaj wspominam był na swój sposób wyjątkowy.

Staff i Różewicz? To zestawienie, nawet jeżeli wytłumaczone zostało w piątym szkicu książki Profesora, na pierwszy rzut oka może zdumiewać. Przywołuje przecież - równocześnie - dwie odmienne i - w perspektywie szerokiej - dwie tożsame wizje poezji XX wieku. Łączy w jeden węzeł anty-



nomie i koincydencje. Godzi sprzeczność, która sprzecznością nie jest.

Historyk literatury, a nawet czytelnik średnio orientujący się w zawiłych koleinach losu poezji naszego stulecia, zrozumie jednak, że w tym połączeniu nie chodzi wyłącznie o zaświadczenie o dziejach literackiej przyjaźni, która „należy do najpiękniejszych zjawisk we współczesnym świecie”. To byłoby zbyt wątle uzasadnienie podjętej czynności badawczej. Włodzimierz Wójcik nie przypomina rzeczy elementarnych, które mógłby napisać we wstępie do swojej książki, nie narzuca określonego tropu lektury. Jest w tym może jakiś sens głębszy, lecz uczeń Profesora winien go odczytać nawet wbrew zamierzonemu celowi Autora.

Rzecz w tym bowiem, że „przyjacielskie” związki Różewicza i Staffa sięgają czasów wojennych. To prawda, nie znali się wtedy osobiście. Miało to nastąpić dopiero po wojnie. A jednak właśnie wtedy, w ciemny czas okupacji, przyszły autor *Niepokoju* zostanie „skoligacony” ze Staffem. Stanie się tak za sprawą jego brata, Janusza, który w imieninowym prezencie, 28 października 1941 roku, ofiarowując Tadeuszowi tomik autora *Snów o potęgę*, napisze: „Dając Ci dziś Staffa, chcę Ci powiedzieć, że wcale nie życzę być takim jak on poeta - dlaczego? Nie lubię «dojrzałości»! Staffowi brakło młodszeńszej «nierozwagi» Słowackiego, Schillera, Rimbauda - dlatego jest wielki, ale nie nieśmiertelny - a nieśmiertelność jest dopiero poezją”.

O Staffie pisze Profesor w kontekście włoskim. Pokazuje „orientalność” i „środiemnomorskość” jego inspiracji, ale równocześnie zakorzenia go w pejzażu polskości. Wydobywa z jego wierszy przesłania uniwersalne, lecz także prywatne i lokalne. Potrafi w wierszu o Capri odnaleźć

Morskie Oko, „miniaturę Tatr”... Bo taki jest Staff, uwięziony - mówiąc metaforycznie - między Arno i Kamienną, między Capri i Morskim Okiem. Uniwersalny i prowincjonalny, wznoszący się w górne rejony kultury i powracający do „polnych ścieżek” polskości.

Tego samego poszukuje Włodzimierz Wójcik u Różewicza. Twórca tak wielki, że porównywalny z najwybitniejszymi pisarzami XX wieku, także inspiruje Profesora w tym wymiarze. Napisze o nim: „jest autorem - w ścisłym tego słowa znaczeniu - równocześnie światowym, europejskim, ogólnopolskim i śląskim”. Cztery epitety - w swoim schodkowym zhierarchizowaniu - prawdziwe i trafne...

Staff i Różewicz to książka ponieważ prywatna. Książka o dwóch autorach, z którymi Profesor obcuje przez lata. Jeżeli tylko w tym - autobiograficznym - znaczeniu wypadłoby ją odczytywać, czytelnik spotka się z wieloma przyjemnościami. Bo są przyjemności, które rozpoznajemy dopiero wtedy, kiedy ktoś nam je wskaże.

POWIEŚĆ NIE SKOŃCZONA

Pisząc portret Profesora Włodzimierza Wójcika, wiem, że dotknąłem zaledwie powierzchni rzeczy. Przywołałem kilka jego książek, a przecież to nie wszystko. Dodać wypada do tego zestawu redakcję naukową kilkunastu tomów zbiorowych i dwa, spoczywające od dawna w maszynopisie, zbiory autorskie: *Powrót do Nałkowskiej* i *Spotkania zagłębiowskie*. To składa się na życiorys niebywale pracowity i twórczy. I ukazuje na przyszłość, ważne zamierzenia badawcze.

Plurimos annos, Panie Profesorze!



wiązani do pracy byli nawet inwalidzi, słowem wszyscy zdolni do niej w uznanym stopniu. Śląski przemysł będzie też funkcjonował na wysokich obrotach do ostatnich dni przed wkroczeniem Armii Czerwonej, która po słynnym manewrze oskrzydającym marszałka Iwana Koniewa zdobyła okręg przemysłowy bez większych zniszczeń. Dzięki górnikom i robotnikom śląskim, którzy „jak życia i chleba” strzegli ofiarnie miejsc pracy nie doszło do zniszczenia zakładów przemysłowych w wyniku aktów sabotażu i dywersji a zwłaszcza zatopienia kopalń, co było przecież realne. Śląski przemysł mógł z miejsca podjąć pracę na rzecz frontu a węgiel śląski napędzać gospodarkę, co znacznie przyspieszyło koniec wojny i zyskało uznanie nawet generalicji sowieckiej.

Jednak dla wielu miejscowości, szczególnie po dawnej niemieckiej stronie granicy przez dłuższy czas była to zamiana jednej okupacji na drugą. Jeśli wycofujący się hitlerowcy dokonywali ostatnich zbiorowych egzekucji i aktów odwetu, wkraczające oddziały Armii Czerwonej czuły się wcale często jakby dopadły wreszcie „priokłatej Germanii”, dokonując gwałtów, rabunku i aktów terroru, często w całkowitej niewiedzy kim są naprawdę zamieszkujący tu ludzie i skąd ta ich znajomość języka polskiego. Każdy nieodpowiedzialny akt fanatycznego oporu mógł spotkać się w tej sytuacji z odwetem na prawach odpowiedzialności zbiorowej a tragedie, które rozegrały się w Miechowicach, Zabrze, Stolarzowicach czy Gliwicach miały setki ofiar.

To temat osobny, a także rola wielu Volksdeutsche, czy komunistów niemieckich, którzy weszli w układy z lokalnymi dowódcami radzieckimi, tworząc Komitety Wolnych Niemiec. A jak wówczas na miejscu wpływać - wystarczy przypomnieć relacje pierwszego powojennego polskiego prezydenta Zabrza, Pawła Dubiela, czy wspomnienia Andrzeja Ziemińskiego, który trafił w Gliwicach na „powołany przez radziecką komendaturę niemiecki komitet antyfaszystowski”. **Oficjalnie sowieckie komendy wojskowe miały przekazać władzę polskiej administracji na tym obszarze 19 marca 1945 roku. Do tego czasu rządziły bezkarnie i samowolnie. Trwała jeszcze wojna a nie do końca był rozstrzygnięty bieg zachodniej granicy. W tym właśnie czasie doszło też do zgrupowania w punktach zbórnych i obozach wielu tysięcy Ślązaków, przede wszystkim górników, nieświadomych co ich czeka.**

Koniec roku 1989 to czas odkrywania na masową skalę niezliczonych nadużyć i zbrodni systemu, które dopiero, po zmianie ustroju, w warunkach pełnej wolności suwerennego państwa i likwidacji cenzury mogły

TADEUSZ
KIJONKA

Głuche interpelacje

Co roku gdy mija styczeń, przez kolejne tygodnie zimowe ożywa na Śląsku ten sam bolesny temat - tragedii roku 1945 gdy dziesiątki tysięcy mężczyzn, przede wszystkim górników, deportowano bydłowymi wagonami w nieludzkich warunkach na wschód; a dochodziło do wywózek kobiet, sporadycznie nawet starszych chłopców. Zaledwie co piąta osoba wróciła potem z bezprawnego, niewolniczego zesłania i już ten fakt określa skalę masowych tragedii zdziesiątkowanych górnośląskich rodzin. Do roku 1990 był to jednak temat nietykalny, zablokowany szczelnie politycznymi pieczęciami, przez dziesiątki lat grożący dotkliwymi represjami: chodziło przecież o naruszenie oficjalnego majestatu ZSRR, państwa zbrodniczego.

Dopiero po upadku PRL tragedia śląskich zimowych miesięcy 1945 roku, dotąd utrzymywana w zło-wrogiej tajemnicy, mogła zostać ujawniona, gdy w okresie odkrywania „białych plam” udostępnione tajne dokumenty a ludzie zaczęli mówić na głos. I oto Górny Śląsk okazał się być na jeszcze większą skalę ziemią stygmatów niż dotąd sądzono, głębokich ran duchowych od trzech pokoleń: stłumionych uporczywych pytań dzieci i wnuków, bez odpowiedzi od lat - o czas katorżniczej śmierci gdzieś na nieludzkiej ziemi, o miejsce bezmiennego spoczynku i o zadośćuczynienie już tylko moralne. Lecz Śląska tragedia '45 zalega nadal w strefach społecznej bezsilności, niezmiennym bezruchu odpowiedzialnych instytucji oraz obojętności najwyższych władz. Żadne interwencje nie zmieniły bowiem w zasadniczy sposób

sytuacji, toteż jest to wciąż wyłącznie lokalna sprawa Śląska. Także kolejne interpelacje i wystąpienia sejmowe - poczynając od mojej, jeszcze ze stycznia 1990 roku - okazały się głuche. I ten stan trwa.

Kim byli - w zdecydowanej większości ludźmi ciężkiej, robotniczej pracy, w przewadze w wieku 40-50 lat; w tym czasie wszyscy młodzi Ślązacy, zdolni do służby wojskowej, już bez pytań o narodowość znaleźli się w Wehrmachcie. Z końcem roku 1944 powoływano pod broń mężczyzn nawet powyżej 50. roku życia, a także 16-letnich chłopców, głównie fanatyków z Hitlerjugend, wcielanych do Volksturm. Deficyt sił roboczych był wówczas tak wielki, że w śląskich kopalniach, fabrykach i hutach w warunkach okupacyjnego przymusu praca trwała 12 godzin dziennie oraz trzy niedziele w miesiącu pod rząd. Zobo-

zostać ujawnione. Zjawisko to zyskało nader ogólną nazwę „białych plam” - określenie zgoła eufemistyczne w stosunku do nadzwyczaj drażliwej i szokującej prawdy, w tym wstrząsających aktów masowego ludobójstwa dokonanych za wiedzą i z inicjatywy samego Stalina. Represje te pod zasięgiem władzy i sowieckiego terroru objęły od września 1939 roku łącznie około 2 milionów Polaków. Już sama liczba świadczy jak wielki to i złożony pod każdym względem problem, co jednak nie uwalnia od prób wyegzekwowania praw i nie tylko moralnych roszczeń.

Pośród tych gęstych a porażających grozą zbiorowisk „białych plam” w tym czasie po raz pierwszy upomniał się o swoje krzywdy także Śląsk, obecny przecież na wszystkich pozostałych traktach zniewolenia i zbiorowych ofiar polskich losów, w tym zbrodni katyńskiej. Śląsk postawił teraz pytania o bezprawne deportacje niezliczonych tysięcy mężczyzn do ZSRR zimą i wiosną 1945, skazanych na niewolniczą pracę w kopalniach węgla, torfu i rudy, w kamieniołomach i przy wyrębie lasów... i była to nowa pozycja w tym strasliwym rachunku.

Interpelacja pierwsza

Spośród licznych publikacji rozruchunkowych przełomu lat 1980 i 1990, najbardziej wstrząsnęły Śląskiem teksty poświęcone wywózkom górników i robotników śląskich do ZSRR. Te „białe plamy” podciekały czarną „żywą krwią”. Toteż w styczniu, pod wrażeniem tych relacji, rozmów i spotkań, skierowałem z datą 26 stycznia 1990 r. obszerną interpelację

zaadresowaną do prezesa Rady Ministrów, Tadeusza Mazowieckiego, z której pozwolę sobie przytoczyć pewne fragmenty.

„(...) Do rejestru zbrodni stalinowskich o skali masowej - wciąż dotąd bliżej nieznanych zarówno polskiej jak i międzynarodowej opinii - należy zaliczyć tragiczny los kilkudziesięciu tysięcy Ślązaków wywiezionych na katorżniczą pracę do ZSRR w pierwszych miesiącach po wkroczeniu Armii Czerwonej. Fakty te nie mają precedensu we współczesnych dziejach, jako że chodzi w tym przypadku o wywóz w zdecydowanej przewadze osób cywilnych, których nie obejmowała jurysdykcja wojskowych władz radzieckich.

Jak wiadomo z obszarów zajmowanych przez Armię Czerwoną, szczególnie tych, które weszły w nowe granice Polski, wywożono do ZSRR cenne maszyny i urządzenia a nawet całe zakłady przemysłowe. Ale wywożono do katorżniczej pracy również ludzi, czego na masową skalę doświadczył Górny Śląsk. Natychmiast po wkroczeniu tu jednostek Armii Czerwonej - w tym również na tereny należące przed rokiem 1939 do Polski, radzieckie komendantury wojenne podjęły przymusowy werbunek mężczyzn w wieku produkcyjnym pod pozorem skierowania ich do pracy, głównie na rzecz frontu. (...) Wywózki te objęły w pierwszej kolejności górników górnośląskich kopalń, w tym wysoko-kwalifikowanych, których kierowano do ciężkich prac przy odwadnianiu i uruchamianiu kopalń Donbasu. Tylko z rejonu Bytomia w lutym 1945 r. skierowano stąd na katorgę około 8 tysięcy mężczyzn. Na dużą skalę akcja ta objęła również Gliwice i Zabrze, w mniejszym stopniu - Cho-

rzów, Katowice, Piekary i kopalnie rybnickie. Jedno jest niewątpliwe: nie decydowały kryteria narodowościowe, o czym świadczą zachowane rejestry wywiezionych - najczęściej bezpowrotnie. Akcja ta była kontynuowana następnie na terenie Śląska Opolskiego. Nie były przy tym brane pod uwagę kryteria przynależności narodowej, skoro ofiarami tych masowych zesłań stali się również bohaterzy działacze przedwojennego Związku Polaków w Niemczech, co dopełnia miary tej szczególnie bolesnej śląskiej tragedii.

(...) Według szacunkowych źródeł łącznie wywieziono w tym czasie ze Śląska kilkanaście tysięcy górników. Z tej liczby znamy szczegółowe personalia 9723 górników, dzięki sporządzeniu przez pełnomocnika Rzeczypospolitej Polskiej do spraw repatriacji liczącego 391 stron dwujęzycznego rejestru zesłańców (przeważają zdecydowanie nazwiska polskie). Spis ten został przygotowany w związku z podjęciem przez ówczesne władze polskie interwencji w tej sprawie; niestety z niewielkim skutkiem. Wymieniony rejestr nie obejmuje nawet wszystkich wywiezionych górników - dla przykładu do 31 marca 1947 r. wróciło z niewolniczego zesłania jedynie 2618 górników - w tej liczbie tylko 290 wymienionych we wspomnianym spisie.

Ilu Ślązaków wywieziono łącznie - i jaki był ich los - tego do dziś nie wiadomo! (...)

W końcowej części interpelacji znalazły się szczegółowe pytania. Zwracałem się do premiera m.in. o wyjaśnienie:

- Czy obecnym władzom polskim przedstawione fakty są znane i co w takim razie zamierzają uczynić dla



Katorżnik śląski Alojzy Pajonk rodem z Wirku (ur. w 1896 r.) został wywieziony w lutym 1945 na roboty przy kopaniu torfu w okolicach Mińska. Do domu powrócił 25 października w stanie skrajnego wyczerpania. Dziesięć dni później już nie żył. To zdjęcie ukazuje, do jakiego stopnia wyniszczenia byli doprowadzani deportowani do ZSRR Ślązacy. Za co - i jakim prawem!

ustalenia pełnej listy zesłanych do ZSRR Ślązaków w wyniku tej haniebnej akcji w okresie od lutego do maja 1945 r.?

- Czy podjęte zostaną działania w celu stworzenia pełnej dokumentacji przedstawionych wydarzeń, a także zainicjowane pilne, niezbędne wysiłki w celu uzyskania dostępu do źródeł i archiwów radzieckich - dotąd całkowicie niedostępnych?

- Czy istnieją możliwości ustalenia dalszych losów wywiezionych do ZSRR Ślązaków - także okoliczności ich śmierci w wyniku katorżniczej pracy oraz wskazania miejsc ich spoczynku, aby można było miejsca te godnie upamiętnić, umożliwiając rodzinom odwiedzenie grobów. W Polsce dbamy przecież od lat o właściwy stan cmentarzy żołnierzy radzieckich. (...)

Pytałem również: „... co władze polskie zamierzają uczynić, by rodzinom śląskich zesłańców do ZSRR przyznane zostało prawo do odszkodowań ze strony władz radzieckich, z tytułu niewolniczej pracy na rzecz gospodarki ZSRR a także utraty życia?”

W zakończeniu zaznaczyłem przeźornie, by odpowiedź została mi udzielona publicznie podczas posiedzenia plenarnego Sejmu”.

Wykrety ministra S.

Zastrzeżenie końcowe okazało się w pełni uzasadnione, tak jak się tego obawiałem, interpelacja ta skierowana następnie do ministra spraw zagranicznych, Krzysztofa Skubiszewskiego, nie została rozpatrzona zgodnie z oczekiwaniami a list marszałka Sejmu, Mikołaja Kozakiewicza, iż w sprawie tej udzielona zostanie mi odpowiedź na piśmie, potwierdzał mój niepokój, że nie będzie to wyjaśnienie wyczerpujące, świadczące o merytorycznym zaangażowaniu. W związku z tym zwróciłem się ponownie do marszałka Sejmu o pilną zmianę kwalifikacji decyzji, ponieważ kwestia ta jest dotąd: „poza Śląskiem, gdzie ostatnio nabiera coraz szerszego rozgłosu - całkowicie nieznana polskiej opinii publicznej”, toteż „nie mogę przystać na skierowanie pierwszej sejmowej interpelacji w tej sprawie do pisemnej odpowiedzi”.

Argumenty te nie zmieniły już biegu rzeczy, wkrótce też z datą 12 marca 1990 roku otrzymałem pisemną odpowiedź ministra spraw zagranicznych „na interpelację w sprawie podjęcia działań w celu ustalenia skali strat biologicznych i materialnych poniesionych przez naród polski w wyniku masowych zbrodni stalinowskich”. Obszerne wyjaśnienie ministra Skubiszewskiego w żadnym stopniu nie dotyczyło mojej interpelacji, za wyjątkiem bulwersującego

stwierdzenia, iż podniesiona przeze mnie „kwestia stanowi jedynie małą część dużego problemu uzyskania satysfakcji moralnej i materialnej ze strony ZSRR dla ponad 2 milionów obywateli polskich represjonowanych w Związku Radzieckim w latach wojny i po jej zakończeniu. Ta szacunkowa liczba obejmuje cywilów i wojskowych, w tym żołnierzy AK oraz górników”. Tyle o wywózce śląskich górników - i ani zdania więcej.

Mam powody sądzić, że sprawą deportacji Ślązaków na roboty przymusowe do ZSRR oraz ich uwięzienia w sowieckich obozach pracy, minister Skubiszewski nie zajął się w ogóle. Kilkakrotnie interweniowałem jeszcze w tej sprawie osobiście, zachodziłem do ministra, zadawałem mu pytania. W wielkiej liczbie 2 milionów obywateli polskich represjonowanych w Kraju Rad, w tym pośród setek tysięcy zamęczonych i zgładzonych w tym imperium zła, kwestia ta mogła istotnie stanowić „jedynie małą część dużego problemu uzyskania satysfakcji moralnej i materialnej ze strony ZSRR”, jeśli rzecz postrzegać jedynie w tej skali.

W październiku 1990 roku minister Krzysztof Skubiszewski, nieskazitelny w sposobie bycia, reprezentujący najwyższe standardy salonów politycznych Europy Zachodniej arbiter elegantiarum, wybrał się wreszcie i do ZSRR. Z jakim skutkiem, nie mnie dochodzić. Podczas posiedzenia poświęconego polityce zagranicznej Polski w otwartej debacie nie omieszkalem wrócić do sprawy uchylonej interpelacji i zapytać o to ministra Skubiszewskiego. Stwierdziłem (cytuje za sprawozdaniem stenograficznym z 51. posiedzenia Sejmu), że „otrzymałem pisemną odpowiedź, która mnie nie zadowala a potwierdza fakt bliższej nieznamości tego problemu, chodzi zaś o kwestię niesłychanie dramatyczną, tragiczną, która w Polsce nie jest bliżej znana (...). Chciałbym zapytać, czy w czasie ostatniej pańskiej wizyty w Związku Radzieckim, w tym na Ukrainie, kwestie te były podejmowane podczas toczących się negocjacji? Czy osobiście podjął pan minister te kwestie? Czy da się ustalić, jakie były losy tych ludzi? Czy da się ustalić, gdzie zostali pogrzebani, bo w większości nie żyją? (...) Czy rodziny będą mogły się tam udać, by złożyć pośmiertną cześć?”

Z odpowiedzi ministra nawiązującej do serii pytań wynikało to co wcześniej: to szczegół całości dotyczący problemu Polaków w ZSRR. Nie sądzę, że kwestia ta została w ogóle przez ministra Skubiszewskiego podjęta skoro i tym razem jego odpowiedź pomijała wszystkie konkretne pytania. Nie otrzymałem też rzetelnej odpowiedzi na kolejne szeroko uzasadnione zapytania posel-

skie, skierowane znów do tego ministra, a kończące się zdaniem: „Najwyższa pora, by tragedia Ślązaków wywiezionych do ZSRR zimą i wiosną 1945 roku doczekała się pełnego wyjaśnienia i co najmniej moralnego zadośćuczynienia”. Następną interwencja także nie przyniosła rezultatu a moje oświadczenie w tej sprawie z dnia 19 września 1991 roku miało już charakter oskarżenia. Stwierdziłem kończąc wystąpienie: „O jednym chciałbym natomiast przekonać Wysoką Izbę: tamte pamiętne wydarzenia - podobnie jak fatalna polityka wobec Śląska i Ślązaków we wszystkich latach po 1945 roku - rzutują na sytuację i samopoczucie rodzimej ludności po dziś. Wpływa to również na stan problemów związanych z mniejszością niemiecką, która w znacznym stopniu wywodzi się spośród rozczarowanych i upośledzonych. Niestety, błędy już dat najświeższych, spowodowały dalsze straty w rodzimej substancji etnicznej”.

Czuję się skrępowany faktem, że cytuję sam siebie, ale blok wystąpięń sejmowych w tej sprawie, jakże jednak mało skutecznych, nawet po latach dręczy. Ta **pierwsza interpelacja poselska dotycząca wywózek Ślązaków do ZSRR w 1945 roku w atmosferze bezprawia i przemocy okazała się jednak głucha. Podobnie jednak jak kolejne, już w następnych kadencjach Sejmu.** Sytuacja się przy tym zmieniła. Kiedy wykwinął minister Krzysztof Skubiszewski, erudyta i poliglota, wyprawał się jako minister spraw zagranicznych III RP, suwerennej i niepodległej, istniał jeszcze Związek Radziecki i wszystkie kwestie były do podjęcia i wyjaśnienia w Moskwie. W pamiętnych okolicznościach 8 grudnia 1991 roku kończy swój byt ZSRR (formalnie i ostatecznie 26 grudnia) i proklamowana jest Wspólnota Niepodległych Państw. Odtąd szlaki wywózek, niewolniczej pracy i bezimiennych w większości zgonów zamęczonych śląskich robotników rozpościerają się na bezbrzeżnych obszarach Rosji, ale i w Białorusi, Ukrainie, Kazachstanie, Azerbejdżanie, Uzbekistanie... i kto wie jeszcze gdzie, skoro do dziś nie ma pełnej, wielkiej księgi męczeństwa ofiar tamtych masowych wywózek z Górnego Śląska.

Gdy przemówiła odwaga

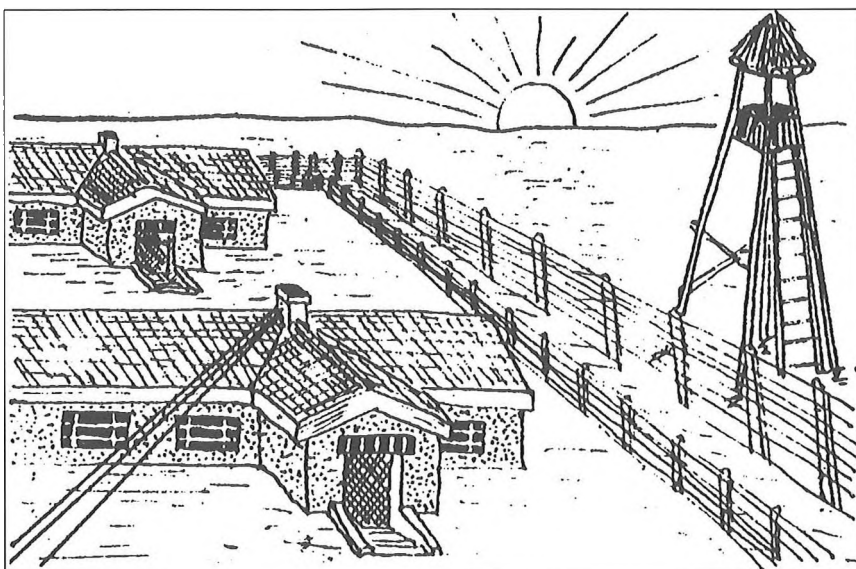
Przelom lat 80. i 90. wyzwolił odwagę mówienia o tych sprawach pełnym głosem, ale i potrzebę zbiorową ocalenia od zapomnienia tamtej górnośląskiej tragedii. Liczne publikacje prasowe, relacje katorżników, którzy przeżyli i wrócili na Śląsk, tablice pamięci... Duże zasługi na tym polu miał ówczesny dyrektor Muzeum Miejskiego w Zabrze Bernard

Szczech, autor szeregu publikacji i organizator wystawy dokumentującej „Śląską Golgotę”. Wydarzeniem o poważnym znaczeniu było utworzenie „Stowarzyszenia Pamięci Tragedii Śląskiej w roku 1945” z siedzibą w Knurowie, które zawiązało się 30 kwietnia 1991 roku w ówczesnym (dziś już nieistniejącym Zakładowym Domu Kultury). Powołali go deportowani do ZSRR Ślązacy oraz członkowie ich rodzin a głównym inicjatorem był Henryk Stawiarski, syn maszynisty dołowego kopalni „Knurow” wywiezionego hen do Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim, gdzie spoczywa. Henryk Stawiarski miał 6 lat, gdy jego ojciec nieświadomy co go czeka, dał się wywabić z domu. Zmarł w lipcu 1945 roku na dosłownie niehumanitarnej pracy w kamieniołomie, głodem i straszliwymi upałami. Miał wtedy 33 lata.

„Stowarzyszenie Pamięci Tragedii Śląskiej w 1945 roku” jest organizacją społeczną, z prawem prowadzenia działalności na terenie kraju i poza krajem, wśród członków którzy w 1945 roku byli internowani z Górnego Śląska. Statut poświadcza, że cele tego Stowarzyszenia są rozległe i obejmują działania na rzecz zadośćuczynienia internowanym oraz ich rodzinom za krzywdy moralne i materialne. Ważnym zadaniem to utrwalenie pamięci o tamtych wydarzeniach, inicjowanie spotkań, publikacji i badań naukowych, ujawnianie sprawców zbrodni i poszerzanie dokumentacji osób wywiezionych oraz zamęczonych w łagrach i kopalniach ZSRR.

Po latach 10 i wielu cennych dokonaniach, Stowarzyszenie to jednak ma coraz większe problemy z podtrzymaniem aktywności, pozbawione środków na działalność, jakby samo wsparcie moralne mogło wystarczać. Narasta więc zwątpienie, nie spełniły się takie nadzieje wielu członków w sprawie uzyskania odszkodowania za niewolniczą pracę oraz za śmierć ojców i synów zamęczonych w warunkach niehumanitarnej eksploatacji. Dziesięć lat, gdy gasną rozbudzone nadzieje, to dużo. Bo i co dały kolejne interpelacje podejmowane w najlepszej woli?

Drugą, już w nowej kadencji Sejmu, wnieśli Stanisław Żelichowski i Piotr Barciński, posłowie... z Ciechanowa, kierując z datą 25 lutego 1992 r. bezpośrednio do prezesa Rady Ministrów i wnosząc, by rząd zajął się losami górników deportowanych ze Śląska do ZSRR w 1945 roku. Uwagę obu posłów zwrócił fakt, że przymusowe zatrudnienie w polskich kopalniach więźniów politycznych a wkrótce również żołnierzy, było spowodowane w znacznym stopniu przez deficyt rąk do pracy jako następstwo wywózki w głąb ZSRR kilkunastu tysięcy górników, których



Wśród wywiezionych do niewolniczej pracy w sowieckich łagrach były też kobiety. Gliwiczanka Agnieszka Kazor (wówczas Szynol) została wywieziona w 1945. Przebywała m.in. w łagrze Dżysgastan koło Karagandy. Wśród nielicznych pamiętek z obozu znalazł się rysunek przedstawiający fragment obozu usytuowanego na pustkowiu. Wschodzące słońce nie oznaczało nigdy dobrego dnia. Praca od świtu do nocy, głód i śmierć tych, którzy nie wytrzymali wyniszczających robót.

eksploatowano tam w warunkach nieograniczonego przymusu.

Posłów z Ciechanowa zainteresowała informacja zawarta w książce profesora Jerzego Jarosa, który w swej „Historii górnictwa węglowego w Polsce Ludowej” wymieniał liczbę (minimum!) 13.182 deportowanych górników, w tym 2667 z Zagłębia Rudzkiego, 2006 z Bytomskiego, 5418 z Zabrzeńskiego, 2662 - z Gliwickiego... W związku z tym obaj posłowie zwrócili się do rządu o ustalenie faktycznej liczby deportowanych górników, a także dalszych losów tych, którzy nie powrócili na skutek śmierci w sowieckich kopalniach, bądź zmarli wycieńczeni pracą. Wystąpili także z wnioskiem o „podjęcie międzyrządowych negocjacji w sprawie odszkodowania dla deportowanych za ich niewolniczą pracę w kopalniach ZSRR oraz odszkodowań dla rodzin” śląskich górników, którzy stracili tam życie.

Na interpelację odpowiadał wiceminister spraw zagranicznych Iwo Byczewski, zaznaczając na wstępie, że represje stalinowskie dotknęły ponad 2 mln rodaków, a spośród nich tylko około 500 tys. osób mogło w latach 1945-1959 wrócić do Polski. „Większość zmarła wskutek pracy ponad siły, chorób, pozbawiona opieki lekarskiej, bądź pozostała na zesłaniu, nie mając wówczas możliwości powrotu do kraju. Istotną grupę wśród tych osób stanowili górnicy deportowani ze Śląska”. Wiceminister potwierdził, że „kwestia narodowości polskiej czy niemieckiej odgrywała wtedy rolę mniejszą. Zachowana dokumentacja potwierdza fakty »internowania nawet byłych powstańców śląskich, wracających do domów byłych więźniów obozów koncentracyjnych lub osób umieszczonych na taj-

nej gestapowskiej liście Polaków z powiatu opolskiego«, chodzi o uchodźców z 1922 r.” Iwo Byczewski przyznał, że nie jest nadal znana liczba faktycznie wywiezionych górników - a „powinna być i będzie nadal badana”... Podobnie jak faktyczna liczba osób, które wróciły do kraju z zesłania (ocenia się, że około 1600 osób). Poważne nadzieje przykładal do współpracy w tych kwestiach ze Śląskim Instytutem Naukowym w Katowicach (niebawem bezzwłocznie zlikwidowanym!). Mówił o konieczności „dokładnego zbadania bardzo obszernego materiału archiwalnego, ustalenia adresów i przesłuchania setek świadków. Po wykonaniu tych czynności będzie można zwrócić się do organów prokuratury Rosji z wnioskiem o dokonanie konkretnych czynności procesowych w ramach pomocy prawnej: nadesłanie stosownej dokumentacji, pociągnięcie do odpowiedzialności karnej ewentualnych żyjących sprawców zbrodni, itd.”

Itd... należałoby dopisać do pozostałych wyjaśnień - zapewne podanych w dobrej wierze - a dotyczących kwestii prawnych, roszczeń finansowych, regulacji emerytury i rent. Żadna z deklaracji wiceministra nie potwierdziła się w przyszłości bliższej ni dalszej: no bo kto, co i kiedy wyegzekwował cokolwiek od ZSRR, podobnie od Rosji? Nie okazały się także w tym przypadku realne nawet odszkodowania z tytułu uprawnień kombatanckich. W nawiązaniu do wypowiedzi wiceministra Byczewskiego poseł Marian Zenkiewicz poruszył sprawę losu ok. „26 tys. mieszkańców Pomorza Gdańskiego, schwytych przez Armię Czerwoną i deportowanych do łagrów Związku Radzieckiego w 1945 r.”, uznając, iż jest to sytuacja podobna. Z tego tytu-

łu wystąpił z wnioskiem „aby sprawę deportacji zarówno górników śląskich, jak i obywateli Pomorza Gdańskiego, były rozpatrywane według jednolitych kryteriów”.

Wszystkie te deklaracje i zobowiązania zostały objawione z trybuny sejmowej 20 marca 1992 roku. I tak dziesięć lat minęło.

Krzywdą wymierająca

Jedynie Śląsk pamięta i co roku wnosi obolale nowe wątki w dzieje tej wielkiej makabrycznej wywózki bezbronných, oszukanych i sterroryzowanych. Lecz jest to zarazem coraz bardziej wymierająca robotnicza krzywda, bo ilu jeszcze żyje spośród tych, którzy wrócili - zaledwie garstka. I kto z nich doczeka elementarnej rekompensaty, a chociażby tylko prawdziwie pojętego moralnego zadośćuczynienia?

Przed kilku laty raz i drugi mocno zabrzmiął z trybuny sejmowej głos posła Jerzego Wuttke, gdy w trakcie dyskusji nad projektami ustaw o uprawnieniach osób represjonowanych poprzez przymusową pracę na terenach III Rzeszy i ZSRR, wnosił o „włączenie do kręgu osób objętych projektowaną ustawą tych wszystkich, którzy doznali represji ze strony obu obojczy państw”. Na posiedzeniu 29 maja 1996 roku przekonywał Sejm, że akceptacja „zgłoszonych wniosków mniejszości pozwoli uniknąć wyrzadzania po raz kolejny krzywdy tym polskim obywatelom, którzy skrzywdzeni zostali dotąd podwójnie. Po raz pierwszy przez fakt rzeczywistej fizycznej i moralnej represji, a po raz drugi przez tragiczny spłot historii uniemożliwiający tym osobom m.in. wykazanie się polskim obywatelstwem tuż przed wywiezieniem do pracy katorżniczej.

Posel Wuttke przekonywał z pasją, że miejsce szczególne w tym zbiorowym losie zajmują śląscy górnicy wywiezieni w „1945 roku jako zdobywc wojenna przez zwycięską Armię Czerwoną do pracy katorżniczej głównie w kopalniach Donbasu. Wywózka ta objęła wówczas około 30 tys. osób w wieku od 17 do 50 lat. Wróciło niewielu, dziś żyją już tylko nieliczni. (...) Wywieziono ich z całą pewnością z terytorium państwa polskiego w jego obecnych granicach. Deportacje dotknęły ponad 420 miejscowości, w tym m.in. takich jak Zabrze, Bytom, Pyskowie, Rokitnica. Dla Armii Czerwonej były to tereny niemieckie ze wszystkimi skutkami takiego kojarzenia”.

W uzasadnieniu wniosku Jerzy Wuttke powołał się na przykład Wojciecha Korfanteo, przywódcę powstań śląskich, który „wywołał je jako obywatel niemiecki. Oto prawdziwy sarkazm historii” - dowodził, lecz i tym nie przekonał Wysokiej Izby.

Minęło kolejnych pięć lat społecznych inicjatyw dla utrwalenia pamięci ofiar tamtych tragicznych wydarzeń. Spośród licznych publikacji najważniejszym wydawnictwem jest książka Zygmunta Woźniczki „Z Górnego Śląska do sowieckich łagrów”, śląskiego historyka, który ukazuje te wydarzenia na tle ideologii i nieludzkiej praktyki systemów totalitarnych XX wieku, porządkując fakty, daty i podstawowe liczby w oparciu o archiwa i dokumenty. Zapewne to co dotąd zbadano, udokumentowano, napisano i wydano daleko nie zaspokaja potrzeb społecznych, ani nie ogarnia obszaru tego tragicznego tematu nadal pełnego „białych plam”, skoro nadal nawet w przybliżeniu nie można ustalić pełnej listy deportowanych, a tym bardziej ofiar i miejsc ich spoczynku.

Najbardziej upokarzająca jest jednak zbiorowa bezsilność o czym świadczą kolejne głuche interpelacje. W tym ostatnia z marca 2001 roku, gdy do marszałków Sejmu i Senatu, skierowany został list otwarty podpisany przez wybitne osobistości ze Śląska, w tym księdza arcybiskupa Damiana Zimonia, marszałka Jana Olbrychta, prezesa Związku Górnośląskiego Jerzego Śmiałka oraz twórców tak znanych jak Wojciech Kilar. List dotyczył drażliwej kwestii, którą w cytowanych wystąpieniach bezskutecznie podejmował poseł Jerzy Wuttke w trakcie prac nad ustawą o świadczeniach pieniężnych przysługujących osobom deportowanym do pracy przymusowej oraz osadzonym w obozach pracy przez III Rzeszę i ZSRR. Zgodnie z ustawą przyjętą przez Sejm RP 31 maja 1996 roku prawo korzystania z tych świadczeń przysługuje jedynie tym obywatelom RP, którzy posiadali obywatelstwo polskie jeszcze przed dniem 1 września 1939 roku. Sygnatariusze listu uznali, że „Zapisy ustawy pozbawiły zatem możliwości ubiegania się o dodatek do emerytur i rent tych Ślązaków, których wywieziono w roku 1945 do ZSRR z części Górnego Śląska, pozostającej po roku 1922 w granicach państwa niemieckiego. Tym samym nieliczni mieszkańcy tej ziemi, którzy powrócili z sowieckiej niewoli, zepchnięci zostali do roli obywateli drugiej kategorii, tak jakby miarą wartości był posiadany przed kilkudziesięciu laty paszport.

Uważamy, że wymienione zapisy, wynoszące cierpienia jednych ponad krzywdą innych, naruszają zasady sprawiedliwości i równości i jako takie wymagają zmiany.”

Minął rok - i żadnego oddźwięku. Kolejna interpelacja głucha, jeśli ten list-memoriał uznać za interwencję tej właśnie rangi a jego moralną wymowę za wiążącą i zobowiązującą. A przecież niedługo a nie będzie już komu świadczyć zadośćuczynienia, bo wymierają ostatni skazańcy i katorżnicy ze Śląska.

Trumna z ruchomym dnem

Ilich było łącznie tego nikt nie wie i zapewne już nie ustali. Najczęściej przyjmuje się, że było ich co najmniej 25 tysięcy - taka właśnie liczba wynika z miejskich i powiatowych spisów dokonanych w 1945 roku w województwie śląskim w oparciu o adnotacje przy nazwiskach: wywieziony w nieznanym kierunku. Jest to jednak liczba znacznie zaniżona w stosunku do rzeczywistej ze względu na ulomne, prowizoryczne rejestry sporządzone w ówczesnych warunkach. Zapewne bliższa jest liczba 30 tys. ofiar wywózek, bo i taka pojawia się w publikacjach. A może należy ją jeszcze podwoić, gdyż i to sugerują niektóre sondaże, obejmujące jednak szerszy obszar Górnego Śląska. W każdym razie była to operacja masowa a przy tym całkowicie bezprawna, choć zgodna z bezwzględą praktyką eksterminacji cywilnej ludności realizowaną w państwach totalitarnych, tak w Niemczech hitlerowskich i ZSRR w czasach stalinowskich, bo tu i tam wykorzystywano niewolniczą pracę jako podstawę gospodarki oraz instrument powszechnego terroru.

Tę wielką, niemą liczbę anonimowych w większości ofiar należy postrzegać nie tylko w oparciu o kryteria statystyczne, ale z rozpisaniem na imiona i nazwiska konkretnych osób. Trzeba wyobrazić sobie twarze tych ludzi skazanych na bezpowrotną w większości „Śląską Golgotę”: co człowiek, konkretna osoba - to ludzki okrutny los. Śmierć bez miejsca na ziemi i niezliczone bezimiennie śląskie groby, do których nie dotarli nigdy najbliżsi i gdzie zapewne nigdy się nie pojawiają, by zapalić znicze rodzinnej pamięci - od iluż lat?...

Historia tej zbiorowej tragedii nie ma wciąż jednak końca i przypomina trumnę bez dna. Według relacji Franciszka Pietrka z Bytomia (w spisie wywiezionych górników pozycja 6184) zapisanej przez Andrzeja Wrzidłę, w obozie, gdzie przebywał, była w użyciu jedna trumna z dnem na zawiasach ze względu na drakańskie oszczędności. Groby kopano tam głębokie na kilka warstw ciał. Zmarły niesiony był w tej trumnie nad wykopany dół, wcześniej pozbawiony odzienia, bo zabierali je żywi. W momencie pochówku otwierało się dolne wieko i zwłoki spadały na dno.

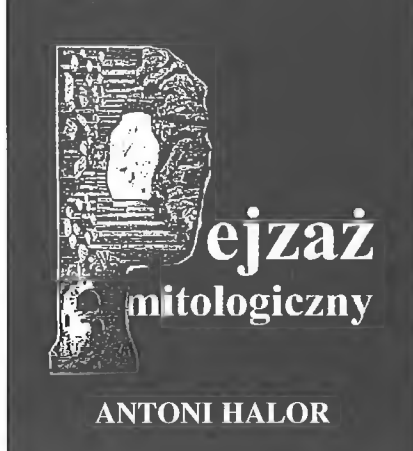
Taką trumnę na zawiasach z ruchomym dnem przypominają teraz co roku okolicznościowe publikacje o tamtych masowych wywózkach Ślązaków - wiedzy nie przybywa, lecz trwa ceremonial aktów zdawkowej pamięci. A potem nastaje głuchy czas milczenia, bądź pytań bez odpowiedzi.

Każda wojna z natury rzeczy jest okrutna. Tymczasem w znanych mi podaniach „francuskich” prawie zupełnie brak kojarzonych z nią zwykłych elementów grozy i przerażenia. Poza straszczącymi tu i tam upiorami.

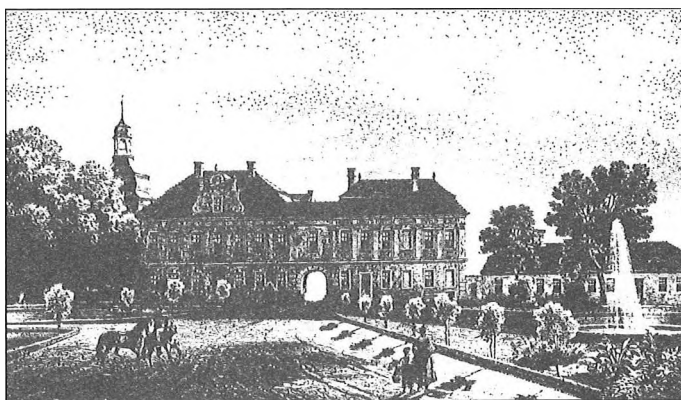
I z pewnością fakt, że kościół w Tarnowie koło Grodkowa służył Francuzom, kwatrującym w tej miejscowości, za stajnię (związane z tym podanie oparte jest na zapisie z miejscowej kroniki), nie jest tym samym co np., znane choćby z II wojny światowej, palenie świątyń przez pijanych zwycięzców. Zaś oblężenie pruskich twierdz mogło mieć swoją zaskakująco korzystną stronę. Jak w wypadku Koźła w 1806-1807 r. Mieszkańcy, stłoczeni w twierdzy, zabrali tam, słusznie przewidując problemy aprowizacyjne, także świnie, które zgodnie ze swoją naturą ryjąc w ziemi, wykopały z niej znaczne ilości złotych monet. Mądrzy starcy natychmiast odgadli, że przemysłne te zwierzęta, używane przecież, zwłaszcza we Francji, do wykrywania smakowitych truflí, znalazły część ukrytych przed wiekami niezmierzonych skarbów sławnego rycerza - rozbójnika Koziola (od którego Koźle wzięło swoją nazwę).

Prócz takich i podobnych opowieści, po Francuzach pozostało na Górnym Śląsku również sporo mniej lub bardziej niesamowitych podań o blakających się widmach i duchach tych z nich, którzy w czasie kampanii napoleońskiej zostawili tu na zawsze swoje doczesne szczątki.

Do najefektowniejszych, znanych zresztą w folklorze całej Europy, należy, zapisane sto lat temu w Mańkowicach koło Nysy, podanie o widmie generała Vandamme, zdobywcy w czerwcu 1807 r., po którym oblężeniu, Nysy (uważanej w owym czasie za twierdzę nie do zdobycia). Wprawdzie, o ile wiadomo, żaden znany napoleoński dowódca nie oddał wtedy ducha w tych stronach, ale podług opinii mieszkańców Mańkowic, generał został po swej śmierci wyrokiem Opatrzności skazany na conocne blądzenie nad tamtejszym wielkim stawem, dziś już nie istniejącym, bo dawno temu został zasypany. Jak nakazywał stary, dobry, panujący wśród dusz pokutujących obyczaj, Vandamme straszył tam w „godzinie duchów” (czyli dokładnie między godziną 12.00 a 1.00 w nocy) w postaci ubranego we francuski mundur oficerski widma, pozbowionego jednak głowy. Przekaz nie mówi nic o tym, czy ją trzymał pod pachą (co należy do dobrego tonu w przypadku upiórów tego rodzaju). Straszyć tak



Napoleońskie widma i mogiły



Pałac w Turawie, wg litografii z XIXw.

miał za jakieś wojenne grzechy przez sto lat, dziś więc z całą pewnością już się go tam nie zastanie.

W Zakrzowie Opolskim charakterystyczna kapliczka słupowa, stojąca pierwotnie na nie istniejącej już dziś Slimaczej Górze (po jej zniwelowaniu, ustawiona niedaleko cementowni), została wzniesiona nad mogiłą, w której pochowano poległych w krwawej bitwie, stoczonej między Francuzami a Prusakami. Nocami widywano tam potem walczące widmowe armie.

Z kapliczką tą związane jest również bardzo wymowne podanie o braciach walczących po przeciwnych stronach: jeden w wojsku francuskim, drugi w mundurze pruskim. Spotykają się na owym pagórku. Pojedynkują się na szable i zadają sobie nawzajem śmiertelne ciosy. Rozpoznają się w ostatniej chwili życia. Kapliczką postawiono w miejscu w którym ich pochowano, splecionych w braterskim uścisku.

W lesie, leżącym ongiś na północ od wsi Szczedrzyk, w stronę Turawy, stał krzyż w miejscu, w którym pochowano wielu żołnierzy wycofującej się z Rosji Wielkiej Armii. Dziś w tym miejscu rozlewa się, powstałe w latach 30-tych XX w., rozległe sztuczne jezioro Turawskie. Gdy jego wody po dłuższej suszy opadają „można zobaczyć wzniesienia. Są to groby żołnierzy Napoleona”.

W Reptach koło Tarnowskich Gór jest mogiła z 1807 r. w której mają być podobno pochowani żołnierze z oddziału księcia Sulkowskiego, którzy padli tu w krwawym starciu z pruskimi dragonami porucznika, nomen omen, v. Witkowskiego (piszę podobno, bo wg innej wersji stało się to pod Mikołowem).

Wiele lat temu w Sarnowie opowiadano mi legendę o pobliskich Psarach, bardzo podobną do wydrukowanej w 1926 r. w „Orlim Łocie” (ówczesnym nader zasłużonym dla wiedzy o kraju czasopiśmie dla młodzieży) i o tym: „skąd dusze Francuzów wracają do swojej ojczyzny”: „Niedaleko wsi Psary... znajduje się

piaszczysty wzgórek. Starzy ludzie opowiadali, że jest to mogiła francuskich żołnierzy, którzy wracali z Rosji przez Psary do Francji. Na zziębnięte i głodne wojsko padła zaraza. Ludzie marli jak muchy. Nie pochowane trupy leżały długo, tylko gromady psów rozwlóczyły ich ciała. Stąd pola te, a później wieś nazywano Psary”. W nocy z głębi mogiły miały wychodzić cienie w napoleońskich mundurach. Starzy ludzie

powiadali, że to dusze poległych Francuzów opuszczają ów grób na pustkowiu i powracają do swej ojczyzny.

Równie poetyczna jest opowieść o narodzinach zwyczajnego splecia ongiś, z okazji świąt i wesel efektownych wieńców z orzechów w dawnym Szywałdzie, dzisiejszym Bojkowie koło Gliwic. Rosnące we wiosce dorodne drzewa orzechowe miał zasadzić tam żołnierz, którego burzliwe wypadki wojen napoleońskich zagnały aż na południe Francji. Tam zobaczył po raz pierwszy orzechy. Zaciekawiony napełnił sobie nimi kieszenie. Los chciał, że podczas najbliższej potyczki został ugodzony kulą. Twarde skorupy, w które uderzył pocisk, uratowały mu życie. W podziękę nosił je ze sobą aż do końca wojny. Po powrocie do rodzinnej wioski orzechy splecione z barwinkiem w kształtny wieniec złożył na ołtarzu miejscowego kościoła. Kilka zaś, największych, zasadził koło swojego domu.

Ryc. Antoni Halor



Z przeszłości: orkiestra browaru książęcego w Tychach, 1928 r.

Zmierzch pewnej kultury

MARIA
LIPOK-BIERWIAZONEK

**... Śląsk śpiewa,
głos ma węgiel i stal.**

Przewrotnie, lecz nie prześmiewczo, sięgam po frazę Broniewskiego. Przewrotnie - bo nie o śpiewie huczących młotów i turkoczących turbin chcę pisać, ale o kondycji kultury ukształtowanej tu, gdzie przez dziesięciolecia głos miał węgiel i stal, dokładniej zaś - o kulturze środowisk robotniczych.

Przed ćwierćwieczem znaczną karierę zrobił w naukach społecznych i w publicystyce termin „kultura robotnicza”. Mile brzmiący dla uszu ówczesnych polityków, przydatny ideologicznie - był nadużywany. Również na Śląsku. Co właściwie termin ten znaczył? Czy używano go trafnie? Czy nie byłoby lepiej mówić o tradycjach kulturowych środowisk zawodowych?

A może o kulturze plebejskiej? Czy może bardziej ogólnie o specyfice kulturowej regionu? Bo czy można sztucznie wypreparować kulturę warstwy społecznej względnie grupy zawodowej z całego kontekstu? Nie miejsce tu na rozstrzyganie sporów terminologicznych, chodzi raczej o wskazanie pola zainteresowań, ale i jego niejednoznaczności.

Współcześnie na pograniczu dwóch nauk - socjologii miasta i etnologii - rozwija się nowa ciekawa specjalność, nazwana antropologią miasta. To chęta do podjęcia naukowej refleksji między innymi nad kulturą współczesnych mieszkańców miast - ich światów elitarnych i światów plebejskich. Jeśli jednak bierze się pod lupę miasta śląskie - nie sposób uciec od problematyki regionalnej. Na Śląsku tendencje uniwersalne mieszą się nieustannie z treściami regionalnymi i lokalnymi,

tworząc specyficzny konglomerat kulturowy.

Przed wiekiem

Zręby specyficznej kultury robotniczego Śląska to dziedzictwo kulturowe synów śląskich chłopów, małorolnych i bezrolnych, wędrujących przez dziesięciolecia z okolicznych (a czasem z dalszych) wsi „ku hutom” w poszukiwaniu zarobku. Dziedzictwo kultury ludowej modyfikował rytm pracy w przemyśle, wymagający dużej dyscypliny i innej organizacji życia rodziny. Dziewiętnastowieczny Śląsk przemysłowy przenikał się ze Śląskiem rolniczym - w sensie przestrzennym i w sensie społecznym. Znaczna część z zatrudnionych w kopalniach i fabrykach robotników starała się łączyć nowe zajęcie z uprawą choćby kawałka ziemi i hodowlą kozy, co ułatwiało wyżywienie rodziny.

Warto się przyjrzeć pochodzącym z połowy XIX wieku grafikom Ernesta Knippla, który utrwalił pejzaż rodzącego się przemysłowego Śląska, w tym koegzystencję wsi i przemysłu. Katowice przedstawił Knippel w taki sposób: za wodami stawu utworzonego na Rawie rysują się niewysokie budynki huty, ale pierwszy plan wypełnia grupa żniwujących wieśniaków i stado bydła.

Od połowy XIX wieku rozwój przemysłu i górnictwa nabrał ogromnego przyspieszenia. Magnaci przemysłowi i mniejsi przedsiębiorcy importowali z zachodu najnowsze technologie. Budowano linie kolejowe, umożliwiające transport towarów i przemieszczanie się robotników. Górnośląski przemysł rozwijał się przede wszystkim dzięki pracy wychodźców ze śląskich wsi. Maria Wanatowicz w jednej ze swych rozpraw podkreśliła, że napływ Polaków z innych dzielnic (proces taki rozpoczął się z końcem XIX wieku) nie miał charakteru w pełni swobodnego, reglamentowany był różnymi decyzjami administracyjnymi. Zza kordonu przybywali przy tym głównie robotnicy sezonowi. Z kolei z głębi Niemiec przyjeżdżali nieliczni specjaliści i urzędnicy. A zatem rosnące w pobliżu kopalń i hut nowe osiedla robotnicze zasiedlane były przez Ślązaków przybyłych z mniej i bardziej odległych wsi.

Śląsk wiejski budował Śląsk przemysłowy. Śląsk wiejski stworzył plebejską kulturę osobliwej tkanki miejskiej przemysłowego Śląska. Powstały robotnicze dzielnice miast, osiedla familoków w cieniu kopalń i hut żywiciel, rozwinęły się wsie robotnicze. Wzniesione z czerwonej cegły wielorodzinne domy budowane dla robotników zdominowały osadniczy pejzaż - Bogucic, Halemby, Nowego Bytomia, Radzionkowa, Knuruwa, Pszowa... Charakterystyczne dla tego pejzażu stały się kolonie takich domów budowane

w pobliżu huty czy kopalni, bez przestrzennego powiązania z organizmem miast. Lech Szaraniec w książce poświęconej osadom Katowic wymienia długą listę takich kolonii patronackich. Najbardziej znaną spośród nich, ale odmienną, bo starannie zaprojektowaną przed budową, jest Nikiszowiec. Od schematu kolonii familoków najdalej odszedł fundator Giszowca, niezwyklej kolonii - ogrodu.

Podstawą kształtującej się specyficznej formacji kulturowej była homogeniczność mieszkańców tych miejscowości - homogeniczność pochodzenia, tradycji, zawodów, miejsca pracy, stylu życia, form religijności.

Warto podkreślić charakterystyczny model i styl życia. Przed wiekiem mieszkańcy robotniczych dzielnic zajęci byli nie tylko walką o byt. Równoległe z procesem zwanym budzeniem świadomości narodowej kształtowały się wzory aktywnego uczestnictwa w kulturze. Solidną ich podstawą była powszechna piśmienność mieszkańców Śląska. To swoisty paradoks - pruski obowiązek szkolny z przymusową nauką po niemiecku zapewnił powszechną umiejętność czytania, wykorzystywaną w naturalny sposób do czytania po polsku. Tego zaś uczyły używane w prawie wszystkich domach polskie modlitewniki, między innymi z *imprimatur* niemieckiego kardynała Koppa. Kardynał troszczył się przede wszystkim o religijność ludu, o modlitwę, a nie o ideologizację języka modlitwy - tym samym wspierał „rzykanie” po polsku. Od czytania polskich modlitełek i popularnej literatury religijnej (broszury i książki kupowano np. w czasie odpustów i pielgrzymek) był tylko krok do czytania czasopism, kalendarzy, a w końcu literatury pięknej.

W wielu śląskich miejscowościach zorganizowana aktywność kulturalna rozpoczynała się od założenia chóru. Początek XX wieku to rozwój ruchu

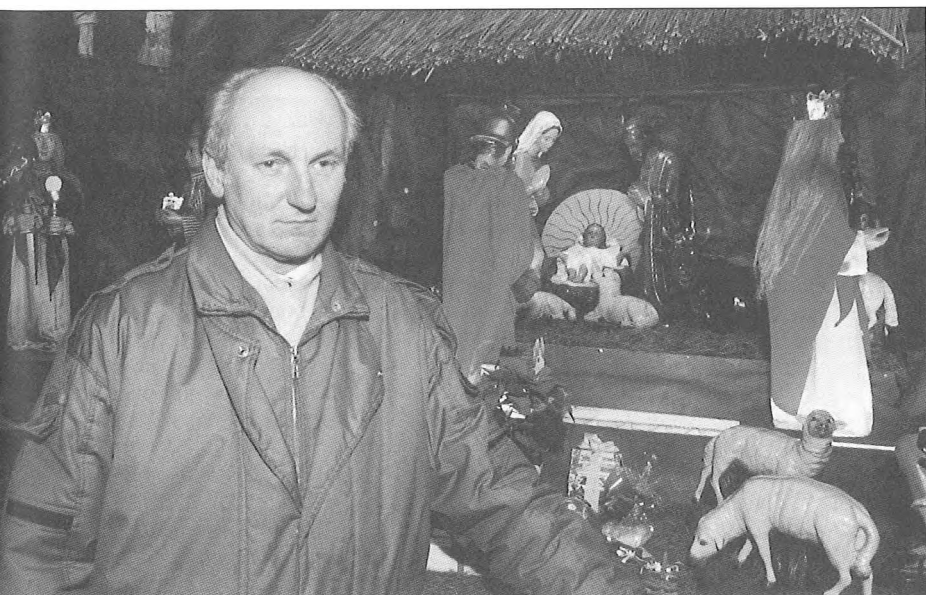
śpiewaczego, który po 1922 roku stanie się prawdziwą potęgą. Powstawały gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, pierwsze na Górnym Śląsku założone zostało w 1895 roku w Bytomiu. Administracja niemiecka nie lubiła „Sokoła”, szykanowała jego działaczy. Towarzystwo programowo dbało o tężyznę fizyczną, ale nieoficjalnie dbało też o ducha, budziło patriotyczne uczucia. Nie darmo patronem druhen sokolic (a od 1908 roku również druhen sokolic) był wszak Tadeusz Kościuszko. Wobec niechęci władzy niektóre nowo tworzone gniazda utajniano.

Aktywność organizacyjną wykazywał Kościół, tworząc koła Towarzystwa św. Alojzego, Kongregacji Marińskiej Panien itp., wpływając w ten sposób na podnoszenie morale mieszkańców robotniczych (i nie tylko) miejscowości. Kościół walczył między innymi z plagą pijaństwa. Wspomnieć trzeba w tym kontekście dzieło tyskiego proboszcza Jana Kapicy, zwanego apostołem trzeźwości. Kapica był świetnym kaznodzieją, organizując ludowe misje trzeźwościowe niestrudzenie podróżował do licznych parafii, w których wygłosił łącznie ponad 600 konferencji - czynił na początku XX wieku to, czym dwa pokolenia wcześniej zasłużył się ksiądz Jan Alojzy Ficek z Piekark.

Religijność była ważną stroną kultury robotniczego Śląska. Społeczności żyły jednym rytmem przemienności czasu pracy i czasu świętowania. Święta i odpusty, jednakowo przygotowywane i celebrowane, dawały poczucie wspólnoty. Łączyła świadomość posiadania tego samego patrona, zarówno w przypadku parafii, jak i grupy zawodowej. Rósł kult św. Barbary, jako opiekunki najbardziej zagrożonych górników, i kult św. Floriana.

Między wojnami

O kres międzywojenny na Śląsku liczyć trzeba inaczej niż na pozostałych ziemiach Polski - od 1922 roku, od włączenia ziem utworzonego wówczas województwa śląskiego w granice państwa polskiego. Siedemnaście (zaledwie!) lat międzywojennych w kulturze robotniczej ludności Śląska zaznaczyło się przede wszystkim intensywnym rozwojem organizacji społecznych i kulturalnych. Ale trzeba pamiętać o tym, że podzielony między Polskę i Niemcy Śląsk był podzielony również w przebiegu procesów społeczno-kulturowych - rozrostowi polskich organizacji kulturalnych w części wschodniej towarzyszyło rozwiązywanie kół i oddziałów tychże organizacji (działających tam jeszcze przed 1914 rokiem) w części zachodniej, opolskiej, należącej do Niemiec, w tym także w Bytomiu, Zabrze czy Gliwicach. Stopniowa likwidacja polskich organizacji



Franciszek Ścierański z Bojszów, emerytowany ślusarz z kopalni „Ziemowit”, wyrzeźbił ruchome figury do szopki w miejscowym kościele.

Foto: Jerzy Bierwiazek



Foto: Jerzy Bierwiaczonek. 2000 r.

Współczesność: górnicze mundury „dekorują” uroczystości. Procesja Bożego Ciała w Dąbrowce Wielkiej.

w Opolskiem nasiliła się po dojściu do władzy faszystów w 1933 roku; pozostawały stowarzyszenia niemieckie.

Na ziemiach polskiego Śląska w latach międzywojennych nastąpiło prawdziwe pospolite ruszenie pod względem aktywności kulturalnej robotniczej i chłopskiej ludności. Jeszcze przed wprowadzeniem administracji polskiej w roku 1920 i 1921 powstało wiele nowych gniazd „Sokola”. Jarosław Raciński w pracy przygotowanej na stulecie „Sokola” na Górnym Śląsku stwierdził wprawdzie, że w latach 20. Towarzystwo Gimnastyczne przeżywało kryzys, spowodowany w części archaicznym programem sportowym (skupienie się na ćwiczeniach gimnastycznych, brak zainteresowania nowymi dyscyplinami sportu), niemniej nadal skupiało prawdziwą rzeszę członków. Oto np. na Zlot Sokolstwa w Poznaniu w 1929 roku przyjechało ponad 2300 sokolów i sokolic śląskich. Towarzystwo wykazywało ponadto nieustannie dużą aktywność w pracy oświatowej, kulturalnej i wychowawczej - sokole organizowały dla swych środowisk lokalnych wykłady, prelekcje, przedstawienia teatralne, festyny, zabawy taneczne.

Podobnie wszechstronna była działalność członków chórów. Chóry zakładano we wszystkich miejscowościach, w których ich dotąd nie było. Chórzyści, podobnie jak sokole, chętnie organizowali przedstawienia teatralne, zabawy karnawałowe. Dla swych społeczności lokalnych występowali na festynach i podczas uroczystości kościelnych. Uczestniczyli w wielkich śpiewających świętach - przede wszystkim w Zadolu, śródleśnym zakątku Piotrowic (dziś Katowice), gdzie spotkania takie organizowano od 1909 roku.

Chórzystów śląskich jednoczyły nie tylko zjazdy śpiewacze, ale również takie akcje, jak zbiórka pieniędzy na pomnik Stanisława Moniuszki. Monument odsłonięty w Katowicach w 1930

roku ufundowali w całości ślascy śpiewacy, w większości przeciw robotnicy. Z kolei chórzyści z Nowej Wsi (dziś Ruda Śląska), którymi byli przede wszystkim hutnicy huty Pokój, w 1937 roku zbudowali w swej miejscowości własną społeczną pracę i własnym sumptem (choć, jak pisze Rajmund Hanke, trochę dołożył wicewojewoda Tadeusz Saloni) Dom Śpiewaka.

Popularne były orkiestry dęte. Orkiestry powstawały pod opieką właścicieli fabryki, huty, czy browaru, ale także w pełni spontanicznie. W jedenastotysięcznych Tychach działało ich w latach 30. kilka, w tym kapela braci Szymonów. Podobne orkiestry dęte grały w śląskich wsiach. Grali na weselach, pogrzebach, festynach, w czasie kościelnych odpustów, pochodów w święto 3 maja, w Barbórkę. Muzyka była ważną częścią życia, a muzykowanie przenosiło się do rodzin - stąd nie były niczym osobliwym skrzypce, cytry, harmonie w robotniczych domach.

Wśród śląskich robotników nie było analfabetów. W rodzinach prunumerowano prasę, wypożyczano książki z bibliotek Towarzystwa Czytelni Ludowych. Czesław Grot w wydanej w 1938 roku monografii chłopo-robotniczej wsi Paprocany (dziś dzielnica Tychów) podaje, że wśród mieszkańców tej niespełna tysięcznej wioski było 190 abonentów 43 tytułów czasopism.

Robotnicy i członkowie ich rodzin - obok nielicznych inteligentów - należeli do różnych organizacji i stowarzyszeń: patriotycznych i praktycznych, pielęgnujących tradycję powstań śląskich i do zawodowych, nawet do Związku Drobnych Dzierżawców Rolnych.

Wszystkie te informacje zestawiam nie po to, by zbudować idylliczny obrazek świąteczny i aktywnych na polu kultury śląskich robotników. Byli światli, i byli aktywni, ale pełny obraz ich kultury i stylu życia to też wpływ biedy i bezrobocia, destrukcyjny wpływ pi-

jaństwa, rozpaczliwe decyzje przenoszenia się z rodziną za państwowy kordon, np. do Zabrza czy Bytomia, gdzie łatwiej było o pracę (za to dzieci przestawały tam czasem chodzić do szkoły, bo nie rozumiały po niemiecku), bardzo skromne pożywienie, którego podstawą były ziemniaki, kapusta, żur, zbożowa kawa (albo z mlekiem, albo z cukrem), a w niektórych rodzinach gotowane kilka razy w tygodniu flaki, bo „to wychodziło najtaniej”.

Dzisiaj patrzymy na tamten czas trochę idealizując. Patrzymy też poprzez obrazy zaczerpnięte z filmów i z literatury - z „Perły w koronie” Kazimierza Kutza, z „Grzesznego żywota Franciszka Buły” Janusza Kidawy, z „Cholonka” Janoscha, z książek Gustawa Morcinka i Horsta Bienka. Odtwarzają tamten czas stare fotografie, na których utrwalaono domy z cegły, lauby, orkiestry i chóry, śluby (pan młody, na co dzień robotnik, obowiązkowo z białymi rękawiczkami i z szapoklakiem pod pachą), komunie i prymicje, pielgrzymki, majówki i sypanie kopca Piłsudskiego w Krakowie, kobiety wystrojone po miejsku obok tych w chłopskich jaklach, kieckach i zapaskach.

Warto pamiętać, że fotografie te utrwały paradność i świętowanie, rzadko powszedniość, warto też jednak zwrócić uwagę na sam fakt pojawienia się w kulturze plebejskiej fotografii. Starannie oprowadzone powiększenia zdjęć wieszano w izbach, nabywano albumy fotograficzne. To skromny z pozoru, ale ważny szczegół ogólnych procesów cywilizacyjnych, które do robotniczych śląskich mieszkań wprowadziły bieżącą wodę, a na stoły porcelanowe serwisy. Fotografia była bowiem początkiem dokumentowania historii prostych, robotniczych rodzin.

Przypomnijmy jeszcze ekstrakt ludyczności: popisy „elwów”, „karasole” na odpuscie, rodzącą się miłość do piłki nożnej.

Lata Polski Ludowej

Po tragicznym czasie wojny, po dziesięcioleciu stalinowskim nastąpiły dobrze jeszcze pamiętane lata względnej stabilizacji. Dla śląskiej kultury robotniczej był to czas osobliwy, pełen sprzeczności. Z jednej strony nastąpiła zdecydowana poprawa sytuacji ekonomicznej robotników i ich warunków życia. Zapomniano, co to bezrobocie i bieda. Mieszkania w nowych osiedlach, motocykle, telewizory, wczasy w Ustroniu i Wiśle, opieka lekarska, sanatoria. Kopalnie, huty, fabryki były dobrym i hojnym mecenasem kultury, utrzymywały zakładowe domy kultury, łożyły na orkiestry, traktując je prestiżowo, jak swoje wizytówki. Orkiestry były niezbędne jako oprawa oficjalnych akademii z wręczaniem odznaczeń, do prowadzenia pochodów

pierwszomajowych, do powitania ważnych delegacji z bratnich państw.

To jest właśnie ta druga strona sytuacji robotniczej kultury. Większość z jej przejawów, ugruntowanych tradycją, opanowano odgórnie, sformalizowano, upaństwowiono. Mecenasy państwowy i zakładowy dawał pieniądze na budowę domów kultury, na etaty instruktorów, na pracownie plastyczne, instrumenty muzyczne, galowe mundury i stroje ludowe. W zamian oczekiwał poprawności - kontrolował programy, treści wykonywanych utworów, wpływał na tematykę prac plastycznych. Treści kultury brano pod dokładną lupę, z programów chórów rugując np. pieśni zawierające elementy religijne, wątek Naczelnika, wątek patriotyzmu antymoskalowego (antygermański był mile widziany), itp., itd.

Poza sformalizowanymi działaniami, regulowanymi i kontrolowanymi odgórnie, na kulturę spontaniczną, swobodną nie było miejsca. Kłopot sprawiały liczne tradycyjne powiązania kultury robotniczej z życiem religijnym. Chór wykonał pieśni religijne lub patriotyczne z czasów sanacyjnych?! odebrać dofinansowanie! Orkiestra zagrała na odpuszcie w kościele?! nie dostanie nowych instrumentów!

Szkoda właściwie miejsca na opisywanie szczegółów funkcjonowania instytucjonalnego mecenatu nad robotniczą kulturą. Z pozoru pielęgnowana, musiała być za to służebna. Chętnie ograniczano ją do roli dekoracji. Niemniej pozostały jako trwałe wartości takie jej zjawiska, jak upowszechnienie pewnych elitarnych niegdyś form sztuki, zwłaszcza malarstwa amatorskiego, czego dowodem jest bogata lista nazwisk śląskich malarzy nieprofesjonalnych i powstanie grup artystycznych, jak chociażby bielszowicki krąg malarzy amatorów.

Ostoją najwartościowszych elementów kultury był zawsze dom rodzinny. W domach działo się jednak w tym czasie różnie. Telewizja wyparła

wspólne rodzinne śpiewanie i muzykowanie. Różnice gustów między pokoleniami spowodowały, że matki chodziły na próby chórów i zespołów folklorystycznych, dzieci na koncerty kapel rockowych.

Pozostały jednak specyficzne obyczaje środowisk zawodowych, przede wszystkim górniczych i hutniczych. Najbardziej widoczne było to zjawisko w czasie oficjalnej celebracji świąt zawodowych, ale przecież badacze opisywali trwający również w prywatnym życiu rodzin górniczych rytuał pożegnań i powitań ojca wychodzącego i powracającego z pracy, domowe świętowanie Barbórki, osobisty kult patronów trudnych zawodów, utrzymywanie się tradycyjnych zainteresowań hobbyistycznych, jak hodowla gołębi. To ważne dla odczuwania wspólnoty kulturowej.

Dzień dzisiejszy czyli nowy przełom wieków

Refleksja nad dzisiejszym stanem kultury śląskich środowisk robotniczych to dwa niebezpieczeństwa: pierwsze związane jest z sygnalizowanymi kłopotami terminologicznymi, określeniem zakresu pojęcia, drugie z odruchem bicia na alarm i jere miady. Trudno jest bowiem zachować chłodny dystans wobec zjawisk dziejących się tu i teraz, których ocena narzuca się uporczywie.

Ostatnie dziesięciolecie przyniosło w sferze kultury zjawiska zarówno negatywne, jak i pozytywne. Wolność od ograniczeń ideologicznych i instytucjonalnych przyniosła też kulturze bolesne ograniczenie środków finansowych. Zlikwidowano większość zakładowych domów kultury, brak mecenatu ze strony przemysłu tylko w części zastąpiła opieka gmin. Jak pisał Rajmund Hanke z rejestru Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w ciągu ostatniego dziesięciolecia zniknęło 75 orkiestr

dętych. A w orkiestrach dętych była śląska siła...

Rozwiniął się z kolei ruch folklorystyczny, związany z renesansem śląskiej tożsamości regionalnej. W tym ruchu wszakże większość stanowią starsi śpiewacy i muzycy, drugim jego biegunem są dzieci i młodzież szkolna. Ruch folklorystyczny wspierany jest przez gminy, w wielu miejscowościach odbywają się przeglądy i festiwale stwarzające okazję do konfrontacji poziomu wykonawców i kierunków poszukiwań. Folklor i folklorizm, często krytykowany za cepeliadowe tendencje, nie może być jednak jedynym sposobem na aktywność kulturalną mieszkańców śląskich gmin.

Nasz przełom wieków przyniósł destrukcyjne zjawiska społeczne: bezrobocie i biedę, o których zdążyliśmy już wcześniej jako społeczeństwo zapomnieć. Biedni i bezrobotni mają małe możliwości aktywności kulturalnej. Z kolei wczesne emerytury w restrukturyzowanym górnictwie stawiają rzeszę młodych jeszcze i silnych mężczyzn wobec problemu nadmiaru wolnego czasu. Często odtwarzają oni swój hermetyczny męski świat w osiedlowych barach piwnych, niejednokrotnie spędzają w nich - codziennie! - po 6, 8 i więcej godzin (pokazały to badania studentki tyskiej uczelni). Inni, zamiast przesiadywać w piwiarniach, wybierają wędkowanie - to hobbyistyczne zajęcie zyskało w ostatnich latach bardzo wielu entuzjastów (także aprobatę żon młodych emerytów, bo zyskują trzeźwych mężów i świeże ryby na obiad).

Czyżby zatem dziś podstawą środowiskowej kultury, elementem łączącym ludzi, było piwo i wędkowanie?

Nasz przełom wieków - to prawdopodobnie zmierzch specyfiki kulturowej środowisk robotniczych w naszym regionie. Ekspansja kultury masowej, popkultury, hipermarkety i zauroczenie światem Big Brother - to groźne symptomy nieprzyjemnych zmian w kulturze i w naszym obyczaju.

Trwają jeszcze, paradoksalnie na kształt ikon masowej wyobraźni, w pejzażu świątecznym śląskich miast i wsi resztki pióropuszy górniczych; umundurowani górnicy stają w pocztach sztandarowych w czasie gminnych i kościelnych uroczystości (specyficzna aktualizacja dawnych funkcji dekoracyjnych munduru). Trwają jak ostańce akordeoniści Stanisława Wodnickiego, maluje nadal Erwin Sówka, rzeźbi emerytowany ślusarz Franciszek Ścierański z Bojszów i technik mechanik Józef Szypuła z Czechowic-Dziedzic. Dzieci masowo występują w „Śląskim Śpiewaniu”. Żywa jest gwara. Pojawiło się silne towarzystwo śląskich internetowców Mariana Pyrka.

Ale czy to wystarczy, aby zachował się specyficzny rys kultury w naszym regionie?



Tradycje górniczej rodziny jako wartość odświeżona. „Złote gody” - spektakl zespołu folklorystycznego „Bierunianki”.

Foto: Jerzy Bierwaczon

Oleodruk

Osty, wyschła trawa.
Piątek, jedenastego.

W zgiełku krwi dotarliśmy do podnóża gór
I mogliśmy już wracać.

Zapytałem z nadzieją: - Chcesz dalej iść?
Wiedziałem, co mi odpowiesz
I zgadzałem się na to.

Tam, w dolinie została
Mała dziewczynka.
Nie przepadała za mną,
Ale chciałem ją zobaczyć.

Padał śnieg. Obdarzyłaś mnie -
Przepraszam za wyrażenie -
Zmarzniętym pocałunkiem.
Królowa lodu - pomyślałem.

Odprowadzę cię - zaproponowałem.
Nie.
No to nie.

Poszłaś. Marzyłem, żeby
Zjadł cię niedźwiedź.
Spotkałaś go.
Miał nadkwasotę.

I wreszcie żyjesz.
Ci panowie
Kochają cię fizycznie
We wtorki, czwartki i
Z soboty na niedzielę
W twoim pięknym, mieszczańskim mieszkanku.
- Jestem szczęśliwa - mówisz
Każdemu z nich.

Dziękuję za wycieczkę w góry.
Niebawem wyślę ci
Śliczny oleodruk.



Rys. Wojtek Łuka

Wstyd

Motto:
Miałem sen, że mnie kochasz...
Byron

Miałem sen, że dotykam twojego ramienia
I obudziłem się w środku bezludnego miasta.

O, ileż zdarzyło się w tedy, kiedy spałem!
Padał mroczny śnieg, wyrastały listki
Na nieśmiały krzewach, szumiało
Jezioro ze wspomnień,
Trwał kamienny las, dogorywały kwiaty,
Mijały bezosobowe pory roku. Bez ciebie.

I nic się nie zmieniło. Ten sam
Nieublaganie ginący czas
I ja, cząstka czasu. Przeszłość jest teraz.

O czym myśli ta kobieta
Żółta jak zazdrość, leżąca
Na szpitalnym łóżku? Czy ma jeszcze sny?
Czy ktoś ją nawiedza we śnie?

Pociera dłonią bezzębne usta -
Może odgania smak pocałunków
Sprzed sześćdziesięciu lat. Czy ja ją
Kiedyś spotkałem? To pytanie jest
Jak wypalona gwiazda.

Nikt do niej nie przychodzi.
Nie ma między nami różnicy.

Jaki to wstyd umierać
Na niezасłużoną żółtaczkę.
Jaki to wstyd, że cię kochałem,
Że wkrótce nie będę cię kochał.

Wieczorem, po gęstym od pustki dniu
Patrę w telewizor. Potem gaszę światło.

Zasypiam. Idziesz ku brzegowi morza
Boso, po zielonej trawie.

Widzę to wyraźnie.
Taki wstyd -

Płacz

Grażynie

Spadł na mnie twój płacz.
Nieoczekiwany jak pluśnięcie morza.
Oczywisty niczym śnieg w czerwcu.

Bo ci nie odpowiedziałem
Na kilka prostych pytań:
O ilość ziarenek piasku na pustyni,
O to, którego grudnia umrzemy
(mniejsza o rok),
Dlaczego zapomnieliśmy i dlaczego pamiętamy.

Nie odpowiedziałem. Moja wina wielka
Jak listek wierzy i mała jak Atlantyck.

Mam w ustach twoją łzę. Raptem wszystko

Rozumiem.
Moje osiemnaście mdłych lat,
Dwoje nieletnich dzieci,
Sprawa rozwodowa: czy ona się stawia.

Druga iza. Smak tuszu i wanilii.
Pokochałaś i nie wiesz, czy to przeszło.
Chciał twoich pieniędzy, czy twojego ciała?
Po prostu nie wiesz. Mogłabyś się zabić.

Jeszcze tyle przyptywów też.
Jeszcze tyle zrozumień.
Jest tak, jak napisałem.
Albo odwrotnie. Jakie to ma znaczenie?

Wszystko w tobie drży.
Gałązki przeszłości.
Przyszła kra na strumyku.
Prawa pierś, której dotykam
Wskazującym palcem.
Wgłębienie nad obojczykiem
I wzgórek łonowy. Świeżo podgolony.

W porządku, płacz. Niech pojme.
Ale teraz przez chwilę
Nie mówmy o miłości.
Uprawiajmy miłość.
Pewnie coś się wyjaśni.

Nie pytaj

Nie pytaj mnie o nic, pustynia nie odpowie,
Choć może wie. Sól, piasek i noc,
Oślepla gwiazda, miałki śpiew ziaren,
To, co widać i słyszać. Nic.

Tak, mówili mi, są inne pejzaże,
Gdzieś daleko. Podobno
Nad zielonym gniazdem gwizdzą kos,
Wiatr nosi kłębki obłoków
I kochają się ludzie.
Od roku w to wątpię.

Nie pytaj. Odmów za mnie
Modlitwę niewierzących.
Zjedz pączka. Posyp mnie popiołem.
Popiół jest żywny.

Choć bywają wyjątki.

Październik, 2001

Arcyksiąże

Wczoraj przypomniałem sobie, że w Sarajewie
Zastrzelono arcyksięcia Ferdynanda.
Został zabity. I tak by wybucha wojna.
Co mnie to obchodzi?
Przecież to było tak dawno.

Aha, podłoto.
Więc śmierć człowieka jest mniej ważna.
Bo żarna czasu zmieliły miliony sekund?
Czy mój brat, Neandertalczyk nie chciał
Żyć dłużej? Musiał go wtedy stratać
Ten podchmielony nosorożec?

Lodem wieje od historii, od tego
Zwałowiska śmierci - znanych i porzuconych
W zakamarkach epok, w lamusach,
W zbutwiałych księgach, krzyku nocnych pawi.
Lodem wieje od teraźniejszości.
Ona zawsze jest wczoraj.

Dziś dowiedziałem się, że zmarł Janusz Żernicki.
To tak, jakby się stało w Sarajewie.
Nie widziałem go dwadzieścia lat.
A teraz czuję jego oddech na ramieniu.

Ostatnie wiersze odlatują od śmiertelnej dłoni -
Liście porwane ślepym wiatrem.
Wiatr jest logiczny, a śmierć logiczną.

Kiedy byłem tak ważny jak arcyksiąże
I kiedy przestanę nim być?
Za dziesięć milionów sekund?

Jak długo myśleli o nas nasi zabójcy,
Gawрила Princip i ty?

Październik, 2001

B. i C.

Jadą bezkresną drogą.
Nie ma drzew, nie ma gór
I chyba nawet nie ma powietrza.
Tylko ta droga i oni.
I muzyka wsiowej Ameryki.

Nie obrabują banku.
Nikogo nie zastrzelą.
Nawet się nie zdradzą.
Kupią gazetę, nie przeczytają,
Wyrzucą przez okno samochodu
Jak ten epizod - życie.

Przeżyją razem kilka lat,
To znaczy
Zabiją sami siebie.

I ktoś usłyszy
Dogasający akord
Grany na akustycznej gitarze.



Rys. Wojtek Łuka

Setna rocznica urodzin Jana Kiepury, mijająca 16 maja 2002, zachęca do przypomnienia sobie tej barwnej postaci, niezapomnianej dla wielbicieli sztuki śpiewaczej i filmu.

Mózg i krtań

MAGDALENA
DZIADEK



Karykatura Jana Kiepury, „Kurier literacko-naukowy”, Kraków 1935 r.

Sądząc z powodzenia, jakim się cieszyły w Bibliotece Śląskiej od stycznia biografie Kiepury, można mieć nadzieję, że szczegóły życia artysty zostały już, albo zostaną rychło tu i ówdzie przypomniane. Nie będę się więc rozpisywać o dzieciństwie „chłopaka z Sosnowca”, patriotycznej młodości z chwalebnym epizodem powstańczym w szeregach pierwszego pułku Strzelców Bytomskich i drodze do sławy - poprzez pierwszy angaż w operze warszawskiej Emila Młynarskiego, wielki debiut lwowski w styczniu 1925 roku i rok późniejszy debiut wiedeński, u boku słynnej Marii Jeritz w *Tosce Pucciniego*. Zacznę od chwili, kiedy Jan Kiepura stał się sławny, co zresztą nastąpiło prawie natychmiast po rozpoczęciu kariery

Zwycięski najazd

„Był sławny w krótkim czasie, jego wielka umiejętność organizowania sobie reklamy” - pisze Jerzy Waldorff z nutą sarkazmu, którą przesycona jest cała jego książka. Stawia w niej pisarz dość otwarcie problem, który po bez mała trzydziestu latach (monografia powstała w 1974 roku) wydaje się

nadal aktualny i może jeszcze ważniejszy: jest to problem szturmowania elitarnego ogrodu sztuk. W odróżnieniu od Waldorffa nie mam do Kiepury pretensji o ten zwycięski najazd, choćby dlatego, że zjawisko pod tytułem Kiepura całkowicie mnie ominęło. Nie potrafię wymienić bez pomocy naukowych żadnego śpiewanego przez niego utworu, a samo nazwisko kojarzy mi się z krynickim festiwalem, na którym nigdy nie byłam i pewnie nie będę (od tenorów wolę męskie soprały, bo brzmią ciszej). Jan Kiepura jest dla mnie zjawiskiem historycznym - w podwójnym sensie: dotyczącym przeszłości i funkcjonującym jako zespół źródeł. Źródła te jednak są niezmiernie ciekawe i pouczające.

Jan Kiepura był jednym z dwóch muzyków polskich działających w XX wieku, których losy artystyczne można streścić wyrażeniem „kariera powszechna”. Drugim był Ignacy Jan Paderewski. Rekordów wielkości rezonansu społecznego, z jakim spotkała się ich sztuka i działalność, nie pobił żaden z innych wielkich polskich artystów, sławnych w międzynarodowych kręgach elitarnych (jak Artur Rubinstein) bądź w sferach krajowych (jak Karol Szymanowski). Parę Kiepura -

Paderewski różni wszystko (oprócz wspólnego mianownika patriotycznej postawy): pochodzenie społeczne, obyczaje, rodzaj i poziom profesjonalnych ambicji.

Porównanie obu artystów jest wszakże uprawnione nie tylko ze względu na wielką sławę, którą zdobyli i nawet nie dlatego, że Kiepura był za życia faktycznie z Paderewskim w kontekście owej sławy porównywanym, ale i znaczenie obojga jako modelowych postaci symbolizujących dwie epoki polskiej kultury: romantyzm i nowoczesność. Każda z tych epok wyhodowała własny typ bohatera, odpowiadający jej normom, mentalności, apetytom. Można mówić o Paderewskim i o Kiepurze jako przedstawicielach dwóch postaw: romantycznej i nowoczesnej, typowo reagujących na ówczesną sytuację historyczną i cywilizacyjną. Próbując wychwycić i zdiagnozować ową typowość przybliżamy się do poznania istotnego charakteru głębokiego przełomu, który dokonał się (w jakiejś mierze także za sprawą Jana Kiepury) w niemowlęctwie polskiej nowoczesności, gdzieś pomiędzy 1910 i 1939 rokiem.

Sztuka ideologizowana

Istotnym elementem kariery Ignacego Jana Paderewskiego była stała troska artysty o prezentowanie otoczeniu własnej osoby i własnych działań w określonym świetle ideologicznym. Już podczas pierwszego pobytu we Lwowie (1895), który sam w sobie był ideologiczną demonstracją (powodem przyjazdu była chęć uczestniczenia w premierze opery *Konrad Wallenrod* Władysława Żeleńskiego, z której uczynił polski świat intelektualny święto narodowe), dał się młody pianista poznać jako zdolny orator, porywający słuchaczy wzniosłością patetycznych zdań o sztuce, jako służbie narodu. Każdy późniejszy występ Paderewskiego w Polsce był pretekstem do improwizowania publicznych „obchodów”, których specyficzny ryt ceremonialny pozwalał lokować fenomen recepcji Paderewskiego w ramach zjawiska kultowego (z prawie jawnym religijnym „wystrojem” w postaci procesji ze sztandarami, biało odzianych dziewcząt, itp.).

Zasięg tego zjawiska sygnalizuje istnienie sprzężenia zwrotnego pomiędzy ambicjami Paderewskiego i społecznymi oczekiwaniami, które przed 1914 rokiem koncentrowały się w sferze sztuki i polityki na poszukiwaniu narodowego przywódcy - wieszczą. Nie naciągając bynajmniej faktów do upatrzonej teorii możemy stwierdzić, że wizerunek Paderewskiego - wieszczą został wykreowany wspólnymi siłami przyjaznych mu publicystów (konserwatywnych i endeckich), zanim on sam dał świadectwo realnego zaangażowania w politykę. Potem działał już tylko samonapędzający się mechanizm wzajemnego entuzjazmu artysty i jego odbiorców.

Ów entuzjazm nie był przecież powszechny. Wybrki przerośniętego ceremoniału towarzyszącego wizytom Paderewskiego w Krakowie, Lwowie, Wilnie, czy Poznaniu były dość mocno krytykowane przez demokratyczną opozycję. Miał Paderewski wybitnych nieprzyjaciół w osobach przedstawicieli lewicującej grupy Młodej Polski na muzyce, a także w redaktorach czasopism demokratycznych: krakowskiej „Krytyki”, „Nowej Reformy”, lwowskiego „Monitora”. To na łamach tego pisma padły symptomatyczne i jakże gorzkie słowa: „my nie mamy świąt narodowych, lecz koncerty”.

Było to w 1909 roku, gdy w całym kraju dał o sobie znać porewolucyjny ostry kryzys tradycyjnych postaw społecznych, pociągający za sobą poważne zmiany w strukturze obyczajowości i kultury. Krótko mówiąc, wtedy właśnie zaczął się totalny odwrót od tradycyjnej kultury. Nastąpiła trwająca do dziś masowa pogoń za rozrywką, która - zdaniem Modrisa Ecksteina, który obserwował ten sam proces w skali zachodniej Europy - uosabiała zbiorowe zapotrzebowanie na formy zachowań realizujące potrzebę ruchu, ekspansji. W latach poprzedzających wybuch Wielkiej Wojny europejskie opery i filharmonie systematycznie pustoszały, natomiast wypełniały się publicznością kawiarnie, kabarety, nowo uruchamiane kinematografy i boiska sportowe. Masy wyszły na ulicę, nie tylko po to, by strajkować, czy świętować nowe podboje albo nadzieje na pokój, ale i po to, by ekscytować się nową, dla wszystkich zrozumiałą sztuką.

W służbie kina

Nie sposób nie zauważyć, że Jan Kiepura reprezentuje czysty typ artysty owego wielkiego przełomu, wychodząc śmiało naprzód nowej idei sztuki-rozrywki. W tym czasie - chodzi o koniec lat 20. - osiągnął światowy sukces jako śpiewak operowy, występując na najpoważniejszych scenach w Wiedniu, Londynie, Mediolanie. I nagle zdradził swoją muzę, przedstawiając się na repertuar rozrywkowy i wiążąc się z nowym medium - kinem. Był rok 1930, który w historii kina odnotowany jest również jako moment przełomowy, związany z wynalazkiem filmu dźwiękowego. Kiepura był pierwszym z szeregu słynnych śpiewaków, którzy występowali w filmach dźwiękowych, osiągając bajeczne zarobki i popularność o nie-spotykanym wcześniej zasięgu. Po nim dopiero próbowali kontaktów z kinem Beniamino Gigli, Fiodor Szalpin i inni tenorowo-basowi giganci.

Kiepura oddał się nowemu medium bez reszty, nakręcając pomiędzy 1930 i 1952 dwanaście filmów z sobą w roli głównej. Pierwszym z nich był obraz *Das singende Stadt*, zrealizowany w 1930 roku w Berlinie, wspólnie

z Brygidą Helm, gwiazdą niemieckiego kina niemego. Do czasów hitlerowskiego przewrotu pozostał Kiepura związany z wytwórnia berlińska, która stała się największą potęgą ówczesnej kinematografii, po przejęciu koncernu UFA przez grupę kapitalistów i przyciągała artystów z całej Europy, w tym również z Polski. Następne filmy, których tytuły mówią wszystko o ich treści i stylu: *Lied einer Nacht* (1932), *Mein Herz ruft nach dir* (1934), *Ich liebe alle Frauen* (1935) przyniosły artyście niebywałą popularność i niebywałe pieniądze, do których zresztą chętnie się przyznawał. „Liczyć umiem co najmniej tak, jak śpiewać” - głosił tytuł wywiadu z Kiepurą, który ukazał się w warszawskim tygodniku „Kino”. Szczególny zmysł do interesu znamionujący działania śpiewaka zyskał mu wielce dwuznaczne uznanie, czego dowodem jest tytuł pierwszej książki o nim, napisanej w 1931 roku przez R. Hernicza: *Mózg i krtani*, który nie bez równie dwuznacznej intencji pożyczyla jako nagłówek tego szkicu.

W filmie mógł śpiewak wyzyskać talenty i osobiste walory, które nie miały szans przebić się w operze - sztuce spętanej wówczas sztywnym kołnierzem konwencji dotyczących gry scenicznej, sposobu operowania głosem, metod kontaktowania się z widownią. Stworzył przekonujący wizerunek filmowego amanta - młodego mężczyzny obdarzonego dużym urokiem osobistym, energią, ambicją, zniewalającego uszmiłkowanym uśmiechem, to słodkim, to zawadiackim, zawsze kiczowatym.

Jan Kiepura doskonale zdawał sobie sprawę z możliwości, które otwarł przed nim film jako medium demokratyczne, podbijające serca polityków i gospodyń domowych, stojące, jak chciano w to wierzyć, i pod względem adresu społecznego, i poetyki bliżej życia, niż sztuka tradycyjna.

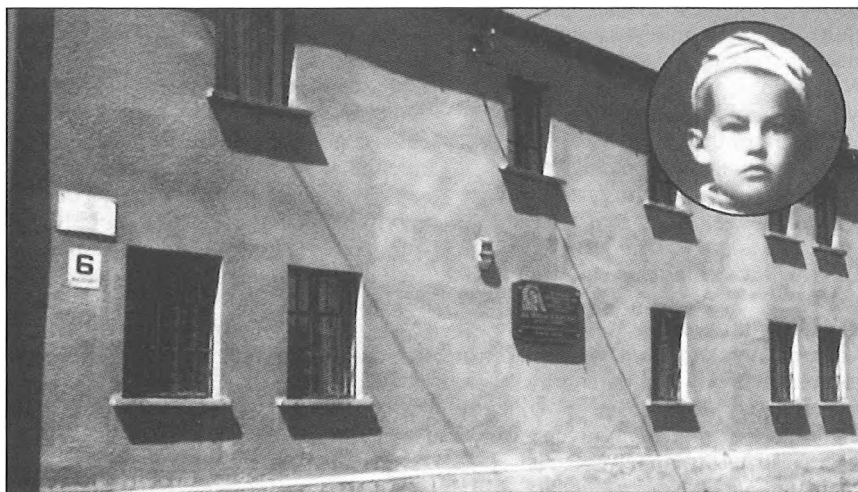
Sięgnijmy do świadectwa samego Kiepury, który tak wyjaśniał genezę swojej przygody z filmem muzycznym czytelnikom „Kuriera Literacko-

Naukowego” (dodatku do popularnego krakowskiego „Ikaca”): „Nie po-pelnie przesady, jeżeli stwierdzę, że mnie przypada zasługa lansowania nowego rodzaju filmowego, mianowicie opery-filmu [...] Jeżeli uzyskałem sukcesy w filmie, to właśnie dlatego, iż tak się jakoś szczęśliwie złożyło, iż w mojej osobie łączą się cechy filmowe [dobra aparycja, bezpośredniość, prostota, prawda] ze śpiewaczymi [...] Opera jest dzisiaj ciągle tylko jeszcze strawą duchową wyższych dziesięciu tysięcy. Dzięki filmom [...] opera mogłaby być uprzystępniona szerokiej publiczności na takich warunkach, jakich teatr dać jej nie może”.

Dalszy ciąg rozważań unieważnia jednak zbożną tezę o roli kina jako instrumentu upowszechniania elitarniej sztuki operowej. Bo, zdaniem Kiepury, opera i film to przeciwieństwa - „jak woda i ogień”. Pierwsza charakteryzuje się wysokim stopniem konwencjonalności, jest patetyczna, statyczna, nienaturalna, film natomiast ukazuje „prawdę życiową”, zawiera ruch, przestrzeń, tempo. Do filmu nadaje się wyłącznie jeden rodzaj muzyki - piosenka. „Kto więc w filmie zaśpiewa piosenkę w odpowiednim miejscu, ten może być pewny powodzenia i to tym bardziej, im bardziej pod względem aktorskim będzie realistyczny”. Oto katechizm artystyczny Kiepury, a zarazem pouczające świadectwo kształtowania się poetyki filmowego melodramatu.

Entuzjazm kontrolowany

Polska krytyka przyjęła zwrot w karierze Kiepury ze zrozumiałą nieufnością. Pisano o pobudkach materialnych, bądź o obsesyjnym podobno strachu śpiewaka przed utratą głosu (repertuar rozrywkowy nie forsuje gardła tak, jak opera). Ostro krytykowano posunięcia polskich władz kulturalnych, w ramach których Kiepura był promowany za granicą na równych prawach z Paderewskim i innymi przedstawicielami nurtu elitarnego, jako wyborowy towar eksportowy



Kiepura urodził się w domu przy ulicy Majowej 6 w Sosnowcu



Jeden z wielu gwiazdorskich portretów „chłopca z Sosnowca”.

(w 1930 roku został artysta wytypowany do koncertów wymiennych europejskiej Unii Radiowej wspólnie z Pawłem Kochańskim i Arturem Rubinsteinem, co ostro skrytykował konserwatywny dziennik „Rzeczpospolita”. Nie przeszkodziło to dalszemu wyzyskiwaniu europejskiej popularności Kiepurę w celach propagandowych. W 1937 roku zaśpiewał on z orkiestrą Polskiego Radia pod dykcją Fitelberga na koncercie muzyki polskiej w ramach paryskiej Wystawy Światowej. W programie jego piosenki sąsiadowały z dziełami Szymanowskiego).

Miarą kontrowersyjności filmowo-piosenkarskiego sukcesu Kiepurę jest fakt, że nie pisały o nim prawie w ogóle międzywojenne czasopisma kobiece - wymarzone, wydawało by się, forum dla rozpowszechniania uszmiękowanego oblicza „przystojniaka z Sosnowca”, jego propozycji repertuarowych tudzież złotych myśli. Ówczesna prasa kobieca była bowiem mocno uwięziona w syndrom ideowości powiązany z promowaniem tradycyjnych postaw wobec świata. W owym syndromie (ukształtowanym przez XIX-wieczny model posłannictwa osławionej Matki-

Polki) nie mieściły się nowoczesne obyczajowe bezceństwa, do których należała bez wątpienia sprzedaż własnego wizerunku, jak również granie na sentymentalnych uczuciach (a na tym wszak opierało się „magnetyczne” oddziaływanie Kiepurę na tłumy).

Mam wrażenie, że Kiepura doskonale rozpoznał swoje położenie w siatce nowoczesnych tendencji kulturowych. Poświęcił wiele życiowej energii (Waldorff bezceremonialnie pisze o sprycie artysty) na zabezpieczenie sobie pola na terenach zagrożonych, do których należała niezwykle wymagająca polska opinia publiczna. Podobnie jak Paderewski, zaangażował się śpiewak w latach 30. w akcję dobroczynną, oddając honoraria na imponujące cele, na przykład budowę Muzeum Narodowego w Krakowie. Był naśladowcą Paderewskiego, jeśli idzie o wspomaganie artystów w materialnej potrzebie (po wybuchu II wojny światowej opiekował się finansowo Fitelbergiem), a przede wszystkim wykorzystując swoją popularność do propagandowych akcji politycznych.

I znów można mówić o dwóch płomienich mówcach-agitatorach, któ-

rzy mobilizowali polskie społeczeństwo po hitlerowskim przewrocie: Paderewskim i Kiepurę. Udział w akcji zbierania funduszy na Fundusz Obrony Narodowej, popieranie polskich roszczeń o odzyskanie Wybrzeża oraz drobne manifestacje patriotyzmu (polegające na włączaniu w zagraniczne koncerty, a nawet filmy, utworów śpiewanych po polsku, na przykład *Kujawiaka* Wieniawskiego, który znalazł się na ścieżce dźwiękowej filmu *Valse brillante*) zyskały Kiepurę szacunek społeczeństwa i polityków, którego wyrazem było przyznanie mu wysokich polskich odznaczeń państwowych: Złotego Krzyża Zasługi i Orderu Polonia Restituta.

Mimo to nie mówi się dziś o Kiepurę tyle, co o Paderewskim i innych przedstawicielach nurtu wysokiego. I nie jest to chyba kara za sprzeniewierzenie się jakimś wartościom, czy obyczajowym normom, lecz odległa konsekwencja przyjętej polityki artystycznej, z jej zwodniczą ambicją dotarcia do wszystkich - co oznacza w praktyce - do nikogo. Sztuka Kiepurę antycypuje w jakimś sensie dzisiejszą formację komercyjnej muzyki rozrywkowej. Ona również szermuje hasłami powszechności, brak jej jednak realnego zakorzenienia w strukturach społecznych. Jest niczyja.

Określenie Jana Kiepurę jako sprzedawcy „sztuki niczyjej” jest może zbyt surowe, jak na jubileuszową sylwetkę. Był w końcu idolem - porywał słuchaczy, kochała go widownia. Na pogrzeb artysty na warszawskich Powązkach 3 września 1966 roku przyszło 200 tysięcy osób.

Parę lat przed śmiercią (1958) Kiepura odbył tournée po Polsce. Przybył z mitycznej Ameryki nie omieszkając zdradzić przed dziennikarzami obaw swojej żony, która pożegnała go ponoć słowami: „Janku, bój się Boga, wywiozł cię na Sybir do rąbania drzewa”. „Ja się oczywiście nie bałem” - uzupełnił artysta - „Nic mi nie można zabrać oprócz głosu.” Na „głos z sali”: „A Patria w Krynicy?” odpowiedział: „Słusznie. Ma tam wylegiwać się jakaś Holenderka, to niech lepiej wypoczywa polski robotnik”.

W Katowicach

Na trasie ostatniej podróży koncertowej Jana Kiepurę po Polsce leżały między innymi Katowice. Artysta wystąpił w Radiowym Domu Muzyki wraz z orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia pod dykcją Konrada Bryzka. Wykonał typowy program - kilka arii operowych i parę piosenek, wśród nich - swój „numer popisowy” - transkrypcję *Kujawiaka* Wieniawskiego. Program owego koncertu przechowywała biblioteka Akademii Muzycznej. Jest to jeden z nielicznych śladów, jaki pozostał po artyście w naszym regionie, poza zapisem w katowickim Urzędzie Stanu Cywilnego, w którym brał Kiepura w 1936 roku ślub z węgierską śpiewaczką filmową Marthą Eggerth.

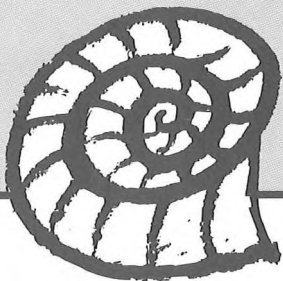
Klusownictwo, czyli nielegalne pozyskiwanie wolno żyjących zwierząt, istnieje od zarania dziejów i jest zjawiskiem bardzo trudnym do zwalczania. Barbarzyństwo to mające swoją bogatą tradycję - jest jedną z największych plag naszych lasów, pól i wód. Można na nie spojrzeć z punktu widzenia ekonomicznego (np. wycena strat wg wartości mięsa, skór i trofeów), ekologiczno-przyrodniczego (zagrożenie bytu niektórych gatunków ich puli genowej) i etyczno-moralnego (okrucieństwo, potworne cierpienia zwierząt łownych powolnie konających, powszechne nie przestrzeganie prawa).

Łowiectwo, będące przeciwieństwem kłusownictwa, jest formą gospodarowania zasobami przyrody zgodnie z zasadami ekologii, racjonalnej gospodarki leśnej, rolnej i rybackiej, sprzyjające ochronie środowiska, zachowaniu bioróżnorodności i poprawie warunków bytowania zwierząt. Łowiectwo w Polsce spełnia potrzeby społeczne w zakresie uprawiania myślistwa, kultywowania tradycji i krzewienia etyki i kultury łowieckiej.

Największe szkody czynią nie pojedyncze przypadki kłusowania w celu zdobycia pożywienia dla własnej rodziny, lecz masowe pozyskiwanie przez większe grupy ludzi pozbawionych pracy lub działających dla zysku. Plagą kłusowniczą szczególnie w okresie przedświątecznym objęte są ryby w stawach hodowlanych w Żabim Kraju na Górnym Śląsku. Obecnie nielegalne pozyskanie wolno żyjących stało się trudną do opanowania plagą, której konsekwencją jest spadek liczebności wielu gatunków zwierząt, w tym także chronionych.

Szacuje się obecnie, że w Polsce w wyniku kłusownictwa znika pozaplanowo około 30% zwierząt łownych i ryb i jest to jeden z najwyższych wskaźników w Europie. W rzeczywistości ilość zklusowanej zwierzyny wzrasta a maleje jego wykrywalność. O skali tego zjawiska świadczą ogromne ilości pułapek pozostawionych w lesie i w wodzie przez kłusowników oraz martwe lub ranne zwierzęta, znajdowane często przez pracowników straży leśnej, policji, czy myśliwych. Kłusownictwo jest przedmiotem debat Sejmowej Komisji Ochrony Środowiska w każdej kadencji Sejmu. Łowiectwo regulowane od zarania dziejów ustawami nastawione jest na ochronę zwierząt łownych, bez których myślistwo traci rację bytu. Dzięki łowczym udało się zachować lub restytuować wiele zagrożonych gatunków zwierząt. Natomiast wielu kłusowników przeszło do historii. Kłusownikiem był Wilhelm Tell, legendarny orawski Janosik czy śląski Klimczok, bawarski Matthias Brentano, tatrzański polowac Sabala, czy rybak Jack Londyn. Niektóre zwierzęta zagrożone wyginięciem nadal są przedmiotem tradycyjnych kłusowań, np. świstak. W tradycji podhalańskiej istnieje bowiem przekonanie (nie po-

EKOLOGIA



Dlaczego kłusujemy?

twierdzone naukowo), że sadło świstaka pomaga na gruźlicę, na reumatyzm.

Mordowane przez kłusowników zwierzęta, umierają bardzo długo w strasznych męczarniach z bólu, głodu i chorób, walcząc o życie do ostatniego tchu. Kłusownicy zastawiają sidła na czarnej stopie na trasie dojścia zwierzyny do pąśnika czy karmowiska. Najczęściej kłusuje się na wnyki - to jest na stałą pętlę ze skuwką, jednym końcem przymocowaną do drzewa lub zakopanego kolka. Tradycyjne wnyki wykonywano z włosia, sznura, drutu. Zwierzęta, które w nią wpadną wyrwywają się i przez to pętla zaciska się coraz mocniej i wrzyna się w ciało. Zwierzęta konają przez kilka dni potwornie cierpiąc.

Zastanawia mnie brak organizowania akcji tak zwanych obrońców zwierząt - przeciwko męczarniom zwierzyny we wnykach. O akcjach przeciwko cierpieniu zwierząt domowych i hodowlanych słyszałem wiele. Czy tuczona gęś, nie ludzko traktowane bydło w transporcie cierpi więcej niż sarna we wnyku? Jakich przypadków mamy więcej? Kłusowników nie obchodzą okresy ochronne, czy zwierzyna jest młoda czy locha jest ciężarna. Kłusownicy są nieobliczalni. Przypadani na gorącym uczynku, w panice, w determinacji gotowi są nawet pozabijać każdego strażnika czy świadka. Można by przytoczyć setki przykładów w jaki brutalny sposób kłusownicy zmuszają do milczenia strażników, leśniczych, myśliwych czy policję. Wiele domów spłonęło, wiele osób zginęło a tysiące zostało zastraszone. Niestety sądy nadal jeszcze traktują kłusowników pobłażliwie. Nie wiem dlaczego, kłusownictwo uznawane jest za czyn o niewielkiej szkodliwości? Kilka lat temu za kłusowanie w Puszczy Białostockiej wszczęto kilkadziesiąt postępowań... nikogo nie skazano choćby na parę miesięcy więzienia za przestępstwa zagrożone karą pozbawienia wolności do lat 5. Nałożono tylko kary w zawieszeniu!

Ostatnio pojawił się nowy rodzaj kłusowników - hobbystów, hazardzistów, sportowców. Nie kłusują z biedy. Mają wozy terenowe, super sprzęt łowiecki (sztucery z noktowizorem, kusze optyczne), są wyszkoleni i bezwzględni. Trudno ich przylapać na gorącym uczynku. Kłusownikami są też ludzie polujący bez uprawnień do polowania, polujący z chartami lub w czasie ochronnym. Karane jest też używanie broni i amunicji innej niż myśliwska - (np. kałasznikowy), środków i materiałów wybuchowych, trucizn, karmy o właściwościach odurzających (silne relanium), sztucznego światła, lepów, wnyków, żelaz, dołów, samostrzałów lub rozkopywania nor. Za zwierzynę bezprawnie pozyskaną polskie prawo ustala ekwiwalent pieniężny za jedną sztukę bezprawnie pozyskanej zwierzyny: za łosia, jelenia i daniela 4000 zł zaś za sarnę czy dziką po 2000 zł. Z informacji Ministerstwa Środowiska wynika, że w sezonie łowieckim 1999/2000 strażnicy ujęli 151 kłusowników z bronią i zlikwidowali 23 000 urządzeń kłusowniczych. Do sądów i kolegiów skierowano wtedy około 3000 wniosków. Ocenia się, że na terenie kraju używa się do kłusownictwa zwierzyny drobnej około 25 000 nielegalnie posiadanych chartów i ich mieszczaków. Tradycyjnym obszarem używania chartów do nielegalnych polowań były okolice Jędrzejowa, Stopnicy, Buska Zdroju.

Jakie są przyczyny kłusownictwa? Kłusownictwo proporcjonalne jest do lokalnego bezrobocia i istnienia dobrego rynku zbytu na nielegalnie pozyskane zwierzęta. W Polsce od lat tym procederem zajmują się masowo mieszkańcy konkretnych wsi w powiatach: kieleckim, radomskim, tarnobrzeskim, tarnowskim, siedleckim, łomżyńskim i ostrołęckim. Podstawowymi jego przyczynami jest zubożenie społeczeństwa wiejskiego w niektórych regionach kraju, chęć zysku, tradycja rodzinna, powszechne poczucie bezkarności, w tym niskie wyroki i częste umarzanie spraw, trudności w udowodnieniu przestępstwa. Wydaje mi się, że istnieje niska świadomość społeczna na temat szkodliwości kłusownictwa, jak również korupcja wśród strażników i funkcjonariuszy.

Konieczna jest zmiana dość łagodnych przepisów prawnych na bardziej restrykcyjne i rozpatrywane w trybie natychmiastowym - powodujące ograniczenie wolności. Winniśmy zwiększać systematycznie nakłady na skuteczną Straż Łowiecką. Szeroka edukacja przyrodnicza i łowiecka wśród dzieci i młodzieży, a także uświadamianie ich o cierpieniu zwierząt jest inwestycja w przyszłość.

JAN RZYMEŁKA

PS. Felietony ekologiczne z poprzednich numerów Śląska przeczytać można na stronie <http://rzymelka.sejm.pl>

1. Za sprawą mojej doktorantki Ilony Pikulskiej, która zamyśliła napisać rozprawę o biografiach literackich Fryderyka Chopina, oddałem się w wielkanocne święta lekturze książek o twórcy *Poloneza fis-moll*. Przebywałem akurat z rodziną w Żabnicy-Skałce, na stokach połyskiwał jeszcze śnieg, rzeka Żabnica rwała w najlepsze, a już słońce grzało jak podczas najlepszych wiosen...

No i ja, dębowe ucho, zastłuchany w pisarskie narracje...

2. Biografii Chopina napisano wiele, są wśród nich rzeczy naukowe i nawet ściśle naukowe, są eseje i są beletryzowane opowieści. Jedne wysoko cenione, inne ganione. Doszło do tego, że autorzy tarmoszą się za uszy, bo - czytając to samo i słuchając tego samego - widzą i słyszą co innego. Trafnie zanotował Juliusz Kaden-Bandrowski: „Biografia Chopina dźwięczy we wszystkich krajach i częściach kuli ziemskiej, na wyspach i po morzach, wszędzie, gdzie ludzie sztukę uznają i kochają. Sam ją był napisał Fryderyk, tę biografię swoją, naznaczając poszczególne jej rozdziały porządkową liczbą dzieł od 1 do 65. To jest ta biografia Chopina, która falą ożywczą spłynęła w nieogarnione morze kultury świata. [...] Opis życia Chopina może być zaledwie cieniem tamtej wielkiej biografii. Opis życia będzie zaledwie cieniem dzieła” (*Życie Chopina*. Warszawa 1938, s. 31).

Naturalnie - „cieniem”! Ale „cieniem” bardzo chętnie podglądanym i budzącym emocje. Sam kiedyś pokłóciłem się nie na żarty o Mickiewicza, więc rozumiem, że i o Chopina można się pobić klawiszami. Zresztą doświadczył tego i Bandrowski, kiedy pisał swoją - rozczochną i do spójnej biografii niepodobną - książeczkę. Mieści ona w sobie wszelką różnorodność: prawdę i fałsz, fabułę i odczyt, opisy liryczne i polemiczne. Więc - „cien” nie zgadza się tak łatwo na swoją drugorzędnność.

3. Jarosław Iwaszkiewicz przytacza słowa Nałkowskiej, że „nuty [Chopina] spadają jak róże na podeślaną pod nie złotą siatkę” (*Chopin*. Wyd. 5. Kraków 1983, s. 109). Ładnie powiedziane. Ale w słowach tych pobrzmiewają inne: malarza Teofila Kwiatkowskiego, że „Chopin był czysty jak liza” (cytuje za Iwaszkiewiczem, s. 5) i poety Kazimierza Wierzyńskiego, że „Chopin był z rodziny najmoralniejszych twórców” (*Życie Chopina*. Warszawa 1978, s. 13).

Opinie posągowe. My, Polacy, w ogóle mamy w naszym usposobieniu to, że wielkie postacie rodzimej kultury wynosimy na pomniki i jak psy strzeżemy ich bezpieczeństwa. Tak stało się z Frydkiem Chopinem, o którym napisano wiele książek, lecz częstokroć poza kontekstem obyczajowym

POWROTY

Frydrys Nowaczyńskiego

wym i kulturalnym epoki. A jeżeli już takie próby opisu się pojawiły, szybko starano się je pograżać, odmówić im racji bytu.

Tak stało się z *Młodością Chopina* (Warszawa 1939 i 1948) Adolfa Nowaczyńskiego, książką poniekąd od strony faktograficznej fantastyczną, lecz w przybliżaniu epoki, ukazywaniu życia codziennego i charakterów ludzkich - wprost znakomitą. A że jest to przy okazji studium demitologizujące przełom oświeceniowo-romantyczny, tym łatwiej można było go zdezwuować.

4. I tak - *Młodość Chopina* przepała dla w odmętach czasu. Nikt jej nie pamięta, nikt nie wspomina, a jeżeli już, to jak Iwaszkiewicz: „Nowaczyński nazmyślał tyle nieprawdopodobnych bredni, obciążając nimi na dobitkę starego Kolberga” (s. 17). I w konsekwencji, dając upust swojej złości, usunął twórcą *Chopina* książkę Nowaczyńskiego również z bibliografii!

Opowieść biograficzna Nowaczyńskiego, naturalnie, czerpie z fantazji i do fantazji się odwołuje. Ale przy

tym jest świetnie osadzona w klimacie epoki. Autor, urodzony w 1876, uczynił narratorem Oskara Kolberga, zmarł w 1890, którego mógł - jak napisał - poznać na krakowskich Planach. Ale jeśli nawet tak nie było, przynajmniej - chwyt jest przedni. Odwołanie się do świadka epoki niewątpliwie uprawdopodobnia całą opowieść. Rzecz traktuje bowiem nie tyle o samym Chopinie, ile o jego otoczeniu, czasie, ludziach, życiu codziennym okolic roku 1830, kiedy Chopin wyjeżdża z Warszawy, jak się okazało, na stałe. W tym sensie jest to narracja o Chopinowskich poboczach, w takim samym znaczeniu, jak o Niemcewiczowskich poboczach jest *Niemcewicz od przodu i tyłu* Karola Zbyszewskiego (Warszawa 1939).

Jest zresztą rzeczą zdumiewającą, jak blisko siebie ustawiły się te dwie książki: o Niemcewicu i Chopinie. Tak, jak gdyby u kresu II Rzeczypospolitej zaczęto myśleć o odbiorze (kłania się Boy) narodowej przeszłości, która musiała być (musiała!) w czasie zaborczy nie tylko heroiczna, ale i mała, przyziemna. Ale tę rzecz zostawmy na kiedy indziej.

5. Adolf Nowaczyński o „poboczności” swojej opowieści pisze wyraźnie (s. 91-95, wydanie z 1948), więcej - nie ukrywa tego przed czytelnikiem. Dygresyjność wywodu, nakierowanie na składnię języka potocznego, powroty i kalambury, mistrzowskie improwizacje i konfabulacje - otóż to wszystko znajduje się w tej książce o geniuszu, którego los umieścił w miejscu i czasie równie jak on (geniusz) wspaniałych. Cywilizująca się Warszawa i budząca się z patriotycznego otępienia rodziców młodzież, sarmacko-klasycystyczny Volapük i emancypujące się warstwy nieszlacheckie, tożsamościowy kryzys cesarzewicza Konstantego oraz także polskiej i do niedawna obcej, lecz już na polskość nawróconej elity intelektualnej - to wszystko stanowi tło narracji Nowaczyńskiego, która, zamiast pozostawać w cieniu biografii Chopina, wysuwa się na plan pierwszy.

Jak to się czyta! Nie wiem, czy Karol Zbyszewski kiedykolwiek miał tę rzecz w rękę, byłby nią jednak zachwycony. Bo jest w opowieści Adolfa Nowaczyńskiego nie tylko dwudziestoletni Frydrys, ale także nasza przeszłość, zatopiona jak w bursztynie mucha. Charaktery są wyraziste i pełne, obraz epoki, nawet jeśli przejaśkrawiony, do myślenia zmuszający.

6. Jeżeli te, jak powiada Iwaszkiewicz, „brednie” tak się dobrze czyta, to ja - gdybym tylko miał taką sposobność - kazałbym je bić w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy! A ponieważ prawa autorskie tutaj już, zdaje się, nie działają, namawiam do tego wydawców.

MARIAN KISIEL

Przekład na drugim planie

Z PIOTREM FASTEM rozmawia MARIAN KISIEL



PIOTR FAST - profesor literatury rosyjskiej i przekładoznawstwa na Uniwersytecie Śląskim, historyk literatury, tłumacz. Ukończył UAM w Poznaniu. Doktoryzował się w 1980, habilitował - 1987, profesura 1995. Od roku 1999 profesor zwyczajny. Opublikował 9 książek historycznoliterackich, w tym anglojęzyczną monografię rosyjskiego socrealizmu. W latach 1987-1990 prodziekan Wydziału Filologicznego UŚ, 1990-1993 prorektor UŚ. Od roku 1995 dyrektor Kolegium Języka Biznesu. Współautor fundamentalnej syntezy *Historia literatury rosyjskiej XX wieku* pod red. Andrzeja Drawicza. Tłumaczył poezję J. Brodskiego, J. Riejna, N. Rubcowa, B. Okudźawy; prozę A. Woronskiego, W. Rasputina, I. Erenburga, J. Drużnikowa. Autor przekładu głośnej Poetyki kompozycji B. Uspieńskiego. Redaktor naczelny „Przeglądu Rusycystycznego” oraz dwóch renomowanych serii wydawniczych: „Studia o przekładzie” i „Biblioteka Przeglądu Rusycystycznego”.

– Piotrze, muszę zacząć tę rozmowę od Twoich zawodowych początków. Kiedy zaczęła się Twoja przygoda z językiem rosyjskim, kiedy i w jakich okolicznościach przyszło Ci do głowy, żeby zająć się tłumaczeniem?

– Pytanie o początki to niemal zawsze wyludzanie wyznania wiary. Da się jednak odpowiedzieć na nie po prostu, rzeczowo, faktograficznie. Pierwsze tłumaczenie opublikowałem, będąc studentem ostatniego roku rusycystyki w Poznaniu. Zaproponował mi to Jerzy Litwinow, badacz i znawca literatury rosyjskiej XX wieku, który widocznie w porywczym, nieco bezczelnym, ale za to dużo czytającym i naciągającym go na długie literackie rozmowy młodzieńcu dostrzegł jakieś zadatki na przyszłego profesjonalnego literaturoznawcę. Przygotowałem wówczas przekłady kilku niewielkich opowiadań satyrycznych spośród drukowanych w tygodniku „Litieraturnaja Gazeta” i jedno z nich opublikował w roku 1975 poznański „Tydzień”. Reszta się później gdzieś zawieruszyła. Prawdziwy debiut translatorski traktuję jednak raczej jako igraszkę losu. Wkrótce bowiem podjąłem pracę na Uniwersytecie Śląskim (był to rok 1975) i z zapalem poganianego ambicją arywisty zasiadłem do roboty nad dysertacją doktorską. Przerwałem ją na rok, aby zostać oficerem z powołania (żartuję: powołali - więc zostałem). Niecierpliwie wróciłem potem do tej pracy. Ukończyłem ją dość szybko. Rezultatem była książka *Poetyka rosyjskiej powieści produkcyjnej (1929-1941)*.

– Wróćmy jednak do przekładów...

– Jak każdy człowiek uniwersytetu szukałem sposobów zarabiania na życie. Imiałem się różnych zajęć. Nie znosiłem jednak korepetycji, a w tamtych czasach nie było zbyt wielu możliwości dorabiania. Zacząłem więc tłumaczyć. Co się dało. Uzyskałem uprawnienia tłumacza przysięgłego i zdobyłem sobie pewien rynek pracy w kręgu instytucji medycznych i związanych z górnictwem. Tłumaczyłem też symultanicznie duże międzynarodowe konferencje organizowane pod auspicjami ONZ. Życ się dało. Ciągłe jednak poszukiwałem nowych wyzwań. Jak wiesz, jestem człowiekiem impulsywnym, nieco niecierpliwym i zawsze szukam, wystawiam się wręcz na kolejne sprawdziany. Uznałem więc - a był to przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - że powinienem połączyć moje zainteresowania literaturoznawcze (związane przecież między innymi z literaturą rosyjską drugiej połowy XX wieku)

z podjęciem prób tłumaczenia w tej dziedzinie. Nie znałem nikogo, kto byłby w stanie mi wówczas pomóc. Zacząłem szukać w najnowszych czasopismach niewielkich tekstów prozatorskich i przetłumaczywszy je, słałem listy do literackich periodyków, usiłując znaleźć zbyt dla tej produkcji. Najczęściej wracały albo ginęły w otlachaniach redakcyjnych biurów. Wysłałem też na konkurs rozpisany przez Ministerstwo Kultury przekład współczesnego dramatu rosyjskiego. Został on wyróżniony, dzięki czemu moje nazwisko pojawiło się na łamach kilku czasopism. Praktycznie nic to jednak nie zmieniło, chociaż znacznie podniosło mnie na duchu... Wiesz, że takie sukcesy, chociaż ich oficjalność nie jest żadną miarą wartości wykonanej pracy, zaspokajają drzemającą w każdym z nas potrzebę uznania.

– Kiedyś jednak nastał i dla Ciebie czas druku. Jak to się stało?

– W tym mniej więcej czasie któreś z czasopism (bodaj poznański „Nurt”) wydrukowało jeden z przekładów, potem następny, później inne pisma... I jakoś poszło. Jak w powieści Londona. Wreszcie dostałem od wydawnictwa „Śląsk” ofertę przygotowania jakiejś propozycji wydawniczej dla najmłodszych czytelników (zostały wydane dwie bajki w półmilionowych nakładach, takie to były czasy!), a później zamówiono u mnie opracowanie wyboru współczesnych rosyjskich opowiadań fantastycznonaukowych. Nie przepadam za fantastyką, podjąłem się jednak tego zadania, widząc w nim okazję do pierwszej obszerniejszej i bardziej odpowiedzialnej roboty. Za zbiór „Bion” uzyskałem nagrodę miesięcznika „Fantastyka” - starczyła na jedną narzę. Ale byłem dumny i - co ważniejsze - uzyskałem potwierdzenie słuszności moich wyborów.

Później udało mi się przekonać kilku wydawców do podjęcia prac nad innymi większymi tekstami. Ukazała się dość zajmująca powieść Grigorija Danilewskiego „Księżniczka Tarakanowa”, następnie „Oko cyklonu” - wybór bardzo interesującej prozy wybitnego rosyjskiego krytyka i pisarza lat dwudziestych-trzydziestych Aleksandra Woronskiego. Potem przygotowałem dla katowickiego KAW-u zbiór utworów ciekawego, przedwcześnie zmarłego syberyjskiego prozaika Wiaczesława Nazarowa i dla PIW-u wybór nieznanych w Polsce opowiadań Ilji Erenburga. Była połowa lat osiemdziesiątych i w chaosie polskich przemian narastały także nastroje antyradzieckie. Obie książki zdały się wtedy wydawcom zbędnym balastem, który nie znajdzie odbiorcy. Nie zostały wydane. Opowiadania Erenburga udało mi się po-

tem opublikować w innej oficynie, teksty Nazarowa (dobre 15 arkuszy) przepadły bez wieści - nawet nie mam żadnej kopii tego tłumaczenia.

– Tak minęła Twoja „pierwsza dekada” tłumacza, jesteście teraz w połowie lat osiemdziesiątych.

– Oferty, jakie się wówczas pojawiły, związane były z wydanymi przeze mnie książkami, m.in. o Erenburgu i Bulhakowie. Z kilku wydawnictw otrzymałem wówczas propozycję przełożenia bardzo głośnej antyutopii Jewgienija Zamiatina „My”. Jakimś dziwnym trafem kilka lat wcześniej zastrzegłem sobie prawo pierwszej polskojęzycznej publikacji tej powieści - istniała w tamtych latach instytucja tzw. opcji wydawniczej, stwarzająca możliwość tego rodzaju zastrzeżenia. Podpisałem umowę z Wydawnictwem Poznańskim, w sześć tygodni przetłumaczyłem powieść i na tym się skończyło. Prace redakcyjne trwały natomiast ponad rok, a w tym czasie warszawska „Alfa”, nie bacząc na jakiegokolwiek okoliczności, wydała Zamiatina w innym tłumaczeniu. Pech? Po kilkunastu latach wróciłem do tego pomysłu i wszystko wskazuje na to, że przekład ten ukaże się w tym roku nakładem katowickiego „Śląska”.

– Bardzo często gościłeś wtedy jako tłumacz na łamach „Literatury Radzieckiej”.

– Przez cały czas, od początku lat osiemdziesiątych, tłumaczyłem natomiast duże ilości najróżniejszych tekstów dla tego miesięcznika. Było to czasopismo wydawane przez Związek Pisarzy Radzieckich w siedmiu czy ośmiu mutacjach językowych, w tym polskiej. Szefem polskiej redakcji była Ewa Wasilewska, dama wielkiej duszy i charakteru oraz rasowy redaktor. Przebywając kilkakrotnie na stażach w Moskwie, nawiązałem z tą redakcją bliskie kontakty. Tłumaczyłem dla nich teksty krytycznoliterackie i - średnią zazwyczaj - prozę. Kiedyś jednak, pracując wraz z Gabrielą Porębiną (darzyłem moją szefową prawdziwie wielkim szacunkiem, bo była osoba poza wszystkim innym obdarzona niezwykle intuicją zawodową) nad wspomnieniami Andrieja Wozniesińskiego o Borysie Pasternaku, nieświadom oczekiwań redakcji, przełożyłem jakieś dwieście wersów cytowanych przez niego utworów poety. Było to dość trudne, bo Wozniesiński cytował z pamięci, często przekręcał teksty, często też odwoływał się do niekanonicznych wersji utworów. Zrobiłem to jednak - i od tego czasu zacząłem też dostawać zlecenia na tłumaczenie utworów poetyckich. Chciałem tłumaczyć

poezję, bo było to kolejne wyzwanie, próba sił, sprawdzian kompetencji. Potrzebuję takich bodźców.

W „Literaturze Radzieckiej” zasada była taka, że tłumaczyło się to, co proponowano. Nie miałem żadnego wpływu na wybór przekładanego materiału. Kiedy jednak wykonało się jakieś pensum literackiej kaszy czy kitu (niejednokrotnie ze świadomością etycznego nadużycia podpisywane pseudonimami, kajał się, kajał! - choć nie za bardzo), trafiał do tłumacza tekst lepszej klasy. W taki sposób udało mi się opublikować kilka tłumaczeń takich znanych autorów, jak Siergiej Żałgin, Nodar Dumbadze, Jewgienij Jewtuszenko, Andriej Wozniesiński - w tym na przykład głośny „Pożar” Walentina Rasputina.

– A potem przyszedł czas na wybory niezależne. Czy tak?

– Miałem już pewne profesjonalne rozeznanie w literaturze rosyjskiej. Uprawiałem coś w rodzaju własnej, prywatnej polityki kulturalnej. Wiedziałem, co lubię i co chciałbym polecić czytelnikom. Zacząłem pisać nieco krytyki literackiej drukowanej m.in. we wrocławskiej „Odrze”, „Zyciu Literackim”, „Tak i Nie”. Proponowałem redakcjom jakieś opowiadania, fragmenty powieści, wiersze - utwory, które sam uważałem za ważne, znaczące lub po prostu nadające się „do czytania”. Chciałem, żeby to, co sam lubiłem czytać, trafiło do innych odbiorców. Opublikowałem wtedy sporo poezji i prozy najróżniejszych twórców - Wysockiego, Puchowa, Grossmana, Tarkowskich (ojca i syna), Okudźawy, Ajgiego. Drukowałem w „Nurcie”, „Twórczości”, „Taki i Nie”, „Opcjach”, „Fa-Arcie”, w chicagowskim „2b”, wydawanej w Edmonton „Panoramie”...

Pamiętasz, to wtedy obaj zainteresowaliśmy się Nikolaem Rubcowem, stanowiącym bardzo szerególnie zjawisko na rosyjskim literackim rynku. Przetłumaczyłem kilkadziesiąt jego wierszy. Drukowałem je w najróżniejszych miejscach. Część z nich zebrałem później w dwujęzycznym tomiku wydanym w roku 1992.

Równolegle do tych tłumaczeń, które traktowałem jednak jako pewną formę literackiej rozrywki, odskocznik od studiów akademickich, podejmowałem pracę nad profesjonalnymi tekstami literaturoznawczymi czy teoretycznymi. Przełożyłem prace Wissariona Bieleńskiego, Lwa Tołstoja, Andrieja Bielego, Jurija Łotmana, artykuły Borysa Uspienkiego i wreszcie solidną teoretyczną monografię tego ostatniego autora - słynną „Poetykę kompozycji”. To było bardzo kształtujące do-

świadczenie - właściwie można by o tej pracy napisać obszerne studium, coś w rodzaju poradnika dla tłumaczy. To jednak chyba zadanie nie dla mnie.

- A kiedy zaczęła się fascynacja dziełem Josifa Brodskiego?

- Unikam takich sformułowań jak „fascynacja”, „dzieło”. Dla mnie wszystko to istnieje na poziomie nieco może cynicznego wyobrażenia, że robimy różne rzeczy, bo czymś się trzeba zająć. Nie mam poczucia misji, mój stosunek do świata jest raczej pozbawiony patosu. Chociaż różne rzeczy mnie podniecają i kuszą. Tak czy inaczej, czas Brodskiego nastał dla mnie na początku lat dziewięćdziesiątych. Zainteresowanie tym poetą zaowocowało w 1993 roku jego wizytą w Katowicach i wręczeniem mu doktoratu *honoris causa* naszej uczelni. Przetłumaczyłem wtedy sporo wierszy poety i dość dużo o nim napisałem. Udało się też zrealizować kilka edycji jego dzieł (w tym „Dwudziestu sonetów do Marii Stuart” w przekładzie Feliksa Netza). Trzy lata później wydałem zbiór esejów (studiów) zatytułowany „Spotkania z Brodskim”. Zwróciłem też wtedy uwagę na krąg twórców, z którymi był związany. Efektem tych lektur stał się tomik wierszy starszego kolegi i mentora Josifa - Jewgienija Riejna, wydany w roku 1997 przez oficynę „Znak”. Część tych przekładów drukowałem wcześniej w różnych miejscach, m.in. w krakowskim „NaGłosie” i poznańskim „Arkuszu”.

- Ale tymczasem życie - zupełnie nieliterackie - biegło dalej. Uwikłałeś się w prace administracyjne...

- Tak... Najpierw na rodzimym Wydziale Filologicznym, potem w rektoracie, wreszcie w Kolegium Języka Biznesu. Działalem też i działałem w innych organizacjach i instytucjach, np. w Międzynarodowej Asocjacji Wykładowców Języka i Literatury Rosyjskiej.

- Jesteś jednym z kilkunastu Polaków uhonorowanych za tego rodzaju działalność medalem im. Aleksandra Puszkina...

- To rzeczywiście spore wyróżnienie. Nie mistyfikuję go jednak, ironizując, że wkroczyłem we własną epokę klasyczną. Kto nie lubi, gdy łączy się jego próżność. Faktem jest natomiast, że te wszystkie zajęcia, ale też obowiązki akademickie i edytorskie na jakiś czas przyhamowały moje zapędy translatorskie. Nie zarzuciłem jednak tego zajęcia i w ostatnich latach podjąłem się większych prac. Przełożyłem, przy-

jąc ofertę jednego z wydawnictw - i nie należy w tym upatrywać żadnych sensów „naddanych” - wywiad-rzekę z Władimirem Putinem.

- Teraz tłumaczysz prozę Jurija Drużnikowa. Powiedz coś więcej na ten temat.

- Kilka lat temu spotkałem na jednym z kongresów rosyjskiego emigranta, sławistę i pisarza, Jurija Drużnikowa. Pozналиśmy się bliżej, dużo rozmawialiśmy i w końcu zaproponował mi pracę nad przekładami jego utworów. Drużnikow jest znanym burzycielem rosyjskich mitów, człowiekiem, który nie potrafił znaleźć sobie miejsca w Rosji nawet w okresie pieriestrojki. Kilka jego tekstów, w tym głośne „Rosyjskie mity”, ukazało się już w Polsce wcześniej. Sporo też o nim pisano. Alicja Wołodźko przetłumaczyła jego największą powieść „Anioły na ostrzu igielnym”, mnie natomiast trafił się do przełożenia cykl jego opowieści, które autor nazywa mikropowieściami. To duży tom, ponad 450 stron druku, zatytułowałem go „Tango z prezydentem” (nazywa się tak jeden z wydrukowanych w książce utworów). Ukazał się w połowie zeszłego roku nakładem „Śląska”. Po zakończeniu pracy nad „Tangiem” przystąpiłem do tłumaczenia jego kolejnej, złożonej z 11 nowel powieści „Wiza do przedwczoraj”. Tom ten ukazał się we wrześniu nakładem krakowskiej oficyny „Arcana”.

- Mówisz o przekładzie tak, jak gdyby wypełniał on całe Twoje zawodowe życie. A to chyba nie jest całkowita prawda?

- Przekład był dla mnie zawsze zajęcie drugoplanowe. Zajmowałem się przede wszystkim pracami badawczymi z zakresu historii literatury rosyjskiej. Opublikowałem poszerzone „Spotkania z Brodskim”, opatrzone podtytułem „dawne i nowe”, napisałem część syntezy XX-wiecznej literatury rosyjskiej, monografię poświęconą rosyjskiemu socrealizmowi i jego kontekstom, redagowałem tomy historycznoliterackie i komparatystyczne... siła by gadać!

Zajęcie tłumacza było jednak ściśle związane z działalnością akademicką. Już w roku 1990 zorganizowałem (wówczas we współpracy ze Stowarzyszeniem Tłumaczy Polskich) pierwszą konferencję poświęconą krytyce i teorii przekładu artystycznego. Od tego czasu organizuję je co roku - ostatnio dzięki godnej pochwały aktywności moich Koleżanek z Zakładu Teorii Literatury i Przekładu. Z tego zakresu ukazała się najpierw w wydawnictwie Uniwersytetu Śląskiego pięciotomowa edycja, zatytułowana „Przekład artystyczny”. Potem udało się doprowadzić do utworze-

nia w wydawnictwie „Śląsk” serii wydawniczej „Studia o przekładzie”, poświęconej zagadnieniom tłumaczenia. Jak na razie ukazało się w niej 14 tomów zbiorowych i indywidualnych, część z nich była podstawą różnych akademickich awansów. Udało mi się pozyskać do współpracy - okazjonalnie lub na stałe - takie autorytety w tej dziedzinie jak Edward Balcerzan, Zygmunt Grosbart (zmarły niestety przed kilkoma miesiącami), Anna Legeżyńska, Bożena Tokarzowa. Książki, które w ramach tej działalności wydawaliśmy, są systematycznie recenzowane i streszczane w zachodnich periodykach translologicznych.

Problematyka przekładu rosyjsko-polskiego i polsko-rosyjskiego, stanowiąca ułamek tych działań ogólnoprzekładoznawczych, pojawia się także często w redagowanym przeze mnie akademickim kwartalniku zatytułowanym „Przegląd Rusycystyczny”, którego redakcja kilka lat temu została przeniesiona z Warszawy do Sosnowca. Koło tych kilku inicjatyw czy instytucji skupia się wielu znaczących badaczy i liczne grono adeptów rusycystycznego literaturoznawstwa i translologii. I tak sobie pomalutkę żyjemy, kultywując w sobie złudne może, ale podtrzymujące na duchu przekonanie, że kawałek prawdziwego świata znajduje się także tutaj, gdzie niektórzy z nas się urodzili, inni zaś - jak ja - trafili zrządzeniem losu.

- Musimy kończyć. Czas na refleksję ogólną...

- Refleksja ogólna? Jestem pewien, że jeśli się jest literaturoznawcą, tłumaczenie literatury poszerza horyzonty, uczula na słowo i staje się dodatkowym medium porozumiewania się z tymi, którzy literaturę piszą i z tymi, którzy ją czytają.

A na dodatek jeszcze, jeśli taka praca przychodzi człowiekowi bez wielkiego wysiłku, to tłumaczy kolejne teksty, odsuwając od siebie prawdziwe katusze, bez jakich nie ma twórczości intelektualnej. Po prostu idzie się na łatwiznę: bo prościej, bo mniej stresów, bo nic mniej prestiżowo... Przekład staje się do pewnego stopnia substytutem prawdziwej pracy, często nie wymaga psychicznej i emocjonalnej dezintegracji, bez której nie ma prawdziwego intelektualnego trudu... Ale też daje satysfakcję, stawia wyzwania, zmusza do dyscypliny...

I jeszcze jedno: nigdy nie zostałbym tłumaczem literatury pięknej, gdyby nie kilka - bezimiennych zazwyczaj dla czytelników, a dla mnie opatrzościowych - Pań Redaktor, od których nauczyłem się - jeśli można to powiedzieć w czasie przeszłym dokonywać - uwagi i szacunku dla słowa.

7. Roger powiedział „Nie wiem, co mam zrobić z Andro”. Odpowiedziałem ze śmiechem: „Utop go”. Potem piliśmy chavingol i Roger mówił mlaszcząc smakowicie ustami: „Zadziwiające wino! Czujesz posmak śrutu?” Wiedziałem, gdzie można dostać musujące vovray albo gęste jak bycza krew pommard. Zresztą lubił wszystko: wieczne pióra, ptaki, potańcówki, wyścigi samochodowe - był to człowiek zwariowany na punkcie życia. Zawsze się spieszył. Pojechał do Brazylii - ludzie w taki sposób wyjeżdżają za miasto. Dwa miesiące przesiedział w więzieniu: w czasie demonstracji koło Ściany Komunistów poturbował policjanta. W więzieniu cały czas śpiewał. Naczelnik zapisał go do chóru kościelnego. Inicjował wymyślne zabawy z dziećmi. Chłopcy z ulicy Monilmontant nazywali go Zielonym Gangsterem. Zdążył zrobić dwa filmy. Sam pisał scenariusze. Pokazywał aktorom, jak należy grać sentymentalne modystki albo znudzonych życiem dostojników. Razem z operatorem włączili na rusztowanie, szukając najlepszego ujęcia. W atelier stawał się nagle skupiony, nawet surowy.

Nad drugim filmem, „Jezioro Czen”, pracował długo. Powiedział mi, że historia człowieka, który jest szczęśliwy ponad miarę, prześladowa go od lat dziecińczych. Często opowiadał o przygodach swojego bohatera - ptasznika Andro. Słuchałem go nieuważnie. Tak samo teraz powiedziałem bez zastanowienia: „Utop go”. Odstawił szklankę i spojrzał na mnie z uwagą. „Zresztą sam wiesz lepiej. Nie mam o tym zielonego pojęcia”. Patrzył na mnie nadal. Potem powiedział: „Może masz rację” ale boję się, że nie potrafię tego pokazać. Wszystko, co robi Andro, przeżyłem sam, to prawie autobiografia. A jeśli chodzi o rozwiązanie... Wstyd powiedzieć, ale boję się śmierci. Staram się o niej nie myśleć”.

Wtedy przypomniałem sobie jak przyszedłem do domu po pogrzebie matki. Podano do stołu. Krewniacy jedli długo i wytrwale. Wiedziałem, że ojciec nie może jeść. Powiedziałem do niego surowo: „Musisz”. Wziąłem łyżkę i natychmiast ją odłożyłem. Wtedy ojciec powiedział: „Jedz”. Pilnowaliśmy się nawzajem jak wrogowie: trzeba było żyć i nikt nie śmiał się uchylić od tej powinności.

Powiedziałem Rogerowi, że o śmierci nie wolno myśleć. Należy ją wspominać rzadko i intensywnie: to lekarstwo dozujecie się skąpymi dawkami. Roger mówił: „Kocham pracę i sprawiedliwość, ale nie chcę, żeby pomniki rządziły rzeźbiarzem”. Roześmiałem się: „Co ty, nazywasz pomnikami zwyczajnych ludzi?” Zdener-

Gdzie rozejm nie sięga

ILJA ERENBURG

przełożył PIOTR FAST



Rys. Wojtek Łuka

wował się i wychylił szklankę. „Nazywam pomnikami zrealizowane idee. Trudno powiedzieć, dlaczego zająłem się sztuką, przecież nienawidzę formy”.

Na pokazie filmu „Jezioro Czen” cały czas myślałem, co Roger zrobił z ptasznikiem Androi. Był jasny wieczór. Mętne latarnie rozplywały się w mroku. Strumienie deszczu ściekały po gumowym płaszczu poli-

cjanta. Kiedy Andro rzucił się do Sekwany, kiwnąłem z ulgą głową.

W Paryżu wiele mówiono o filmie „Jezioro Czen”: Roger odniósł jeszcze jedno zwycięstwo. Zapraszano go do Hollywood, ale odmówił. Powiedziano mi, że ożenił się z Meksykanką. Potem straciłem go z oczu.

Nastało lato. Przedmieścia rzuciły się w stronę Paryża niczym krew do głowy. Strajkowali kamieniarze i kwiaciarki. Czerwone sztandary bezceremonialnie wdrapywały się na zmurszałe szare fasady. Z bram dolatywały dźwięki karmanioli. W oknie modnego sklepu woskowa piękność trzymała plakat: „Nie chcemy więcej głodować”.

Nagle imię Rogera przebiło się przez informacje o liczbie strajkujących, przez strach bogobojnych starsuszek, przez zaciśnięte pięści hutników: „Odebrał sobie życie znany reżyser...” Żona Rogera wiosną wyjechała do Ameryki. Mieszkał sam w ogromnej pracowni pośród jawańskich marionetek i raszek. Mleczarka co rano stawiała pad jego drzwiami butelkę; stały tam już długim szeregiem. Ósmego dnia nie wytrzymała ciszy za drzwiami i zawołała konsjerżę. Ten zaklął i ostrym ramieniem wysadził drzwi. Roger wisiał na haku. Był to widok ponury i zaskakujący. W klatkach wały się martwe raszki z wyciągniętymi ku górze pomarszczonymi łapkami.

Chowano go w jasny, oślepiający dzień. Wszystko było nadmiernie jaskrawe: wapno, błękit nieba, maki kwitnące w pustym kącie cmentarza. Mrużyliśmy oczy od światła i kurzu. Kiedy trumnę zdjęto z ciężarówki ktoś powiedział: „A grabarze strajkują...”

Długo staliśmy, nie wiedząc, co będzie dalej. W surowy porządek śmierci wdarł się głód żywych. W końcu przyjechali strażacy, zaczęli kopać grób. Patrzyłem na aktorów, którzy zebrali się, aby pożegnać Rogera. Mieli skórę zniszczoną od makijażu i czerwone oczy królików. Jednego znałem z ekranu: umiał patrzeć zupełnie bezmyślnie, co bardzo śmieszyło ludzi. Cały czas na zawsze już zamarzłymi oczami patrzył na połyskujące kaski strażaków.

Poszedłem do sąsiedniej knajpki. Zazwyczaj zachodzą tam po pogrzebie krewni i przyjaciele zmarłego, piją kwaśne wino i żują ser, gorliwie wracając do świata żywych. Teraz siedzieli tam strajkujący grabarze. Jeden z nich, młody Włoch o twarzy smagłej Madonny, krzychał: „Na zdrowie!”, i śmiał się wesoło.

8. Obudził mnie nieludzki hałas: muzykanci ćwiczyli galopy. W Saint-Justine odbywał się doroczny festyn. Na wielkim placu wzrosły karuzele, namioty fotografów, stragany z lepkiem i nugatem, bułki jarmarczne, w której pokazywano małpę i kobietę-węża. Nie bacząc na lipcowy żar, urzędnicy i pracownicy miejscowego banku włożyli wykruchmalone kołnierzyki. Niezdarnie kręcili głowami. Szary kurz osiadał na szarych sukniach kobiet. Twarze ludzi były napiętnowane biedą i kłopotami. Dookoła karuzeli stały biedne skrofaliczne dzieci. Nieustannie przeliczały zaciśnięte w piąstkach monety. Jeden z chłopców powiedział: „Będę kwiczał”. Potem kręcił się na drewnianej świni i gorliwie kwiczał; inni przyglądali się mu w milczeniu. Fryzjer drażnił małpy - wsadzał do klatki dymiący niedopałek. Małpy kaszłały i iskały się ze smutkiem. Kobieta-wąż pokazywała zwiędzającym swoje pokryte łuską ramiona. Miała twarz starej wyrobnicy zmęczonej pracą. Śpiewała nieprzyzwoite kuplety i fryzjer śmiał się głośno. Potem lampiarz zapalił latarnię. W zielonkawym świetle plac wydawał się ogromnym akwariem. Trębacz ze wzdętymi na czole żyłami tykali ciepłe piwo. Po północy ludzie jeszcze tańczyli ziewając ze zmęczenia

i zaduchu. Młody robotnik z oczami pechowca obejmował ostronosą, chorowitą dziewczynę - próbowała się uśmiechnąć i usta jej drżały z wysiłku.

Kilka miesięcy później byłem w Paryżu na wystawie obrazów. Płótna przekonywały o ubóstwie życia. Były to portrety ludzi o zastygłych na wieki rysach. Wydawało się, że cała ludzkość nudzi się w przepelnionym wagonie metra. Oliwkowe policzki z nieoczekiwanym szkarłatnym rumieńcem, podpuchnięte fiołkowe powieki, brudnogrnatowe cienie, grube pociągnięcia pędzlem, oddające porowatość niezdrowego ciała. Spojrzałem na drugą ścianę. Była tam żalosna zieleń paryskich przedmieść, ogródki przesiąknięte zapachem benzyny, karłowate domki, sześcienniki garaży i obłoki przypominające nieświeżą watę. Nagle uśmiechnąłem się: kolorowe chorągiewki wzlatywały ku pistacjowemu niebu, ufnie uśmiechała się krowa na karuzeli, na niebieskiej piłce stała dziewczynka - jej szyja była różowa i gorąca niczym pianka na konfiturach. Otworzyłem katalog: Paul Agner „Festyn w Saint-Justine”.

Poznałem Agnera. Był to człowiek koło czterdziestki, z wystającą grdyką. Mieszkał na bulwarze Garibaldiego w głębi ciemnego podwórza wypełnionego hałasem tartaku. W jego pracowni wały się stare blejtramy, buteleczki po lekarstwach, zdeптane obuwie. Czarny, zjeżony kot parskał groźnie.

Agner pokazał mi swoje prace. Ogrodniczki o pełnych piersiach śmiały się wesoło. Na skwerach skakały dzieciaki podobne do tropikalnych ptaków. Błękitni żołnierze pili wino pod chińskimi lampionami. Zapamiętałem jeden pejzaż: altanka, blaszany skwerek i marmurowe plecy bogini. Zapytałem: „To Rzym?” - „Nie, to podwórko, widok z mojego okna”. Przypomniały mi się moje stare porachunki ze sztuką i zapytałem z gniewem: „Był pan w Sint-Justine?” Odpowiedział: „Oczywiście. Maluję tylko z natury. Czasami zmieniam kolory, ale nigdy nie zmieniam odcieni”.

Zaprosiłem go do kawiarni. Szepnął speszony: „Nie mogę pić”, ale zaraz się zgodził. Piliśmy kogniak, przy cynowej ladzie powyżeranej przez kwasy awanturowała się pijana starucha: przez jej palce przeciekło czerwone wino. Agner nie umiał pić, po pierwszym kieliszku był już pijany. Dowiedziałem się, jak żyje, kobiety śmieją się z jego grdyki. Ma wrzód żołądka: je tylko purée z ziemniaków. Jego kot nigdy nie mruczy.

Przełknął drugi kieliszek i zaklął nieumiejętnie jak dziecko. Zapomniałem o płótnach zrobiło mi się żal tego chorego, zagubionego człowieka. Powiedziałem: „Za to ma pan interesującą pracę”. Zdenerwował się. Jego głos zrobił się piskliwy: „Nienawidzę jej! Dlaczego nie urodziłem się monterem albo hodowcą drobiu? Co rano mówię sobie: »Agner, trzeba pracować« i sam sobie odpowiadam: »Bzdury!« Tak mija godzina albo dwie. Potem biorę się do pędzli. Nie wiem, czy jestem szczęśliwy, gdy pracuję. To tak samo, jakby spytać człowieka, czy jest szczęśliwy, kiedy śpi. Ale gdy kończę pracę, chce mi się krzyczeć. Nie mogę patrzeć na swoje płótna - są jak puste butelki, co zostały po popijawie. Kiedyś wziąłem tubki z farbą i zacząłem je wyciskać. Wydawało mi się, że duszę wroga. Zmieszałem wszystkie farby. Potem płakałem: nie miałem farb i nie wiedziałem, jak przeżyć dzień”.

Nie powiedział nic więcej. Pożegnał się ze mną uprzejmie, ale obojętnie, po czym odszedł niezbyt pewnym krokiem człowieka podpitego i zniknął pośród okrągłych parasoli pod mętными różkami gazowych latarni.

Nie byłoby tak prężnego rybnickiego środowiska plastycznego, gdyby nie podwaliny, jakie stworzył w tym regionie młodopolski malarz i rzeźbiarz Ludwik Konarzewski senior.

Tradycja amatorskiego ruchu plastycznego, jaką zapoczątkował Konarzewski, jest i dziś tu bardzo silna. Z grup nieprofesjonalnych wywodzi się wielu rybnickich artystów plastyków z akademickim dyplomem, a kilku z nich z powodzeniem kontynuuje dzieło Konarzewskiego prowadząc własne zespoły plastyczne.

Ludwik Konarzewski senior (1885-1954) był pierwszym łowcą samorodnych talentów z ziemi rybnickiej, raciborskiej i wodzisławskiej. Po raz pierwszy trafił do podrybnickich Rydułtów w 1936 roku, by prowadzić tu kursy plastyczne. 1 grudnia 1945 roku, finansowo wspierany przez Rybnickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego, otworzył w Rydułtów kurs rzeźby w węglu, glinie i drewnie. W 1949 jego szkoła została upaństwowiona. Działa do dziś jako Państwowe Ognisko Plastyczne, nosząc od 1999 roku imię założyciela. To z tej szkoły, spod ręki Konarzewskiego seniora, wywodzi się Zygmunt Brachmański, dziś znakomity artysta rzeźbiarz, od czasu ukończenia studiów w Akademii Sztuk Pięknych, mieszkający na stałe w Katowicach, ale nadal utrzymujący aktywne więzi z rybnickim środowiskiem plastyków. Uczennicą Konarzewskiego seniora była też Urszula Berger-Styczeń, dziś dyrektor tej placówki i artystka plastyk zajmująca się rysunkiem, grafiką artystyczną i malarstwem. Uczniem Ludwika Konarzewskiego juniora (1918-1988) jest m.in. Franciszek Nieć, malarz i grafik, dziś wykładowca tej szkoły.

W krajobraz rybnickiej plastyki - co podkreślała wystawa „Rybnickie kolory” zorganizowana w 2000 roku w Muzeum w Rybniku z okazji 50 lat plastyki na ziemi rybnickiej - szczególnie wpisali się Barbara Wołoszyńska-Rak (absolwentka krakowskiej ASP, grafik, rysownik i projektantka w zakresie sztuki użytkowej) i Marian Rak (malarz, uczeń Władysława Taranczewskiego, absolwent krakowskiej ASP) oraz ich działalność pedagogiczna i popularyzatorska w zakresie sztuk pięknych, doceniana i nagradzana głównie za pracę z dziećmi i młodzieżą. To Marian Rak pioniersko zajmował się w Rybniku wstępną edukacją plastyczną prowadzoną w domach kultury okolicznych zakładów pracy i w pozalecyjnych zespołach zainteresowań. Jest też założycielem zespołu malarskiego „Oblicza”, skupiającego nieprofesjonalnych malarzy od 21 lat, z którego wywodzi się m.in. malarka Alina Podleśny-Małaszczuk.

Ściężką szerzenia oświaty plastycznej skroczy od paru lat Grażyna Zarzecka-Czech (absolwentka krakowskiej ASP), prowadząc w Rybniku grupę plastyczną „Magia koloru”. Uczennica Jana Szancenbacha, jest kontynuatorką

Rybnik i okolice



Maria Budny-Malczewska, „Epitafium dla Józefa”.
Rys. tuszem lawowany.

wspañiałych tradycji polskiego koloryzmu i tę tradycję przekazuje swym wychowankom. Poza działalnością pedagogiczną zajmuje się malarstwem sztalugowym, grafiką, rysunkiem i malarstwem ściennym. Ostatnim sukcesem artystki było zaproszenie jej we wrześniu ubiegłego roku do wystawienia prac w Pałacu Sztuki w Krakowie.

W Raciborzu zogniskował wokół siebie artystycznie uzdolnioną młodzież pochodzący z Pec w Kosowie Zyhdi Cakolli, absolwent ASP w Pristinie i Belgradzie, artysta zajmujący się rysunkiem, malarstwem, ilustracją, karykaturą, rzeźbą i grafiką. W 1991 roku zainicjował i utworzył Prywatne Studium Plastyczne Kształcenia Podyplomowego Specjalizacji Plastycznych pod nazwą „International”.

Urszula Berger-Styczeń, Grażyna Zarzecka-Czech, Zyhdi Cakolli, to niektórzy z ponad trzydziestu członków powołanego w 1994 roku Koła Związku Polskich Artystów Plastyków w Rybniku. Jego członkiem był też zmarły w 1998 roku Jan Karwot, genialny samouk z dyplomem Akademii Muzycznej w Katowicach, którego pierwsze prace powstały podczas dalekich podróży z zespołem „Śląsk”, w którego orkiestrze pracował przez 30 lat. Z początku rysunek był dominującą techniką jego tworzenia, pod koniec lat 70. zamienił ołówki i piórko na pędzel i odtąd two-

rzył fantastyczno-metaforyczne fantasmagorie, w których roilo się od monstrów i hybryd, gdzie części ludzkiego ciała łączyły się ze zwierzęcymi, a wulkaniczne, księżycowe krajobrazy pozabawione były roślinności.

Samoukiem jest też artysta rzeźbiarz Zbigniew Mura z Markłowic, absolwent Państwowego Ogniska Plastycznego w Rydułtówach od 1996 roku członek ZPAP. Tworzy w glinie i porcelanie urozmaicając ich kolorystykę i fakturę dzięki zastosowaniu tlenków żelaza, miedzi, kobaltu i różnorodnych kwasów. Najciekawszym nurtem jego twórczości są nie nacechowane funkcją użytkową formy rzeźbiarskie oraz ściennie, reliefowe kompozycje ceramiczne, a przede wszystkim zaś słynny cykl masek.

Spiritus movens integracji środowiska rybnickiego w strukturach ZPAP byli i są nadal Urszula Berger-Styczeń oraz Maria Budny-Malczewska i Krzysztof Dublewski (prezes Koła ZPAP od trzech kadencji). Budny-Malczewska i Dublewski, oboje rybniczanie z urodzenia, wywodzą się z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Zajmują się malarstwem, projektowaniem graficznym, rysunkiem, a Dublewski także renowacją i sztuką sakralną. To oni, wraz z zarządem ZPAP, inicjują najważniejsze prezentacje dzieł plastycznych w regionie, w Katowicach, a także za granicą (przede wszystkim w miastach partnerskich Rybnika). Dążą do tego, by w Rybniku powstała z prawdziwego zdarzenia siedziba związku, z profesjonalną salą wystawienniczą, galerią sprzedażną i klubem. Chcą też przekonać władze samorządowe i oświatowe, by w Rybniku powstał zespół szkół artystycznych. To dwa priorytety działalności rybnickiego środowiska plastycznego.

Skupia ono bardzo różnorodnych artystów. Są wśród nich malarze z rodowodem muzyka, jak Elżbieta Niedziela-Siejny, z dyplomem PWSSP w Łodzi w zakresie dywanu i gobelinu, jak Marian Chmielecki, z doświadczeniem w prowadzeniu artoterapii, jak Andrzej Obuchowicz. Są też graficy z np. doświadczeniem zawodowego projektanta we wzorcowni Fabryki Naczyń Emaliowanych „Huta Silesia”, jak Helena Dobrzańska-Kasiura. Są adepci katowickiej ASP (Zofia Górską-Zawisłowa, Marian Stanisław Zawisła, Maria Mleczo-Kandziora, Helena Dąbrowska-Baujerska, Marek Dąbrowski, Ryszard Kalarz, Alina Podleśny-Małaszczuk, Aleksandra Mrok), krakowskiej ASP (Helena Piergies-Chlubek), wrocławskiej PWSSP (Bogdan Szymura), cieszyńskiego Instytutu Sztuki Uniwersytetu Śląskiego (Hanna Grzonka). Każdy z nich, niosąc piętno szkoły, z której wyszedł, jest jednak artystą osobnym, niepowtarzalnym. To właśnie tworzy siłę i wyjątkowość rybnickiego środowiska plastyków.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA



Grażyna Zarzecka-Czech: „Postać we wnętrzu”. Olej na płótnie



Zbigniew Mura: „Bez barier”. Rzeźba, kamionka złocona



Krzysztof Dublewski: „Sen zielony”. Olej na płótnie



Jan Karwot „Gniazdo”. Olej na płótnie

RYBNIK i okolice



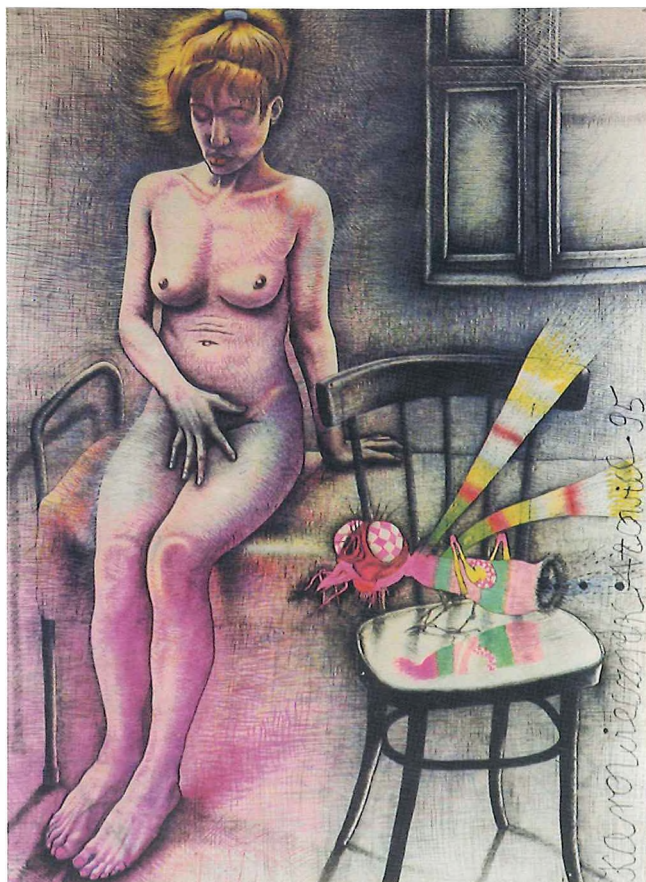
**KOMPANIA
PIWOWARSKA**



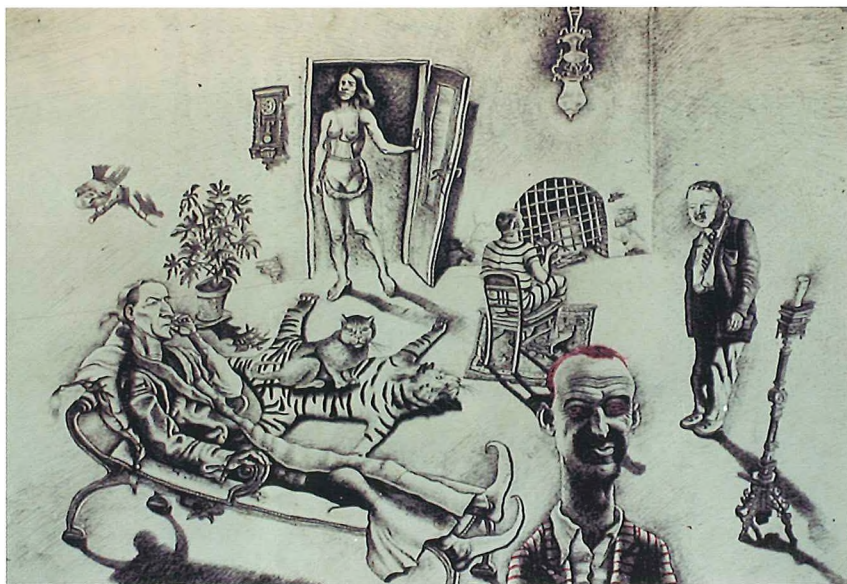
SPONSOR „ŚLĄSKA”



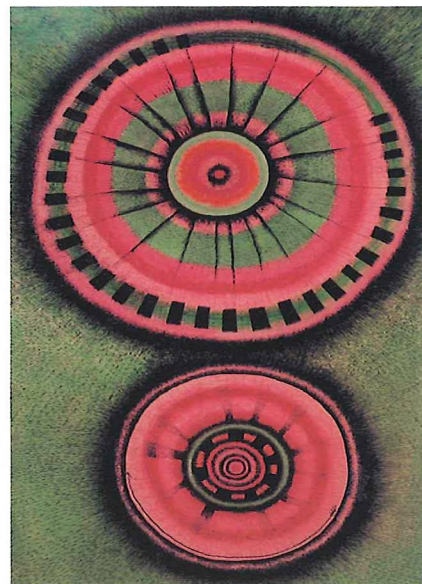
„Dom”, rysunek, długopis



„Owad”, rysunek, technika mieszana



Ilustracja do „Mistrza i Małgorzaty”, rysunek, piórko



„Kola”, olej, deska



„Podróż”, obiekt, drewno, płótno



„Boks”, olej

Muzeum Śląskie w Katowicach przygotowało retrospektywną wystawę Karola Wieczorka. W 1972 roku artysta ukończył (z wyróżnieniem i medalem) krakowską Akademię Sztuk Pięknych - Wydział Grafiki i Malarstwa w Katowicach. Trzydzieści lat pracy twórczej uhonorowano wystawą, ale nie zdobyto się na wydanie katalogu. To trochę tak, jak gdyby teatralną premierę pozbawić afisza i programu albo uczcić czyjeś imieniem wręceniem celofanu, zapominając o kwiatach. Jedyne dostępne „drukami”, towarzyszącym wystawie, była jednostronicowa ulotka. „Jestem trochę artystą z mydlanej opery, idąc codziennie wydeptanymi schodami na poddasze zagracone setkami zakurzonych obrazów”, napisał Wieczorek. Część obrazów siłą rzeczy musiał odkurzyć na potrzeby wystawy. I nie zaprezentował się wcale jako artysta z mydlanej opery. Bliżej mu do bohatera, który życie traktuje jak film fantastyczny i sam sobie dał licencję na malowanie.

W kilka lat po studiach Wieczorek stworzył cykl ilustracji do „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Naski cował panoptikum bardziej uniwersalne niż rosyjskie, bestiariusz nasycony co prawda cytatami z powieści, ale chcące uogólniać jakąś prawdę o świecie. Tyle że ten świat jeszcze waha się. Na dobrą sprawę wcale nie pragnie być brzydki. Z platformy tramwaju linii „16” uśmiecha się kot wielkości człowieka. Przy oknach tłoczą się pasażerowie. Właśnie tramwaj najechał na Berlioza i każdy chce zobaczyć jego odciętą głowę. Ludzkie karykatury oglądają głowę odciętą od innej karykatury, ale wszystko jest stonowane, wyważone. Satyryczny obrazek bez agresji, jakiś elegancki i literacki. Świat, który opowiedział pastel pod znaczącym tytułem „13 XII 1981” jest już daleki od elegancji. Debil z pechem w ustach, w pikielhaubie, dosiadł rowerka. Krwawe rumieńce. Natura wyposażała go w skrzydła bazyliuszka i kluczyk do nakręcania. Z ulicznej lampy szerzy się ni to świński, ni to ludzki ryj. W górze zawisły tłuste, niezdolne do lotu ptaki. Karykatura, owszem. Ale z premedytacją naiwna i prymitywna - jak gdyby nie świat oceniano, ale odpryski złego snu o nim, koszmara, w którym jest linia, plama i kolor.

Na „Boisku”, namalowanym w 1974 roku, sportretował Wieczorek, na szachownicy niby- murawy, trochę gladiatorów, a trochę mityczne stwory, różne wilkołaki albo jednorożce. Gdzieś w rogu zaświeciło słońce, wielobarwne i duże jak śruba okrętu. „Bokserzy I” (1977) i dwa lata później „Bokserzy II” to bezmyślne miejsce do bicia, którym z debilną zaciętością sekundują trenerzy o twarzach wykastrowanych buldogów. Oblicza wątpliwych bohaterów „Sfory krytyków”, rysunku z 1973 roku, głoszą zadowolenie z życia i pochwałę tępoty.

Malarskie biuro rzeczy znalezionych

Krytycy podrywają się do lotu, ale ich cherlawe skrzydełka nigdy nie pozwolą wznieść się nad ziemię. I nie pegaz im patronuje, a leniwy ślimak. Na powstałym rok wcześniej obrazie „Nicolaus” (w domyśle Copernicus) kosmonauta dryfuje we wnętrzu czegoś podobnego do akwarium lub pudła magika. Przygląda się temu słońeczko z „buzią”, takie z rysunków przedszkolaków. Płótna lub deski pełne są czytelnych detali, szczelnie, gęsto wypełniają je znaki kultury popularnej. Patrzymy na kolorowy śmietnik, zwiedzamy graciarnię, malarskie biuro rzeczy znalezionych.

Większość prac Wieczorka powstała chyba z przekonania, że życie bywa tym prawdziwsze, im więcej w nim tandety, a sztuka na tyle tylko wiarygodna, na ile cytuje kicz. Brzydota bywa rzeczywiście (zgodnie z formułą Stanisława Grochowiaka) bliżej krwiobieg, ale, niestety, chwilami aż nadto publicystyczna. Umysławiają to instalacje czy rzeźby Wieczorka, które autor nazywa „obiektem”. „Okno” to trochę bezładna kompozycja desek. W drewno wbito śruby, pilniki, pióra. Naklejono tuby po farbie, wyrwaną z modlitewnika stroniczkę z pieśnią „Upadnij na kolana”, „święte” obrazki z Dzieciątkiem Jezus, św. Maksymilianem Kolbem, Matką Boską Piekarską. W centrum tytułowe okno i kaleki ptak z butaforki. Bohaterami innego obiektu są dwie postaci w brudnych robociarskich uniformach, z których jedna, po wszystkich gestach i pozach, straciła głowę. Między rzeźbami stolik z wbitą w blat białą-czerwoną flagą. Jakies klucze, gwoździe, skrawek czerwonej szmaty. Niemożliwy dialog. Nie tyle milczenie, co śmierć mowy. Jeszcze inny obiekt, zatytułowany „Melancholia”, opowiada prostą fabułę o butelczynie i pijaczku. Na dnie walizki wyblakłe kolory smutnej wsi.

Średnio polubiłem „obiekty” Wieczorka. Całe przesłanie dochodziło prosto i niemal od razu odchodziło. Autor rzeźbiarskiej instalacji przeciwko czemuś zaprotestował, ale szybko wyczerpały się artystyczne granice protestu. Uważniejsz oglądałem obrazy. Na

trzech olejnych „Wannach” - aktach w ostrych kolorach - nie ma śladu liryizmu. Nie malarz podgląda kobiety, ale jakiś nerwowy pacykarz. Kompozycja wychodzi, rozlewa się poza płótno, anektuje ramy - integralnym fragmentem dzieła jest szeroki, rozlewny, jak gdyby stawiany ręką dziecka podpis, sygnatura - Karol Wieczorek. Malowane wanny dopełniono instalacją, „obiektem”. Na linie szmatki: błękitno-brudny biustonosz, jakaś koszulka, skarpetki. Sprawiedliwie obdzielone imieniem i nazwiskiem artysty. Niedaleko zawieszono cztery pastisze rodzajowości, tak mocno wyeksploatowanej przez twórców nieprofesjonalnych. Na obrazie „Szczer” nie tyle ważne są komórki (śląskie „chlewiki”), co tytułowy gryzoń, drapieżny, nierzeczywisty. „Ściana” odsłoni mur, strzępy ulotek czy plakatów. I strzęp łamanego literactwa: Polska Zjednoczona... I strzęp człowieczeństwa - pospolitość złe skądrowanej ludzkiej figury. Potężne ptaszysko obrazu „Gęś” zastygło w bliskim sąsiedztwie suszących się na płocie poduch i poszwy. Na „Kapliczce II” żarówka oświetlająca domek Zmartwychwstałego Chrystusa jest wielkości dużego scenicznego reflektora. Otwarty przestwór bramy. W głębi naklejone skrawki papieru - klepsydry. Świat, który nie zmartwychwstanie.

Zamiast częściej anegdota kluczy, zamiast realistycznych znaków eksploatuje jakąś pękniętą, nie do końca czytelną mitologię. Zwierzęta na obrazach się uczłowieczają, ludzie nakładają maski zezwierzęcenia. Ktoś wprowadza na spacer bazyliuszka. Z łodzi, z pokładu której Chrystus głosi swe nauki, unosi się, na obłoku dymu, dżin. Do sielskiego obrazka ustawiła się rodzina i udomowiony centaur. Kolory rzadko kiedy chcą tworzyć harmonijne zestawienia, proporcje rzeczy kpią z ładu i porządku, a wszelkie motywy niezdolne są do samodzielnego życia. Inspiracje pożerają się wzajemnie. Nawet geometryczne, przypominające skrawki kobierców, obrazy cyklu „Światło”, tworzonego od początku lat dziewięćdziesiątych, nie szukają kompromisu z metodą malowania, nie są spokojnym wędrowaniem od abstrakcji do abstrakcji, a gorączkową pogonią za niemożliwą trójwymiarowością.

Całe tworzenie Karola Wieczorka to trochę pogoń za niemożliwym. Tak żarliwie, tak gwałtownie stara się dotrzeć do jakiejś pozaartystycznej prawdy, że właściwie nie definiuje jej. Nie tyle mnoży dzieła sztuki, co przyczynki do samego siebie, który, nie wątpimy, żyje wyłącznie sztuką. Jak gdyby nie wyobrażał sobie, że ktoś zrozumie jego wyobraźnię.

PIOTR ZACZKOWSKI

Muzeum Śląskie w Katowicach. Karol Wieczorek: Malarstwo. Marzec - kwiecień 2002 roku.

Prezentacje

Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, 40-032 Katowice, Plac Sejmu Śląskiego 2, tel./fax: (032) 2517104, e-mail: cdk@silesia2000.pl

Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska to państwowa instytucja upowszechniania kultury, której celem jest dokumentowanie wartości materialnych, duchowych i przestrzennych komponowanych należących do dziedzictwa kulturowego regionu. W ramach pracy własnej i zleceń prowadzi badania środowiska kulturowego oraz przygotowuje monitoring zachodzących w nim zmian. Jednym z zadań statutowych Centrum jest także inicjowanie i koordynowanie działalności edukacyjnej i szkoleniowej na temat dziedzictwa kulturowego oraz opracowywanie programów i materiałów merytorycznych w tym zakresie. Centrum zajmuje się również popularyzacją i prezentacją zasobów oraz problemów ochrony dziedzictwa kulturowego regionu.

Terenem działania Centrum jest Górny Śląsk ukształtowany w ciągu dziesięciu wieków rozwoju historycznego i cywilizacyjnego. Obejmuje obszar województw śląskiego i opolskiego. Zintegrowana wiedza o środowisku kulturowym jest podstawą działania służb konserwatorskich i architektonicznych oraz instytucji samorządowych, religijnych i osób prywatnych będących w posiadaniu obiektów zabytkowych. Centrum zgromadzoną wiedzę prezentuje w formie publikacji, filmów, wystaw, konferencji i seminariów. Prowadzi również działalność biblioteczną i archiwalną. Centrum przyjmuje zlecenia na wykonanie studiów historyczno-architektonicznych i konserwatorskich oraz ekspertyz i opinii w dziedzinie ochrony zabytków i dóbr kultury. Dysponuje zbiorem dawnych widoków miast i starej architektury oraz kolorowych zdjęć lotniczych miast i osiedli wiejskich znakomicie nadającym się do wykorzystania w przygotowaniu plakatów, folderów i albumów. (opr. tog)

Leksykon wiedzy o regionie

Alfons ZGRZEBNIOK (1891-1937) - polski działacz narodowy. Gimnazjum skończył w Raciborzu, podczas studiów na Uniwersytecie Wrocławskim działał w tajnej organizacji „ZET”; podczas I wojny światowej walczył w armii niemieckiej. W roku 1919 wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, w której został komendantem



powiatów kozielskiego i raciborskiego. Podczas I Powstania Śląskiego był komendantem POW i naczelnym dowódcą powstania. Pracował w Polskim Komitecie Plebiscytowym, dowodził obroną hotelu „Lomnitz”. Podczas II Powstania ponownie pełnił funkcję naczelnego dowódcy, w III Powstaniu pracował w Komendzie Głównej. W roku 1921 był założycielem Związku Byłych Powstańców Śląskich; w latach 1923-27 pracował w gimnazjum w Hajdukach Wielkich, w roku 1927 przeszedł do Komisarjatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku; w roku 1934 objął funkcję wicewojewody białostockiego. Pochowany został w Rybniku. (tog)

Z wydawnictw

Bogdan Snoch: Górnośląski leksykon biograficzny. Muzeum Śląskie, Katowice 1997. Supplement Katowice 2000.

To bardzo przydatne wydawnictwo zawiera 871 biogramów (w suplemencie dodatkowo 360) postaci, które odegrały istotną rolę w losach Górnego Śląska. Leksykon przygotowany przez Bogdana Snocha obejmuje górnośląskie dzieje począwszy od czasów najdawniejszych, aż do współczesności. Na jego kartkach przypomniane zostały zarówno osoby, które urodziły się na Górnym Śląsku i zapisały się w jego historii, spędziły w tej dzielnicy część swego życia lub też w swej działalności poświęciły uwagę tematyce śląskiej. Możemy więc odnaleźć w tej publikacji władców, którzy w skutek swej działalności lub decyzji wywarli wpływ na losy Górnego Śląska oraz osoby związane z regionem - wojskowych, pisarzy, duchownych wielu wyznań, wydawców, działaczy, twórców, przemysłowców i innych. Leksykon ma charakter popularnonaukowy i zawiera podstawowe informacje na temat prezentowanych osób - niezbędne dane biograficzne i zwięzłe uwagi o działalności. Zaletą leksykonu jest fakt, iż przedstawia on w zbiorczy sposób wiadomości rozproszone w dużej liczbie słowników specjalistycznych. (tog)

Bernard Szczech: Protokolarz miasta Woźniki. Zapisy do prawa miejskiego (1521)-1599-1660. Woźniki 2002. - Bernard Szczech: Protokolarz miasta Woźniki. 1598-1623. Woźniki 2002.

W celu prawdziwego, pełnego poznania dziejów danej miejscowości sięgnąć należy bez wątpienia do materiałów źródłowych - akt miejskich, kronik parafialnych. To jednak zadanie trudne dla większości osób zgłębiających dzieje rodzinnych miast i gmin. Nawet jeśli takie zabytki piśmiennictwa przetrwały zawirowania dziejów, dostęp do nich bywa utrudniony. Większość z nich znajduje się w Archiwum Państwowym w Katowicach, co już stanowi sporą przeszkodę, samo zaś odczytywanie dawnych manuskryptów to również niełatwa sprawa. Jeszcze nie wszystkie miejscowości doczekały się pasjonatów, którzy przebrną przez wiekowe dokumenty - odczytują zapiski czynione w wielu językach, poradzą sobie z różnymi wzorami alfabetu, jak i... charakterami piśma kronikarzy. Mieszkańcy Woźnik, niewielkiego miasta położonego pomiędzy Lublińcem a Tarnowskimi Górami, mają niezmiernie ułatwiony dostęp do miejskiej kroniki. Dzięki Bernardowi Szczechowi (jak również, co warto podkreślić, dzięki wsparciu burmistrza Woźnik) w czterech tomach ukaże się całość woźnickich kronik.

Protokolarz woźnicki odnaleziony został przez Ludwika Musioła - uznanego górnośląskiego historyka, w roku 1934 w archiwum magistratu w Woźnikach. Fragment tego założonego jeszcze w średniowieczu manuskryptu znalazca wydał jeszcze przed wojną, zaś w latach siedemdziesiątych ukazała się edycja z zapisami najstarszej księgi miejskiej. Pozostałe nie doczekały się do tej pory wydań.

W pierwszym tomie omawianego wydawnictwa pomieszczono zapiski najstarsze - od roku 1521 po 1660, tom drugi zawiera protokoły miejskie z początkowych lat siedemnastego wieku. Kolejne dwa tomy, nad przygotowaniem których pracuje Bernard Szczech, zawierać będą pozostałe wpisy do protokolarza oraz zbiór dokumentów miejskich. (tog)

Jadwiga Lipińska-Sajdak: General Henri Le Rond. W 75. rocznicę III Powstania Śląskiego. Muzeum Historii Katowic, Katowice 1996.

Historię regionu tworzą nie tylko jego mieszkańcy, związani przez wiele pokoleń ze swoją „małą ojczyzną”. Częstokroć spory wpływ na kształtowanie dziejów danej części świata mają osoby przebywające w niej przez stosunkowo krótki okres. Taką osobą w historii Górnego Śląska był niewątpliwie francuski generał Henri Le Rond - dowódca Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej dla Górnego Śląska. Biografia Jadwigi Lipińskiej-Sajdak koncentruje się głównie na etapie jego życia związanym z Górnym Śląskiem. (tog)

Tarnowskie Góry swe związki z Europą i narodami zamieszkującymi ten kontynent mają od zarania swych dziejów. Symbolicznym jest niejako, iż współzałożycielami miasta są przedstawiciele dwóch ważnych dla dziejów Europy Środkowej dynastii: Piastów i Hohenzollernów. Książę Opola i Raciborza Jan II Dobry i książę Karniowa margrabia Jerzy von Ansbach dali podstawy istnienia, pomyślnego rozwoju i bogactwa mieszkańców miasta.

Pierwsze dokumenty związane z dziejami Tarnowskich Gór są świadectwem udziału Polaków, Niemców oraz Czechów w życiu Górnego Śląska. „Ordunek Górny” został wydany w języku niemieckim i polskim. Ciekawym świadectwem jest także nadanie pieczęci urzędowi górniczemu. Język tego dokumentu wskazuje na bardzo silne wpływy czeskie.

Pomnikiem udziału przedstawicieli różnych narodów w dziejach Tarnowskich Gór są także płyty nagrobne, jakie zachowały się w kościele p.w. św. Apostołów Piotra i Pawła: „*pod tym murem spoczywają zwłoki Katarzyny Teresy Eidner, pochodzącej ze szlacheckiego rodu rycerzy de Gaibingen w Bawarii. Była matką ubogich (...)* Zmarła dnia 17 lutego 1679 r. mając lat 56, 3 miesiące i 4 dni...”, „*W roku Pańskim 1597, dnia 15 listopada spokojnie i pobożnie zasnął w Chrystusie wszechwidziany mąż Stanisław Szymkowicz, miasta tutejszego burmistrz*”, „*Anno 1614, 25 Oktobra uczciwa Magdalena Janiczkowa z miasta Bogkowicz, sławnego Pana Jakuba Gruzelki, burmistrza miasta Gór Tarnowskich manželka...*” Już te „nieme” pomniki naszej przeszłości świadczą o związkach z Polską, Niemcami i Czechami.

Wspomniany w nagrobkowym napisie burmistrz Gruzelka jest jedynym, jaki doczekał się swojej ulicy w Tarnowskich Górach. Postacią ze wszechmiar zasługującą na uwiecznienie w podobny sposób jest burmistrz Bernard Bordolo. Jego przodkowie przywędrowali z Włoch. On sam związany z władzami Tarnowskich Gór był już od końca XVII w. Sytuacja miasta była wówczas bardzo ciężka - deficyt w kasie miejskiej sięgał kilkudziesięciu procent dochodów miasta. Najpierw został kasjerem, odpowiedzialnym za finanse, następnie objął obowiązki budowniczego miejskiego, (w okresie odbudowy miasta po pożarze w 1701 r. była to funkcja niezwykle istotna), by w 1707 r. zostać po raz pierwszy wybranym burmistrzem. Na stanowisko to wybierany był jeszcze kilkakrotnie.



Z różnych stron Europy

Włoskie korzenie miał również ród Bontanich, osiadły w nieodległym księstwie siewierskim. W połowie XVIII w. uzyskali indygenat od biskupów krakowskich jako książąt Siewierza. Felicjan Bontani w 1781 r. ufundował kościół p.w. św. Barbary w Ożarowicach. Ostatni z rodu, Józef zginął jako żołnierz w powstaniu listopadowym w 1830 r., walcząc po stronie polskiej.

Równie południowe, ale jeszcze bardziej odległe korzenie miał ród panów Tworoga koło Tarnowskich Gór - hrabiów de Verdugo. Ich przodkowie wywodzą się z Katalonii (wschodnia Hiszpania). Służąc wierne Habsburgom, królom Hiszpanii oraz królom Czech, przywędrowali na Śląsk poprzez Niderlandy i Czechy. Dobra w Tworogu odziedziczyli jako krewni hrabiów de Colonna-Fels. Ostatnim z rodu był zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach hrabia Franciszek Karol Wilhelm. Wyruszywszy na polowanie w lasy koło Mikołeski, nagle poczuł się bardzo słabo. Ten młody człowiek, zawsze pełen radości i optymizmu, do pałacu wrócił już martwy.

Przez stulecia obecni w dziejach Tarnowskich Gór i okolicznych ziem byli oczywiście przedstawiciele narodu żydowskiego. Już w pierwszych wiekach istnienia miasta odnotowywano nazwiska Żydów przybywających na tutejsze targi. W księgach zapisano: „... *Salomon Jeleniowitz żyd ważył toju...*”, „... *Jakub Izaak żyd ważył glejty...*” Nie mogli być jednak obywatelami miasta, chyba że przeszli na wiarę chrześcijańską. Fakt taki miał np. miejsce w 1753 r. Hrabia Franciszek Ludwik Henckel von Donnersmarck pan na Karluszcówcu był świadkiem chrztu udzielonego miejscowemu

Żydowi. Po reformie ustroju królestwa pruskiego w 1812 r. władze miasta zmuszono do przyjęcia jako mieszczan także osoby pochodzenia żydowskiego. Symbolem obecności tarnogórzan wyznania mojżeszowego była tutejsza synagoga. Wybudowana w stylu mauretańskim (zwanym także hiszpańskim) w XIX w. mieściła się niedaleko centrum miasta. Koniec dziejów tarnogórskich Żydów nastąpił wraz z nadejściem okupacji i rządów hitlerowców. Swoistym Memento są słowa zapisane na jednym z nagrobków na cmentarzu żydowskim przy ul. Gliwickiej: „... *zginęła w Oświęcimiu...*”

Przełom XVIII i XIX w. to okres działalności hrabiego Fryderyka Wilhelma von Redena. Jego zasługi dla ponownego pobudzenia rozwoju miejscowego przemysłu są nie do przecenienia. Pochodził z terenów Dolnej Saksonii. Jako Dyrektor Wyższego Urzędu Górniczego wiele lat spędził w Tarnowskich Górach. Za jego przyczyną przybył tutaj John Baildon. Był on Szkotem i przez pewien okres przebywał w mieście gwarków. Uważa się go za twórcę nowoczesnego hutnictwa na terenie Górnego Śląska. Jego potomkowie osiedlili się w Łubiu (dziś gmina Zbrostawice, w granicach powiatu tarnogórskiego). Wybudowany przez nich pałac istnieje do dzisiaj.

Z Tarnowskimi Górami związał swe losy także inspektor Urzędu Górniczego August de Boscamp-Lasopolski. Jego ojciec, Karol był w służbie dyplomatycznej polskiego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, od którego uzyskał indygenat. Ród de Boscamp pochodził z Flandrii (pogranicze współczesnej Belgii i Francji). August zaprzyjaźniony był z panem ziemi tarnogórskiej hrabią Henckel von Donnersmarckiem. W 1807 r. gdy miastu groziło splądrowanie przez oddział polskiej kawalerii i kosynierów, zapłacił z własnej kiesy 2 tys. talarów kontrybucji. Założył także tutejszą lożę wolnomularską oraz jeden z pierwszych amatorski Związek Muzyczny. August do końca życia pozostał w Tarnowskich Górach.

W dziejach Tarnowskich Gór i okolicznych ziem obecni byli przedstawiciele wielu narodów. Związani byli z tym regionem czasami przez krótki tylko okres swego życia, czasami aż do końca swych dni, a czasami przez wiele pokoleń. Swą obecnością na pewno wzbogacali tę ziemię.

13 marca. Piękny dzień. W taki, lub nieco inny urodził się sto lat temu Hans Bellmer. Rano, około ósmej, spacer z psem. Na ostatni skrawek zieleni w ścisłym śródmieściu, pomiędzy zaniedbanym pomnikiem a hotelem Katowice i ulicą Uniwersytecką. Dochodząc do hotelu widzę ścinanie czuba rosnącego na hotelowym parkingu kasztanowca. Drzewa pamiętającego z pewnością inne czasy, niż czasy PRL-u, być może inne niż międzywojenne dwudziestolecie. Ogarnia mnie żal, że tak łatwo jest ściąć życie drzewa, o wiele łatwiej niż ludzkie. Ogarnia mnie złość i oburzenie, że tak bezmyślnie wyrывa się miastu jego płuća tylko z tego powodu, aby stworzyć jeszcze jedno parkingowe miejsce. Kiedy wracam ze spaceru, po kilkunastu minutach, drzewa już nie ma. Być może kłamliwi pseudo-eksperci będą utrzymywać, że drzewo było suche albo że w ogóle go nie było. Jednak i ja, i właściciele innych psów chodzą tą drogą co najmniej trzy razy dziennie przez wszystkie dni roku. Nie wspominając o tysiącach przechodniów. Każdy widział, że te piękne drzewa były w dobrym zdrowiu.

Cały dzień intensywnie zajęty przygotowaniami do mającej się odbyć nazajutrz sesji „Wokół Hansa Bellmera. Życie i twórczość”. Przy okazji organizacji tej dwudniowej sesji jak i w jej trakcie byłem wielokrotnie zapytywany, głównie przez dziennikarzy, coś takiego mnie fascynuje w Bellmerze, że poświęcam mu tyle wysiłku i czasu. Odpowiedź jest uderzająco trywialna. Jako malarza nie fascynuje mnie w Bellmerze coś szczególnego. Cenię go podobnie jak kilkunastu innych najwybitniejszych artystów XX wieku. To, co wyróżnia Bellmera, to fakt, że urodził się w Katowicach, w mieście, w którym od niespełna pół wieku mieszkam, z którym na dobre i na złe jestem związany i któremu winien jestem to przypominanie, że właśnie tu urodził się jeden z największych twórców sztuki zachodniej, doskonale znany w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu czy Berlinie, tylko nie w swoim rodzinnym mieście. O którym, on sam, nigdy nie zapominał.

Pisze o tym Henryk Waniek w wymienionym na wstępie tekście. Również w swoich notach biograficznych zawsze podawał miejsce urodzenia: Kattowitz, Polen. Pewnie dlatego do dziś w niektórych internetowych opracowaniach określany jest błędnie jako artysta polsko-niemiecki albo polsko-francuski. Doprawdy nie jest ważne, czy podoba się nam osobiście Bellmer, czy jego sztuka nas odrzuca. Gdyby Matejko urodził się w Katowi-

„Opisał mi miasteczko nas rzeczka, właściwie wioskę pośród innych wiosek, którym jakieś dziwactwo kazało zafundować tramwaje, jeżdżące po lasach, polach i wygonach. Pod starymi kasztanami ludzie po pracy popijali piwo, w zgodzie i ciszy. Gdzieś tam były, oczywiście, jakieś fabryki, kopalnie, huty czy dworce kolejowe. Ale sedno sprawy koncentrowało się wokół kufła piwa, na drewnianych ławkach pod tymi kasztanami...”

Henryk Waniek, *Nie Znamy mi bliżej Bellmer*
NaGłos, nr 15/16, Kraków, październik 1994

Kasztany

PLASTYKA

cach, nie mielibyśmy wątpliwości, że pamięć o tym artyście należy zachowywać i kultywować. Niezależnie od tego, że cieszy się on miernym zainteresowaniem artystów i coraz mniejszym szerokiej publiczności. Jest on podobnie jak Bellmer istotną częścią naszego kulturowego dziedzictwa.

Hans Bellmer jest takim wyrwanym z naszego miasta kasztanowcem. Przez cały miniony okres nie można było o nim pisać ani go wspominać. Dopiero od kilkunastu lat jest to możliwe. W jednej chwili łatwo jest wyrwać i wykorzenić, potrzeba czasu, aby życie ponownie się rozwinęło. Dlaczego Kraków jest Krakowem? Nie tylko dlatego, że powstał w średniowieczu. Także dlatego, że niezmiennie z pietyzmem odnosi się do tych wielkich, którzy urodzili się w nim lub działali. Ale i Katowice nie wypadły sroce spod ogona. Tu urodziło się kilku noblistów i gwiazda pierwszej wielkości w sztuce światowej - Bellmer. Ciągłe nie zdajemy sobie sprawy, jaki atut w po-

staci Bellmera posiadamy w powstającej, wspólnej Europie. Mentalności ukształtowanej w PRL-u wydaje się, że znaczenie ma tylko ciężki przemysł. To błąd. W nowo kształtującej się rzeczywistości coraz większego znaczenia nabiera infrastruktura kulturalna i ekologiczna. I nasze kulturowe dziedzictwo. Bez niego jesteśmy pozbawieni korzeni nikczemnikami.

Późnym popołudniem tego samego dnia znowu spacer z psem. Nie ma już śladu po drzewie poza wybetonowanym kółkiem i siedmiu stojącymi wokół pacholkami. Ale cóż tak pusto? Czegoś brakuje? Po dłuższej chwili dopiero uświadomiam sobie z największym zaskoczeniem, że wycięto również drugiego kasztanowca, który stał z prawej strony (patrzac od Alei Wojciecha Korfa) przy wyjeździe z hotelowego parkingu. To drzewo już naprawdę nie mogło nikomu przeszkadzać. To po prostu podłość i głupota. Całkowita nieobecność podstawowej wrażliwości i kultury. Dziwimy się gdy sfrustrowani młodzi ludzie niszczą przydroże, ławki w parku czy telefony. Narzekamy na upadek obyczajów. Ale oni tylko naśladują wandalizm dorosłych, wyrzucających śmieci byle gdzie, niszczących to, co nie jest osobistą a wspólną własnością. Od dłuższego już czasu, przy okazji budowy nowych ciągów komunikacyjnych, jak najbardziej potrzebnych miastu, niejako przy okazji, niezwykle ochoczo, choć całkiem niepotrzebnie, wycina się stare drzewa, zasypuje oczka wodne i dewastuje enklawy, w których kilometr od ścisłego śródmieścia żyły ryby, traszki i żaby. Także padalce, żające i bażanty. Ktoś zarabia na drzewach. Jedna wycinka - pomijając drewno - to półtora tysiąca złotych. To nawet lepiej niż na skórach.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Trzeba się dobrnąć do skóry miastu. Zarobić na nim, odcinając mu jego żywotne organy. Jeszcze pozostał ostatni kasztanowiec przed hotelem Katowice. Było ich trzy, pozostał jeden. Te kasztany wraz ze wspaniałymi drzewami obok, to mizerne resztki dawnego parku wokół rezydencji Winklerów, założycieli Katowic. Miniony okres przespacerował się po ich pamięci, równając z ziemią ich dom, w którym przez lata mieściła się Rejonowa Komenda Uzupelnienia, aby zrobić miejsce pod szpetny hotel. Czy ostatni kasztanowiec przed tym budynkiem też ma policzone godziny? Gdzie jest i jaki to jest konserwator przyrody? Panie Prezydencie Miasta Katowice, kto wyciąga te kasztany i czyimi rękoma?

ANDRZEJ
URBANOWICZ



Foto: Krzysztof Karwat

Artysta urodził się przy ulicy Schneiderstrasse 10 (dziś: Mickiewiczka).

„Kiedy w roku 1933 chłopcy rozpoczęli zabawę w wojnę, Hans Bellmer zaczął bawić się lalką” — tę oryginalną myśl Tadeusza Komendanta, jednego z referentów marcowej sesji poświęconej życiu i twórczości tego wybitnego artysty, kilkakrotnie w Katowicach powtórzono. Andrzej Urbanowicz, kurator sesji a jednocześnie prezes Towarzystwa Bellmer, dodawał: „I chwała Bogu”.

„I chwała Bogu” — uzupełnijmy — skończyły się również czasy, gdy trzeba było wstydliwie przemilczać, że Katowice przełomu XIX i XX wieku były miastem wielokulturowym i trójjęzycznym. A Hans Bellmer właśnie tu przyszedł na świat i tu miał swoją debiutancką wystawę. Inna rzecz, że z dość niefortunnym finałem, skoro trafił na krótko za kratki do ponurego gmachu przy dzisiejszej ulicy Mikołowskiej. Ale to nie względy narodowe o tym zadecydowały (Katowice od połowy roku 1922 były już miastem polskim), lecz zapewne ideowo-obyczajowe. Co tu kryć, Bellmer był twórcą skandalizującym, a jego wizerunki kobiet-lalek oskarżane były o pornografię. Inna rzecz, że nie wiemy, jakie tematy dominowały w jego debiutanckiej ekspozycji. Wiemy tylko, że były to grafiki (gwasze).

Antynazistowskie oblicze tej sztuki a także postawa samego artysty, który w latach 30. odrzucił wszelką współpracę z hitlerowskim państwem, nie przyjmując żadnych zamówień (a pracował w reklamie i w końcu na zawsze wyjechał do Francji), była wielostronnie interpretowana, i to z różnych perspektyw. Andrzej Przywara w swym wystąpieniu pt. „Za zamkniętymi drzwiami” przybliżył okoliczności i warunki, w jakich Hans Bellmer konstruował swoją pierwszą „Lalkę” (działo się to w podopolskiej miejscowości Pokój, wówczas: Carlsruhe). Henryk

Waniek z kolei przypomniał epizod z własnego życia, gdy jako młody artysta z Polski został w Paryżu Bellmerowi przedstawiony (w spotkaniu brał udział także legendarny Max Ernst).

Zarejestrowane w ubiegłym roku w Katowicach Towarzystwo Bell-

mer postawiło sobie ambitny plan doprowadzenia do wystawy oryginalnych prac niemieckiego artysty (w roku 1996 po raz pierwszy po wojnie i jak dotąd jedyny w Polsce pokazano w ramach Festiwalu Ars Cameralis ok. 40 obiektów Bellmera). Podczas sesji wyrażono przekonanie, że uda się tę wystawę powtórzyć, w nowym wyborze. Najprawdopodobniej w listopadzie tego roku, rzecz jasna w Katowicach.

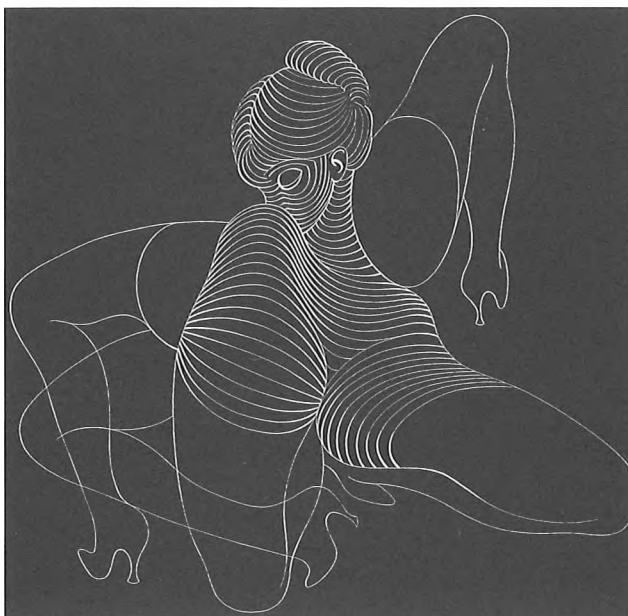
Myśli się również o przygotowaniu ekspozycji sztuki światowej (i polskiej), która wykazałaby związki z Bellmerem i zasięg Bellmerowskich inspiracji. Marcowa dwudniowa sesja, która toczyła się w Biurze Wystaw Artystycznych i Górnośląskim Centrum Kultury, była dobrym przygotowaniem do tego zamierzenia. Krzysztof Jurecki i Agnieszka Maria Wasieczko pokazali Bellmera na tle fotografii surrealistycznej z lat 20. i 30., a także omówili twórczość Amerykanki Cindy Sherman, współczesnego fotografa bezpośrednio nawiązującego do spuścizny katowickiego artysty.

Ponadto wysłuchaliśmy ciekawych głosów Andrzeja Kostołowskiego, Marka Zielińskiego i Michała Spornia. Akcentem finałowym był interesujący pokaz Tadeusza Sławka i Bogdana Mizerskiego, zatytułowany „Wymarzenie ciała. Esej na głos i kontrabas”.

Niewątpliwie dużym sukcesem organizatorów konferencji uświetniającej 100-lecie urodzin artysty, było nawiązanie kontaktu z mieszkającą we Francji Doriane Bihl-Bellmer, jego córką, która zgodziła się wejść do Komitetu

Honorowego Roku Hansa Bellmera w Katowicach. Ta znajomość może okazać się pomocna, gdy przyjdzie rozstrzygać o szczegółach planowanej na listopad ekspozycji.

KRZYSZTOF KARWAT



Rok Bellmera w Katowicach



Rysunek Bellmera

Do niedawna Dea Loher, należąca do młodego pokolenia dramtopisarzy niemieckich, nie była w Polsce znana. Nic dziwnego, bo nie ma jeszcze 40 lat i debiutowała w poprzedniej dekadzie. Jej sztuki grane były nie tylko w krajach niemieckojęzycznych, również w Skandynawii i Ameryce Południowej. *Przypadek Klary* miał prapremierę w Wiedniu dwa lata temu.

Zanim poznamy bohaterów sztuki, w ciemnościach wpatrujemy się w monitor telewizyjny, widząc do znudzenia powtarzane sceny nagrywania reklamy. Te przerywniki będą jeszcze wielokrotnie w tym przedstawieniu stosowane, a telewizyjne obrazki, wzmocnione muzyką, dość luźno wiązać się będą z akcją, choć ją niekiedy antycypują, a przynajmniej sygnalizują zmianę miejsca. To także czas na korekty w skromnej dekoracji.

Klara (Violetta Smolińska) zajmuje się pisaniem instrukcji obsługi sprzętu domowego. Cóż, robota to raczej nudna, a w każdym razie trudno w niej młodej, energicznej kobiecie zrealizować swe ambicje. Klara właśnie pracę tę utraciła, o czym powiadomiamy swą starszą siostrę Irenę (Anna Kadulską) i szwagra Gotfryda (Wiesław Kańtoch). W rozmowie towarzyszy jej Tomek (Marcin Szaforz), może chłopak, może narzeczony Klary. Te dwie pary wyraźnie z sobą kontrastują. Gotfryd jest safandulowatym urzędnikiem bankowym. Irena wychowuje nieletnią córkę. Oboje tworzą, zdawałoby się, zgodne w swych neomieszczkańskich ideałach małżeństwo, respektujące normy społeczne, jakie na wszystkich nakłada kapitalistyczne państwo.

Klara i Tomek — odwrotnie. Sprawiają wrażenie zbuntowanych, nie pogodzonych z tym, co świat współczesny ma im do zaoferowania. Szukają innego modelu życia. Ale czy stać ich na to? Czy manifestowanie oryginalności zachowań i postaw nie jest tylko pozą, rodzajem maski, za którą kryje się bezradność? Zwłaszcza w przypadku Tomka, który handluje starzyną, niejako karmiąc się resztkami, jakie spadną z bogatych, mieszczańskich stołów. To zajęcie jest źródłem moralnej prowokacji i Tomek to ironicznie wykorzysta w swych kontaktach z rodziną Klary. Klara zaś, nie mając z czego żyć, będzie zabiegała o protekcję u Gotfryda, licząc na pomoc w uzyskaniu kredytu bankowego. Zrozumienia nie znajdzie. Ba, jej związki z siostrą jeszcze tylko się aostrzą.

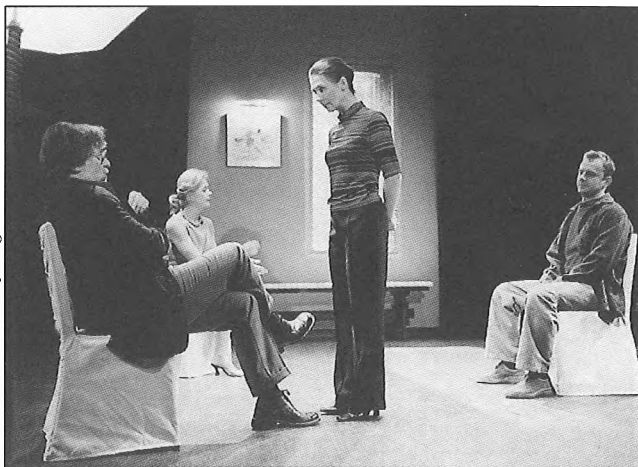


Foto: ARC Teatru Śląskiego

Scena z „Przypadku Klary”

Wypadek Klary

TEATR

W katowickim spektaklu ta introdukcja wypadła dość blado. Zawiłe dialogi jakoś nie potrafią przyciągnąć uwagi widzów. Aktorzy sprawiają wrażenie zupełnie bezradnych. Konflikt został wprowadzony, ale jego rozwój nie porusza naszych emocji, a tym bardziej sumień. Ot, historia jakich wiele — chciałoby się powiedzieć. Ani gorsza, ani lepsza. Nawet banalna, choć to akurat nie musiałby być zarzut. Dea Loher, jak wolno przypuszczać, właśnie typowość takich sytuacji życiowych chciała wydobyć. Żyjemy w świecie pozbawionym wyższych uczuć — zdaje się mówić niemiecka pisarka. Kontakty międzyludzkie cechuje nieprzezwykły chłód. Słowa „miłość” czy „kocham” nie znaczą już to, co znaczyły kiedyś. Najdobitniej przekonujemy się o tym w scenie z Klarą i Georgem (Andrzej Dopierała). To człowiek, o którym wiemy, że jego życie rodzinne nie ułożyło się najlepiej. Nie dziwi więc nas, że tych dwoje samotnych ludzi coś do siebie przyciągnęło. Ale jest to związek chory, skoro Georg wyznając swą miłość do Klary, jednocześnie deklaruje to samo uczucie do żony, tym samym przekreślając i jedno, i drugie. Ale tego możemy się tylko domyślać, tak jak tylko możemy domyślać się, dlaczego pragnie, by do jego związku z Klarą dopuścić na równych prawach także Tomka.

Tosza próbował jakoś wybrnąć z tych erotycznych klinczów i nagłych zwrotów w uczuciach bohaterów sztuki. Raz przyciemnia światło, gdy trzeba aktorów rozebrać, innym razem — „zwalnia obroty”, szukając jakiejś pół-pantomimicznej metafory erotycznego aktu. Ze skutkiem mało

przekonywającym. Zresztą pewne próby metaforyzacji opowiadanych zdarzeń, jakby chwilowych zawieszeń akcji, są kilkakrotnie ponawiane, ale spektaklowi nie pomagają. Nie pomagają mu także owe sceny samotności, gdy bohaterowie niejako słuchają swego wewnętrznego głosu, dialogując sami z sobą.

A zawiłości uczuciowej mamy tu bez liku. Szybko okaże się, że Tomek związany jest ze znacznie starszą od siebie, pozbawioną pruderii eksnauzycielką Elżbietą (Maria Stokowska). W końcu zaś ta właśnie kobieta rozbija małżeństwo Gotfryda i Ireny, wiążąc się z... tą ostatnią. Mało tego — Gotfryd zakochuje się w Klarze albo przynajmniej tak mu się wydaje. Klara bowiem symbolizuje to wszystko,

z czym on już dawno zerwał i o czym zdążył zapomnieć. Jest gotowy dla niej nawet zdefraudować pieniądze. Czy to jednak jest prawdziwe uczucie? Klara ma wątpliwości i jest coraz bardziej zagubiona. Niczym ślepiec, dosłownie na ulicy, szuka drogi do ekspiacji (Nieznajomego zagrał Grzegorz Przybył) czy nagłych wrzuseń (Chińczyka gra Andrzej Warcaba). Jest jednak coraz bardziej bezradna. W niemej rozpaczce decyduje się na samobójstwo, deklarując w pożegnalnym liście wolę oddania swego ciała nauce i eksperymentom medycznym. Skoro moje życie okazało się bezużyteczne — zdaje się myśleć zdesperowana Klara — to może przynajmniej po śmierci na coś się przydam.

Smolińska grająca tytułową rolę robi, co może, ale te jej wysiłki na niewiele się zdają. Nie udało się ukazać na scenie prawdziwego dramatu współczesnej kobiety, która nie może znaleźć swego miejsca w społeczeństwie ani odszukać siebie w związkach z mężczyznami. Cóż z tego, że czujemy, iż jest to historia prawdziwa bądź prawdopodobna, skoro została opowiedziana bez emocji. Tym razem Tosza i jego zespół ponieśli porażkę i niechby był to tylko „wypadek przy pracy”.

KRZYSZTOF KARWAT

Dea Loher: Przypadek Klary. Tłumaczenie: Jacek St. Buras. Reżyseria: Bogdan Tosza. Scenografia: Andrzej Witkowski. Video: Beata Dżianowicz. W spektaklu wykorzystano muzykę J. S. Bacha i Toma Waits'a. Premiera 23 lutego 2002 roku na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Czy istnieje robotnicza kultura muzyczna?

MIEDZY NUTAMI

Robotnicy, zwani ongiś przez inteligentów niezbyt elegancko „masami”, interesowali organizatorów rynku muzycznego od początku XX wieku. Najwcześniej w Niemczech wprowadzono w filharmoniach koncerty „ludowe”, na które zapraszano, po znizonych cenach, amatorów tzw. lżejszego repertuaru. Nie był on lżejszy w dzisiejszym sensie: sto lat temu za lekkie uznawano uwertury operowe i klasyczne symfonie. Dawny repertuar lekki był w rzeczywistości repertuarem tanim: w koncertach ludowych nie brali udziału soliści, dyrygowali zaś kapelmistrzowie drugiej rangi. Sens prowadzenia koncertów ludowych był kulturowotwórczy i ekonomiczny: miały one wykształcić przyszłą masową publiczność, która zapewniłaby byt orkiestrom.

W Polsce filharmoniczne koncerty ludowe zainicjował w Filharmonii Warszawskiej, w 1901 roku Aleksander Rajchman. Odbływały się w niedzielne poranki, z udziałem lubianych przez „porankową” publiczność dyrygentów, dziś już zupełnie zapomnianych (Ozimiński, Komzak, i in.).

Hasło „muzyki robotniczej” stało się w nas szczególnie nośne w okresie rewolucji 1905 roku. Rozmaici ideowcy zaczęli wówczas tworzyć robotnicze zespoły - chóry i orkiestry. Jedną z pierwszych tego typu orkiestr założył w 1907 roku ksiądz Mściśław Godlewski. Jej członkowie rekrutowali się spośród członków Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, grywali podczas mszy w warszawskim kościele św. Marcina. Do 1939 roku sieć zespołów robotniczych ogromnie się rozrosła, między innymi dzięki intensywnej propagandzie, którą prowadziły czasopisma dla „ludu”. Podziw budzą dziś ich redaktorzy i redaktorki, otwierający przed swoimi czytelnikami tajemnice świata sztuki jako świata wielkich, świętych wartości: Maria Wyslouchowa, śmiało zestawiająca na kartach swojej „Zorzy” wiersze o Chopinie z informacjami na temat budowy kompostu, czy Herminia Naglerowa, udostępniająca łamy „Pracy Obywatelskiej” paniom święcie wierzącym w swoją społeczną misję, takim, jak Anna Maria Klechniowska (autorka popularnej *Szkoły na fortepian*), której wypowiedź, z 1934 roku, muszę zacytować: „Zaletą zespołów większych jest to, że budzą instynkty społeczne oraz towarzyskie i odwołują nie tylko grających, ale także słuchaczy od uciech płaskich i pospolitych. Masy, przyzwyczajane stale do zajmowania się w wolnych od pracy chwilach wzniosłą sztuką, znajdując w tym z czasem więcej radości życiowej i ukojenia niż w wódce lub innych pospolitych zabawach. Szerząc w ten sposób kulturę podnosi się też konsumpcję wszelkich dzieł sztuki, a to w następstwie ożywia kulturę narodową w ogóle i ułatwia rozwój prawdziwym talentom”.

Już wiadomo, że piękna idea „budzenia kultury wśród szerokich mas” nie spełniła się i, jak na razie, wódka, nie mówiąc o „innych płaskich uciechach” nadal wygrywa (u „mas” oczywiście) z filharmoniczną estradą. Ci, którzy nadal zainteresowani są utopią „upo-

wszechniania”, robią rachunek sumienia: usiłują znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego się nie udało. Winni są pod ręką: to ideologie, w które od lat 20. wplątywano hasło „ukulturalnienia” ludu. Spektakularny przykład dają socjaldemokratyczne Prusy lat 20, które prowadziły, rękami Leo Kestenberga, ówczesnego referenta do spraw muzyki w ministerstwie kultury, karkołomną politykę sojuszu artystycznej awangardy z klasą robotniczą, w imię jakże nośnego hasła: „nowa sztuka dla nowego społeczeństwa”. Mimo stworzenia bogatej bazy organizacyjnej tej polityki, reprezentowanej m. in. przez Volksbühnen-Verband - organizację skupiającą publiczność, nie udało się sojuszu zrealizować, a to z powodu nie dającej się wytepić wśród „mas” niechęci wobec muzyki awangardowej, dramatycznie różniącej się, niestety, od lubianej w tych kręgach początkowej muzyki drobnomieszczańskiej.

Niemniej spektakularną klęskę poniosły słynne sowieckie „proletkulty” - hermetyczne laboratoria nowej sztuki, dla których nic nie było dość proletariackie, a zwłaszcza państwo sowieckie.

Starsi czytelnicy naszego pisma pamiętają z pewnością akcję koncertów robotniczych, które prowadziła WOSPR, jeszcze pod Fitelbergiem, czy podobną - realizowaną w Operze Śląskiej. Trochę mniej dojrzały wspominać być może ogólnopolską akcję umuzykalniającą Pro Sinfonika, uruchomioną w latach 70. Miała ona wielkie powodzenie wśród młodzieży uczącej się w technikach i zawodówkach, gdyż jej szef Alojzy Andrzej Łuczak wywalczył uczestnikom ruchu wolność od przymusu zapisywania się do ZSMP czy TPPR. Jednak publiczność muzyczna z nich nie wyrosła.

Jeżeli zaistnieje kiedyś robotnicza kultura muzyczna, będzie to z pewnością kultura spontaniczna, a nie sztuczny twór, którego wzory idą z tak zwanej góry. Na razie pod hasłem „muzyki robotniczej” usiłowano sprzedawać produkt mieszczański lub inteligencki. Pora dać temu spokój, bo nie ma z tego ani pożytku, ani zysków.

Życie muzyczne mieszczańskie

Przechodząc do muzyki mieszczańskiej (i inteligenckiej zarazem) wspomnijmy o paru ciekawych koncertach, które odbyły się przed Wielkanocą. 4 marca w Akademii Muzycznej uczczono pamięć Witolda Szalonka pięknym koncertem w wykonaniu pedagogów i studentów Uczelni. Bardzo ciekawie wybrany program zawierał pierwsze próby twórczości (opracowania pieśni ludowych z lat 50.), dalej - drobiazgi dedykowane przyjaciółom, wreszcie - ostatnie uworthy, w których Szalonek ponownie nawiązał do śląskiego folkloru (*Litania Loretańska* z 1996 roku). Koncertowi towarzyszyła wystawa pod intrygującym tytułem *Witold Szalonek - kompozytor, awangardysta, humanista, wizjoner*,

przygotowana przez Bibliotekę Główną Akademii Muzycznej; zdążyłam obejrzeć tylko jej resztki (dział pierwszy: *kompozytor*), bowiem po kilku dniach zalikwidowano resztę gablotek przygotowując kolejną wystawę. Ktoś powinien zasponsorować Akademię - jest jeszcze miejsce na parę oszklonych skrzyń na parterze.

7 marca odbył się w katowickim Centrum Kultury jubileuszowy koncert Orkiestry Kameralnej Camerata Impuls. Zespół, założony przed dziesięciu laty przez Małgorzatę Kaniowską, miał z początku swoją siedzibę w Bytomiu. Tam zdobył uznanie i wierną publiczność, która podążyła za nim, gdy przeniósł się do Katowic. Orkiestra Małgorzaty Kaniowskiej ma duży dorobek. W ciągu dziesięciu lat istnienia zdążyła opracować i zaprezentować publiczności repertuar złożony z ponad dwustu pozycji najróżniejszego gatunku - od klasycznych hitów kameralnych i utworów popularnych, do muzyki współczesnej (dokonała licznych prawykonań utworów kompozytorów śląskich). Zespół występował na ważnych festiwalach, wydał cztery płyty kompaktowe, a przede wszystkim stworzył własny styl gry, której ton nadaje bardzo utalentowana, energiczna dyrygentka. W koncercie jubileuszowym wystąpili znakomici śląscy artyści: pianistka Regina Strakosz-Michalak, akordeonista Joachim Pichura i gitarzysta Marek Nosal, przedstawiając typowy dla orkiestry program, rozpoczęty utworami Mozarta i Vivaldiego, a zakończony argentyńskimi fajerwerkami Astora Piazzoli. Sympatyczna atmosfera na sali, którą wypełnili sympatycy zespołu przekonała, że Camerata Impuls ma dla kogo grać.

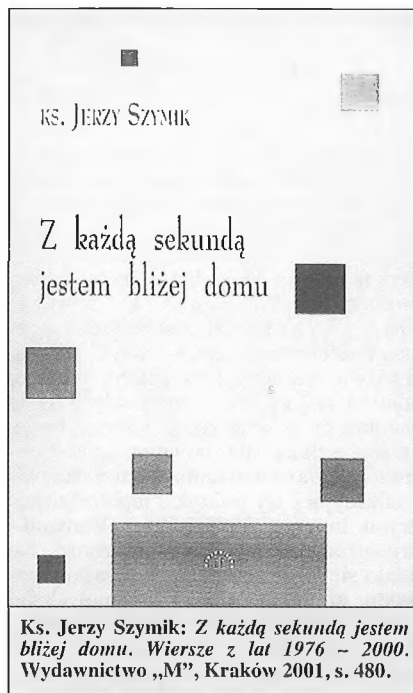
Co roku w okresie wielkopostnym gra się sporo muzyki religijnej; koncert, o którym chcę wspomnieć, miał jednak charakter odświętny. W 10. rocznicę ustanowienia archidiecezji katowickiej, 21 marca, w Muzeum Archidiecezjalnym, staraniem instytucji „Silesia” wykonano fragmenty oratorium Haydna *Stworzenie świata*. Spośród młodych śląskich artystów: J. Ruszały, M. Komandery, I. Handzik, M. Bartczaka dwoje zaimponowało wyrafinowaną kulturą śpiewu, tak potrzebną wykonawstwu oratoryjnemu. Maciej Bartczak wykazał się przy okazji ogromnym wyczuciem specyficznego stylu klasycznej oratoryjnej retoryki, co rokuje mu powodzenie w tym właśnie, trudnym gatunku. Wybrane recytatywy i arie z dzieła Haydna zabrzmiały z towarzyszeniem fortepianu (grał na nim Wojciech Stysz). Nie ma się co krzywić - z fortepianem też brzmiało dobrze, choć obcięciu uległa znaczna część ukrytych w partii orkiestry symboli, reprezentujących idee masonskie, którymi przeniknięte jest oratorium, tak w warstwie treściowej, autorstwa barona Gottfrieda van Svietena, jak i muzycznej (Haydn był członkiem wiedeńskiej loży „Zur Wahren Eintracht” od 1785 roku). Swoją drogą, wybór tego właśnie dzieła na koncert upamiętniający wydarzenie kościelne świadczy, jak wielce zmieniła się mentalność dzisiejszych uczestników kultury muzycznej. Nie ma już dzieł zakazanych, są tylko piękne. Narzeczcie jesteście wolni.

MAGDALENA DZIADEK

Kiedy piszę te słowa, za oknem jesień w pełni. Pora obumierania liści, zakrytego nieba, krótkich dni, w których tak mało słońca. Dla wszystkich, którym trudno przetrwać ten czas, konieczna jest terapia światłem. Przez oczy, ku duszy.

Wiernym czytelnikom poezji ks. Jerzego Szymika, pozostającym pod wpływem Jego kapłańsko-poetyckiej osobowości oraz tym, dla których (nie bójmy się tego słowa) jest mistrzem, nowa książka pozornie nie przynosi żadnej nowości. Każdy z wierszy jest próbą dotknięcia słowem „punktu, w którym gęstnieje życie” („Ziemia niebieska”, s. 177); sposobem uchwycenia jego niepowtarzalnych zapachów, obrazów, dźwięków, smaków, barw podarowanych w „rozbłysku chwili”, „wchłanianych zmysłami, rozumem, sercem, duszą” („Rothargebirge”, s. 242). Ks. Szymik mówi o sobie: „zawsze chciałem żyć zachłannie, [...] łączyć w jedno skarby z różnych pól, skarby które mnie zachwyciły” (s. 460). No właśnie, stąd pewnie w wierszach tyle rozsmakowania w życiu, które nie ma jednak nie wspólnego z polowaniem na przyjemności czy mocne przeżycia. Odnalezione „skarby”, dawki piękna ukrytego w różnych formach, skłaniają Poetę do zachwyty, do silnie artykułowanej wdzięczności, w końcu do pytań o transcendentalne Źródło i Cel rzeczywistości.

Wiersze komponują się w całość, która przypomina często przywoływany przez Autora obraz rzeki płynącej ku Oceanowi Bożego przeznaczenia, spełnienia. Rzeka jest jednak symbolem ambiwalentnym. Z jednej strony - „świat pięknieje w twym odbiciu, Mondego. Jest łaską”, a „Niebieska Pełnia [...] jest naprawdę niedaleko” („Mondego”, s. 296), ale też - „żał, / że nie jesteśmy / tu ze sobą bardziej / i na dłużej / To nie może być tylko rzeka” („Rozmowa”, s. 323). W wierszach wyraźnie wybrzmiewa antynomia zgody i buntu. Zgoda na życie takie jakie jest, na upływ czasu, na przemijanie - bo przecież „płyniemy z Niego przez Niego do Niego” (tamże), ale jednocześnie lament, protest, wiersz - krzyk przeciw pustym miejscom po ludziach („Jesień”, s. 361), przeciw prawu nieścienia pamięci aż do „kości milczenia” („Będzie tak. Oby tak nie było”, s. 360). A więc - paradoksalnie - wewnątrz wiary, ukryte wątplenie; „tak” i „nie” wobec śmiertelności. Kontemplacja przystankowa do utraty nadziei, bo „rozpaczać [można] tylko pobożnie” („plan pracy nad sobą”, s. 112). Wobec wielorakich rozczarowań życiem, najlepszą rzeczą, jaką może zrobić człowiek to, przetworzyć swój ból w modlitwę - „tęsknię za Tobą. Ulituj się nade mną. Jeśli chcesz możesz mnie oczyścić” („Kyrie”, s. 299-300).



Chrystologia wierszem

Pisanie - przekonuje ks. Szymik - jest jednym z najlepszych sposobów radzenia sobie z „ciemną rzeką” czasu. Tworzenie słów ma wartość terapeutyczną. Nazywanie ocala. „Jeśli człowiek wydobywa z siebie prawdziwe słowo, wówczas odrywa się od tego, co mroczne w duszy” („Najpiękniejszą rzeczą jest pisać”, s. 162). I dlatego „płyniemy warto, gryzmoląc znaki [...] / Nietrwale owoce / uporczywych prób / utrwalenia siebie” („Rozmowa”, s. 323). Czy tylko siebie? Z pewnością nie tylko. Także innych, świata. Wszak „nie wolno cudu życia oddać na pastwę milczenia” („Ziemia niebieska”, s. 175).

Wiersze ks. Jerzego pomagają „pobożnie widzieć” („plan pracy nad sobą”, s. 112). Ilustrują, jak patrzeć z wiarą w to, że obie strony życia, czyli cudowność i ból mają w ludzkim losie swoje konieczne miejsce. Trzy znaki, które pozwalają ocalić nadzieję wbrew dojmującemu uczuciu „wyciekania istnienia ze świata”: piękno „plamki błękitu”, bezbroność łabędzia, ufność dziecka. Szymikowa poezja śledzi wytrwale „Boże szyfry”, w których zakodowany jest nadziejorodny przekaz - „Somebody loves us all” („Elizabeth, ból i my. Po lekturze *Filling station*, na progu wzruszenia”, s. 234). Tak, „Ktoś przecież nas tu kocha” - nawet wtedy, a może szczególnie wtedy, kiedy wokół brudne morze, a nad na-

mi „ołowiane niebo, którego już nikt z nas nie podejrzewa, że kiedykolwiek odda słońce”.

W czym tkwi sekret takiego właśnie „pobożnego” widzenia świata, które nie przymykając oczu na brzydotę, zło, ból, przemijanie, potrafi wytrwale wypatrywać prześwitów piękna, dobra, sensu, nadziei? Odpowiedź na to pytanie kryje się w jednym słowie albo lepiej - w jednym Słowie: Chrystus!

Można by zaryzykować określenie, że poetycka twórczość Profesora dogmatyki, jest kontynuacją teologicznego wykładu, zwłaszcza chrystologii, w artystycznej formie. Wielu „poważnych” teologów reaguje na takie propozycje ironiczno-sceptycznym komentarzem: „no tak, wierszyki...nie mają wiele wspólnego z teologią na serio”. Czy na pewno? Jestem przekonany, że sprawy mają się „zupełnie inaczej”. Poezja tworzona przez ks. Jerzego, dla którego mistrzami są Miłosz, Herbert, a z księży-poetów Pasierb, nie zatrzymuje się na progu wzruszenia, zachwyty, opisanie uczuć. Idzie w głąb, w dyskurs, dąży, stawia pytania, zmusza do myślenia w poszukiwaniu sensu, rozumienia tego, co jest. Bardzo bliskie Szymikowi jest poszukiwanie zbliżenia literatury i teologii, „przerzucanie mostów” między religią i sztuką, wiarą i kulturą. Teoretycznym podstawom tej możliwej i koniecznej syntezy poświęcił wiele stron swego naukowej twórczości.

Wiersze przekonująco dowodzą, że teologię można uprawiać nie tylko językiem traktatów, ale również słowem poezji. Jej sercem jest chrystologia, z inkarnacyjnym zapatrzeniem w człowieka, z poszukiwaniem Bosko-ludzkiej syntezy, w myśl „Szymikowej” formuły prawdy o Wcieleniu: „Bogu i człowiekowi jest cudownie że sobą być razem”. Rzecz jasna nie wolno poezji ks. Jerzego sprowadzić do samej teologii, stawiając jakiś prosty znak równości. Obie duchowe dziedziny, obie Jego miłości, choć głęboko spokrewnione, pozostają wzajemnie autonomiczne. Ich spotkanie może i powinno owocować na obu polach - to podstawowy lejtymotyw Jego teologiczno-poetyckiej twórczości.

Czy teologia pisana „w słońcu, w deszczu, w zachwycie”, jest potrzebna człowiekowi, Kościołowi? Czy dobra poezja może karmić się pytaniami teologa? Uczonych odpowiedzi szukać można w naukowych publikacjach Profesora. Mnie przekonuje „opinia teologiczna” ks. Pasierba: „Bóg jest zakochanym poetą / [...] układa o każdym z nas / nie pojętą dla reszty ludzi / pieśń nad pieśniami”. A jeśli tak, to „poetyckie spojrzenie na świat jest obowiązkiem chrześcijanina”.

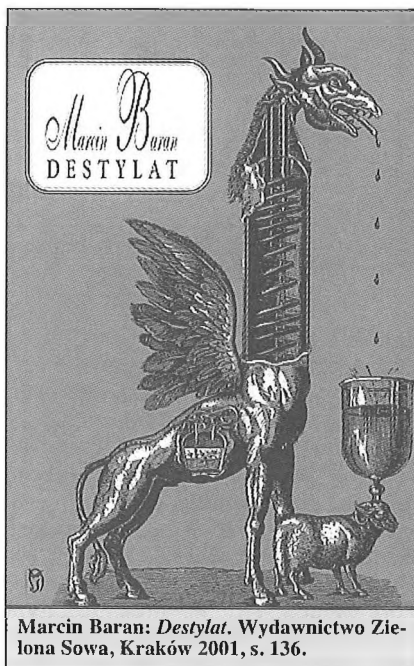
A propos jesieni, idzie wiosna.

Ks. TOMASZ JAKLEWICZ

Odkrycie, że „jutro kombinuje, jak udobruchać wczoraj”, z którym Marcin Baran dzieli się jako autor wiersza „A teraz jutro”, można, na uparte go, uznać za strzęp manifestu. Oto jakaś dojrzałość, mierzona w liczbie wydanych tomów wierszy, o których zaświadczy nota bibliograficzna, próbuje mierzyć się nie tylko ze spisem treści, ale i zawartością życia. Już u progu lektury co bardziej uważny czytelnik przyswoi sobie informację, że zbiór „Destylat”, wybór wierszy, wydano po raz pierwszy, nie unikając przejrzenia i poprawienia. Trochę w tym, zamierzonej lub mimowolnej, prowokacji. Przejrzyć i od razu poprawiać, znaczy bowiem nie móc zgodzić się z wersją pierwotną, wiele tekstów datować podwójnie, potrójnie, nawet poczwórnie, być tyleż autorem, co i korektorem własnych wierszy. Marcin Baran już wie, jak każdy, kto zostaje przy poezji, że wybór wierszy jest mniej spisem treści, a bardziej spisem chwytów formalnych. Literat, który traci się złudzenia, traci je z koniecznym dla uprawiania profesji umiarem: „(...) spis treści, już tylko tyle zostało do zrobienia. (...) coś musi przetrwać na stanie do końca.” („Skromne założenia”).

Czy na coś więcej zasłużył? W „Sprzecznych fragmentach zapełniania” przyznaje: „(...) czytam, żyję cudzym życiem. (...) Nie jest dobrze / kiedy wiersz / zmienia się w wyliczankę, ale każde / umieranie ma swoje zaklęcia”. Decydując się na los literacki, poetycki, przystaje się na egzystencję wymyśloną, wtórną, zastępczą. Tyle że właśnie ta zastępczość jest bliższa i ciału, i duszy. Pisząc wiersze, wdziewamy maski. Do obrzędu, rytuału. Maskujemy swoją nieobecność w świecie. „Ile mojej niepamięci mogę opowiedzieć?”, pyta Baran w wierszu „Nie-pamięć”. Ta tytułowa „nie-pamięć” jest na dobrą sprawę „niby-pamięcią”. Między pamięcią a jej zaprzeczeniem warto bowiem postawić myślnik. Niekiedy nazwiemy go pauzą. Zazwyczaj wtedy, gdy rozdziela to, co nieuchronne.

Cytaty są zawsze niesprawiedliwe, wystawiają autora na ciężką próbę. Namęczył się poeta, nie spal nocą albo zerwał się skoro świt, wytrwał do kresu wiersza, a ja, jego uważny czytelnik, wynotowałem słowa wątpliwe i banalne: „Kto potrafiłby nazwać wszystko raz / jeszcze od początku? I do czego to / mogłoby być potrzebne?” („Tak i nienaturalność”). Retoryczne, nieefektywne pytania. Odbieranie sobie życia na raty, stateczne biadolenie bez rady. Porzućmy lekcję cytatu, przepiszmy w całości „Próbę równowagi”: „Przyjąć wrogość serc, nieprzychylność ulic. / Świat jest, jaki powinien



Spisz treści

być, bo jest. / Tęsknota i pożądanie są także, i dość na tym. // Uwierzyć albo nie wierzyć. / Zgodzić się albo nie zgodzić. // Nie mówić o ukojeniu”. Trudno zaufać takiemu, dosyć oczywistemu wierszowi. Jego przesłanie jest tak prosto wyłożone, że dobre co najwyżej na wpisanie do sztambucha mało wymagającej uczennicy gimnazjum. A jednak niepokoi mnie, zastanawia. Już wiem, że tak naprawdę ważne jest to, z czego autor zrezygnował. Zredukował poezję, wybrał rozpisaną na strofy prozaiczność, by próbowanie równowagi nie było niczym więcej niż właśnie próbą, nieporęcznym, bezbronnym rozumieniem istoty rzeczy.

W „Destylacie” jest kilka miniatur o niezwyklej przejrzystości, czystych, lirycznych. Na przykład pozbawiony tytułu czterowiersz: „Śnieg pomniejsza świat. / Coraz bliżej okien zastawki zamieci. / Brunatny chrust wydeptuje szlaki; / opleciona ziemia - stary, pusty bukłak Falstaffa”. Na przykład opisanie „Świętej Katarzyny”: „Kościoł w rusztowaniach. Przogniecione pyłem / kamienie. Zwięzłe, doskonale, nieśmiertelne. / Mające odzyskać ulotność łyż / powietrza. Ścierające się po drobinie / opłatki kwarcu, granitu, rzecznego / kamienia”. Skoro „Wczoraj tak szybko przemienia się w domysł (...)” („Tylko tak?”), to równie dobrze może doznawać przemiany w lirykę. Od czasu do czasu, mimowolnie „(...) we śnie ktoś układa (...) wiersze - nie-

złe, przekazujące istotne wiadomości.” („Z notatnika morfeinisty”).

Baran nie chce być jednak zakładnikiem takiego snu: „(...) eksploduję, cokolwiek to znaczy i / budzę się. (...) Mogłoby się / wydawać, że nie lubię jawy. Nieprawda, / Kocham ją i szanuję. Tyle że ostatnio, / a właściwie zawsze, niezbyt mi z nią idzie”. Wagi temu wyznaniu nadaje głównie to, że zostało uczynione w wierszu o tytule „Sny słodkie jak chuj” (czyli, w zgodzie z przypisem autora, „Bardzo słodkie sny”). Ten wiersz nie ma większych szans na publikację w szkolnych czytankach. Nie trafi do czytanek zapewne również i „Strumień”: „Strumień moczu łączy penis rezerwisty / z murem kościoła, w którego cieniu / odpoczywa żebraczka umęczona żarem”.

Innych wzruszeń nie będzie. „Spisywać treści”, to nie ulegać tęsknocie za poezją, rezygnować z lirycznego mitotwórstwa. Każdy dzień jest „(...) kolejnym dniem wojny z samym sobą.” („Sen sensacyjny”). Wojny ze sobą nie można przegrać. I nie można jej wygrać. Kapitulacje są usprawiedliwione, zdrady pospolite. A kronika takiej wojny pełna jest łatwych, zbyt łatwych, sentencji: „Ciepła, zimna śmierć: życie” („Zdania i obrazy”). Mały, katastroficzny realizm przeradza się w manierę. Jak gdyby wygasły pomysły - może na życie, może na wiersz - „Jakże skwapliwie jesteśmy gotowi / uczynić własnym i przytulnym każde / miejsce, na którym przyszło nam zamieszkać / z woli przypadku, przemocy, urodzenia.” („Przyswajanie”).

„Czas jest wszędzie, rozdaje / pieśczęty jak ciosy.”, pisze Baran w wierszu „Biedny chrześcijanin traci wycucie proporcji i zwraca się bezpośrednio do Boga”. Nie dziwi zatem skwapliwa, pedantyczna chronologia „Destylatu”, rytuał i przymus datowania wierszy. „Wszystko razem / nie bardzo przekłada się na słowa.” („Zbiórka wrażeń”), niech więc chociaż przełoży się na daty. Jeżeli czas „rozdaje pieśczęty jak ciosy”, to musi kaleczyć. Na rany, okaleczenia kładziemy opatrunki. Wierze opatrujemy datami.

Na końcu wyboru wierszy jest wiersz „Śmierć”: „(...) minął już czas, kiedy żyli wszyscy, których znałem. (...) Czuję jak mnie ubywa - tak ja się czuje zapachy. / Ten zapach mnie zabija. (...) Nie mam słów, by wyrazić swoje przerażenie - / żyję teraz, nie żyję za godzinę. Urodziłem się, aby umrzeć”.

Urodziliśmy się, aby umrzeć. Urodziliśmy się, aby pisać. Urodziliśmy się, aby zwiedzać labirynty. Tylko „Lustra z dnia na dzień coraz gładsze.” („Widzi mi się”).

RYSZARD JASNORZEWSKI

Niewielki rozmiarami esej Olgi Tokarczuk o *Lalce* to lektura pasjonująca. W zdumiewająco lapidarnych rozdziałkach Tokarczuk przygląda się poszczególnym konstruktom powieściowemu, bada ich ezoteryczne funkcje oraz nie zauważoną dotąd symbolikę. Tu i ówdzie błyska narzędziami psychologii, psychoanalizy, psychologii głębi i religioznawstwa. Robi to jednak nienatrętnie, z ogromną kulturą. Dzięki bezpretensjonalnemu, a podsztytemu rzetelnej erudycji wywodowi czyta się książeczkę o *Lalce* jak wyznanie intymne.

Przejdźmy do szczegółów. Tokarczuk zastanawia się nad fenomenem nieustającej aktualności *Lalki*. Zastrzega, że prezentuje osobisty notatnik z jej lektury. Proponuje odczytanie emocjonalne, subiektywne. Nawiązując do zarzutów stawianych autorowi przez recenzentów pozytywistycznych, koncepcji powieści konstruowanej według wcześniej obmyślonego planu przeciwstawia koncepcję powieści - snu. Utwór rozwija się w autorze i poza nim. „Jaźń” piszącego obejmuje świadome pomysły autora, które rozwijają się i ewoluują w czasie oraz tajemnicze ingerencje nieświadomego (Jung). Dzieje się to na skutek udziału w aktach tworzenia „obserwatora”. „Obserwator jest tym, kto śni nasze ja, kto je kreuje” - pisze eseistka. Tylko obserwator ogarnia całość zarysu dzieła. Proces twórczy, zwłaszcza w dziełach wielkich jest w znacznym stopniu nieświadomy.

Lalka to powieść symboliczna, opowiadająca o procesie indywiduacji, o rozwoju osobowości w sporze z zastanymi normami społecznymi, który w rezultacie przyniesie silniejsze i na innych oparte podstawach, związane się bohatera ze zbiorowością. Wokulski doświadcza Wezwania do wstąpienia na drogę inicjacyjnych prób trzykrotnie: 1) podczas spaceru na warszawskim Powiślu, gdy nędra i cierpienie biedoty staje się jego fizycznie i psychicznie odczuwanym bólem (takie doświadczenie zniesienia granicy Ja i nie-Ja przeżyje raz jeszcze w Paryżu); 2) gdy własne odbicie w lustrze hotelowego pokoju budzi w nim grozę (sobowtór, zwiastujący życiowy przełom - mistyczną śmierć); 3) gdy studiując plan Paryża odkryje w jego kształcie zarys gaśienicy; w zestawieniu z perseweryującym w tekście obrazem motyla zrodzi to w bohaterze nie pozbawioną sarkazmu myśl o metamorfozie. Dalej przypomina Tokarczuk interwencje Głosu, który przemawia do bohatera w kilku węzłowych momentach jego życia; m.in. w chwili próby samobójczej. Z tych kontaktów wyłania się ponadindywidualna, „kosmiczna” ontologia powieści. Bohater - człowiek, jest szczególną postacią bytu obciążoną pewną misją. Mógłby być - kamieniem. Misja

Prus mistyczny

Olga Tokarczuk: *Lalka i Perła*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s.

ludzka odróżnia swojego nosiciela od innych istot i misji, ale nie zawsze może być spełniona. Wokulski, choć sam o tym nie wie - konkluduje pisarka - rozmawia w ten sposób z Bogiem. To właśnie Bóg go wzywa, instruuje, ostrzega i przypomina o sobie.

Izabela ze swoją bezwarunkową wiarą we własną wartość stanowi dokładne przeciwieństwo Wokulskiego. Poruszająca się w nienaturalnym świecie, podporządkowana jego regułom, Izabela być może nie jest istotą ludzką. Ta postać ważna jest ze względu na to, co sobą zastania. Wokulski wyznaje: „Prawie od dzieciństwa szukałem jakiejś rzeczy wielkiej i nieznannej; a ponieważ kobiety widziałem przez okulary poetów, którzy im przesadnie pochlebiają, więc myślałem, że kobieta jest ową rzeczą wielką i nieznaną”. Próżność Izabeli odziana w piękny pozór przesłania bohaterowi Pełnię (Perłę, Boga), do którego, nie wiedząc o tym, dąży Wokulski.

Dziwną parę bohaterów stanowią Rzecki i Wokulski. Pierwszy - Schillerowski człowiek naiwny, podporządkowany jest historii i zbiorowości; drugi, w typologii Schillera to człowiek sentymentalny, zbuntowany przeciwko regułom zbiorowości, rozczarowany do historii, wyobcowany z obu tych struktur, szukający wyższego porządku istnienia. Wokulski to także człowiek, który w połowie życia zaczyna rozmyślać o duchowym wymiarze egzystencji. Przechodzi naturalny kryzys wieku średniego.

Trzema „siłami grawitacyjnymi” *Lalki* nazywa autorka obcość, próżność i wreszcie miłość, którą interpretuje m.in. jako buddyjskie współodczuwanie, empatię. Funkcją miłości Wokulskiego do Izabeli jest transcendująca moc tego uczucia - wyprowadza go ono poza niego samego, poza jego świat i poza rzeczywistość.

Nieobecności pierwiastka autentycznie kobiecego (zmistyfikowane jego postacie to kobiety „święte”, demoniczne, Matki i Amazonki) odpowiada w powieści Prusa nadreprezentacja świata mężczyzn (swoisty „ojcizm”).

Pojawienie się Geista (Duch), który łączy cechy alchemika i mistyka upewnia Wokulskiego, że jego drogą będzie poznanie o charakterze metafizycznym. Wynałazek Geista - metal lżejszy od powietrza, w samej swej

nazwie zawiera mistyczny paradoks. Zestawienie ekstraktu fabuły *Lalki* z wersetami apokryficznego *Hymnu o Perle* i stwierdzenie ich paralelności wieńczy esej.

Uwiedzeni elegancją wywodu Tokarczuk nie możemy jednak zataić wątpliwości, jakie on budzi. Znajomość podobnych odczytań każe przypomnieć, że grożą one pewnym redukcjonizmem. Powieści inicjacyjne rzadko osiągają stopień ideowego skomplikowania *Lalki*. Pisarka asekurowuje się, twierdząc, że zajmie się **tylko** osobą i dziejami nietuzinkowego kupca, abstrahując od wielowarstwowości i złożoności utworu. Łatwo jednak dowieść, że dla ocalenia czystości swoich rozważań pomija istotny, a oporny punkt tekstu.

Dla mnie takim *crux Lalki* jest wiza posągu kobiety, na który Tokarczuk powołuje się w zakończeniu myśli o miłości. U stóp tego posągu bohater odczytuje napis: „Niezmienność i czysta”. „Nie rozumiał, co to jest?, ale czuł, że od stóp posągu napływa mu w serce jakaś wielkość pełna spokoju”. Widzenie to zapowiada wewnętrzną odnowę postaci. Tokarczuk nie wspomina o ważnym początku uzdrawiającej wizji. „Pierwszym stopniem olbrzymich schodów”, będących postumentem posągu jest „dziwny dom” Geista. Halucynacja z posagową kobietą pojawia się trzykrotnie w siedemnastym rozdziale drugiego tomu, zatytułowanym: *Dusza w letargu*. Trzeci wariant zawiera objaśnienie symbolicznego sensu obrazu: „Teraz zrozumiał, że ta czystą i wieczną pięknoscą jest - Sława i że na jej szczytach nie ma innej uciechy nad pracę i niebezpieczeństwo”. Mniej więc chodzi o chwałę Boga, więcej - o sławę uczonego, której wciąż niesyty uznania Wokulski chciałby się doczekać, pracując u boku Geista. Głód potęgi Wokulskiego ma charakter Nietzscheański („Iwie oczy” posągu) i dotyczy z pewnością zwycięstw ziemskich. Autorka wyznania bohatera nie komentuje - czy dlatego, że osłabia ono jej tezę?

Mimo zastrzeżeń pozostaje entuzjastką eseju. *Lalka* zawiera dość przesłanek dla tego typu lektury jako powieść premodernistyczna, podszycita agnostycznym niepokojem obu głównych figur - Wokulskiego i Rzeckiego. Paradoksalnym rezultatem indywiduacji jako wyniku procesu inicjacyjnego okazało się przekroczenie ciasnych granic egoistycznego „ja”; przyjęcie zobowiązania wobec wobec wyższego porządku istnienia. Nieobliczalne odczytanie odkryło w *Lalce* perłę nowego sensu.

KRYSZYNA
KRALKOWSKA-GĄTKOWSKA

Dzieje kina na Górnym Śląsku stały się tematem trzeciej już z kolei publikacji, w cyklu przygotowywanym od kilku lat przez Instytucję Filmową Silesia Film i Uniwersytet Śląski. Poprzedziły ją dwie pozycje: „Nie tylko filmy, nie same kina... Z dziejów X muzy na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim” (Katowice 1966) oraz „Filmowe światy. Z dziejów X muzy na Górnym Śląsku” (Katowice 1998). Obydwie, podobnie jak najnowsza pozycja, są pokłosiem sesji popularno-naukowych traktujących o historii kina na Górnym Śląsku, cieszących się popularnością nie tylko w środowisku filmoznawców i historyków kina.

Różnorodność i wielowątkowość tego zagadnienia skłania do podejmowania przez historyków i teoretyków filmu badań naukowych, do publikowania materiałów o nieznanych kartach kina na Śląsku i jego związkach nawet z kinem światowym. Każde opracowanie przynosi artykuły związane tak z historią jak i dniem współczesnym. Do „Odkrywania prowincji” redaktor tomu Andrzej Gwóźdź zaprosił grono autorów związanych nie tylko w sposób naukowy z filmem, a więc akademików, ale także publicystów, twórców kina, filologów a nawet osoby, których życie zawodowe związane z kinem stało się ich pasją, zamiłowaniem do sztuki filmowej. W przygotowanym tomie znalazło się również miejsce dla filmu naukowego i filmu nieprofesjonalnego - obydwie dziedziny filmu miały w przeszłości swoich mocnych reprezentantów: pierwszy poprzez ośrodek filmowy przy Ośrodku Postępu Technicznego w Katowicach, drugi poprzez prężnie działające amatorskie kluby filmowe czy to w Mikołowie, Chorzowie, Dąbrowie Górniczej i innych miejscowościach Śląska. Swoimi refleksjami o Teatrze Telewizji powstającym w katowickim ośrodku TVP dzieli się człowiek - legenda katowickiej telewizji - Ryszard Barnert. Czytelnik otrzymał więc szerokie spektrum zagadnień jakie łączą się z filmem i kinem „na prowincji”, które omawiają tacy znawcy przedmiotu jak: Andrzej Gwóźdź, Jan F. Lewandowski, Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Grażyna Barbara Szewczyk, Edward Zając, Michał Smolorz, Urszula Biel, wspomniany Ryszard Barnert czy Aleksander Uszok z AKF „Iks” w Mikołowie.

Tematycznie artykuły podążają od czasów najdawniejszych po współczesność: od Górnoślązaków w kinie światowym w czasach przedwojennych, poprzez lata II wojny światowej, powojenne dokumenty, współczesne adaptacje filmowe prozy autorów wywodzących się ze Śląska (Horst Bienek), dzieje Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego po rolę kin studyjnych, jaką odgrywały w wielkich miastach regionu. Sylwetkę zapomnianego twórcy Jana Fethke przypomina Jan F. Lewandowski, a z kolei Iwona Sowińska analizuje wątki muzyczne w tzw. śląskich filmach Kazimierza Kutza. Jeśli spojrzymy na różnorodność tych artykułów łatwo zauważyć, jak bogate było życie filmowe na Śląsku - współczesność pozbawiła ten region wielu jego mocnych akcentów, chociaż ośrodek uniwersytecki czy działalność Śląskiego Towarzystwa Filmowego ciągle są znaczącą pozycją na filmowej mapie kraju.

Z tekstów Andrzeja Gwóźdźa, Michała Smolorza czy Jana F. Lewandowskiego czytelnik dowiaduje się o niezwykle bogatym filmowym życiu Śląska w czasach przedwojennych. Pierwsze z brzegu przykłady: Górnoślązakami byli twórcy szlagierów filmowych Marleny Dietrich do „Błękitnego anioła” czy muzyki do słynnego „Bulwaru Zachodzącego Słońca”. Paradę nazwisk rozpoczyna Jary czyli Maximilian Michael Andreas Jarczyk, po-



Odkrywanie prowincji

tem dołącza Georg Thomalla i Franz Waschmann - czy byli Polakami czy Niemcami - ten spór należy do historyków. Dla historyków filmu ważne jest, że ich miejsce urodzenia łączy się ze Śląskiem. Jedenaście lat (1901-1912) - jak pisze Andrzej Gwóźdź - spędził w Katowicach Willy Fritsch, aktor, odtwórca ról charakterystycznych. Z Chorzowa w świat, czyli do Hollywood, wyruszyła nie tylko słynna Hanna Schygulla, ale także Franz Wachsmann (Franz Waxman) - twórca muzyki do ponad 150 filmów powstałych w wytwórniach Universalu, Paramountu, 20th Century Fox, Columbia i Warner Bros. To fascynująca lektura, po której inaczej wygląda przemysłowy Chorzów - okazuje się bowiem, że w przeszłości był kolebką dla wielu późniejszych zdobywców hollywoodzkich Oscarów!

Postać Jana Fethke przypomina Jan F. Lewandowski. To reżyser filmowy (po wojnie główne tytuły jego autorstwa to m.in. „Zaloga” i „Irena do domu”, który bardziej dla kina zasłużył się jako scenarzysta. Lewandowski określa swojego bohatera jako człowieka polsko-niemieckiego pogranicza, co tłumaczy jego poplątane losy - w okupowanej Polsce podjął współpracę z kinematografią niemiecką, ale był również tą osobą, która do kin Generalnej Guberni wprowadziła wiele polskich filmów.

Ważnym tekstem jest również w tym zbiorze tekst Krzysztofa Jurczygi o początkach Śląskiego Towarzystwa Filmowego - minęło przecież 20 lat od jego utworzenia. Dodajmy: Towarzystwa, które było u swych początków ewenementem w skali kraju, potem przechodziło - jak wszystko - czas przeobrażeń i poszukiwań swojego nowego miejsca w zaistniałej rzeczywistości, by po latach się odnaleźć. Przypomnijmy zatem, że w marcu 1981 r. grupa ludzi związanych z filmem na Śląsku ogłosiła deklarację, w której zaniepokojonym głosem mówiono o sprawach filmu i kina, środowiska filmowego. Pod deklaracją podpisali się: Kazimierz Kutz, Janusz Bujak, Andrzej Gwóźdź, Alicja Helman, Feliks Netz, Edward

Kabiesz i Jan F. Lewandowski - wszyscy po dziś dzień pozostali wierni swej fascynacji filmem. Najciekawsze lata działalności Śląskiego Towarzystwa Filmowego wiązały się z siedzibą przy ulicy Szafranka - dziś można by rzec, miejsce kultowym dla miłośników filmu, dla tych wszystkich, którzy w jakiś sposób kontestowali rzeczywistość lat 80. Lista dokonanych Śl.T.F. jest długa: przeglądy filmów, premiery, spotkania z twórcami, inicjatywy - m.in. utworzenia Filmoteki Śląskiej. Dzieje Towarzystwa nieodłącznie związane są z działalnością instytucji filmowych czy Uniwersytetu Śląskiego. Wspólne przedsięwzięcia sprawiają, że rola Śląskiego Towarzystwa Filmowego na kulturotwórczej mapie regionu ciągle jest znacząca.

O znanych faktach ze środowiska filmowców amatorów na Śląsku - raczej nieznanemu niewtajemniczonymu gronu zapaleńców - opowiada Aleksander Uszok. Przypomina o słynnym Amatorskim Klubie Filmowym „Śląsk”, który był zaczynem dla działalności późniejszych klubów, a pierwotni amatorzy - późniejsi pierwszorzędni fachowcy filmowi - stali się silną grupą tworzącą się w drugiej połowie lat 50. katowickiej telewizji. Wspomina tych najbardziej zasłużonych dla mikolowskiego „Iksa” - jednego z nielicznych dziś klubów amatorskich w regionie, który zawsze wodził prym na polu amatorskiej produkcji filmowej. Ponieważ nic nie dzieje się bez przyczyny, tak więc „Iks” swoją dobrą passę zawdzięczał dwóm osobom: Stanisławowi Fischerowi i Leonowi Wojtali, który przez wiele lat był nauczycielem i opiekunem młodych filmowców. Dziś na Śląsku w zasadzie nie ma już ani festiwalu ani przeglądów dla filmowców amatorów (jedynie co dwa lata w Bieruniu i znacznie skromniejszy w Łaziskach Górnych), a pamiętać trzeba, że przez kilka dekad lat w klubach tych gromadzili się nie tylko ci, co filmy produkowali, ale także ci, którzy lubili o filmach rozmawiać, spotykać na co dzień największych twórców polskiego kina. Amatorskie kluby filmowe spełniały rolę, którą dziś trudno przecenić. Oczywiście lata 90. zmieniły prawie wszystko w naszej rzeczywistości - jednakże w innych regionach kraju film amatorski ma się dobrze, do głosu doszło nowe pokolenie, nowa technika, nowa estetyka. Pobyt w klubach filmowych traktują nie tylko pomysł na wolny czas, ale także jako preludeum do przyszłych studiów i zawodu filmowca. W szeregu zawodowców dziś wielu jest takich, którzy pierwsze kroki stawiali w ruchu amatorskim, bądź byli z nim zaprzyjaźnieni - wystarczy przywołać nazwisko Krzysztofa Zanussiiego, a z młodszych pokoleń Macieja Dejcera, Olafa Olszewskiego czy Macieja Ziemińskiego.

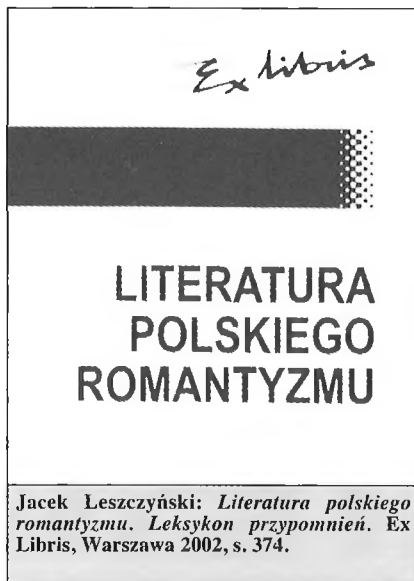
„Odkrywanie prowincji” kończy Ryszard Barnert przywołując najznakomitsze przedsięwzięcia katowickiej telewizji, wybitne nazwiska autorów i wykonawców. Repertuar Teatru Telewizji lat 60. i 70. był różnorodny: od Iwaszkiewicza, Fredry, Gojawiczyńskiej po Różewicza, Lema, Białoszewskiego. Nie brakowało sztandarowych spektakli popularnej wówczas „Kobry”. Reżyserami spektakli byli m.in. Józef Wyszomirski, Lidia Zamkow, Jerzy Jarocki, Irena Wollen, Józef Para, Kazimierz Kutz, Ignacy Gogolewski, Irena Babel, Bohdan Hussakowski, Stefan Szlachetycz. Lista aktorów obejmowała najwybitniejsze nazwiska. Jak na zakończenie artykułu zauważa jego autor, dzieje Teatru Telewizji w Katowicach zasługują na pełne, monograficzne opracowanie.

Tom kończy *Filmografia i Indeks nazwisk*, co czytelnikom ułatwia korzystanie z tej publikacji.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Niedawno na rynku księgarskim ukazał się kolejny tom z serii *Leksykon przypomnień*, poświęcony literaturze polskiego romantyzmu. Jego autorem jest historyk literatury, edytor i tłumacz - Jacek Leszczyński. Niezbyt obszerny tom stanowić ma jedynie przewodnik po literaturze epoki niezwyklej, której wkładu w kształtowanie zbiorowej świadomości, wyobraźni i mitologii Polaków nie sposób przecenić.

Zgromadzone w słowniku hasła podzielić można na cztery podstawowe grupy. Pierwsza składa się z tytułów najbardziej znaczących utworów literackich. W ich rzędzie znalazły się właściwie wyłącznie dzieła wielkiej romantycznej czwórki - Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Norwida. Osobnym hasłem została także wyróżniona MARIA Malczewskiego. Niektóre utwory innych autorów romantycznych zostały przywołane przy okazji omawiania ich biografii. Hasła poświęcone konkretnym dziełom nie mają charakteru streszczeń i z całą pewnością nie są adresowane do czytelników, którzy nie znają oryginalnych tekstów. Nie przynoszą one również interpretacji tych dzieł, co uznać należy za zaletę słownika, bowiem próba pomieszczenia w obrębie krótkiego tekstu o charakterze informacyjnym całej wieloznaczności i bogactwa najważniejszych tekstów romantycznych skazana być musi na niepowodzenie. Dlatego słuszną wydaje się decyzja autora, aby w hasłach zawrzeć wyłącznie istotne dla interpretacji wskazówki i krótko skomentować jedynie kluczowe sceny. Zasada ta realizowana jest zresztą w słowniku na różne sposoby. W przypadku BALLADYNY na przykład wskazówki polegają na określeniu najbliższego kontekstu niezbędnego do odczytania znaczeń całości. Czytelnik nie znajduje tu gotowej interpretacji, a jedynie pewne sugestie wymagające konfrontacji zarówno z tekstem samego utworu, jak i wskazywanymi przez autora tekstami pomocniczymi. Inna technika zastosowana została w hasle poświęconym GRAŻYNIE - miejsce hipotez interpretacyjnych zajmuje tutaj wyliczenie tych cech utworu, które są najbardziej charakterystyczne z jednej strony dla stylu romantycznego, z drugiej - dla epiki rycerskiej. Pisząc o BENIOŃSKIM natomiast, autor decyduje się jedynie na krótkie wprowadzenie w treść i okoliczności powstania poematu, opatrując hasło rozbudowanym systemem odsyłaczy do innych omówionych w *Leksykonie* pojęć. Czytelnik zyskuje w ten sposób garść dodatkowych informacji, które nie składają się wprawdzie na interpretację dzieła, ale mogą stanowić punkt wyjścia dla dalszych samodzielnych rozważań. Podobnie, pisząc o GENEZIS Z DUCHA, autor rezygnuje z wyjaśniania zawłości mistycznej myśli Słowackiego na rzecz krótkiej informacji pozwalającej na umieszczenie tego utworu w całym systemie twórczości poety. Nieco inny



Słowo o romantyzmie

charakter ma budowa hasła poświęconego BALLADOM I ROMANSOM. Jeden z najważniejszych w polskiej literaturze tomów został omówiony jako pewna całość, opisane zostały okoliczności towarzyszące jego ukazaniu się, opinie przyjaciół zawarte w cytowanych fragmentach korespondencji i niektóre zdania krytyków. Specyficzny charakter zbioru, nakreślony w tym ogólnym hasle, znajduje swoje uzupełnienie w hasłach szczegółowych, odnoszących się już do poszczególnych ballad. Jednocześnie interpretacja pojedynczych utworów z tego cyklu wymaga nawiązania do informacji zgromadzonych w hasle wywoławczym. Niezależnie od różnic zauważalnych w redakcji poszczególnych hasel, nadrzędna strategia autora wszędzie nosi znamiona pewnej gry z czytelnikiem, któremu nie podsuwa się gotowych rozwiązań, a jedynie wskazuje drogę do zrozumienia - nawet w tym najbardziej podstawowym stopniu - omawianych utworów.

Drugą grupę stanowią biogramy poetów, pisarzy i krytyków doby romantyzmu. Obok najważniejszych faktów i dat z życia wybranych autorów, niektóre hasła zawierają dodatkowo krótkie omówienia utworów uznanych za szczególnie istotne w ich twórczości (BRODZIŃSKI, GARCZYŃSKI, MOCHNACKI). Najobszerniejsze są oczywiście biogramy MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO, KRASIŃSKIEGO i NORWIDA. Ze zrozumiałych względów autor *Leksykonu* bardziej szczegółowo prezentuje koleje losu i etapy twórczości tych wybitnych poetów. Dodatkowo osobnym przedmiotem zainteresowania staje się PO-

EZJA MICKIEWICZA i POEZJA SŁOWACKIEGO. Te dwa hasła stanowią uzupełnienie zarówno pierwszej grupy, zawierającej omówienia utworów, jak i grupy drugiej poświęconej faktom biograficznym. Pozwalają one uchwycić charakter przemian twórczości dwóch wielkich romantycznych poetów i umiejscowić poszczególne dzieła w tym porządku.

Trzecią grupę stanowią pojęcia gatunkowe bądź historycznoliterackie (BALLADA, ODA, BAJRONIZM, ORIENTALIZM). Definicje gatunków sformułowane zostały w sposób jasny i przystępny. Autor ograniczył się do podania najistotniejszych wyznaczników formalnych, wskazania źródeł i najważniejszych realizacji w polskiej literaturze romantycznej. Ciekawym pomysłem jest zastąpienie definicji HYMNU omówieniem trzech konkretnych utworów reprezentujących ten gatunek (BOGARODZICO, DZIEWICO!... i SMUTNO MI, BOŻE!... Słowackiego oraz KRÓLOWO POLSKI, KRÓLOWO ANIOŁÓW!... Krasińskiego). Podobnie jest z hasłem SONET. W tym wypadku autor nie rezygnuje wprawdzie z definicji, ale w bezpośrednim sąsiedztwie zamieszcza dwa inne hasła SONETY KRYMSKIE, SONETY ODESKIE, omawiając bardziej szczegółowo ich specyficzny charakter. Pomysł ten może być przyczynkiem do rozważań o romantycznej genologii i specyficznym podejściu twórców tego okresu nawet do silnie skodyfikowanych i utrwalonych w tradycji gatunków. Większość hasel, które zaliczyć można do tej grupy, dotyczy jednak nie gatunków, ale pojęć i problemów istotnych dla historii literatury. W tej grupie omówione zostały postawy (WERTERYZM, OSJANIZM), prądy (KLASYCYZM, SENTYMENTALIZM), fenomeny historyczne i socjologiczne, które wywarły wielki wpływ na kształt polskiej literatury romantycznej (POWSTANIE LISTOPADOWE, WIELKA EMIGRACJA). Jak zawsze w takich wypadkach sam wybór hasel jest kwestią dyskusyjną, należy zatem podkreślić fakt, że dokonana przez autora selekcja uzasadniona dążnością do wyekspozowania najistotniejszych tendencji, których zrozumienie jest warunkiem właściwego odczytania poszczególnych tekstów - zarówno rodzimych, jak i obcych. I choć *Leksykon*, zgodnie ze swym tematem, skupia się na literaturze polskiej, odwołuje się jednak także do angielskiego, niemieckiego czy francuskiego materiału przykładowego.

Leksykon przeznaczony jest przede wszystkim dla uczniów, którzy posiadający elementarną wiedzę z zakresu literatury polskiego romantyzmu, pragną ją uporządkować i ugruntować. Może być też nieocenioną pomocą dla tych, którzy dopiero zaczynają poznawać literaturę tej fascynującej epoki i potrzebują przystępnego komentarza, który ułatwi im rozszyfrowanie znaczeń samodzielnie czytanych utworów.

MAGDALENA BAK

Radość drobnych odkryć

Marek Piechota, *Od tytułu do „Epilogu”. Studia i szkice o „Panu Tadeuszu”*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, s. 168.

Epopeja narodowa cieszy się nieślabnącym uznaniem i podziwem, o czym świadczy niezliczona ilość prac wielu pokoleń mickiewiczologów. W krąg ten wpisuje się najnowsza publikacja Marka Piechoty *Od tytułu do „Epilogu”. Studia i szkice o „Panu Tadeuszu”*, która jest owocem wieloletnich zainteresowań autora, stanowi zbiór rozbudowanych, w większości już publikowanych i wygłaszanych od 1993 r. szkiców i referatów; *żaden jednak nie jest mechanicznym powtórzeniem pierwodruku* - jak podkreśla sam autor. Książka nie powieła już sformułowanych ocen, lecz wnosi pierwiastki nowatorskie, dopowiada, wyrzyna ogłód *Pana Tadeusza* ze znanej perspektywy i rodzi pragnienie rewizji usankcjonowanych opinii.

Na wstępie lektury uwagę skupia dedykacja: *Mojemu Mistrzowi Zbigniewowi Jerzemu Nowakowi*, złożona wielkiemu literaturoznawcy, zmarłemu w 1993 r. Potwierdzeniem holdu jest umieszczony w zakończeniu aneks: *Profesor Zbigniew Jerzy Nowak - badacz, krytyk wydań i edytor „Pana Tadeusza”*, który tworzy swoistą ramę, jest przede wszystkim sumą dokonań historyka literatury, podkreśla wszechstronność jego zainteresowań.

Tytuł zbioru odwołuje się jednoznacznie do struktury poematu, zwłaszcza do części delimitacyjnych (rozgraniczonych, a w rzeczywistości tworzących spójną całość dzieła) - integralnych części, których ranga została wyraźnie wyeksponowana. Tekst składa się z siedmiu rozpraw ujętych w siedem rozdziałów. Zamieszczone artykuły cechuje różnorodność tematyczna. Są one poprzedzone krótkim *Wstępem*, wyjaśniającym przyjętą konstrukcję książki i układ zagadnień, tworzących drugą, istotną ramę publikacji.

Zgodnie z założeniami autora dwa pierwsze rozdziały: *Od „Szlachcica” do „Pana Tadeusza”*. *O wariantach tytułu arcyopematu Adama Mickiewicza i ich konsekwencjach interpretacyjnych* oraz *O „argumentach” albo też o „treściach” poprzedzających poszczególne księgi*. (Z dygresją o tytułach ksiąg), jak i ostatni: *Kłopoty z „Epilogiem”* „*Pana Tadeusza*”. *Pre-tekst, tekst i mit*, wzbogacone są rozważaniami tekstologicznymi. Przywołują konteksty interpretacyjne uzależnione od formy tytułu poematu lub związane są z kłopotliwym edytorsko *Epilogiem*.

Rozdział drugi (drukowany po raz pierwszy) skupia się na kształcie graficznym, zapisie „treści” umieszczonych pod tytułami ksiąg, „argumentów”, owych *streszczeń osnowy*, składających się z kilkunastu wyrażań, haśleł, pewnego rodzaju zapowiedzi czy też - według nazewnictwa autora - *tytułików* (czy to deminutivum nie umniejsza ich znaczenia?). Analizując

ujęcia poszczególnych „treści”, z wersji brulionowych i drukowanych, Piechota odsłania różnice interpretacyjne, np. w księdze II *Pani Telimeny anegdota petersburska* miała wcześniej traktować o *Petersburgu*, a w księdze V czytamy *Kłótnia*, podczas gdy w brudnopisie istniały *Kłótnia i bitwa*. Zainteresowanie zwracają ponadto wydobyte przez autora, a stworzone przez Mickiewicza kontrasty: obszerny tytuł dzieła a zwięzłe tytuły ksiąg, krótkie i zagadkowe hasła „treści” a ich szerokie opisy w księdze, wreszcie zapowiedzi lakoniczne (a rozbudowane w księdze), z drugiej zaś rozwinęte (dotyczące zaledwie jednego momentu).

Kolejny rozdział: *O imionach drugoplanowych postaci - święci protoplaści Gerwazego i Protazego* składa się z trzech części, z których dwie, *Saplicowie - Soplicowie i Święci bliźniacy*, łączy nade wszystko naukowa odkrywczosć. Pierwszy przytacza rodowody epopeicznego nazwiska, obalając jego związki z bohaterem pojawiającym się w gawędach H. Rzewuskiego, a drugi rzuca światło na problematykę obrosłą dotąd *jedyną hipotezą* i formułuje nowe poglądy na temat Mickiewiczowskiej inspiracji postaciami Gerwazego i Protazego.

Lektura trzech kolejnych rozdziałów wprowadza w świat retoryki. Chronologicznie czwarty: *„Teraz nie wiem, czy moda i nas starych zmienia, / Czy młodzież lepsza[...].”* *Starczy i młodzi w „Panu Tadeuszu”*. (Z uwzględnieniem kontekstu „*Ody do młodości*”), poza refleksjami nad mowami postaci, skupia się na starości rysowanej pozytywnie nie tylko w odniesieniu do ludzi, ale też do towarzyszącym im na co dzień przedmiotów. Piąty: *O wieku narratora „Pana Tadeusza”*. (*Poetyckie uroki nawiasowych wtrąceń*), podnosi nadal dyskutowaną kwestię postawy narratora, jak i dokonuje przeglądu budowy i znaczenia wypowiedzi ujętych w nawiasy. Osadzone w nowym kontekście słowa bohaterów są tematem kolejnego rozdziału: *Mowy postaci w świetle retoryki*.

Książka odsłania tematykę dotąd pomijaną lub niezauważaną, odświeża opinie dawno już ustabilizowane, niemal zamknięte w studiach czy monografiach (ich obecny kryzys także nie umknął uwadze autora). Płynnie prowadzone wywody, zobrazowane szeregiem cytatów z listów Mickiewicza czy różnych wersji jego dzieła, umożliwiły prowadzenie swoistych wycieczek w kierunku *Ody do młodości*, retoryki i tekstologii. Świadczą o niewątpliwiej erudycji autora. Bezspornie dowodzi jej także dokładna znajomość rękopisu, pierwodruku i późniejszych wydań. Piechota dostrzega bogactwo poematu, co pozwalała na świadome ograniczenia zakresu materiału źródłowego i szkicowość wywodów. Większość z nich traktuje jako wstęp do dalszych interpretacji i analiz, dotyczących np. *Epilogu*, „treści” ksiąg, kategorii dojrzałości ukazanej w utworze, znaczenia, budowy i artyzmu nawiasowych wtrąceń, zestawienia postaci z historią ich pierwowzorów.

W swych przeplatanych dygresjami rozważaniach stawia wiele naukowych pytań, dzieli się wątpliwościami, dlatego też podkreśla hipotetyczność stawianych sądów, nazywanych *na wyrost chyba, zbyt śmiała; świadomą prowokacją; wywołującą odruch zdziwienia bądź lekceważenia* itp. Taka postawa ujawnia się też w zdystansowanym odbiorze świadectw epoki, dotychczasowych dokonań literaturoznawców czy w prowadzonych polemikach. Krytyczne nastawienie wobec autorytetów nie jest jednak bezwiednym odrzucaniem ich ustaleń, ale prowadzi do odmiennych kontekstów, wyjaśnia drobne błędy, pominięcia czy uproszczenia. Jednocześnie częste są powołania na autorytatywne nazwiska historyków literatury. Nade wszystko z szacunkiem i wdzięcznością formułowane są zwroty do Z. J. Nowaka.

Naukowe studia idą w parze z wielką fascynacją *Panem Tadeuszem* i Mickiewiczem, emanują pragnieniem dociekań i ujawniają sekrety dzieła za pomocą ciekawego, żartobliwego i jakże zmetaforyzowanego języka. Autor stara się podtrzymywać kontakt z odbiorcą, rozbudowuje akapity szeregiem wtrąceń, odnośników. Na swój sposób zaraża chęcią rozstrzygania *filologicznych kłopotów*, odkrywania błędów poprzedników.

Od tytułu do „Epilogu” dowodzi nieprzemijającej pamięci o *Panu Tadeuszu*, upewnia o jego wielkim artyzmie. Odkrywając wartości niezmiennie płynące z utworu i pomagając zgłębiać jego drobiazgi, przekonuje, że obcujemy i doświadczamy arcydzieła. Stwarza perspektywę pozwalającą twórczo oddać się ponownej lekturze poematu.

MAGDALENA BILIŃSKA

„Moim credo jest żalność. Mojej głupiej żalności mogłoby starczyć na trzy głupie życia. Moich łez też“. (...) Najwięcej jest we mnie lęku“ (s. 67, 83). „(...) Paul, syn Józefa i Marty z domu Bugla, po mężu Trzosek, Paul były żołnierze, weteran dwóch wrogich armii, kapral Trzosek od Andersa, wcześniej gefrajter Trzosek. Tyle udręki, miotania się w rozpetanym żywiole sprzecznych uczuć, zagubienia w chaosie własnych konfliktów zaszczepionych z zewnątrz, tyle nocy we łzach i na końcu uczucie dotarcia do obcej przystani, która miała się stać swoją i ostatnią. Dalej już nic. To wszystko“ (s. 56).

Te dwa fragmenty niech pomogą wyobrazić sobie nastroj (tak: nastroj, bo ta książka zbudowana jest z nastroju, jak Marquez z nastroju zbudował Macondo w „Stu latach samotności“) panującego w tomie opowiadań Segeta. A równolegle w ich czytelniku. Jest to głównie przeogromny smutek z powodu utraty Śląska. Przy czym Śląsk jest tu czymś więcej niż tylko geograficznie pojętą KRAINĄ, nawet czymś więcej niż krajem lat dzieciennych, czymś jeszcze bardziej istotnym i serdecznym niż mityczny (-a) *Heimat*. Też jest tym, ale oprócz tego jest jeszcze czymś więcej: samą esencją radości życia, barwnikiem niezbywalnym, który nadaje człowieczemu losowi kolor, a może nawet metaforą sensu. Świat śląskich emigrantów w Niemczech jest takiego

Heimweh. Boleść utraty

Arkadiusz Seget: *Magda z Magdeburga i inne opowiadania*. „Opolska Oficyna Wydawnicza“, Opole 2000, s. 155.

Śląska bezpowrotnie pozbawiony. Stąd żalność jako *credo*.

Jest to książka mądra i bardzo smutna. Miałem wrażenie, że wiele jej stronnic powstało w chwilach jakiegś ogromnego psychicznego i duchowego depresji. Książka odzierająca z jakichkolwiek emigracyjnych złudzeń. Jednocześnie - i z większą jeszcze może siłą niż moc nagiego smutku - odczuwa się podczas lektury współczucie bijące potężnymi falami od tekstu („Opodał parku dzikich gołębi“!). To nie jest książka okrutna i - jako taka - bezlitosna. Przeciwnie, to jest książka litosna, opatrująca rany słowem. A to już niemało w literaturze przełomu tysiącleci.

Czy Seget ma rację? Ma ją tak, jak ma ją każdy artysta tworzący dzieło uczciwie, na swój własny, przecierpiany osobiście rachunek. Racja prawdy bólu jest bezdyskusyjna. Ale myślę, że stronic „Magdy z Magdeburga“ są tak splądrowane cierpieniem, że siłą rzeczy budują krzywe zwierciadło dla

ciemnej strony tajemnicy ludzkiego losu. Sam skowyt nie wyrazi wszystkiego... Mnie osobiście brakuje w tych opowiadaniach obecności perspektywy religijnej. Ani śladu pytań do Najwyższego, modlitw, „władzenia się z Bogiem“, krzyku Hioba. Pustka - tak jest i ma być, czy coś przeoczyłem? Przecież „Utrata Śląska“ (tego najgłębiej rozumianego) nie była w ostatnich stu pięćdziesięciu latach przeżywana w tak dojmującej „ciszy metafizycznej“, pod taką „nieobecność Boga“. To nie ci ludzie, nie ta ziemia, nie ta sprawa. Żalność, o której mówi książka sięga korzeniami ziemi, na której postawiono tysiące krzyży. I one mają coś do powiedzenia ludzkim bólom. Chrystus ma coś do powiedzenia człowiekowi na temat *Heimweh*, On, z którego ust na Golgocie wydobył się przerażający krzyk „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścić“ (Mt 27,46).

Seget urodził się w Lubomii. Grał w *fussbal* w Górniku Radlin, Unii Racibórz. Potem został dziennikarzem. Najpierw w Polsce, później w Niemczech. Żył tam i pracował trzydzieści lat. Opowiadania pisał do szuflady. Zginął w wypadku samochodowym 7 stycznia 1997 r. w 67. roku życia. Pisał inteligentnie i z iskrą znamionującą wielki talent. *Magda z Magdeburga i inne opowiadania* jest książką ważną. Dla Śląska, dla cierpiących, dla nas.

Ks. JERZY SZYMIK

Brak światel to późny debiut. Ryszard Stecura (rocznik 1965) od ponad dekady otrzymuje nagrody na konkursach poetyckich (zaczynał bodaj na „Nadchodzącym pokoleniu“ w 1987 roku), brał udział w pokoleniowych manifestacjach drugiej połowy lat 80., jednak aktywności tej nie przypieczętował dotąd publikacją książkową, nie zabiegał nawet o druki prasowe, pozostając praktycznie poetą nieznany, okazjonalnie odnotowywanym tylko w pracach krytycznoliterackich. Gdyby sugerować się datą ukazania pierwszej książki, można by przypisać Stecurę do formacji post-bruLionowej, wrzucić do jakiegoś wora nazwanego „nową poezją“. Jednak taka próba przyporządkowania musi już na pierwszy rzut oka wydawać się chybiona. I to nie tylko dlatego, że cała książka Stecury to mniej słów niż pół wiersza Barana albo Marcinkiewicza. Dlatego przede wszystkim, że Stecura prezentuje zupełnie inny sposób postrzegania rzeczywistości, on streszcza sytuacje w metaforze, a nie rozwija metaforę w nudnawe opisy podobnych do siebie sytuacji.

Stecura to poeta olśnienia, błysku flesza, chwili, zatrzymanego w kadrze słowa, drobnego zdarzenia podniesionego do rangi symbolu. Taki sposób twórczy stosuje autor dla wyrażenia wielu znaczeń - od impresji po definicję. Zarów-

Poetyckie wyzwanie

Ryszard Stecura: *Brak światel*. Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2001, s. 44.

no definicja: „pamięć / jest kulawym kundlem / lunatykiem / wężącym w nogawce snu“, jak i impresja: „nosiłem wiatr w kieszeni / klucz niezyciego domu / mój krok odmierzał kierunek // był w torbie zapach jabłek“ posiadają bardzo dużą „gęstość“ metafory.

Poetycki aforyzm, miniatura - mają swoje bogate tradycje w historii literatury. Ryszard Stecura, znając całe to kulturowe dziedzictwo rozpięte pomiędzy mistrzem japońskiego haiku Basho a rodzimym autorem *Myśli nieuczesanych* - Jerzym Stanisławem Leccem, tworzy miniatury we własnym indywidualnym stylu. Mamy tutaj oczywiście obowiązkową kondensację metafory, dbałość o powściągliwość słowa, ale uwagę zwraca przede wszystkim rzecz do tej pory rzadko w miniaturach obecna - ich niesłychana liryzacja. Stecura nie pisze chłodnych aforyzmów, nie uprawia w tym

względnie efekciarstwa, nie celuje w *bon motach*. Nie interesuje go jedynie przekazanie urywka prawdy o świecie - on chce, aby jego poezja nie tylko świat porządkowała i rozumiała, ale nade wszystko - aby pomogła go odczuć, otwierając - często nawet sentymentalne - konotacje zawarte w kilku powściągliwych słowach. Zwraca uwagę na wymiary kameralne, jakby studiował swoją własną sytuację egzystencjalną: „w tym mroku / płomień świecy / jest wątpliwą latarnią / gdybym ją zgasił / byłbym sam na świecie“. Nawet rzeczy wielkie, zachaczające o uniwर्सum, poeta ogląda z perspektywy zwyczajnych epizodów i zdarzeń. Nie pociąga go kosmos, raczej cząstki świata, bo w nich odbijają jego prawa i sensy.

Są sytuacje, w których późny debiut staje się wyzwaniem dla paradygmatów epoki. „Nowa poezja polska“ nie jest jeszcze epoką, raczej czasem wypełnionym zgiełkiem naśladownictwa. I w tym kontekście *Brak światel* jest swoistym wyzwaniem - pokazuje, że można inaczej, po swojemu, niezależnie, nie oglądając się na modę i maniery. Chciałbym być złym prorokiem, ale właśnie dlatego książka Stecury może pozostać niezauważona przez krytycznoliterackich wyznawców królującej dziś manieri.

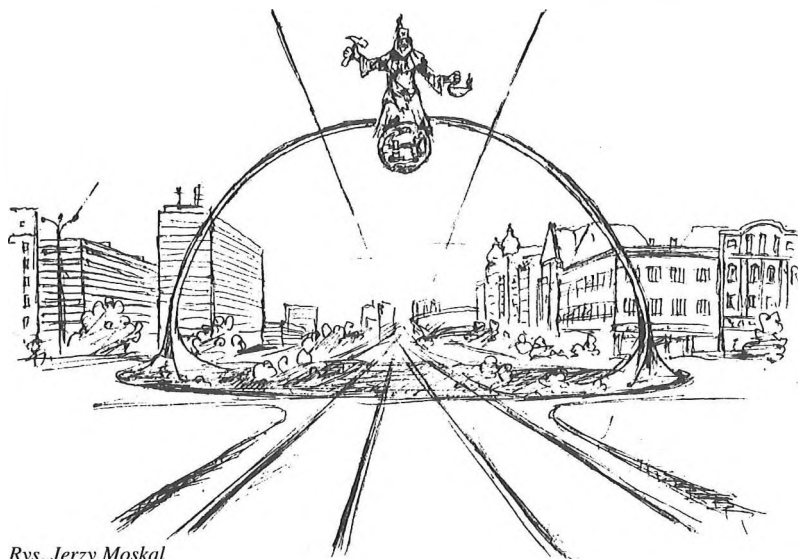
MARCIN HAŁAŚ

Notatki zdążyły już żółknąć, mijają w końcu cztery lata. „Tu, widzi pan, byłby herb. Ten z 1816 roku, odcisnięty na pieczęci, którą dałem na okładkę mojego albumu o Katowicach - tłumaczy, tak jakby szkic powstał wczoraj, Jerzy Moskal. - Herb byłby umieszczony pośrodku całej konstrukcji, na wysokości mniej więcej gmachu Teatru im. Wyspiańskiego. Kiedy do tego miejsca dochodzi skarbnik, kurant wybija równą godzinę”.

Zaczął się od listu do ówczesnego prezydenta Katowic, w którym dyrektor Centrum Scenografii Polskiej przypominał, że w roku 1598, w księdze parafialnej kościoła w Bogucicach, pojawił się pierwszy zapis nazwy Katowice: „Pozwolę sobie przypomnieć, że w roku 1598, w księdze parafialnej kościoła w Bogucicach, pojawił się pierwszy zapis nazwy Katowice (...). Zaakcentowanie jej cofa w głąb historii zdarzenie na tym skrawku ziemi w czasy, kiedy zamieszkiwali ją zagrodnicy o swojsko brzmiących nazwiskach jak Gajda, Martinek, Krawiec - skupieni wokół folwarku Kuźnicy Boguckiej, która, gromadząc również kowali, dymarzy i węgielników, dała początek Katowicom. Właśnie Kuźnica stwarza okazję jeszcze odleglejszą, jako że pierwsza udokumentowana wzmianka o niej pochodzi z dokumentu kurii biskupiej w Krakowie z 1397 roku. Jestem przekonany, że pojawienie się w obchodach 400-letniej rocznicy pojawienia się nazwy Katowice i 600-lecia pojawienia się w dokumencie nazwy Kuźnicy Boguckiej, która swym starożytnym młotem dała początek wsi grubo przed powstaniem miasta, jest warte zastanowienia. Czas to odległe, ale również dzisiaj wpływające na współczesność naszego miasta. W uczczeniu tych rocznic upatruję możliwość szerokiego dotarcia do katowickiej społeczności. Żywię przekonanie, że w dyskusji o obliczu katowickiego rynku powinny te fakty znaleźć odzwierciedlenie. Gdyby moje słowa wzbudziły w Panu podobne refleksje, służę swoimi koncepcjami i przemyśleniami”.

Pismo pozostało bez odpowiedzi. „A chodziło o architekturę katowickiego rynku - mówi dziś Jerzy Moskal. - Rynek nie kojarzy z ratuszem, z jakąś wyraźną, najczęściej hi-

BLOC -NOTES



Rys. Jerzy Moskal

storyczną dominantą. W Katowicach, mieście młodych, niczego takiego nie mamy. To nie jest właściwie rynek, to tylko okrągłe rondo, przez które jeżdżą tramwaje... Hejnał krakowski jest powodem do tańców lajkonika, w Pradze co godzinę wychodzą figury apostołów, bije zegar. Pomyślałem, że Katowice też mogą mieć w swoim rynku wyrazisty akcent plastyczny, wystarczy tylko sięgnąć do historii. Współczesnemu miastu przydaliibyśmy należytą mu tradycję”.

Instalację łatwo sobie wyobrazić, jeśli stanąć plecami do budynku w rynku i spojrzeć w Al. Korfantego, zakończoną w oddali Spodkiem. Gdyby pomiędzy „Skarbnikiem” a Teatrem Wyspiańskiego spać owalną konstrukcją pusty plac, na którym krzyżują się tramwajowe tory, perspektywa nabrałaby charakteru porządkującego rynek. Konstrukcja musiałaby być spora, mniej więcej do wysokości teatru, ale lekka, ażurowa. No i zaopatrzona w wyrazisty motyw, najlepiej nawiązujący do historii.

Dyrektor Moskal, z zapalem, szkicuje na nowo. „Szyrna, rama spinająca

rondo na rynku. Ooo, tak... I teraz z podziemi, po tym właśnie łuku, wyjeżdża właśnie w górę Skarbnik, trzymający w ręku historyczny herb - najpierw wsi, a potem miasta Katowic. Wjeżdża na sam szczyt, wybija godzinę, i z powrotem schodzi do podziemi po drugiej stronie konstrukcji. Proszę sobie wyobrazić, jak to wygląda, kiedy się stanie na rynku i popatrzy w kierunku Spodka. Jak ta perspektywa jest złapana!”.

Jeszcze dwie, trzy szybkie kreski i... „od razu tworzy się centralny akcent, proszę zobaczyć, godny rynku z prawdziwego zdarzenia. Nie zamknięcie - tego nie można zamknąć, to przecież wielkomiejska aleja. Przeciwnie, jest otwarcie perspektywy, jest oddech! Oraz oczywiście

plastyczny i żywy akcent historyczny. Katowicki kurant. Związany z tą ziemią. Niepowtarzalny. I historycznie uzasadniony. Bo w innych miastach wszystko się działo na powierzchni. A tu, w Katowicach, dobrobyt wydobywano spod ziemi”.

Moskalowy Skarbnik trafił w 2000 roku na świeżo reaktywowane Targi Roździeńskie.

Stał się centralną postacią widowiska plenerowego, zrealizowanego na placu przed Teatrem Śląskim. Wielka, animowana kukła była przewodnikiem po dziejach Katowic, z których widzowie dowiedzieli się o polskich zagrodnikach, o Kuźnicy Boguckiej, o prawdziwych korzeniach miasta sięgających grubo dalej niż nadanie praw miejskich przez pruski rząd. Skarbnik zszedł ze sceny w huku braw publiczności. Zszedł tam, skąd wyszedł: pod ziemię.

„Ile razy stoję pod budynkiem, gdzie była redakcja „Poglądów”, albo kiedy wsiałam do tramwaju na rynku, koło kiosku, w którym nie uświadczysz żadnych pamiątek katowickich, widzę w perspektywie Korfantego tę moją konstrukcję - mówi Moskal. - Wysoki owal, jak zaproszenie dla ludzi, żeby co godzina, kiedy bije zegar, podnieśli głowy i przyjrzeni się swojej tradycji... Już pewnie zawsze będę tak w tę stronę patrzył”.

- Skąd w Pani pracach tyle brył betonowych, szarych, zimnych, nieprzystępnych i nieprzyjaznych człowiekowi. Czy można polubić beton?

- Dla mnie jest to rodzaj struktur, które układają się w pewną całość i są ładne. W połączeniu ze światłem dają wrażenie uspokojenia, ciszy, absolutnego spokoju.

- Czy te ostre kąty, linie, symetrie, ład geometryczny i oszczędność w wyrażaniu emocji tkwią w pani wnętrzu? Jak to przystaje do pani osobowości? Może to pomysł na kamuflaż siebie samej?

- To tkwi we mnie. Wynika to być może z tego, że jestem dobrym organizatorem, wiem jak coś zrobić, żeby miało sens. Na przykład moja praca pedagogiczna - poukładanie zajęć, organizacja wydziału grafiki na uczelni. Zauważyłam, że wszystko zaczynam od zbudowania konstrukcji, od punktu zaczepienia. Moje wypowiedzi są konkretne i syntetyczne - nie potrafię pisać w sposób ozdobny, używając zbyt wielu przymiotników.

- Odzwierciedleniem tego jest też tytuł ostatniej wystawy pani prac w Galerii Sztuki Współczesnej katowickiego BWA: po prostu „Ewa Zawadzka” W kącie plakatu umieszczono tytuł „Opowieści pejzażu II”.

- To ma być tak, jakby pejzaż opowiadał sam o sobie, podsuwał układy, rytmy, a ja tylko to opisuję. Ta wystawa zgromadziła i moją grafikę, i rysunek, i pierwsze prace malarskie, nietypowe układy prac w połączeniu z elementami scenograficznymi. Obrazy, które zdecydowałam się tu pokazać, jeszcze nie są tym, czym w ostateczności mają być, ale są ważnym dopełnieniem tej wystawy.

- Obrazy są czymś nowym w pani twórczości.

- Z dużym trudem odchodziłam od technologii, którą tak dobrze znam, czyli od warsztatu grafiki. Pierwsze prace malarskie budowałam farbą offsetową, drukarską. Potem odkryłam, że farby olejne są jednak lepsze. Pięć, sześć pierwszych obrazów nie nadawało się do pokazania, chociaż niby wszystko było w nich w porządku, lecz powielaly to, co robiłam w grafice. Dopiero kolejne próby przyniosły efekt. Chciałabym osiągnąć jeszcze więcej w samej strukturze powierzchni światła. Musiałam pokazać te obrazy, aby je zobaczyć. W dużej przestrzeni, w pracowni wyglądają inaczej; inaczej się je ogląda. Teraz wiem, z czego mogę być zadowolona, a co powtórzę, jak uniknąć niepotrzebnego połysku, jak pracować nad fakturą.

- Co pozwala podjąć decyzję o gotowości pracy?

- Składa się na to wiele elementów. Myślę o harmonii i rytmie, jednak wiele zmieniam. W pewnym momencie grafika dochodzi do punktu, kiedy mogę powiedzieć, że zaistniała swoim życiem, że jest.



Ewa Zawadzka

Foto: Zbigniew Sawicz

To tkwi we mnie

Rozmowa z profesor
EWĄ ZAWADZKĄ,
artystą grafikiem

- W pani pracach światło jest jedynym śladem życia, śladem obecności człowieka i natury - tak mi się wydaje. Nie jest to z pewnością wyrafinowany zabieg „czysto techniczny” i estetyczny.

- Światło to jest uroda, nadzieja, wiara - wszystko co dobre. Według podziału dobro - światło, ciemność - zło.

- Co o grafice mówi pani swoim studentom. Czym ona jest - w sensie technicznym i estetycznym?

- Dobrze, że jestem już profesorem, bo od spraw technicznych i technologicznych a także objaśniania warsztatu mam asystentów. Po tylu latach pracy na uczelni mogę powiedzieć, że to jest coś więcej aniżeli tylko uczenie. Pracując w niewielkich kiluosobowych grupach, poznajemy się, rozmawiamy, opowiadamy różne dzieje. Ja chcę im pokazać urodę twórczości w chwili, kiedy zostajemy sami ze sobą, kiedy pokonujemy siebie. Bo nie chodzi tylko o warsztat - chodzi o to, by robili coś naprawdę, by to ich cieszyło, by robili to w zgodzie z sobą. Nie wiem co będą robić w przyszłości - być może czas spędzony na uczelni, w pracowni - poświęcony walce z trudnym warsztatem graficznym, był czasem prawdziwie twórczym, kiedy robili coś z sercem. A może prawdziwie kreatywne życie mają dopiero przed sobą...

- Pani mistrzem był Andrzej Pietsch - to on nauczył panią niezależności twórczej?

- Kiedy przyszedłam na Śląsk, wszyscy robili tzw. grafikę śląską, a ja pracowałam nad „Rocznikiem statystycznym”. To było duże zaskoczenie. Praca wyglądała tak: projekt zasadniczy, a z boku pociągnięcia pędzla - to okazało się najciekawsze. Połączyłam to ze skalą, jak na termometrze, chcąc pokazać, że nie wszystko w naszym życiu jest mierzalne, nie wszystko można zaplanować. Nie wiedziałam jak tę pracę przyjmie profesor. Ale był bardzo otwartym pedagogiem. Andrzej Pietsch jest bardzo dobrym pedagogiem, otwartym na wiele różnych obszarów poszukiwań twórczych. Zawsze wyraźnie i przyjaźnie przygląda się nowym nietypowym projektom swoich studentów. Drugą taką osobą była Halina Chrostowska - profesor akademii warszawskiej, znakomity grafik. Zawdzięczam jej bardzo wiele, przede wszystkim rodzaj dystansu do własnej twórczości.

- Nie chciała pani pójść w kierunku czystej geometrii?

- To zbyt sterylne. W moich pracach panuje pozorny chłód, geometria i rytm, ale kiedy im się przyjrzeć, to nie są tak mechanicznie doskonałe, identyczne. Każdy egzemplarz jest inny. Żyje własnym niepowtarzalnym życiem.

- Wymyśliła pani własną technikę graficzną.

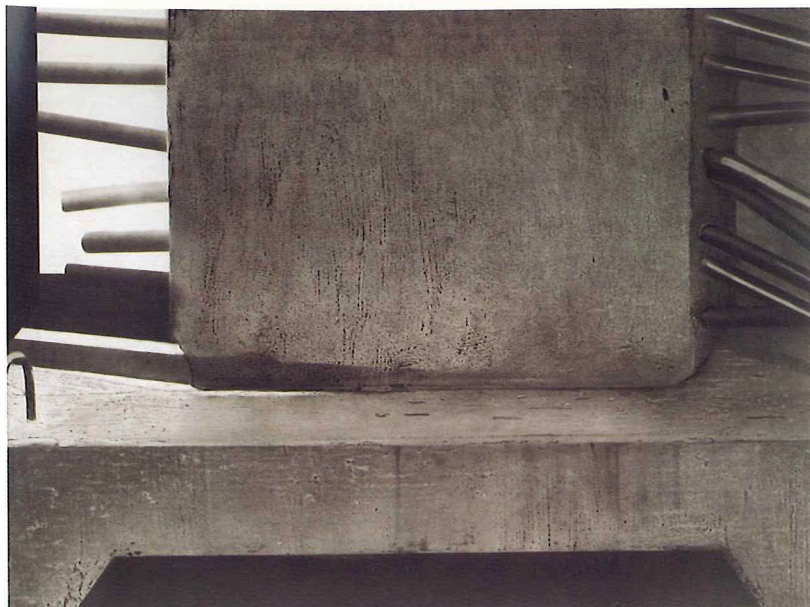
- Tak. Lubię druk wypukły: matrycę, wałek do nakładania farby, prasę. Moje matryce buduję z piasku, kleju, farb syntetycznych. Utrwalone farby stają się sztywne i mocne. Przez tyle lat nauczyłam się już precyzyjnego panowania nad tą moją techniką. Choć uważam, iż jest to katorżnicza robota.

Rozmawiała:

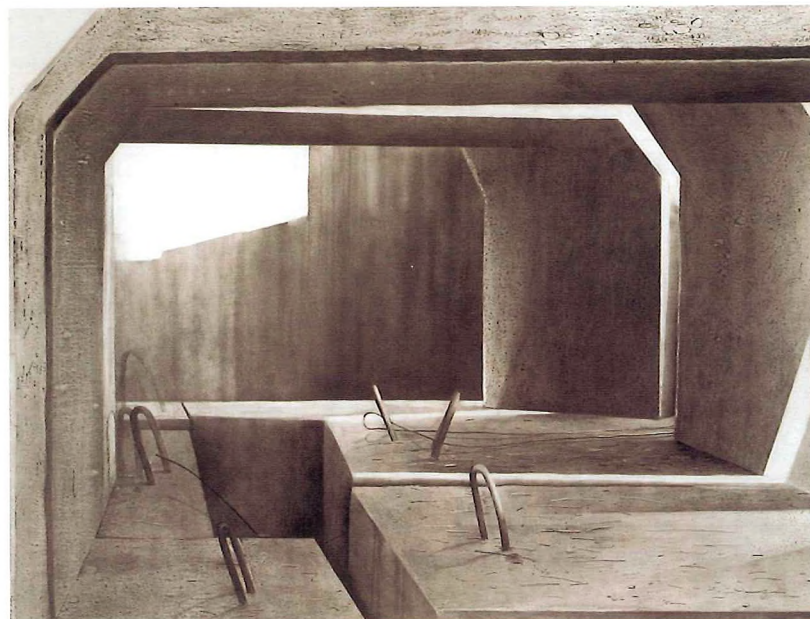
WIESŁAWA KONOPELSKA

Prof. EWA ZAWADZKA - absolwentka Wydziału Grafiki w Katowicach krakowskiej ASP. Dyplom w 1976 r. w Pracowni Grafiki Warsztatowej u prof. Andrzeja Pietscha. W 1986 r. podjęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie na Wydziale Artystycznym. Od 1995 r. prowadzi pracownię grafiki w Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie. W 1999 r. uzyskała tytuł profesora zwyczajnego. Członek Rady Krajowej i Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego triennale Grafiki w Krakowie (1994-2000) oraz komisarz Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach (1994-2000) oraz XXI Orszągos Grafikai Biennale w Miskolcu (2002). Uprawia grafikę i rysunek.

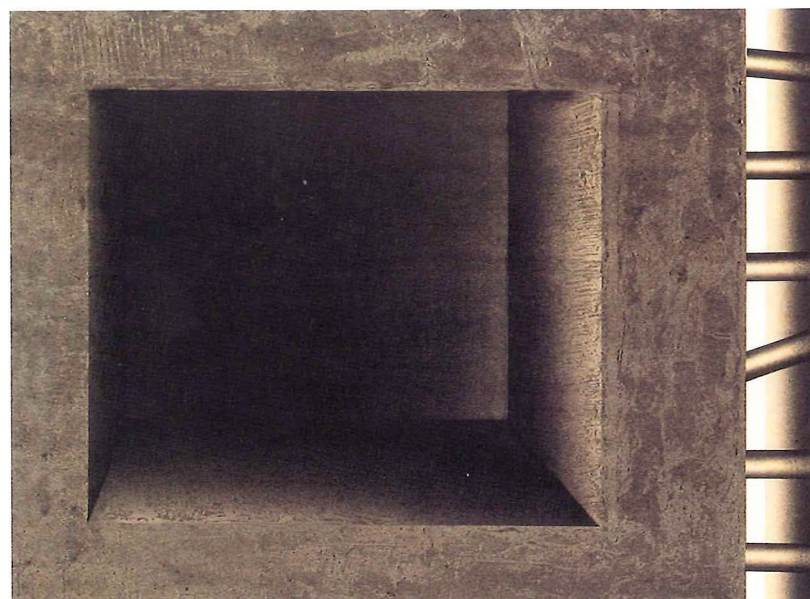
Główne cykle graficzne i rysunkowe: „Rocznik statystyczny”, „Odległość rzeczywista”, „Zrób to sam”, „Geometria elementarna”, „Opakowanie zastępcze”, „Interwencje”, „Kalendarz”, „Zapis”, „Pęknięcia”, „Oblicze”, „Geometria przestrzeni”, „Meta-metria miejska”, „Betony”, „Czarne pejzaże”, „Opowieści pejzażu”.



Rysunek z cyklu „Czarne pejzaże LXV”, ołówek, 1998

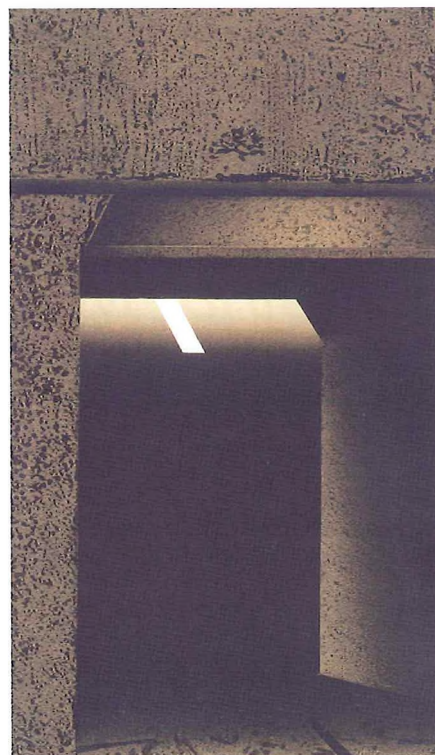


Rysunek z cyklu „Czarne pejzaże XXXIX”, ołówek, 1998



Grafika (układ otwarty), z cyklu „Opowieści pejzażu”, druk wypukły, 2001

EWA ZAWADZKA



Grafika z cyklu „Czarne pejzaże”, druk wypukły, 1996

W niedzielę, 28 kwietnia o godz. 12.00 po raz pierwszy nad miastem rozległ się **hejnał miasta Katowice**. Jego autorem jest Adam Biernacki - młody muzyk - amator z Bytomia. Hejnał wykonany został przez trębacza ze Straży Miejskiej z balkonu odrestaurowanej secesyjnej kamienicy znajdującej się u zbiegu ulic Poczтовой i Młyńskiej.

Przez cztery kolejne niedziele hejnał grany był na żywo, a później odtwarzany będzie kilka razy w ciągu dnia: o godzinie 9, 12, 15 i 18 z urządzenia mechanicznego. Hejnał - podobnie jak niegdyś słynne kuranty, wybijające śląską melodię - będzie kolejnym znakiem identyfikacyjnym dla miasta. Katowicki hejnał jest z pewnością najmłodszym hejnałem miejskim w Polsce. Prezentowany był niedawno na krakowskim rynku, podczas imprezy zorganizowanej przez Związek Miast Polskich, któremu przewodniczył prezydent Katowic Piotr Uszok.

Decyzję o tym, która melodia spośród nadesłanych na „Konkurs na hejnał miasta Katowice” okaże się tą najwłaściwszą, podjęło kompetentne jury konkursu, w którym zasiadali znakomici kompozytorzy związani z katowicką Akademią Muzyczną: prof. Eugeniusz Knapik (przewodniczący), prof. Edward, prof. Aleksander Lasoń, prof. Józef Świder, prof. Julian Gembalski.

Melodia hejnału zaproponowana przez Adama Biernackiego jest wariacją na temat prostej melodii ludowej pt. „Ej, nie masz to”.



Wkrótce trębacz zastąpi zestaw dzwonów Carillon, które będą wygrywać melodię.

(wk)



Za chwilę prezydent Piotr Uszok ogłosi, że miasto Katowice ma swój hejnał.



Narożnik kamienicy u zbiegu Poczтовой i Młyńskiej w całej okazałości.

Hejnał Miasta Katowice

Adam Biernacki



Katowicki rynek z gołębiami i kurantami.

Wielka postać literatury polskiej. Autor książek reportażowych, dokumentalnych, publicystycznych i wspomnieniowych. Minimum fikcji - a jeśli już, to podane jak uprawdopodobniony autentyk. Twórca niepowtarzalnego typu opowieści reportażowej - czerpiącej soki z gatunku gawędy szlacheckiej, charakteryzującej się obrazowością, jędrnym językiem, umiejętnością gry na emocjach i podświadomości odbiorcy, nasyconej treściami publicystycznymi.

Najsłynniejsze jego cykle reportażowe i rozgłosne książki będą później - za kilka lat. Teraz jest rok 1932. Od siedmiu lat Wańkowicz większość swego czasu poświęca założonemu przez siebie w Warszawie wydawnictwu „Rój”, które wyrasta na jedną z najważniejszych oficyn. I oto 18 lutego 1932 roku pisze w Katowicach reportaż „Strajk! Strajk!”. Znajdujemy go w pierwszym tomie obszernego zbioru „Anoda i katoda”, opublikowanego przez Państwowy Instytut Wydawniczy w roku 1981. Test ten, pisany prawdopodobnie dla któregoś z pism warszawskich (wydawca nie podał miejsca druku) jest pierwszym śladem zainteresowania Wańkowicza sprawami Górnego Śląska. Autor zajął się groźbą strajku protestacyjnego górników za Brynicą, spowodowanego drastycznym spadkiem zapotrzebowania na węgiel i spodziewanymi redukcjami górników.

A w przemyśle węglowym dzieje się bardzo źle. Kolejny rok wielkiego kryzysu gospodarczego. W rejonie przemysłowym województwa śląskiego 100 tysięcy bezrobotnych. Techniką krótkich wypowiedzi włożonych w usta pasażerów katowickiego tramwaju Wańkowicz jak szkieletowymi kreсками rysuje obraz tragicznie beznadziejnej sytuacji: nędzy, ludzi bez pracy ratujących się nielegalnym i niebezpiecznym biedaszybikarstwem, niemości związków zawodowych. Migawki obrazek gdzieś z pogranicza Szopienic, zaobserwowany z okna tramwaju i utrwalony w takim oto zapisie: „Tu hałdy czarne i udręczona Rawa - ściek fabryk. Czyż pamięta, że była rzeką; może rosły nad nią kwiaty, śpiewały ptaki i pluskały się w niej ryby? - Niech pan patrzy.

Wzrok mój idzie w kierunku, który wskazuje ręka konduktora.

Jedziemy przez zrudziałe liszaje terenów Gischego. Na skraju bure postaci pluskwia się w burej ziemi.

Biedaszyby.

Bezroboczy kopią węgiel od wierzchu i roznoszą workami. Improwizowane sztolnie dochodzą do trzydziestu metrów w głąb.”

Z tegoż roku pochodzi „W Górkach Wielkich” - relacja z odwiedzin w domu Zofii Kossak - i zapewne jeszcze inne korespondencje ze Śląska, których trzeba by szukać w gazetach warszawskich.



Glossy górnosławskie

Śląski Dawid

W następnych latach Wańkowicz rusza w podróż po Polsce. Ich owocem to m.in. słynny cykl „Siejemy znowu w Polsce B” (1936-37), książki „Na tropach Smętka” (1936), „COP - ognisko siły” (1938). Rodzi się koncepcja książki, która podsumuje polskie osiągnięcia gospodarcze dwudziestu lat niepodległości. To będzie „Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym”, wydana z początkiem roku 1939. Pisał w przedmowie o celu tego przedsięwzięcia: „Pokazać Polsce jej właściwe oblicze, pokazać jak w niej ludzie pracują, oprowadzić Polaków po ich własnej ojczyźnie, w której są cudzoziemcami - to jest nauczyć nas szacunku do nas samych, ukroćć plotkę, zwiększyć siły dośrodkowe, nauczyć właściwego wymiaru spraw, które się pełnią, rozproszyć mgłę nieświadomości, w której obłutkuje się ludzie między hurrapatriotyzmem a kompleksem niższości.”

Jest w tym wielkim tomie rozdział „Polski Dawid i angielski Goliat”, który pierwotnie był szkicem publicystyczno-reportażowym drukowanym w grudniu 1938 roku w dwu numerach katowickiej „Polski Zachodniej”. Część publicystyczna to opis ogromnego, i uwieńczonego sukcesem, wysiłku jaki podjęły władze i polski przemysł węglowy, by ułokować się na rynku europejskim, opuszczonym na pewien czas przez największego producenta węgla - Anglię. Część druga to reporterski zapis przeżyć i obserwacji autora, który wraz z córką zwiedził podziemia kopalni w Giszowcu.

Owocem tego samego wyjazdu na Śląsk był szkic felietonowy „Jastrzębia - Jaworze” o kwitnących wtedy śląskich uzdrowiskach Jastrzębie Zdrój i Jaworze koło Bielska. W Jaworzu był zresztą wtedy nie pierwszy już raz, a refleksy tych pobytów znajdziemy w książce wspo-

mnieniowej „Ziele na kraterze” (1951).

Wróćmy jednak do „Sztafety”. Księgę tę kończy przecież obszerna, ponad osiemdziesięciopięćdziesiąt stronowa część o tytule „Fanfara zaolziańska”. To zabarwiona emocjami relacja z tych dni na przełomie września i października 1938 roku, kiedy wojska polskie wkraczały do Czeskiego Cieszyna i zajmowały Zaolzie. Autor nie ustrzegł się epidemii urzędowego entuzjazmu, czego później żałował. Przyznajmy jednak, że w partiach dotyczących historii najnowszej Śląska Cieszyńskiego widać, że przygotowywał się starannie do tematu i że wiele fragmentów przydatnych być może dla dziejopisa z naszych czasów. Fragment Przyszłej „Fanfary”, zawierający bezpośrednią relację z wydarzeń, których był świadkiem w Cieszynie, drukował jeszcze w październiku w tygodniku politycznym „Naród i Państwo”, którego był stałym współpracownikiem, a całość w ośmiu odcinkach - na przełomie grudnia 1938 i stycznia 1939 w „Polsce Zachodniej”.

Kłęska września zburzyła też dotychczasowy świat Melchiora Wańkowicza. Przedostał się do Rumunii. Tam odczuł gorzkość odrzucenia. Widziano w nim propagandystę ekipy sanacyjnej, która doprowadziła kraj do klęski. Starał się mimo wszystko robić coś pożytecznego. Instynkt podpowiadał mu, że trzeba jakoś zareagować wobec triumfującej propagandy niemieckiej, że trzeba podnieść na duchu rodaków. Spotykał się więc z uchodźcami i żołnierzami internowanymi w Rumunii. Zbierał relacje o walkach w kampanii wrześniowej. Z nich konstruował książkę, która jego zdaniem powinna się ukazać we Francji i zaświadczyć przed naszym głównym sojusznikiem i opinią świata, że nie tchórzostwo Polaków było przyczyną porażki. Mieczysław Kurzyna („O Melchiorze Wańkowiczu nie wszystko”, 1975) podaje, że wydanie zablokował rząd emigracyjny. Gotowa jeszcze przed końcem 1939 roku, ukazała się dopiero w roku 1944 w Palestynie pod tytułem „Wrześniowym szlakiem”.

W rozdziałach wstępnych autor obszernie opisał sytuację na Śląsku. Mowa tu więc o kilkuletnich niemieckich przygotowaniach, o antypolskiej działalności mniejszości, o różnorakiej propagandzie, szpiegostwie i ściąganiu niepewnych narodowo ludzi za granicę z myślą o użyciu ich w oddziałach dywersyjnych. W rozdziale dotyczącym samoobrony obywatelskiej górnosławskich osad nadgranicznych najwięcej miejsca zajmuje relacja o obronie Michałkowic, kierowanej przez naczelnika gminy, kiedyś dowódcę powstańczego - Walentego Fojkisa przed kilkusetosobową bojówką niemiecką. Tu też pojawiają się wiadomości - cząstkowe, wyrwykowe, w wersjach przyniesionych przez uchodźców o mordach i represjach niemieckich wobec obrońców Śląska.

Za to jedno z pierwszych świadectw tragizmu śląskiego losu pokłoniśmy się duchowi Wańkowicza - w roku 110. rocznicy Jego urodzin.

WOJCIECH JANOTA

Złote Maski w dobrych rękach

27 marca, podczas Międzynarodowego Dnia Teatru, wręczone zostały ludziom teatru doroczne laury - Złote Maski. Są to artystyczne nagrody marszałka województwa śląskiego, przyznawane przez kapitułę, którą tworzą recenzenci gazet i pism regionalnych, w tym także miesięcznika „Śląsk”. Gala, podczas której wręczano te najwyższe regionalne trofea teatralne, odbyła się w Teatrze w Białym Białej.

Złote Maski przyznawane są już od kilkudziesięciu lat i stanowią prestiżowe wyróżnienie dla twórców z naszego regionu.

W tym roku grono przyznających laury posłużyło się zasadami przyznawania Oskarów: najpierw nominacje, a potem oficjalni laureaci, którzy zostali wyłonieni drogą tajnego głosowania.

W tym roku za spektakl roku uznano „Operetkę” w reżiserii Teatru Zagłębia w Sosnowcu, za najlepszą główną rolę męską - Adama Kopciuszewskiego w roli księcia Himalaj w „Operetce”, z kolei najlepszą główną rolę kobiecą okazała się rola tytułowa w spektaklu zrealizowanym przez Teatr Rozrywki - „Madame Therese” w wykonaniu Elżbiety Okupskiej. Za najlepszego reżysera uznano Laco Adamika - twórcę „Tannhäusera” Ryszarda Wagnera w Operze Śląskiej w Bytomiu.

Złota Maską „dla najlepszego kompozytora” przypadła Mateuszowi Pospieszalskiemu za muzykę do spektaklu „W 80 dni dookoła świata po stu latach” Teatru Rozrywki w Chorzowie. Najlepszym choreografem okazał się Henryk Konwiński, który Złotą Maskę otrzymał za „Córke źle strzeżoną” wystawioną przez Operę Śląską i „Operetkę” w teatrze Zagłębia.

„Scenograficzna” Złota Maską przypadła Elżbiecie Terlikow za scenografię do spektaklu „W 80 dni dookoła świata po stu latach”.

WIESŁAWA
KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

„Hanyisy” rozdane



Nagrodę „Hanyisa” odbiera Tadeusz Kijonka.

Już po raz siódmy kabaret „Rak” rozdał doroczne nagrody - „Hanyisy” przyznawane tym hanysom i gorolom, którzy troszczą się o kulturę i tradycję Śląska oraz o przyszłość tego regionu.

Laureatami tegorocznej edycji „Hanyisów” zostali: Tadeusz Kijonka - redaktor naczelny naszego miesięcznika, poeta, publicysta, twórca Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, Otylia Jędrzejczak - mistrzyni Polski i Europy w pływaniu, Krystyna Cyrulik - przewodnik po zabytkach, Zespół „Universe”, tygodnik społeczno-kulturalny „Wiadomości Rudzkie”, „Estrada Śląska” za popularyzowanie kultury oraz Zbigniew Górny, który jak podano w uzasadnieniu „rozsławił Polskę, także śląską piosenką”.

Filharmonia Śląska w Hiszpanii

Do udziału w koncertach wykonywanych podczas „Roku Polski w Hiszpanii” została zaproszona Filharmonia Śląska. Odbywały się one w ramach programu „Korzenie”, kierowanego przez Piotra Gieburowskiego z ramienia SOWA-FILM, z siedzibą w Poznaniu. 18 kwietnia 2002 r. śląscy filharmonicy koncertowali w Barce-

lonie w El Palau de la Musica Catalana, a dwa dni później w Madrycie, wykonując utwory Henryka Mikołaja Góreckiego („Trzy utwory w dawnym stylu”, Koncert Fortepianowy), Karola Szymanowskiego (II Koncert skrzypcowy oraz „Taniec góralski” z opery „Harnasie”) i Wojciecha Kilara („Krzesany” i „Orawa”). Z orkiestrą pod batutą jej szefa Mirosława Jacka Błaszczyka wystąpili Anna Górecka (fortepian) i Piotr Pławner (skrzypce).

W ramach programu „Korzenie” Polskę reprezentowali ponadto: kapela góralskie „Zakopiany” i „Wałasi”. Dramaturgia programu „Korzenie” prowadzona była dwoma tropami: dominującym motywem był ekspresjonizm doboru poszczególnych elementów programu: podjęcie inspiracji folklorem i muzyką staropolską w kameralnym utworze Góreckiego, jej rozwinięcie w „klasyczną” góralszczyznę Szymanowskiego i Kilara w jej pełnym symfonicznym brzmieniu i dojście do minimalizmu „Orawy”. Program kończył śpiewany a capella białymi głosami „Redyk”. W doborze melodii kierowano się tradycyjnym brzmieniem z wykorzystaniem pełnego instrumentarium.

Program tak skonstruowany służył również promocji województwa śląskiego. Koncert w dniu 18 kwietnia połączony był z otwarciem Targów Turystyki, których Polska była gościem honorowym.

„Dziennik podróży” Lecha

Andrzej Jerzy Lech nie tak dano temu został przyjęty w poczet członków Związku Polskich Artystów Fotografików. Wystawę jego fotografii można było obejrzeć w Galerii „Pustej” Górnośląskiego Centrum Kultury.

Urodził się we Wrocławiu, studiował fotografię artystyczną w Szkole Sztuk Pięknych w Ostrowie. W 1983 r. był jednym z twórców programu znanego pod nazwą „Fotografia elementarna”. Do 1987 r., współpracował z Galerią Foto-Medium-Art. we Wrocławiu. W tym samym roku uczestniczył we Frankfurcie w prestiżowej wystawie pn. „Młoda europejska fotografia”.

Andrzej Jerzy Lech mieszka od wielu lat w Stanach Zjednoczonych. W tym czasie uczestniczył m.in. w przygotowanej przez Collins Gallery w Glasgow, w kooperacji z Muzeum Sztuki w Łodzi, wystawie „Pol-

Jednym zdaniem

■ Nowym prezesem Związku Artystów Scen Polskich został Olgierd Łukasiewicz, aktor wywodzący się z Katowic i związany z nim przez kilkanaście lat swego życia.

■ W Muzeum Historii Katowic odbyło się spotkanie z historykiem, prof. Janem Ziolkim, który mówił na temat: „Konstytucja 3 Maja a kościół katolicki w 1791 roku”.

■ „Following the rain” to tytuł wystawy fotografii Tomasza Gudzwatego w Galerii Pałacu Młodzieży w Katowicach.

■ Po wystawie grafik Edwarda Josefowskiego, Muzeum Miejskie w Rudzie Śląskiej prezentuje rzeźbę znakomitego artysty - Zygmunta Brachmańskiego w aranżacji plastycznej Joanny Golab.

■ W ramach Szeby Impresaryjnej Teatru Cogitatur prezentowany był spektakl Haliny Chmielarczyk pt. „Czemu nie dajesz mi spać” (Poznań), natomiast zespół Studio Teatralne pokazał w Teatrze Cogitatur spektakl „Północ”.

■ Wystawa masek, lalek i projektów scenograficznych z przedstawień Teatru Lalki, Maski i Aktora „Groteska” w Krakowie, a zatytułowana „Maska znak teatru”, prezentowana jest w Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach.

■ „Kiedy gruba dama śpiewa... czyli opera z przy-
mrużeniem oka” to tytuł koncertu przygotowanego przez artystów Opery Śląskiej.

■ „Improwizacje” Leszka Błyszczyskiego można oglądać w Galerii Piętro Wyżej Centrum Kultury w Katowicach.

■ W kwintu Instytucja Promocji i Upowszechniania Kultury „Silesia” w Katowicach zorganizowała szereg koncertów, wśród nich m.in. koncert Józefa Stompla, który wystąpił w cyklu „Pianistyka polska rodem ze Śląska” a także podczas „Dni Chopinowskich” w Muzeum Archidiecezjalnym zaprezentował swój recital.

■ Od jakiegoś czasu w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach swoje koncerty organizuje również IPIUM Silesia.

■ W Muzeum Śląskim odbyła się wystawa fotografii pt. „Śląsk” autorstwa znanego artysty Michała Cały, a także promocja jego najnowszego albumu pod tym samym tytułem.

■ Sosnowiecka Galeria Sztuki Extravagances prezentuje malarstwo i rysunek Jana Kosno - artysty urodzonego w Sosnowcu, który pozycję i uznanie zdobył podczas wielu lat spędzonych we Francji.

skie percepcje - dziesięciu współczesnych fotografów, 1977-1988".

Jego „Kalendarium szwajcarskie, rok 1912” zdobyło główną nagrodę podczas międzynarodowego festiwalu fotograficznego Foto Fest w Houston w Teksasie.



Andrzej Jerzy Lech, *Dziennik podróży - Ameryka*.

Od 11 lat prowadzi w New Jersey prywatną galerię i studio fotografii artystycznej.

W swoim dorobku twórczym ma kilka cykli, zbiorów, serii małego formatu fotografii detali i fragmentów krajobrazów.

Powstało Śląskie Towarzystwo Fotograficzne

W Katowicach powstało śląskie Towarzystwo Fotograficzne zrzeszające amatorów „malowania” światłem. Pasjonaci spotykają się w internecie, utrzymują regularny kontakt e-mailowy za pośrednictwem listy dyskusyjnej pl.rec.foto. Odbijają też pierwsze spotkania w Galerii Związku Polskich Artystów Fotografików przy ulicy Warszawskiej (co drugi czwartek miesiąca). Nieformalnym szefem STF jest Józef Wolny, znakomity fotograf, niegdyś członek Katowickiego Towarzystwa Fotograficznego, które zakończyło swą działalność na początku lat 90. Czyżby zatem była to reanimacja słynnego niegdyś KTF-u? Z kolei opiekunem artystycznym nowo powstałego Towarzystwa jest Andrzej Koniakowski, artysta fotografik, członek i wiceprzewodniczący ZPAF. O swoich nowych podopiecznych mówi: „Cieszy mnie, że wciąż sporo osób

pasjonuje się fotografią. Na początku obawiałem się trochę, że ich spotkania zdominuje temat sprzętu i techniki, jednak obawy okazały się nieuzasadnione. Z moich obserwacji wynika, że zależy im na dobrej fotografii, a aparaty, obiektywy - to tylko narzędzia.” Stowarzyszenie ma również swoją stronę internetową: www.stf.prv.pl

Premiera w „Ateneum”

„Słowik” to sztuka czeskiego autora Františka Pavlička (wg Hansa Christiana Andersena), w przekładzie Krzysztofa Niesiołowskiego, w reżyserii Karla Brožka (który jest również autorem opracowania muzycznego). Jest to najnowsza premiera Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”.

Punktem wyjścia do realizacji znanej baśni o cesarzu Chin i małym szarym ptaszku, który swą pieśnią odpędza od niego śmiertelną samotność, było spojrzenie na sztukę Dalekiego Wschodu oczyma Europejczyka. Forma inspirowana jest tradycyjnym, japońskim teatrem lalek bunraku, gdzie przedstawienia prowadzone są na trzech planach: przez kantora (narratora), shamisenistę (muzyka) i lalkarza - przy czym każdą postać animuje zwykle trzech aktorów. Reżyser wykorzystuje wiele z tej efektownej konwencji, ale czyni to z właściwym sobie dystansem.

„Słowik” - pelen dalekowschodnich klimatów - przygotowany został przez zaprzyjaźnionych z „Ateneum” czeskich twórców, autorów wcześniejszej inscenizacji - „Króla Jelenia” Carla Gozziego, za którą reżyser otrzymał w 1966 r. Złotą Maskę.

Skansen zaprasza

Popularny skansen chorzowski czyli Górnosłański Park Etnograficzny zaprasza do odwiedzania stałych ekspozycji jak i do uczestnictwa przygotowanych w sezonie letnim imprez. W zabytkowych wnętrzach jak i w plenerze można oglądać wystawy „Architektura sakralna w fotografii Antoniego Kreisa”, „Zabawka ludowa ze zbiorów Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej oraz wystawy pokonkursowe „Misie są

wśród nas”, „Moja przygoda w muzeum” i „Najstraszniejszy strach polny”.

Sezon w skansenie rozpoczął się 1 maja doroczną imprezą „Śląskie go-dy” oraz mszą w zabytkowym kościełku z okazji przypadającego w tym dniu odpustu św. Józefa Robotnika.

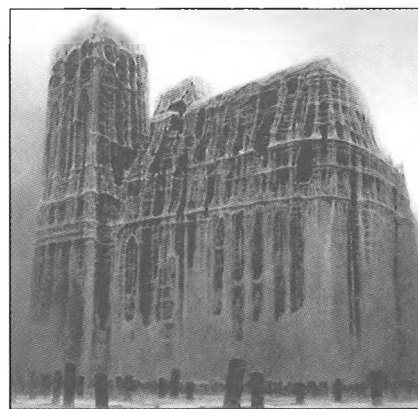
Poócz ekspozycji czasowych przez cały sezon można oglądać ekspozycje stałe we wnętrzach chałup i innych zabudowań: garbarnię, spichlerze oraz wiejską szkołę ulokowaną w chałupie z Kaliny z 1851 r. i urządzoną w dwóch wnętrzach: izbie szkolnej i mieszkaniu nauczyciela. W planach znajduje się urządzenie ogrodu szkolnego.

Jak zawsze, w skansenie prowadzone są w ramach edukacji regionalnej lekcje muzealne dla uczniów szkół wszystkich szczebli.

Beksiński w galerii ESTA

Nie pierwszy już raz w gliwickiej galerii ESTA. Tym razem jednak malarstwo tego jednego z największych współczesnych malarzy uświetniło inaugurację nowej siedziby galerii. Prezentowane są nie wystawiane dotąd obrazy z przełomu lat 80. i 90. Kończą one tzw. okres fantastyczny artysty. Pochodzą z kolekcji Piotra Dmochowskiego, znanego paryskiego malarza.

Dotychczas w galerii ESTA wystawiano prace wielu znakomitych artystów, m.in. Jana Tarasina, Stefana Żochowskiego, Stanisława Fijałkowskiego, Jerzego Nowosielskiego, Tadeusza Łapińskiego, Franciszka Małuszcza.



Zdzisław Beksiński, „KS”, olej, płyta, 1985.

■ W chorzowskim Teatrze Rozrywki zagrał David Friesen - jeden z najciekawszych współczesnych kontrabasistów jazzowych.

■ Również w teatrze Rozrywki odbyła się premiera nowego aspektu pt. „Ordonka - miłość ci wszystko wybaczy” w wykonaniu Marii Meyer.

■ Z okazji 40-lecia pracy artystycznej Marcelego Palczyńskiego Gliwicki Teatr Muzyczny przygotował „Orfeusza w piekle”, w którym Jubilat kreował partię Jowisza.

■ Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru Gliwicki Teatr Muzyczny zorganizował dla wszystkich zainteresowanych dzień otwarty, podczas którego można było zwiedzać kulisy teatru, obejrzeć ekspozycję kostiumów teatralnych, a także została otwarta galeria artystów GTM, gdzie swoje zdjęcia teatralne pokazał Tomasz Zakrzewski, towarzyszący z aparatem wszystkim najważniejszym, wydarzeniom teatralnym w kraju i regionie.

■ Koncert promocyjny młodych kameralistów z udziałem uczniów szkół muzycznych z Bytomia, Częstochowy, Katowic, Sosnowca i Zabrze, odbył się w Auli im. Bolesława Szabelskiego Akademii Muzycznej w Katowicach.

■ Na pokaz nowych filmów Franciszka Dzidy z udziałem m.in. aktorów Jana Nowickiego i Cezarego Chrapkiewicza - filmowca amatora z Chybia, protoplasty „Amatora” Krzysztofa Kieślowskiego, zaprosiła miłośników filmu Instytucja Filmowa „Silesia Film” w Katowicach.

■ Galeria „Piętro Wyżej” CK w Katowicach prezentuje wystawę „Moje przestrzenie” Bożeny Ostrowskiej.

■ Gościem spotkania zatytułowanego „Na tropach Kolumba”, które odbyło się w Muzeum w Tarnowskich Górach, był wybitny iherysta, profesor uniwersytetów angielskich, kanadyjskich i polskich, poeta i tłumacz, redaktor z Zabrze, Florian Śmieja.

■ Stowarzyszenie „Hospicjum” i parafia św. Stanisława Kostki w Katowicach były organizatorami koncertu charytatywnego, którego wykonawcami byli Julian Gembski (organy) i Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska (sopran).

■ W Muzeum Miejskim w Zabrzu otwarta została wystawa pt. „Prayda i legenda o zbójnikach i rabusiach na Śląsku i Żywiecczyźnie”.

■ W warszawskim kinie „Muranów” odbył się przedpremierowy pokaz filmów dokumentalnych au-

torstwa dziennikarzy katowickiej TVP, które będą prezentowane na antenie TVP 1: Dagmari Drzazgi „Bobrek - dance”, Iwony Michalec „Przepowiednia z peronu” i Marcina Solarza „Mój syn Romek”.

■ Stowarzyszenie Architektów Polskich Oddział Katowice w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach otworzyło wystawę pokonkursową prac złożonych na konkurs SARP zorganizowany przez Urząd Miasta Katowice i SARP, którego tematem była „Koncepcja zagospodarowania placu Jana Pawła II w Katowicach”.

■ 18 kwietnia Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach wystąpiła w wiedeńskiej sali Musikvereinu podczas koncertu inauguracyjnego cyklu imprez kulturalnych pod nazwą „Rok Polski w Austrii”, podczas którego pod batutą Antoniego Wita wykonywała dzieła kompozytorów polskich: „Orawa” Wojciecha Kilara, IV Symfonię „Koncertującą” Karola Szymanowskiego z Piotrem Palecznym w solowej partii fortepianu, Poemat Symfoniczny „Step” Zygmunta Noskowskiego a ponadto VIII Symfonię h-moll „Niedokończoną” Franza Schuberta.

■ W Muzeum w Gliwicach otwarta została wystawa „Portret i sacrum” prezentująca twórczość Leonarda Poscha.

Młodzieży, do piór i klawiatur!

Już po raz dwudziesty za długopisy lub pióra chwycą — bądź przysiądą przed klawiaturami maszyn do pisania i komputerów — młodzi literaci, którzy będą uczestniczyć w organizowanym od 1983 roku wojewódzkim, a obecnie także ogólnopolskim, Przeglądzie Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA. Coroczne spotkanie z twórczością młodych artystów pióra organizuje Spółdzielcze Centrum Kultury „Best” Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany” w Bielsku-Białej.

Tamtejsi animatorzy kultury — z szefową „Bestu” Ireną Edelman na czele — potrafili przez niemal dwadzieścia lat znajdować środki finansowe i energię ducha na przegląd dorobku literackiej młodzieży. Czternastokrotnie była to młodzież z ówczesnego województwa bielskiego, a po raz szósty będą młodzi literaci z całej Polski. Impreza ma prestiżowy charakter, gdyż od kilku lat patronuje jej (nie tylko duchowo) prezydent Bielska-Białej Bogdan Traczyk, a wspiera finansowo Ministerstwo Kultury, co świadczy o zdumiewająco szczególnej pieczy władz samorządowych i państwowych nad młodą literaturą, inspirowaną przez organizatorów „Lipy”.

Ewenementem jest reszta działalności kulturalna Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany”. Zdecydowana większość spółdzielczych placówek kultury w całym kraju po 1990 roku została przekształcona w sklepy, knajpy bądź hurtownie, a tymczasem klub „Best” nadal skupia pasjonatów, którzy nad wartości merkantylne przedkładają duchowy rozwój człowieka. Jest to niewątpliwie zasługa długoletniego prezesa SM „Złote Łany” Eugeniusza Cembrata, który zawsze z życzliwością traktował animacyjne pomysły i działania swych podwładnych z pionu kulturalnego. Dzięki temu spółdzielnia w całym kraju może słynąć z... „Lipy”.

Final VI Ogólnopolskiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA '2002 odbędzie się co prawda dopiero w listopadzie, ale prace należy nadsyłać tylko do końca czerwca br. Uczestnikami przeglądu mogą być uczniowie szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich z całej Polski. Tematyka, rodzaj i gatunek literacki, a nawet objętość prac są dowolne. Ich liczba jest natomiast ograniczona do sześciu. Nigdzie dotąd nie opublikowane i samodzielnie wymyślone utwory należy przysyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu. Prace powinny być opatrzone godłem. W kopercie opatrzonej tym samym godłem trzeba pozostawić dane o autorze — imię i nazwisko, adres, wiek, szkołę, klasę oraz ewentualne informacje na temat zdobytych dotąd nagród i publikacji.

Utwory literackie należy nadsyłać pod adresem Spółdzielczego Centrum Kultury „Best” z dopiskiem LIPA '2002. Oro adres organizatora imprezy: 43-300 Bielsko-Biala, ul. Jutrzenki 18, tel. (033) 829-05-742.

Prace ocenią jurorzy, którym przewodniczyć będzie znany poeta Tomasz Jastrun. Najcenniejsze dzieła młodych literatów znajdują się w specjalnie — i zazwyczaj starannie — wydanym wyborze „lipowych” utworów, który jest najcenniejszą nagrodą dla licznych laureatów. W ubiegłym roku było ich stu. A zatem, droga młodzieży, do piór i klawiatur!

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Łamanie granicznej bariery



Rynek w Cieszynie podczas ubiegłorocznego Festiwalu „Na Granicy”.

Od 9 do 11 maja w Cieszynie i Czeskim Cieszyńskim trwać będzie coroczne łamanie granicznych barier. Po obu brzegach Olzy wystąpią wówczas artyści z Czech, Słowacji i Polski, by rywalizować o główne trofeum Festiwalu „Na Granicy” — „Złamany Szlaban”. Tym razem impreza potrwa — jak to w kryzysowych latach bywa — zaledwie trzy dni. Nic jednak dziwnego, skoro z finansowania wycofał się cieszyński browar, a Ministerstwo Kultury przeznaczyło zaledwie 10, zamiast zwyczajowych 40 tys. zł.

Czternasty już festiwal rozpocznie się 9 maja o godz. 14.00 od wykładu w cieszyńskiej filii USI. byłego ambasadora III RP w Pradze, prof. Jacka Bałucha, który mówił będzie o czeskiej literaturze współczesnej. O 16.00 w Teatrze m. A. Mickiewicza w Cieszynie studenci PWST i innych artystycznych uczelni Wrocławia zaprezentują „Burzę” wg W. Szekspira w reż. wielokrotnego jurora festiwalu Andrzeja Makowieckiego. W tym samym czasie w czeskokieszyńskiej „Strzelnicy” rozpocznie się recital Ryszarda Muellera. Na 17.00 przewidziano ponadto na Rynku w Czeskim Cieszyńskim spektakl uliczny teatru Kvelb z Czeskich Budziejowic. O 19.00 w Cieszyńskim Teatrze w Czeskim Cieszyńskim odbędzie się spektakl pt. „Narodziny” teatru Astorka Korzo z Bratysławy. Ostatnim przedstawieniem pierwszego dnia imprezy będzie występ poznańskiego Biura Podróży, które o 22.30 na cieszyńskim Rynku wystawi „Rękopis Alfonsa van Worden”.

10 maja o godz. 10.00 i 17.00 studenci wrocławskiej PWST wystawią w cieszyńskim Domu Narodowym „Wesele” S. Wyspiańskiego. O 16.00 bmeńska Gęś na Sznurku przedstawi w „Strzelnicy” „Tanczone godziny dla starszych i zaawansowanych wiekiem”. Tam też o 18.00 pojawi się Karol Hermanek z praskiego teatru Bez Zabradli, który wykona własną wersję „Kontrabasty”. Dzieło Suskinda mogliśmy już w przeszłości podziwiać nad Olzą w znakomitych interpretacjach — polskiej i słowackiej. Na 21.30 w Teatrze im. A. Mickiewicza przewidziano natomiast spektakl „C'est la vie” zakopiańskiego Teatru Witkacego.

Ostatni dzień festiwalu rozpocznie o 13.00 w „Strzelnicy” występ Teatralnej Wspólnoty Piotra Beznucze z Ostrowy. O 15.30 w Domu Narodowym wystąpi Teatr Okno z Supraśla z „Romansem Perlimplina i Belisy”, a o 18.00 w Cieszyńskim Teatrze

Jednym zdaniem

■ Poezja znalazła w wiślańskim Gimnazjum nieposiadane miejsce. W marcu - z inicjatywy bibliotekarki Hanny Szczudłowskiej - odbyło się spotkanie z Czesławą Marzeńą Bajek - autorką urokliwych wierszy i obrazów, w których dominują pejzaż i kwiaty.

■ Laureatka głównej nagrody XXIII Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu Iwona Loranc była gwiazdą kwietniowego programu „Szansa na szansę” w klubie „Best” w Bielsku-Białej.

■ W kościołach Bielska-Białej odbył się w kwietniu III Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej na Podbeskidziu „Sacrum in Musica”.

■ Wystawy prac rzeźbiarskich Bogdana Pieroga oraz malarskich Jana Bembenisty

w Czeskim Cieszyńskim Klicperovo Divadlo z miejscowości Hradec Kralove zaprezentuje spektakl pt. „Raccek”. Festiwal zakończy się w Teatrze im. A. Mickiewicza przedstawieniem „Pasożyty” w wykonaniu Teatru Współczesnego ze Szczecina. Mimo skromnego budżetu — może nie będzie to najgorszy z dotychczasowych Festiwalu „Na Granicy”?

Jubileusz lalek

Bielsko-Biala doczekało się znów — tym razem niezwykle skromnego — święta teatralnego. Od 29 maja do 1 czerwca w grodzie nad Białą odbędzie się XX Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej. Imprezę, którą wymyślił pierwszy dyrektor „Banialu” Jerzy Zitzman, zainauguruje 29 maja o 10.00 spektakl w Teatrze Polskim „Czy mogę stworzyć świat” Opolskiego Teatru Lalki i Aktora. O 14.00 i 18.00 bulgarski Teatr Credo wystawi na Małej Scenie premierowy spektakl „Dekameron” w wykonaniu artystów bielskiej Banialu.

30 maja o 14.00 i 18.00 na Małej Scenie zaprezentuje się holenderski Teatr Magisch z przedstawieniem „Panta Rhei II”. O 19.00 na Dużej Scenie Banialuka pokaże „Ofiarę Wilgefortis” w reż. swego dyrektora Piotra Tomasza. Dzień zakończy o 21.00 na Dużej Scenie Teatru Polskiego spektakl pt. „Huragan” w wykonaniu zespołu Mossoux Bonte z Belgii. Przedstawienie będzie powtórzone o 19.00 następnego dnia w tym samym miejscu.

Ostatniego dnia maja o 14.00 i 17.00 Figurentheater Vogel & Wilde z Niemiec zaprezentuje „Toccatę” na Małej Scenie Banialu. O 16.00 artyści Banialu wystąpią na Dużej Scenie z najnowszym przedstawieniem „Pinokia” w reż. Zbigniewa Lisowskiego. O 21.00 w tym samym miejscu odbędzie się spektakl „Złotego Pucharu” Teatru Skazka z Abakanu w Rosji, który będzie można zobaczyć raz jeszcze tamże następnego dnia o 10.00.

1 czerwca o 13.00 i 16.00 na Błoniach wystąpi Teatr Lalek Banialu z „Koziołkiem Matolkiem” w reż. Lucyny Sypniewskiej. O 16.00 inny zespół Banialu zaprezentuje w swej siedzibie „Jabloneczkę”



Na Rynku w Czeskim Cieszyńskim znów pojawią się artyści uliczni. Dziewięć lat temu byli tam aktorzy z gdańskiego teatru Snów.

Piotra Tomasza. O 18.00 w Teatrze Polskim zespół Teatru Spaziodanza z Sardynii przedstawi spektakl pt. „Duchy z brązu”. Wreczenie Grand Prix i uroczyste zakończenie imprezy odbędzie się o 21.00 na Błoniach, a w pół godziny później w tym samym miejscu Amoros et Augustin z Francji wystawi widowisko pt. „360 stopni w cieniu”.

Ponadto pierwszego i drugiego dnia imprezy o 16.00 w Fabryce Rozrywki zaprezentują się młodzi artyści z wydziałów lalkarskich uczelni Wrocławia i Białegostoku. Jak widać, jest to program niezwykle oszczędnościowy, najskromniejszy od bodaj ponad 20 lat — na miarę naszych, nie sprzyjających wymianie kulturalnej czasów.

przedstawiono w kwietniu w bielskim Domu Kultury Włókniarzy.

■ Do 10 maja w Galerii Sztuki Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej potrwa wystawa prezentująca witraże młodych artystów z policealnego studium zawodowego Opus-Art w Sosnowcu.

■ W kwietniu w Domu Kultury w Kamienicy odbyły się Bielskie Spotkania Teatralne.

■ W Domu Kultury w Kętach odbyły się w kwietniu Wiosenne Spotkania Gitarowe.

■ Do końca czerwca w bielskim Zamku Sulkowskich potrwa wystawa pt. „Hieroglify — święte znaki Egiptu” ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Jasnogórskie obrady

Na początku marca na Jasnej Górze odbyły się obrady Kapituły Generalnej Zakonu św. Pawła Pierwszego Pustelnika. Kapituła Generalna zwoływana jest co sześć lat i stanowi najwyższą władzę Zakonu. Tworzą ją aktualne władze Zakonu oraz ojcowie kapitulni, czyli specjalni delegaci wybrani ze społeczności zakonnej. To oni w tajnym głosowaniu wybierają Generała Zakonu, pięciu definitorów – Zarząd Zakonu (Definitorium Generalne), Prokuratora Generalnego przy Stolicy Apostolskiej oraz Administratora Generalnego. Kapituła podejmuje również uchwały i decyzje nadające od wieków kształt Zakonowi Paulinów. Prawie dwa tygodnie obradowało 51 ojców kapitulnych, m.in. z Niemiec, Belgii, Węgier, Australii oraz ze Stanów Zjednoczonych.

85 Generałem Zakonu Paulinów został ojciec Izidor Matuszewski. 9 marca, po wcześniejszym ogłoszeniu wyników głosowania odbyła się w Bibliotece Jasnogórskiej ceremonia objęcia urzędu Generała Zakonu. Ojciec Izidor Matuszewski złożył publicznie wyznanie wiary Kościoła Katolickiego i z rąk przewodniczącego Kapituły przyjął pieczęcie Zakonu. Jeszcze tego samego dnia w Kaplicy Matki Bożej odbył się osobisty Akt Zawierzenia ojca generała Matce Bożej Jasnogórskiej.

Ojciec Izidor Matuszewski urodził się w 1942 roku. Ma za sobą studia w Wyższym Seminarium Duchownym Zakonu Paulinów w Krakowie oraz w warszawskiej Akademii Teologii Katolickiej. Świecenia kapłańskie przyjął w roku 1973 na Jasnej Górze. Prawie 20 lat pełnił funkcję kustosa zbiorów jasnogórskich. Od 1966 był przeorem Zakonu Paulinów na Jasnej Górze. Pierwszym zadaniem nowego Generała będzie mianowanie przeorów i zarządów wszystkich placówek paulińskich. Ma na to zaledwie trzy miesiące czasu. Generał Paulinów ma siedzibę w głównym klasztorze Zakonu na Jasnej Górze i jest to jedyny przełożony zakonny urzędujący nie w Rzymie.

Zarząd Zakonu wybrano w składzie: Wikariusz Generalny – ojciec Tomasz Ciołek (dotychczasowy przełożony w Rawennie), II Definitor – ojciec Stanisław Jarosz (przełożony i proboszcz w Toruniu), III Definitor – ojciec Jerzy Kielich, IV Definitor – ojciec Albert Oksiedzki, V Definitor – ojciec Witold Joński. Administratorem Generalnym został ojciec Leon Chałupka, a Prokuratorem przy Stolicy Apostolskiej – ojciec Bazyl Degórski.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

„Via Crusis”

10 marca w kościele seminaryjnym w Częstochowie została zaprezentowana nowa kompozycja Pawła Łukaszeńskiego „Via Crusis” — misterium drogi krzyżowej na orkiestrę symfoniczną. Twórczość Łukaszeńskiego jest doskonale znana miłośnikom poważnej muzyki współczesnej. Utwory tego 34-letniego kompozytora pochodzącego z Częstochowy (tu rozpoczął muzyczną edukację w Państwowym Liceum Muzycznym; jest absolwentem Akademii Muzycznej w Warszawie) rozbrzmiewały w wielu salach koncertowych nie tylko Europy. Muzykę Łukaszeńskiego wykonywali najlepsi, m.in.: Polski Chór Kameralny Schola Cantorum Gedanensis, Chór Polskiego Radia w Krakowie, Polska Orkiestra Radiowa, Orkiestra Koncertowa Wojska Polskiego im. S. Moniuszki, Chór Uniwersytetu im. kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ten doskonały kompozytor jest również propagatorem muzyki współczesnej. Pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Miłośników Muzyki Sakralnej, a od roku 1995 jest Sekretarzem Zarządu Stowarzyszenia Laboratorium Muzyki Współczesnej. W 1998 roku został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pejzaż wiejski

W Muzeum Częstochowskim w Parku im. St. Staszica odbyła się wystawa „Wies w malarstwie polskim” ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Lesznie. Ekspozycję stworzyło 56 obrazów 46 znakomitych artystów. Na wystawie, jak zauważyła Grażyna Michalak — autorka wystawy, dominują malarze „nurtu monachijskiego”: Zygmunt Ajdukiewicz, Aleksander Augustynowicz, Włodzimierz Tetmajer, Michał Wywiórski oraz ich późniejsi naśladowcy, m.in.: Stanisław Gibiński, Jerzy Potrzebowski, Adam Setkowicz.

Wystawa doskonale ukazuje, w jaki sposób kształtowała się i artystycznie realizowała tematyka wiejska w ma-

larstwie polskim. Współczesnemu odbiorcy uświadamia również, jak bardzo z „pejzażem wiejskim” związana jest nasza tradycja narodowa.

Terapia poprzez literaturę

W marcu odbyła się kolejna (piąta w tym sezonie) premiera w częstochowskim Teatrze im. A. Mickiewicza. Sięgnięto po twórczość współczesnego amerykańskiego artysty Erica Bogasiana — aktora, reżysera i pisarza.

Aktor Antoni Rot na najmniejszej scenie częstochowskiego teatru „Histrion” za pomocą tekstu Bogasiana „Czołem wbijając gwoździe w podłogę” prowadzi, jak sam to nazwał za autorem, terapię literaturową. Częstochowski spektakl powstał pod artystyczną opieką Marka Perepeczki.

Rot, wcielając się w sześć różnych teatralnych postaci interpretuje wybory egzystencjalne człowieka współczesnego. Ta galeria postaci ma zmusić widza do postawienia sobie pytania, jaką rolę odgrywa on sam? Rot po skończonym przedstawieniu nie oczekuje od publiczności jedynie oklasków. Poddaje się natychmiastowej ocenie. Rozmawia z publicznością o stworzonych przez siebie postaciach, zdradza kulisy powstania spektaklu, co sprawia, że ten monodram rodzi się każdorazowo od nowa. To rzadka okazja dla widza, aby w pełni zaangażować się w teatr.

Ikony Piriankova

W Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie prezentowana jest wystawa malarstwa Ventzislava Piriankova. Artysta urodził się w 1971 roku w Choumen w Bułgarii. Był uczniem znanego malarza Anastasa Konstantinova. Obecnie mieszka w Polsce. Jest absolwentem poznańskiej ASP. Dyplom uzyskał w 1995 roku w pracowni prof. Jacka Waltosia. Jego twórczość pokazywana była m.in. w Gdańsku, Warszawie, Poznaniu.

Częstochowskiej publiczności artysta zaprezentował swoje malarstwo sakralne głównie z cyklu „Obecność”. I nie mogło stać się lepiej. Piriankov, jak słusznie zauważył A. Kuca, dokonał w swoim malarstwie syntezy artystycznej dwóch przestrzeni kulturowych: bizantyjskiej i śródziemnomorskiej. Wykorzystał tradycje świata, w którym się urodził i świata, w którym obecnie tworzy, stając się malarzem jak najbardziej współczesnym.

Jednym
z
zdaniem

■ Najslynniejsze fragmenty z operetek Johanna Straussa można było usłyszeć podczas „Gali operetkowej” w częstochowskim teatrze.

■ W Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” odbył się koncert znanych muzyków jazzowych: Piotra Wojtasika, Jacka Kochmana, Michała Donata i Erika Vloimansa.

■ W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się wystawa malarstwa na jedwabiu Doroty Waligóry.

■ Malarstwo Zbigniewa Łaskota prezentowała Galeria Regionalnego Ośrodka Kultury „Art Foto”.

■ Malarstwo czy rysunek? — takie pytanie zadali artyści-plastycy: Janusz Glowacki, Marian Panek, Magda Snarska i Zenon Widak, prezentujący swoje prace w galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”.

Łaska widza

Dokładnie rok temu wyzłościwałem się tu na temat przebiegu 26 edycji Opolskich Konfrontacji Teatralnych Klasyka Polska 2001, narzekając i na ich nijaki artystyczny poziom, i na wyjątkowo niską frekwencję. Przy okazji dostało się dyrektorowi Teatru im. Jana Kochanowskiego Bartoszewi Zacharykiewiczowi za przesadnie skromną politykę marketingową.

Teraz, po zakończeniu tegorocznej edycji Konfrontacji, wypadłoby tę ostatnią opinię odświeżyć, a przynajmniej mocno złagodzić. Bo choć marketing a'la „Kochanowski” wcale nie nabrał rumieńców, a nagrodę dziennikarzy znów przyznawał skromny tuzin pismaków (co tu gadać, jak na taką imprezę, to strasznie mało), to jednak opolski teatr pękał w szwach a entuzjazi widzów był bezdyskusyjny.

Same 27. Konfrontacje zasługują na oddzielny tekst, który na pewno na łamach Śląska się znajdzie, ale wątkiem łaski widza, co to na pszym koniu jeździ, wypadłoby się zająć osobno. Bo pytanie o to, jak publiczność skusić, pozostaje pytaniem fundamentalnym, zwłaszcza w czasach, gdy minister kultury wyraża się o teatrach prowincjonalnych mało pochlebnie, sugerując, że najchętniej skazałby ich trupy na odgrywanie lektur. Bo choć filmowcy robią, co mogą, by przenieść na ekran większość pozycji ze szkolnego kanonu, to trochę jednak potwra, choćby z uwagi na to, że filmografia przede wszystkim cienie niż świat teatru, a najnudniejsza nawet kinowa cegła jest jednak droższa od najkosztowniejszego spektaklu.

Ale do rzeczy. Co sprawia, że jedne Konfrontacje przyprowadzają pobłokę o ziewanie, a inne utrzymują ją w stanie radosnego napięcia? Głupio przyznać ale chyba przypadek. Bo akurat opolski festiwal jest dokładnie nie tak dobry, jak dobry był dla klasyki miniony sezon. Jak był nudny i ograniczył się do teatralnych bryków dla leniwych uczniów, to i na Konfrontacjach będzie wiało nudą, bo rada programowa nie będzie miała z czego wybierać. A jak sezon jest choć ciut lepszy, to i impreza ma szansę skuszenia widzów. Tak było w tym roku – program niby nie był rewelacyjny (cztery razy hrabia Fredro to jednak przesada), a mimo to publiczność dopisała jak nigdy. Nadkompletu nie było tylko na „Dziadach”, ale to nie dziwi, bo po wyjściu Ruskich romantyzm budzi w nas nieco mniejsze emocje. Za to na innych spektaklach widownia pękała w szwach, a na gwiazdorskich „Dziadach i huzarach” zanotowano – co zapisze się zapewne w kronice „Kochanowskiego” – obecność 854 widzów.

A jak owemu kapryśnemu przypadkowi mogą dopomóc gospodarze Konfrontacji? Mogą wystawić do konkursu naprawdę dobry spektakl, bo choć miejscowi go zapewne widzieli to przyjdą zobaczyć, jak wypada w konfrontacji z produkcjami utytułowanych gości. I tak właśnie stało się w tym roku. „Matka Joanna od Aniołów” w reżyserii Marka Fiedora była strzałem w dziesiątkę. W przerwie nadziałem się w szatni na jakąś oburzoną panią, która – psiocząc pod nosem na antychrześcijańskie bluźnierstwa – gwałtownie żądała wydania płaszcza. I dopóki na Konfrontacjach będziemy oglądać spektakle budzące takie emocje, dopóty nie będziemy się musieli o los opolskiego festiwalu martwić. Czego i sobie, i „Kochanowskiemu” życzę.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Kino bez chipsów

Dobra wiadomość dla opolskich miłośników kina, znudzonych amerykańskimi superprodukcjami. Od kwietnia przy Młodzieżowym Domu Kultury działa kino „Studio”, które ma się specjalizować w prezentacji filmów ambitnych. Ma to być kino – jak mówi jego opiekun Bolesław Drochomirecki – bez picia i jedzenia w trakcie seansów.

Do tej pory kino przy MDK wyświetlało filmy tylko raz, a potem dwa razy w tygodniu. Dyrektorka MDK Elżbieta Marciniuszyn poparła jednak pomysł uruchomienia kina działającego na okrągło, które wypełniałoby bolesną repertuarową lukę w filmowej ofercie Opola. Opolanie nigdy nie mogli narzekać na nadmiar ambitnych propozycji ale ostatnio monotonia dała im się w znaki jak nigdy wcześniej – przez dobre trzy miesiące oba opolskie kina (Centrum Odra i Kraków) grały wyłącznie „Harry Pottera” i „Władcę pierścieni”.

„Studio” wystartowało ambitnie, od trzech cykli. W pierwszym zaprezentowało kino polskie (klasyki jak „Rejs” i nowości jak „Cześć Tereska”), potem kino azjatyckie („Łażnia”, „Czas pijanych koni”, „Kandahar”) a na koniec niemieckie (między innymi sławne „Biegnij, Lola, biegnij” i „Crazy”).

Tradycja żyje

Aż dwustu uczniów szkół podstawowych i gimnazjów wzięło udział w IX już edycji Wojewódzkiego Konkursu Gawędziarskiego „Śląskie Beranie”, organizowanego przez Reginę Dudę ze szkoły podstawowej w podopolskim Izbicku. Uczestnicy prezentowali monologi gwarą i scenki rodzajowe z życia śląskiej wsi. W pierwszej kategorii wygrała Katarzyna Leja z Biadacza, w drugiej

wyróżniono uczniów Zespołu Placówek Oświatowych z Kadłuba i Szkoły Podstawowej w Roszkowickim Lesie.

Kroszonki w deszczu

Mimo mżawki i chłodnego wiatru tłumy opolan zjawili się w Niedzielę Palmową w skansenie w Bierkowicach, by wziąć udział w Jarmarku Wielkanocnym organizowanym tradycyjnie przez Muzeum Wsi Opolskiej.

Ta niezwykle popularna impreza udanie łączy od lat cechy ludycznego festynu i ludowego święta. Goście mogą sobie zamówić zwykły bigos, ale mogą także skosztować chleba wypiekanego w odrestaurowanym piecu piekarskim, który został przeniesiony do Bierkowic z Rudziczek. Mogą podziwiać występy bractwa rycerskiego albo obejrzeć inscenizację obyczaju topienia marzanny w wykonaniu uczniów opolskich podstawówek.

Jarmark jest też okazją do rozstrzygnięcia konkursu kroszonkarskiego – nagrodzone kroszonki można potem oglądać na wystawie w spichlerzu pochodzącym z Grodu. W tym roku jury przyznało następujące nagrody: w kategorii dorosłych uczestników wygrali Barbara Herok, Grażyna Joszkok, Teresa Ozimek i Jadwiga Chromik, w kategorii uczniów zaś Natalia Warwas, Anna Herok, Małgorzata Wywrzynek, Marta Konieczko, Wioletta Śmieszek oraz Agnieszka Rusak.

Festiwal o krok

Już pod koniec naja Opole ponownie stanie się „stolicą piosenki polskiej”, ale w samej imprezie reprezentowane będzie słabo. W przesłuchaniach do koncertu debiutów 39. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej wzięło udział czworo wykonawców z Opola, ale zakwalifikował się tylko jazzujący zespół „Funky Gor” złożony z muzyków mieszkających w Opolu i Łodzi.

W tym roku – z uwagi na mistrzostwa w piłce nożnej – festiwal odbędzie się wyjątkowo wcześniej (29 i 30 maja) i wyjątkowo w środku tygodnia (środa i czwartek).

■ Uniwersytet Opolski powołał do życia nową katedrę – jest to katedra teatru, filmu i nowych mediów, którą będzie kierował prof. Eugeniusz Wilk z Krakowa.

■ 3 kwietnia zaczął się w Opolu I Synod Diecezjalny, przez najbliższe trzy lata 12 komisji synodalnych wspieranych przez 400 grup parafialnych będzie rozmawiać o ulepszeniu życia opolskiej diecezji.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu odbył się wernisaż wystawy Zbigniewa Pelona i jego żony Grażyny Michalak-Pelona, laureatów ubiegłorocznego Salonu Jesiennego.

■ 22 marca zmarł Zdzisław Chudy, artysta plastyk i emerytowany nauczyciel Państwowe-

go Liceum Sztuk Plastycznych w Opolu, wieloletni członek opolskiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków.

■ Pracownicy Muzeum Śląska Opolskiego oraz młodzież szkolna zwrócili się do władz Opola o wmurowanie tablicy pamiątkowej na domu przy ul. Krakowskiej 7, w którym mieszkał opolski malarz Krzysztof Bucki (za rok przypada 20 rocznica jego śmierci).

■ Nowym dyrektorem Centralnego Muzeum Jęńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu został Edmund Nowak, jego długoletni pracownik, autor przełomowych prac na temat powojennego obozu pracy w Łambinowicach.

Róża zamiast... bambusów

Podczas Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków, które odbyło się w sobotę 6 kwietnia br. w czeskojęzyńskiej „Strzelnicy”, doszło do ważnych zmian. Po siedmiu latach Wawrzyńca Fojćika, który stał na czele Kongresu i Rady Polaków przez trzy kadencje (wcześniej był członkiem Rady, a będzie tak i w obecnej kadencji), zastąpił w funkcji prezesa młody historyk z Nydku - Józef Szymczek, szef Ośrodka Dokumentacji Kongresu oraz wykładowca historii Kościół na Uniwersytecie Ostrawskim. Na jego zastępcę wybrali członkowie nowej Rady Kongresu Polaków - bo taką obecnie nazwę przyjął ten organ po - Henryka Cieślara (też z... Nydku), właściciela Biura Podróży „Slestour”.

„Szczepni państwo, z głębi serca nie tylko w imieniu swoim, ale i pozostałych członków nowej Rady, dziękuję za wielkie zaufanie” - powiedział w swoim „exposé” prezes Józef Szymczek. „Wierzę, że nie zawiodę waszego zaufania, a zarazem wierzę w to, że ludzie, którzy do tej pory nas otaczali, będą nas dalej odwiedzać i pomagać nam. Wszyscy cieszą się, że prezes jest młody - od razu muszę jednak powiedzieć, że jestem strasznym konserwatystą, można by nawet powiedzieć - takim przedwojennym...”

Co mnie martwi? Jestem otóż „zmęczony naszym zmęczeniem”. Nie męczymy się więc nawzajem, ale starajmy sobie wzajemnie pomagać. Przecież jest tylko jedno polskie społeczeństwo w RC, jedna tylko mniejszość polska. Jesteśmy Polakami niezależnie od tego, czy żyjemy w Pradze czy na Zaolziu, niezależnie od tego, czy mamy paszport polski czy czeski, niezależnie od tego, członkami jakiej organizacji jesteśmy.

Niechaj to nasze społeczeństwo, ta roślina, o którą nie tylko my, ale i nasi przodkowie przez wieki się troszczyli, rozkwita. Niech nie przypomina dwóch suchych bambusów, współzawodniczących o to, który wyżej wyrośnie. Niech ta roślina przypomina piękny kwiat róży, składający się z dziesiątków płatków - 22 organizacji, wszystkich polskich szkół, polskich instytucji, które na rzecz polskości tutaj pracują. Życzymy sobie tego nawzajem i daj Boże, aby się tak stało...”

Tuż po swoim wystąpieniu przed delegatami Zgromadzenia Ogólnego prezes Szymczek podzielił się swoimi wrażeniami również z dziennikarzami: „Co tu dużo mówić - decyzja delegatów oraz członków Rady nie tylko mnie zaskoczyła, ale i zasmuciła. Wybór na prezesa komplikuje mi życie, bo wiadomo, praca zawodowa i społeczna pochłaniają mi mnóstwo czasu. Będę sobie jakoś musiał to życie na nowo ułożyć... A z jakimi uczuciami będę opuszczał czeskojęzykłą „Strzelnicę”? Z nadzieją! Chciałbym bowiem kontynuować dotychczasową linię programową Rady, ale uwielbiam sobie, że są i takie sprawy, którymi będzie się trzeba zająć dogłębniej, bo jest nadal co poprawiać”.

A nowy wiceprezes Henryk Cieślara? „Można mówić o absolutnym zaskoczeniu. Kiedy wybierałem się na Zgromadzenie Ogólne - przyszan, że po raz pierwszy w życiu - nie zamierzałem nawet kandydować. A tu stałem się nie tylko członkiem Rady Kongresu Polaków, ale wprost jej wiceprezesem. Podobnie jak Józek, będę musiał poczynić ważne zmiany w planach na najbliższe trzy lata.”

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Z szansonem i bukietem

Na ponad dwa tygodnie przed 410. urodzinami Jana Amosa Komenskiego, czyli obchodzonym w RC tradycyjnie 28 marca Dniem Nauczyciela, postanowili członkowie Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC spotkać się z okazji swojego święta. Tradycyjna Wiosenna Impreza Nauczycieli odbyła się w czeskojęzyńskim ośrodku kultury „Strzelnica”, a z zaproszenia pedagogów skorzystali nie tylko konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis i konsul ds. Polonii Małgorzata Filipek, ale również mieszkająca obecnie w Pradze, a pochodząca z Trzyńca szansonistka i aktorka Renata Worek-Drössler.

Nie skończyło się tylko na słowach podziękowania. Siedmiu zasłużonym nauczycielkom - Krystynie Farnik, Krystynie Walek, Krystynie Kopeć, Hannie Hili, Wandzie Pytlík, Alenie Wawrzyczek i Danucie Cymerys - rząd TNP przyznał akty uznania. Również konsul M. Masiulanis przywiozł dla dwu pań - Janiny Fierli i Janiny Urbaniec - Medale Komisji Edukacji Narodowej. Niestety, mógł wręczyć tylko jeden - pani J. Urbaniec kilka dni wcześniej zmarła. Uczestnicy spotkania uczcili jej pamięć minutą ciszy...

Zamiast symbolicznego kwiatka przygotowano dla nauczycieli ucztę duchową. R. Worek-Drössler, której akompaniował na fortepianie Jiří Pazour, zaprezentowała w sali „Strzelnicy” recital pn. „Teatr pieśni”, wyreżyserowany przez Józefa Czernieckiego. Zabrzmiały na koncercie nie tylko zainspirowane muzyką Fryderyka Chopina pieśni ze spektaklu „Divadlo pieśni - Chopin” (w języku czeskim

i polskim). Sporo było też najbardziej znanych szansonów - z repertuaru Hany Hegerowej, Jacquesa Brela, Edith Piaf, Edyty Geppert... Z ogromną radością przywitali też nauczyciele piosenkę „Różowa pani”, z którą Renia zadebiutowała na początku lat 80. na Festiwalu Piosenki Polskiej w Karwinie...

„Pod Pegazem” z młodą poezją

Przedstawiciele najmłodszej „fali” zaolziańskich poetów - Agata Cimała, Hanna Rybicka, Roman Krop, Tomasz Ryłko i Marek Słowiaczek - byli bohaterami marcowego spotkania w jabłonkowskiej literackiej Kawiarence „Pod Pegazem”. Tym razem jednak słuchano wierszy nie w jabłonkowskim Domu PZKO - gospodarze spod znaku Pegaza - Kazimierz Kaszper, Jan Pyszko i Piotr Horzyk - po raz kolejny zaprosili miłośników poezji na kawiarenkę wyjazdową, a po raz drugi za granicę (w 1992 roku wyjechała ona za Olzę - do Brzegu) - do cieszyńskiego Domu Narodowego, którego dyrekcja była współorganizatorem wieczoru.

Spotkanie było poświęcone nie tylko najmłodszej liryce. Wzięło w nim bowiem udział oprócz publiczności z Zaolzia również sporo fanów poezji z Cieszyna, którzy nie zawsze do końca znają zaolziańską literaturę. Z jej historią i twórczością znaczących poetów zaznajomił zebranych krótko K. Kaszper. Zabrzmiały też - w wykonaniu dyrektora Teatru Cieszyńskiego Karola Suszki - wiersze Henryka Jasiczka, Władysława Sikory, Wilhelma Przeczka, Jana Pyszki i Renaty Putzla-cher.

To właśnie K. Suszka zaprezentował też wiersze głównych bohaterów wieczoru. By jednak nie zamęczyć widowni nadmiarem poezji, pomyśleli gospodarze o zaproszeniu gitarzysty Mariusza Śniegalskiego, który zaśpiewał swoje utwory do tekstów Jonasza Kofty oraz cieszyńskiego poety Jerzego Oszeldy.

Jednym zdaniem

■ W wieku niespełna 76 lat zmarł 14 kwietnia w Trzyńcu malarz Stanisław Kraus.

■ 27 uczniów czeskojęzyńskiego Polskiego Gimnazjum i jego karwińskiego filii wyjechało w ramach europejskiego programu edukacyjnego „Socrates-Comenius” do włoskiego miasta Asti.

■ 80. urodziny obchodziła 5 kwietnia br. mieszkająca w Śmílovicach malarka Zofia Wanonk.

■ Marta Szeliga z karwińskiego gimnazjum wzięła udział w finale XI Konkursu Recytacji w Gwarze Śląskiej „Śląska Ojczyzna-Polszczyzna”.

■ Na trzecim już w tym roku zebraniu spotkali się w 15 marca członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki, którego prezesem jest Helena Legowicz, kierowniczka Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie.

■ Izabela Broda z PSP w Karwinie-Newym Mieście zdobyła III miejsce w ogólnokrajowym konkursie pieśni ludowej „Karłowarski Skowronek”.

■ Członkowie zaolziańskiego Koła Polskich Kombatantów wzięli 20 marca udział w uroczy-

stym apelu ku czci 24 żołnierzy Związku Walki Zbrojnej, straconych przed 60 laty w Cieszynie „Pod Walką”.

■ Leszek Kalina, pedagog Polskiego Gimnazjum w Cz. Cieszynie, znalazł się wśród 25 nauczycieli wyróżnionych z okazji Dnia Nauczyciela (28 marca) przez hełmiana okręgu morawsko-śląskiego Evžena Tošenowskiego tytułem Osobowości Pedagogicznej Roku.

■ Gimnazjalny chór „Collegium Iuvenum” otrzymał podczas finału XXII Ogólnopolskiego Konkursu Chórów A Capella Dzieci i Młodzieży w Bydgoszczy tytuł drugiego najlepszego chóru i „Srebrny Kamerton”.

■ Agata Branna z bystrzyckiej PSP zakwalifikowała się do ogólnopolskiego finału olimpiady w konwersacji języka angielskiego.

■ Swoje 5. urodziny obchodził w Teatrze Cieszyńskim gimnazjalny teatrzyk SZKAPA. Jego kierownikiem jest od początku nauczyciel Władysław Kubień.

■ Pojawiła się pierwsza płyta zespołu rockowego „Arzia”. Chrzest kompaktu pn. „Wciąż ci sami” odbył się 27 kwietnia w Wędrzynie.



Nie tylko dla górnictwa

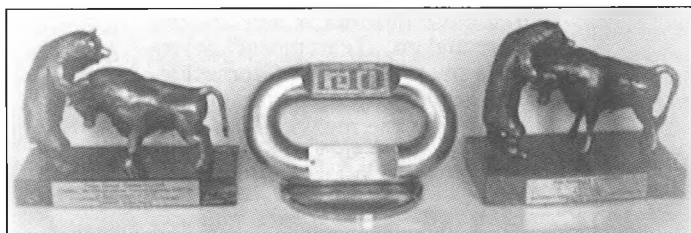
Rozmowa z **CZESŁAWEM KOCZORKIEM**,
Prezesem Zarządu i Dyrektorem Naczelnym
Przedsiębiorstwa Elektromontażowego Przemysłu Węglowego „ELKOP” S.A.

- Przedsiębiorstwo Elektromontażowe Przemysłu Węglowego „Elkop” S.A. istnieje od 1963 roku. Jak wynika z samej nazwy powstało, by przede wszystkim świadczyć usługi dla przemysłu wydobywczego. Na przestrzeni blisko 40. lat na rynku śląskim zaszło wiele zmian: od bardzo silnej, wręcz dominującej pozycji przemysłu wydobywczego, aż po kolejne etapy restrukturyzacji górnictwa, ograniczenie wydobycia i likwidację wielu kopalń. W jaki sposób te zmiany wpłynęły na orientację spółki?

- PEPW „Elkop” istnieje od 1. stycznia 1963 roku, ale rodowodem sięga początku lat 50. W ramach Budownictwa Węglowego został wówczas wyodrębniony Zespół Robót Elektrycznych, który stał się zalążkiem dzisiejszej spółki. Do roku 1989 firma głównie realizowała inwestycje dla przemysłu górnictwa. Prowadziła roboty elektromontażowe w kopalniach i zakładach górniczych, instalowała sieci średnich i niskich napięć, montowała sprzęt energetyczny w transporcie taśmowym, urządzeniach przyszybowych, stacjach przeladunkowych i pompowniach. Od przełomu lat 90., od początku zachodzących zmian społeczno-ustrojowych zdawaliśmy sobie sprawę, że także górnictwo będzie musiało zacząć funkcjonować w systemie wolnorynkowym i nie ominą go gruntowne zmiany. Zaczęliśmy szukać odbiorców poza branżą wydobywczą. Na początku lat 90. usługi na rzecz górnictwa stanowiły 90 proc. wszystkich realizowanych zamówień. Dziś obszar na którym działamy, obok kopalni, których zlecenia wciąż stanowią ok. 20 proc. wszystkich naszych realizacji, obejmuje szpitale, obiekty sportu i rekreacji, huty, osiedla mieszkaniowe, banki, zakłady chemiczne, energetykę zawodową, kombinaty koksownicze, stacje uzdatniania wody czy oczyszczalnie ścieków. Wykonujemy kompleksowe prace w zakresie robót elektromontażowych łącznie z produkcją prefabrykatów urządzeń elektrycznych, pomiarami i rozruchem oraz, w razie potrzeby, z opracowaniem projektu technicznego.

- Co oznaczało wprowadzenie systemu wolnorynkowego dla „Elkop-u”?

- Przede wszystkim prywatyzację. W grudniu 1994 roku minister przekształcił własnościowych, na wniosek dyirekcji „Elkop-u”, zmienił dotychczasowe przedsiębiorstwo państwowe w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. W marcu 1995 roku w ramach Programu Powszechnej Prywatyzacji zakład wszedł w skład I Narodowego Funduszu Inwestycyjnego. W 1997 roku akcje spółki zostały wprowadzone do regularnego, pozagiełdowego obrotu publicznego na rynku CETO, zaś w marcu 2001 roku nasza firma zadebiutowała na rynku Giełdy Papierów Wartościowych. Od tego momentu akcje spółki notowane są w systemie notowań ciągłych. Od 1989 roku zaszło też wiele zmian wewnątrz firmy. Za jeden ze strategicznych celów w okresie transformacji uznaliśmy wdrożenie Systemu Zapewnienia Ja-



„ELKOP” SA - laureat nagród: Złotego Byka i Niedźwiedźa oraz CETO.

kości wg normy ISO 9001. 1997 roku nasza firma uzyskała certyfikat potwierdzający zgodność systemu z międzynarodową normą. W roku 2000 jego ważność została przedłużona na kolejne trzy lata. Wprowadzenie gospodarki rynkowej w latach 90. wymagało także zmian w mentalności kadry. Istotnym zagadnieniem stało się opracowanie i wdrożenie oceny i weryfikacji kadr. Z niegdyś 800. pracowników, pozostało 200. Zostali tylko najlepsi.

- Odzwierciedleniem pozycji spółki i jakości świadczonych przez nią usług są uzyskane certyfikaty i wyróżnienia. Wiemy już, że „Elkop” uzyskał certyfikat ISO 9001. Czy obok tego wyróżnienia są także inne?

- Uzyskałyśmy wyróżnienia nadane przez CETO i gazetę giełdową Parkiet w postaci na-

grody Złotego Byka i Niedźwiedźa. To wyróżnienie przyznaje się co roku spółkom o najwyższym stopniu zwrotu ze sprzedaży akcji. „Elkop” otrzymał je dwukrotnie w 1999 i w 2000 roku. Wcześniej, w roku 1994, otrzymaliśmy tablicę gratulacyjną od prezydenta RP za osiągnięcia w dziedzinie produktywności. W ubiegłym roku zostaliśmy nagrodzeni Medalami Europejskimi w dziedzinach „Usługi elektryczne” i „Wyrób - pulpit motorniczego” nadane przez Business Centre Club i Komitet Integracji Europejskiej.

- Na przestrzeni prawie 40. lat „Elkop” realizował bardzo wiele zleceń. Proszę podać kilka przykładów z ostatnich lat, by uzmysłowić czytelnikowi szerokość działalności Państwa firmy.

- W ubiegłych latach realizowano zadania między innymi w kopalniach Bielszowice, Budryk, Pokój, Bolesław Śmiały, Sośnica, Piast, Jaworzno, Ziemowit oraz w Hucie Ferum i Koksowni Przyjaźń w Dąbrowie Górniczej. Równocześnie nasza spółka wykonywała kompleksowe prace systemu energetycznego w Banku Rozwoju i Eksportu w Katowicach, w Hotelu „Klimczok” w Szczyрку. Na zlecenie Alstom-Konstal S.A. modernizowaliśmy linię tramwajową 6 i 41 Katowice - Bytom. Do nas należało wykonanie całego systemu energetycznego, łącznie z podstawcami trakcyjnymi. W naszej firmie powstawały także pulpity i tablice sterownicze do nowoczesnego „Karlika”. Ta realizacja zakończona dużym sukcesem pozwoliła nam pozyskać zlecenia na wykonanie takich samych urządzeń dla tramwajów wprowadzanych na ulice Warszawy, Szczecina i Poznania.

- Jakie plany ma Państwa firma na najbliższe lata?

- Prowadzona przez „Elkop” działalność ze względu na swój charakter uzależniona jest od koniunktury na rynku usług budowlano-montażowych. Istotnym zagadnieniem staje się więc unowocześnienie oferty przedsiębiorstwa poprzez zdobywanie nowych uprawnień np. do wykonywania instalacji przeciwpożarowej, antywłamaniowej czy alarmowej. Umożliwi to pozyskiwanie zleceń także w innych obszarach rynku. Równolegle zawsze głównym celem naszej spółki jest utrzymanie dobrej jakości i terminowej realizacji usług oraz podnoszenie kwalifikacji naszych pracowników i unowocześnianie środków produkcji. Strategia rozwoju na najbliższy okres obejmuje także kompleksową realizację usług poszerzoną o usługi w zakresie instalacji inteligent-

nych oraz rozwój nowych technologii związanych z rynkiem odnawialnych źródeł energii. Chodzi oczywiście o elektrownie wiatrowe. Choć w Polsce nie ma warunków, by zupełnie wyeliminować energię ze spalania węgla, istnieją enklawy, w których instalowanie elektrowni wiatrowych jest opłacalne. „Elkop” posiada 30 proc. akcji spółki Elektrownie Wiatrowe z Piętkowa. W maju 2001 roku spółka oddała do

użytku farmę wiatrową w Barzowicach. „Elkop” posiada także 56 proc. udziałów spółki „EL - Eko” Systems S.A. w Rybniku, w tworzeniu której aktywnie uczestniczył. Obecnie powstają farmy wiatrowe w Przelęczy Dukielskiej w okolicach Rymanowa i Iwonicza Zdroju oraz w województwie polskim. Według szacunków specjalistów, budowa elektrowni wraz opracowaniem projektu i pomiarami wiatru, trwa około dwóch lat w warunkach Polskich. Inwestycja zwraca się w ciągu 5 - 7 lat. Wejście do Unii Europejskiej wiąże się także z pozyskiwaniem części energii ze źródeł odnawialnych.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: AGNIESZKA
JASZKANIEC-GRUSZKA



**PRZEDSIĘBIORSTWO ELEKTROMONTAŻOWE
PRZEMYSŁU WĘGLOWEGO „ELKOP”
Spółka Akcyjna**

**41-506 Chorzów, ul. J. Maronia 44
tel. (032) 246 24 71, fax (032) 246 20 88, e-mail: biuro@elkop.pl**

351674



GÓRNOŚLĄSKI BANK GOSPODARCZY SA
GRUPA BPH PBK

Bank Twojego
Regionu



Bezpłatna infolinia: 0 800 163 049 Internet: www.gbg.com.pl